KATOWICE: WIZJE I KONKRETY

CENĄ 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Śląskie. Pozytywna energia

Nr 9 (167) • ROK XV • WRZESIEŃ 2009

TADEUSZ KIJONKA – Wiersze czasu wojny

GRZEGORZ BĘBNIK – Gdy Wehrmacht ruszył na Polskę

BARTOSZ WARZECHA – Freikorps na granicy wojny

BARBARA SZMATLOCH – Losy rodziny Korfantych

WITOLD TURANT – Clare Hollingworth w Katowicach

Śląsk nie ma siły przebicia – rozmowa z prof. ANTONIM BARCIAKIEM

ANDRZEJ JARCZEWSKI – esej, JAROSŁAW LEWICKI – proza,
KRZYSZTOF SIWCZYK – wiersze



ISSN 1425-3917

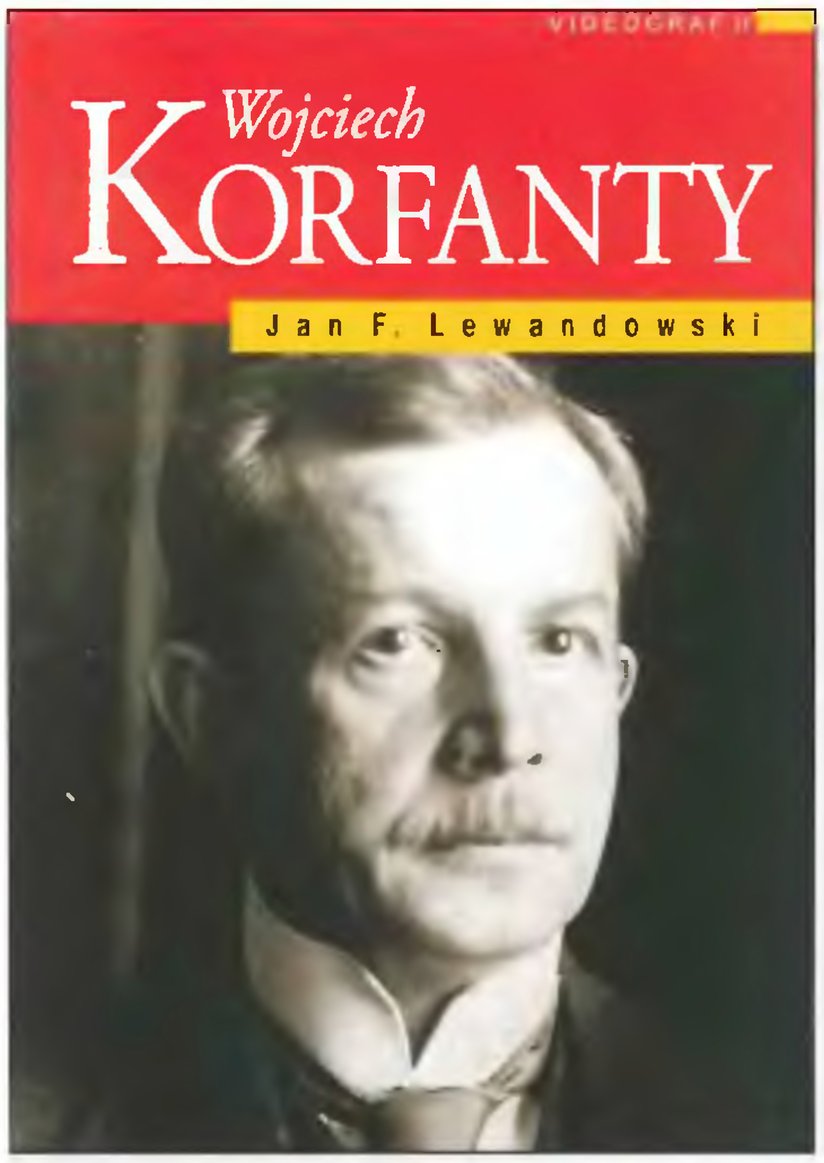
09 >

9 771425 391905

„Pekin 2008" w reżyserii Dagmary Drzazgi zdobył Grand Prix na 15. Międzynarodowym Festiwalu Telewizji Regionalnych w Koszycach na Słowacji. W konkursie startowały 93 programy z 26 krajów, m.in. z Indii, Stanów Zjednoczonych, Izraela, Singapuru, Wielkiej Brytanii i Kanady.
„Pekin 2008" został nagrodzony za „wybitne walory reżyserskie, zastosowane techniki produkcji oraz obrazową opowieść o lokalnej społeczności". Film jest roczną obserwacją życia mieszkańców katowickiego Pekinu, pokazaniem ich codziennych radosci i smutków.

„Pekin 2008" był już nominowany do „Złotej Nimfy" jako najlepszy film dokumentalny na Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Monte-Carlo, a także otrzymał wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Poznaniu.
Film wyprodukowała Telewizja Katowice dla TVP2.





Postać Wojciecha Korfantego tak silnie związana jest z dziejami Górnego Śląska, że nabrała znaczenia symbolicznego. Jego osoba kojarzy się przede wszystkim z okresem powstań śląskich, plebiscytu i przyłączenia części Górnego Śląska do Polski w 1922 roku. Jednak Korfanty był nie tylko najważniejszą postacią w górnośląskim panteonie XX wieku, lecz także jednym z czołowych polityków II Rzeczypospolitej.
Książka Jana F. Lewandowskiego jest pierwszą pełną biografią Korfantego, przedstawiającą go w ujęciu popularnym. Autor odsłania najbardziej dramatyczne wydarzenia z życia polityka. Opowiadając burzliwe losy Korfantego, eksponuje ich sensacyjne nieraz fragmenty. Prezentuje go zarówno w wymiarze politycznym, jak i prywatnym, na tle wydarzeń historii górnośląskiej, polskiej i europejskiej. Przekonuje też, że potrzebne jest odkrywanie Korfantego na nowo, gdyż tak naprawdę wcale go nie znamy.
Wojciech Korfanty (1873-1939) – polityk, działacz narodowy i polityczny na Śląsku. Od 1898 r. był członkiem Związku Młodzieży Polskiej „Zet", a od 1901 r. – Ligi Narodowej. W latach 1903-1911 wydawał pismo „Górnoślązak". W latach 1904-1918 posłował na sejm pruski, a w 1918 r. został wybrany posłem do Reichstagu. Był jednym z przywódców powstań śląskich (1919-1921) oraz Komisarzem Plebiscytowym. Po wyzwoleniu wybierano go w latach 1919-1930 posłem na sejm krajowy, a w latach 1922-1935 posłem na Sejm Śląski. Od 1922 r. związany był z obozem chadecji. W 1923 r. został wicepremierem. Od 1924 r. był wydawcą „Rzeczypospolitej" i „Polonii". Po przewrocie majowym (1926) znalazł się w opozycji wobec Piłsudskiego i autorytarnego systemu rządów. W 1930 r. został uwięziony w twierdzy brzeskiej. W 1934 r. wyjechał na emigrację, z której powrócił, na krótko przed śmiercią, w 1939 r.

Jan F. Lewandowski (ur. 1952) – historyk, filmoznawca, dziennikarz i publicysta, animator kultury. Związany z redakcjami „Dziennika Zachodniego", „Panoramy", „Katolika"; był redaktorem naczelnym miesięcznika filmowego „Premiera"; kierował działem historycznym w miesięczniku „Śląsk". Zajmuje się historią kina i Górnego Śląska. Jest autorem kilkunastu książek, m.in. *Pola Negri w Sosnowcu, 100 filmów polskich, 100 filmów stulecia, Historia Śląska według Kutza, Przesyłka ze Szkocji. Generał Józef Zając i jego kolekcja, Wędrówki po dziejach kina na Górnym Śląsku.*

Tydzień Kultury Beskidzkiej to jedna z najstarszych i największych imprez folklorystycznych w Europie. W tegorocznym popisach w ośmiu miejscowościach udział wzięły 103 zespoły folklorystyczne, w tym 21 z zagranicy. W ramach Tygodnia odbyło się kilka przeglądów i festiwali, m.in. 40 Festiwal Folkloru Górali Polskich i 20 Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne (obie imprezy w Żywcu w pierwszej dekadzie sierpnia). Tańce i śpiewy przeniosły się także za Olzę, do Jabłonkowa, gdzie po raz 62 zorganizowano „Gorolski Święto".



Foto: ARC UM w Żywcu

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 9 (167). Rok XV. Wrzesień 2009 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 032 253-62-21
e-mail: slask@neostrada.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROSŁAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 032 206-82-71

DTP: STP „KorGraf", 40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12, tel. 032 354-09-88, 032 781-06-48

Druk: PW „Tolek"
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 1020231300003302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat. Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT).
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Pismo wspierane finansowo przez ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

oraz dotowane przez URZĄD MIASTA KATOWICE

Zrealizowano w ramach PROGRAMU OPERACYJNEGO PROMOCJA CZYTELNICTWA ogłoszonego przez MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W NUMERZE:

Tadeusz Kijonka **W KLESZCZACH DWU DAT** 3
INSTYTUT BADAŃ NAD ŚLĄSKIEM – JAKI MA BYĆ 4
Rozmowa z inż. Leonem Ucką, prezesem zarządu i dyrektorem generalnym Katowickiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Budus" S.A.
MOCNO TRZYMAJĄ SIĘ ZIEMI 5
Rozmowa z Piotrem Uszokiem, prezydentem Katowic
WIZJE I KONKRETY 6
Tadeusz Kijonka **WIERSZE CZASU WOJNY** 8
Barbara Szmatłoch **LOSY RODZINY KORFANTYCH** 10
Andrzej Jarczewski **WOJNA SUMY Z RÓŻNICAMI** 16
Witold Turant **CLARE HOLLINGWORTH W KATOWICACH** 20
Bartosz Warzecha **FREIKORPS NA GRANICY WOJNY** 26
Grzegorz Bębnik **GDY WEHRMACHT RUSZYŁ NA POLSKĘ** 30
Andrzej Linert **SŁOWACKI NA SCENIE WYSPIAŃSKIEGO** 36
Krzysztof Siwczyk **WIERSZE** 40
Ryszard Bednarczyk **W CIENIU SPADOCHRONOWEJ WIEŻY** 42
Ryszard Kaczmarek **„ZDEGENEROWANA SZTUKA"** 46
Jarosław Lewicki **HANSI** 50
Jan F. Lewandowski **STULECIE KIN W KATOWICACH** 56
Wiesława Konopelska **WWW.ZPAF.KATOWICE.PL** 64
Ewa M. Walewska **NA POCZĄTKU JEST WZRUSZENIE** 65
Rozmowa z prof. Antonim Barciakiem
ŚLĄSK NIE MA SIŁY PRZEBICIA 66
Wiesława Konopelska **NA STYKU GESTU I NIEWIDZIALNEGO** 80
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY 81
Irma Kozina **UMIERAJĄ STOJĄC...** 96
ŚLĄSKI MIESIĄC 2

POZA KADREM
Feliks Netz **CICHY CHAOS** 35
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański **MIASTA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA (I)** 60
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA
Jan Miodek **MOTYKA, RASZPLA, MOKWA I MYRCHA** 61
EKOLOGIA
Jolanta Karmańska **EKOŚWIADOMOŚĆ KONTROLOWANA** 62
TANIEC
Marcin Hałaś **TANECZNY FENOMEN** 68
MUZYKA
Bożena Gieburowska-Gabryś **HAENDEL, BACH, RILLING** 69
WYDAWNICTWA
Piotr Barnert **PERIODYKI, KWARTALNIKI, STUDIA** 70
Magdalena Dziadek **MIĘDZY NUTAMI** 71
KSIĄŻKI
Tadeusz Kijonka **TROPAMI PROWOKACJI GLIWICKIEJ** 72
Feliks Netz **OCZAROWANIE I ROZCZAROWANIE** 73
Sabina Kwak **PANORAMA XX WIEKU** 74
Krzysztof Karwat **ZAPOMNIANE MIASTO** 75
Bogdan Prejs **JO MÓM WÓNTY** 75
Izabella Mikrut **CODZIENNOŚĆ NIEZWYKŁA** 76
Ewa Chromik **KAPRAWE OCZY** 77
Bogdan Widera **NOTY O KSIĄŻKACH** 78
PODKOPKI 79
NOTATNIKI KULTURALNE
Wiesława Konopelska **KATOWICE** 90
Jan Picheta **BIELSKO** 92
Elżbieta Kot **CZĘSTOCHOWA** 93
Janusz Wójcik **OPOLE** 94
Jacek Sikora **ZAOLZIE** 95

W kolorze:
• www. zpaf. katowice. pl (str. A) • Stanisław Rodziński – malarstwo (str. B) • Tomasz Zakrzewski – fotografia (str. C) • Znaki i Twarze Miasta Katowice – Muzeum ul. Ligonia 29 (str. D)

Na okładce:
Pomnik katyński,
Plac Młodzieży Powstańczej
w Katowicach

Fotografia:
Zbigniew Sawicz

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH" S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.
www.ruch.com.pl

D-09/167/1
14.09.
5 zł
C 90454
351706 III

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

■ MOKRY początek wakacji. Godzina ulewnego deszczu i będzie po nas. Zaleje nas jak w 1997 roku – alarmują mieszkańcy Goczałkowic, gdzie wały już puściły. Meteorolodzy nie mają dobrych wiadomości – padać może do 5 lipca.

■ RUDA Śląska na czas kryzysu wprowadza specjalną Rudzką Kartę Rabatową, która zasięgiem ma objąć całe miasto. Jej posiadacze w wybranych punktach miasta będą mogli m.in. zjeść tańszy obiad, kupić z rabatem kwiaty, książki, biżuterię. Do współpracy zgłosiło się już 11 firm. Pomysł firmuje rudzki magistrat.

■ WANDALE regularnie pokrywają wulgarnymi napisami ściany zabytkowego dworca w Chebziu, który jest na Szlaku Zabytków Techniki. – Jeśli napisy nie znikną, dworzec zostanie skreślony ze szlaku – zapowiadają przedstawiciele urzędu marszałkowskiego.

■ KILKA milionów złotych ma kosztować remont dworca kolejowego w Będzinie. Wandale raczej go nie zniszczą, bo swoje biuro będzie miała tu straż miejska.

■ LICEALIŚCI z Zabrza przygotowali gazetę, w której opisują przemilczane wydarzenia z czasów nazizmu. Pierwszy egzemplarz dostała kanclerz Niemiec Angela Merkel. Pismo „Weisse Flecken", czyli „Białe Plamy", wydano w nakładzie 30 tys. egzemplarzy.

■ PIERWSZY w Polsce kiosk dla kierowców – KioskDnie działa od 3 VII w Tychach. Można tu kupić m.in. gazety, słodycze, napoje, bez wysiadania z samochodu.

■ OSADĘ znaną z kronik odkopano tuż obok romańskiego kościoła św. Jana Chrzciciela w Siewierzu, jednej z najstarszych świątyń w Polsce. Archeolodzy odkryli tam wczesnośredniowieczną osadę, której wcześniej bez skutku szukali.

■ OSTATNIA studencka stołówka w Katowicach przestała działać z końcem czerwca. Prowadząca ją firma twierdziła, że karmienie studentów jest nieopłacalne. USl. zapewnia, że zagospodaruje wolne pomieszczenia zgodnie z wolą studentów. A ci chcą... stołówki.

■ ZNANY francuski artysta Jean-Paul Ganeni przyjechał 6 VII na Śląsk. Chce tu stworzyć ogromny ogród, który stanie się kwitnącym obrazem. Bytom jest gotowy oddać mu teren wokół kopalni „Rozbark". To byłoby jedno z pierwszych takich dzieł sztuki nie tylko na Śląsku, ale i w Polsce.

■ PROFESOR Witold Babiński, nauczyciel akademicki Politechniki Śląskiej, wieloletni dyrektor Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach zmarł 28 czerwca w wieku 86 lat.

■ KATOWICE znalazły się na rządowej liście miast, w których odbędą się międzynarodowe konferencje podczas polskiej prezydencji Unii Europejskiej w 2011 roku.

■ POTĘŻNA ulewa, która przeszła nad lotniskiem 8 lipca w nocy, zalała w Pyrzowicach dwa terminale pasażerskie. W ciągu zaledwie 15 minut na metr kwadratowy ziemi spadły 24 litry wody. Nie ucierpiał żaden pasażer ani samolot.

■ ŚWIERKLANY są jedyną gminą w województwie, która sięgnęła po unijne pieniądze na komputery z dostępem do internetu. 50 rodzin przez 8 lat będzie mogło z nich korzystać za darmo.

■ BEZCENNE księgi będzie można oglądać w internecie XV-wieczne dokumenty króla Władysława II, czy listy Erazma z Rotterdamu, niebawem dotrą do domów. Wszystko dzięki Śląskiej Internetowej Bibliotece Zbiorów Zabytkowych, największemu wirtualnemu księgozbiorowi w Polsce.

■ UNIKALNA wieża ciśnień cała z metalu, osiedle górnice w stylu zakopiańskim, młyny wodne położone w sielskim pejzażu. To wszytko można znaleźć w Zagłębiu Dąbrowskim. Właśnie powstaje lokalny szlak zabytków techniki.

■ KATOWICCY kibice byli uradowani, gdy działacze GKS-u ogłosili, że znaleźli strategicznego sponsora dla klubu. Wielu z ich zrzedły jednak miny, gdy okazało się, że tajemniczym inwestorem jest oskarżony o wyłudzenie ponad 300 mln zł Józef J. Areszt katowicki opuścił w grudniu 2007 r za 3 mln zł kaucji.

■ DYREKTORSKA karuzela w szpitalu okulistycznym przy Ceglanej w Katowicach. Odeszła dyrektor Dorota Puka, po niej odeszła kolejna dyrektor Grażyna Leszczyńska, w końcu dyrektorem został Andrzej Drybański, dyrektor zabrzańskiego SK 1. Ale konflikt trwa.

■ BĘDZIE praca w Jastrzębiu! Na pustych jeszcze polach w Bziu wkrótce rozpocznie się budowa nowego szybu – pierwszego od 20 lat w górnictwie. Ten szyb to nadzieja na pracę dla tysięcy górników.

■ TRZY tygodnie minęły od powodzi na Podbeskidziu. Najwięcej szkód woda wyrządziła w Bestwinie i Kaniowie. Pomoc dla poszkodowanych spływa powoli. Datki na powodzian zbierano podczas mszy w niedzielę 12 lipca we wszystkich kościołach diecezji bielsko-żywieckiej. Zbiórkę organizuje także Caritas. Pomoc obiecał również rząd. Powiat bielski ma otrzymać 2 mln zł.

■ PRAWIE 20 ton węgla ukradziono w nocy z 11 na 12 VII z pociągu w pobliżu stacji kolejowej w Mysłowicach. Wysypany z wagonów węgiel zablokował jedyny czynny tor korytarza transportowego E30, łączącego m.in. Drezno, Wrocław, Katowice, Kraków i Lwów. Pociągi pasażerskie miały kilkudziesięciominutowe opóźnienia. Do kradzieży węgla i koksu z pociągów towarowych dochodzi na Śląsku praktycznie codziennie.

■ NASZ najlepszy koszykarz Marcin Gortat, którego zwą w NBA „polskim młotem", zagrał 16 VII na Śląsku w małej hali Spodka w niezwykłej drużynie. Poprowadził zespół dzieci z najbiedniejszych rodzin w Katowicach.

■ MIESZKAŃCY dwudziestu bloków przy ulicach Nastolatków i Licealnej w Świętochłowicach musieli 16 VII korzystać z łódek i pontonów. Rawa, która wylała w czasie nocnej burzy, zamieniła podwórza i aleje w jezioro. Szalejące burze dały się we znaki również mieszkańcom Katowic, Sosnowca, Gliwic, Zabrza, Jaworzna, Siemianowic Śląskich, Rudy Śląskiej i Raciborza. W wielu miejscach występowały lokalne podtopienia.

■ SEJM Rzeczypospolitej uczcił 16 lipca 70. rocznicę śmierci Wojciecha Korfantego. W specjalnej uchwale posłowie przypomnieli zasługi tego wielkiego Ślązaka dla naszego regionu oraz wyrazili nadzieję, że pamięć o Korfantym będzie trwać jako wzór dla kolejnych pokoleń.

■ MIMO apelu wojewody dyrektor Szpitala Klinicznego nr 5 w Katowicach wręczył 17 VII dr. Markowi Czekajowi zwolnienie dyscyplinarne za udział w proteście przeciw likwidacji części łóżek dla pacjentów z chorobami oczu. Pod wodzą dr. Czekaja powstało przy szpitalu „białe miasteczko" protestu.

■ ROZPOCZĄŁ się remont XIII-wiecznego (z 1231 roku) kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Bytomiu. Jedna z najstarszych świątyń na Górnym Śląsku wkrótce będzie zachwycać nową elewacją.

■ KATASTROFA w Siemianowicach Śląskich. 18 lipca w nocy pod jednym z bloków zapadła się część ulicy PCK. Pękły rury wodne i kanalizacyjne, rozszczelniła się instalacja gazowa. Ewakuowani mieszkańcy boją się wracać do domów. Ziemia zapadła się na 10 metrów szerokości i długości oraz 5 metrów głębokości. Przyczynami katastrofy szkody górnicze i intensywne deszcze.

■ PONAD tysiąc osób uczestniczyło 18 VII w Marszu Autonomii w Katowicach. Tłum przeszedł z pl. Wolności pod gmach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Skandowano okrzyki na rzecz autonomii Górnego Śląska. Przy okazji wybrano najgłupszą wypowiedź o Śląsku. Wygrał Jarosław Kaczyński wypowiedzią, że „kibice mogą czuć się bardziej Ślązakami niż Polakami, bo to środowiska, które łatwo zmobilizować i przekazać im tożsamość".

■ WOJEWÓDZKI Urząd Pracy otworzył punkt konsultacyjny dla osób, które tracą pracę. Już ponad 6 tysięcy osób w województwie śląskim straciło w tym roku pracę w ramach zwolnień grupowych. A prognozy nie napawają optymizmem.

■ SOSNOWIECKA Wyższa Szkoła Humanitas wymyśliła, jak poradzić sobie z wchodzącym na uczelnie niżem demograficznym. Kandydatów na studia szuka na Ukrainie i Białorusi, kusząc ich atrakcyjnymi bonusami.

■ SZLAK Architektury Modernistycznej województwa śląskiego mógłby być kolejnym – po Szlaku Zabytków Techniki – elementem promocji regionu. Czy będzie – nie wiadomo. Jest już gotowa lista kilkudziesięciu obiektów, które mogłyby go utworzyć, ale nie ma komu projektu realizować. Urząd marszałkowski nie jest nim zainteresowany.

■ PROFESOR Marian Zembala, wybitny kardiochirurg i szef Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu, otrzymał 21 VII ukraiński order „Za zasługi". Prezydent Wiktor Juszczenko uhonorował wkład prof. Zembali w rozwój kardiochirurgii na Ukrainie, a przez to także tworzenie dobrosąsiedzkich stosunków między Ukrainą i Polską.

■ PLAN „Ratujemy polskie szpitale" nie zadziała na Śląsku. Samorządy, które chcą swoje szpitale zamienić w spółki, nie dostaną od rządu pieniędzy.

■ WOJEWÓDZTWO śląskie zajmuje szóste miejsce pod względem wydawania unijnych pieniędzy. Według Ministerstwa Rozwoju Regionalnego w pierwszym półroczu 2009 r. najlepiej z unijnymi pieniędzmi poradziła sobie Wielkopolska (wydała 251 mln zł). Niżej są Małopolska (249 mln), woj. opolskie (87 mln zł). Śląskie z ponad 47 mln zł wyprzedzają jeszcze Świętokrzyskie i Kujawsko-Pomorskie.

■ PAŁAC Donnersmarcków w Nakle Śląskim doczeka się wreszcie remontu. Tarnogórskie starostwo chce w nim stworzyć Centrum Kultury Śląskiej oraz hotel. Zagwarantowane są już pieniądze na ten cel.

■ TŁUMY gości odwiedziły 26 VII Nikiszowiec. Okazją był odpust w miejscowej parafii, który w tym roku zyskał nadzwyczajną oprawę, bo mieszkańcy dzielnicy zadbali o liczne atrakcje. Był śląski obiad, występy orkiestr, zespołów folklorystycznych i artystów operetki, stragany ze słodyczami i gadżetami oraz przejażdżki rikszą. Na rynku zaś otwarto wreszcie Punkt Informacji Turystycznej.

■ ZIEMIA znów się zapadła. 28 lipca obok jednego z bloków przy ul. PCK w Siemianowicach Śląskich ponownie zapadły się ulica i chodnik. W tym samym miejscu, w którym robotnicy zasypali krater, który powstał kilkanaście dni temu.

■ DYREKTOR programowy TVS (Telewizja Silesia) Sławomir Zieliński odchodzi ze stanowiska. Miał dość spierania się z właścicielem stacji Arkadiuszem Hołdą o to, jaką robić telewizję.

■ REŻYSER, dziennikarz, działacz „Solidarności", pomysłodawca, twórca i długoletni szef Klubu im. Jana Kiepury w Sosnowcu Stanisław Olejniczak, zmarł 26 lipca.

■ POWSTAŁA koalicja „Kobiety dla Śląska". Założyły ją działaczki Partii Kobiet, Stowarzyszenia „Aktywne Kobiety" oraz regionalnych struktur Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych. Koalicja chce wspomóc kobiety startujące w przyszłorocznych wyborach samorządowych. Prezeską koalicji jest Halina Sobańska.

■ GOLEŃ dinozaura wykopana w Zawierciu! Ma pół metra długości i należała prawdopodobnie do dicynodonta. Przez wiele milionów lat spoczywała pod ziemią. Odkrył ją student geologii w trakcie wakacyjnych wykopalisk.

■ POWSTAJE pierwsze zagłębiowskie czasopismo naukowe o tematyce lokalnej. Będzie w nim można przeczytać nie tylko o sprawach Sosnowca i Dąbrowy Górniczej, ale także Warszawy, Kielc czy Irlandii. Lokalna polityka, historia, obyczajowość, ekonomia, media – wachlarz tematów poruszanych przez „Regionalne Studia Polityczne Humanitas" będzie szeroki.

KRONIKARZ

W kleszczach dwu dat

Te dwie daty: 1 i 17 września 1939 roku należą do najstraszniejszych w historii ludzkości stanowiąc początek II wojny światowej, najokrutniejszej i naznaczonej największą liczbą ofiar. Lecz przed jedną i drugą trzeba zawsze stawiać poprzedzającą je datę 23 sierpnia.

To wtedy doszło w Moskwie do podpisania w obecności Stalina paktu Ribbentrop-Mołotow, którego konsekwencją stała się nieuchronna wojna i czwarty rozbiór Polski, równoczesny z przekształceniem się tej dwustronnej, podstępnej napaści w konflikt o zasięgu europejskim a wkrótce i światowym. Jak potoczyłyby się agresywne, ujawnione z całą mocą zaborcze plany Hitlera, który dysponował już w tym czasie najsilniejszą armią świata, gdyby do podpisania i realizacji tego podstępnego paktu nie doszło, nie ma co rozważać. Faktem jest, że w pewnym momencie istotny wpływ mogła mieć na to Polska, skoro jeszcze wiosną 1939 III Rzesza ponawiała ofertę sojuszu zwróconego przeciw ZSRR, co kraj nasz konsekwentnie odrzucał. Następstwem takiego stanowiska stały się wkrótce prowokacyjne roszczenia terytorialne Hitlera, jednoznaczne z próbą podporządkowania sobie Polski.

To wtedy, 5 maja 1939 roku wygłosił w Sejmie słynne przemówienie minister spraw zagranicznych Józef Beck, odrzucając zdecydowanie żądania Hitlera, także jako odpowiedź na zerwanie układu polsko-niemieckiego z 1934 roku, do którego wielką wagę przywiązywał Józef Piłsudski. Szczególne wrażenie wywarły zdania, które przeszły w tym momencie do historii: Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcie pokoju za wszelką cenę... Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor.

Zdecydowane stanowisko polskiego rządu wykluczało ustępstwa, lecz nie oznaczało jeszcze nieuniknionej w najbliższym czasie wojny. Zresztą Polska zyskała oparcie w sojuszu z Anglią i Francją, gwarantującym ich reakcję wojskową w przypadku niemieckiej agresji, zaś oba kraje po zwycięstwie nad Niemcami w poprzedniej wojnie światowej uchodziły za mocarstwa, z którymi III Rzesza nie odważy się wejść w stan wojny. W tej sytuacji do napaści Niemiec na Polskę w roku 1939 dojść nie musiało, choć Auschluss, a więc wchłonięcie poddańczej Austrii, następnie zaś zagarnięcie Sudetów po podporządkowaniu Czech, stawiało Polskę na miejscu kolejnej ofiary skoro stała się ona na drodze do podboju ZSRR i ekspansji terytorialnej dla zdobycia nieograniczonego Lebensraumu. Napad na Polskę oraz jej podbój stał się dopiero realny i nieunikniony po zawarciu układu wojskowego z Sowietami, gwarantowanego paktem Ribbentrop-Mołotow, który wiązał ze sobą dwa zbrodnicze totalitaryzmy minionego wieku: rasizm i komunizm w wersji stalinowskiej. Od tej chwili reszta była już tylko sprawą podpalonego 23 sierpnia w konspiracji lontu.

To zdjęcie wielce usatysfakcjonowanej, tajemniczo uśmiechniętej trójki – wytwornego Joachima von Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych III Rzeszy i Wiaczesława Mołotowa – komisarza spraw zagranicznych ZSRR oraz stojącego pomiędzy nimi Józefa Stalina, nie musiało jeszcze nie oznaczać niczego więcej niż zawarcie zaskakującego dla światowej opinii układu politycznego pomiędzy oboma państwami, które podpisały oto porozumienie wbrew wcześniejszym reakcjom wrogości. Decydujące znaczenie miał jednak tajny aneks, w którym dokonano przyszłego podziału Polski z granicą wzdłuż linii Sanu, Narwi i Wisły, co oznaczało wchłonięcie przez ZSRR 51 proc. przedwojennego obszaru II Rzeczpospolitej. Niemcom przypadło niewiele mniej, bo ponad 188 tys. km kw., za to 60 proc. ludności. Teraz pozostało już tylko uruchomienie totalnych mocy blitzkriegu. I tak – używając słów Wiaczesława Mołotowa wypowiedzianych w październiku 1939 roku już po aneksji naszych ziem, Polska – ten „bękart pokraczny traktatu wersalskiego" miała zniknąć na zawsze.

Czy były szanse na realną obronę – a jeśli, to jakie? Wystarczy spojrzeć na mapę i położenie naszego kraju zdanego na obu potężnych, bezwzględnych sąsiadów, których armie zetkną się niedługo po pochłonięciu Polski. Tylko natychmiastowe uderzenie aliantów, którzy istotnie 3 września wypowiedzą Niemcom wojnę, mogło oddalić wyrok unicestwienia polskiego państwa. Najwięcej zależało w tych dniach od podjęcia ofensywy przez Francję, która – jak się okazało – dysponowała już aneksem o tajnym porozumieniu pomiędzy Hitlerem i Stalinem, bo w istocie to ich nazwiskami powinien być sygnowany ten pakt. Być może, że w tym przypadku, z zasady nielojalny i podstępny Stalin, nie wypełniłby skwapliwie zobowiązań, gdyby sytuacja nabrała niekorzystnego przebiegu na arenie wojny. Jeszcze wypatrywał, wyczekiwał. Ociągał się przed rzuceniem na Polskę Armii Czerwonej, pomny także doświadczeń wojny 1920 roku, która pozostawiła w nim trwały, wrogi antypolski uraz. Okazało się jednak, że Anglia i potężna Francja w tym momencie jeszcze przed mobilizacją z armią 900-tysięczną, lecz większą liczbą czołgów niż Niemcy, oba te kraje, które miały uderzyć na Niemcy w 15 dni po deklaracji przystąpienia do wojny, nie podjęły jednak żadnych działań.

A przecież Polska rzuciła do walki ponad milion żołnierzy; to prawda, że jako kraj biedny, słabo uzbrojonych, ale odznaczających się nadzwyczajnym męstwem, jakby na dowód słów ministra Becka – o miejscu honoru „w życiu ludzi, narodów i państw". Zgodnie z porozumieniem Polska miała przetrwać niemieckie uderzenie przez dwa tygodnie i to zadanie spełniła. W połowie września wojna nie była jeszcze rozstrzygnięta; jednak do wielkiej ofensywy francuskiej z udziałem brytyjskich sił ekspedycyjnych nie doszło a i nic jej nadal realnie nie zapowiadało. W tej sytuacji Stalin uruchomił napad na Polskę, by wchłonąć połowę jej ziem. Ta data: 17 września jest odtąd drugim członem rozpoczętej II wojny światowej, którą rozpoczął napad hitlerowskich Niemiec na Polskę 1 września o godzinie 4.40, gdy został zbombardowany bezbronny, przygraniczny Wieluń zaś w kilka minut później zaatakowane zostało Westerplatte – odtąd na zawsze symbol honoru, niezłomności i męstwa.

Co roku 1 września w rocznicę wybuchu tej najstraszniejszej z wojen w historii świata – ożywa i pojawia się to wymowne zdjęcie ukazujące wyłamywanie białoczerwonego szlabanu z orłem przez rozbawionych żołnierzy w mundurach Wehrmachtu, jakby to nie był początek okrutnej wojny, lecz złośliwy żart. Wyłaniał się również pancernik Schleswig-Holstein ostrzeliwujący Westerplatte całą mocą swych potężnych dział, nim podejmą zwielokrotnione ataki morskie pododdziały szturmowe, batalion SS oraz inne niemieckie formacje zbrojne wspierane przez lotnictwo. Lecz od 20 lat, odkąd stało się to możliwe, obrazy z dnia 1 września 1939 są dopełniane widokiem rozległego zagonu sowieckich czołgów sunących bez przeszkód w wieloczłonowych kolumnach. Wieńczą zaś te obrazy sceny radosnego spotkania żołnierzy z pięcioramienną gwiazdą na furażerkach z tymi w mundurach Wehrmachtu: świadectwo wypełnienia zadań podboju Polski i zawartego braterstwa broni.

Od tego czasu mija w tym roku 70. lat i niewielu już żyje czynnych uczestników tamtych wydarzeń – w Polsce około 10 procent jej obywateli urodzonych jeszcze przed wojną. Dlatego tak liczy się odnawianie i poszerzanie pamięci, w tym uświadamianie i przypominanie Europie i światu kiedy i gdzie rozpoczęła się ta najokrutniejsza z wojen w dziejach ludzkości, kto ją rozpętał i czym się kierował, co też spowodowała na politycznych mapach i w historii narodów.

Polska – pierwsza ofiara obu sprzymierzonych na tę okazję totalitarnych systemów – poniosła w tej wojnie największe straty, których do końca oszacować się nie da jeśli wziąć pod uwagę także bezmiar cierpień, upokorzeń i strat moralnych, których nie ogarnie żaden bilans. Według ostatnich ustaleń życie straciło około 5 milionów 680 tys. naszych obywateli. Do tej liczby trzeba dodać 150 tys. osób, które poniosły śmierć z rąk Sowietów. Trwałym kalectwem naznaczonych zostało blisko 600 tys. osób. Represje, aresztowania i wywózki objęły około miliona 800 tysięcy ofiar przesiedleń w strefie sowieckiej i 10 milionów w niemieckiej. Straty obejmujące obiekty i dobra kulturalne – to ponad 40 proc. przedwojennego stanu osiadania. Jednak największe ofiary Polska poniosła z powodu masowej eksterminacji swoich elit i kadr inteligencji. Rzec można, że innym narodem byliśmy przed wojną – innym w roku 1945, co na długo zaważyło na możliwościach i potencjale rozwojowym Polaków.

Sierpień i wrzesień tragicznego roku 1939 odznaczał się – podobnie jak tegoroczne lato – wyjątkowo piękną pogodą z bezchmurnym niebem. Pozwalało to prowadzić najeźdźcy nieprzerwane naloty i rozwijać pancerne natarcia, przy ograniczonych w tych warunkach możliwościach bojowych wspaniałej polskiej kawalerii. Państwo polskie, które pojawi się w 1945 roku na mapie, przez blisko pół wieku będzie zniewolone, podporządkowane politycznie i gospodarczo ZSRR. Nigdy nawet nie uświadomimy sobie jaka byłaby dziś tamta Polska, państwo suwerenne, z międzynarodowym autorytetem a w postępującym rozwoju gdyby nie tamta wojna.

Obchody 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej, które zgromadzą na Westerplatte przywódców państw z kilkudziesięciu krajów – w tym kanclerz Niemiec Angelę Merkel i premiera Władimira Putina – staną się wyjątkową okazją, by po tylu latach świat dowiedział się gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach doszło do wybuchu tej potwornej wojny, mając przy tym pełną świadomość, że dni 1 i 17 września poprzedzało zawarcie 23 sierpnia zbrodniczego paktu militarnego. A to, że dojdzie niebawem do wojny Sowietów z III Rzeszą było wynikiem nieuniknionej konfrontacji.

TADEUSZ KIJONKA

INSTYTUT BADAŃ NAD ŚLĄSKIEM – jaki ma być

Społeczna inicjatywa powołania takiej placówki naukowej – a już po raz czwarty – związana jest z miesięcznikiem „Śląsk", gdzie w numerze 150 w kwietniu 2008 r. ukazał się artykuł Tadeusza Kijonki pt. „Na politycznym stosie", przypominający dramatyczne losy Instytutu Śląskiego w Katowicach. Ta niezwykle ważna, o wysokim prestiżu i autorytecie naukowym instytucja, została utworzona w 1934 r. z Romanem Lutmanem na czele, dla którego stała się od początku misją życia. Już w lutym 1945 roku Instytut Śląski odrodził się w Katowicach znowu pod kierownictwem Romana Lutmana, zlikwidowany jednak w 1949 r. z nastaniem czasów stalinowskich. Do jego kolejnego powołania doszło już na październikowej fali odradzania się polskiego życia, gdy utworzony został po raz trzeci, już pod nową nazwą, jako Śląski Instytut Naukowy w Katowicach (ŚIN) ponieważ poprzednią przyjął zorganizowany od podstaw – znów przez Romana Lutmana – Instytut Śląski w Opolu, który działa do dziś. Lecz także ŚIN został zlikwidowany, tym razem nastąpiło to ostatecznie, w atmosferze politycznych konfrontacji w roku 1992. Od tego czasu minęło 17 lat z niepowetowanymi stratami i następstwami dla stanu badań śląskoznawczych.

Artykuł Tadeusza Kijonki sprowokował na łamach „Śląska" poważną dyskusję pod hasłem: „Instytut Śląski. Był i powstać musi!", w której zabrało głos wiele osobistości ze śląskiego świata nauki reprezentujących różne dyscypliny a zgodnie opowiadających się za reaktywowaniem od podstaw tej niezbędnej dla regionu placówki.

Datą przełomową dla tych starań stała się uchwała Sejmiku Województwa Śląskiego w sprawie utworzenia instytutu naukowo-badawczego zajmującego się problematyką śląskoznawczą, podjęta podczas otwartej sesji 21 kwietnia br., inaugurującej obchody Roku Wojciecha Korfantego, w co z wielką energią zaangażował się osobiście Marszałek Województwa Bogusław Śmigielski. Kolejnym ważnym etapem było ukonstytuowanie się Społecznego Komitetu ds. Powołania Instytutu Badań nad Śląskiem, który zawiązał się 26 maja br. Za swe najważniejsze zadania w tej fazie prac Komitet uznał opracowanie dokumentu programowego i projektu statutu Instytutu, które zostały już przekazane Marszałkowi Województwa. Pozwoli to uruchomić procedury prawne i organizacyjne oraz podjąć aktywne działania na szczeblu rządowym.

Zgodnie z wcześniejszymi postanowieniami i koncepcją programową powołania takiej placówki, Instytut Badań nad Śląskiem ma być „samodzielną państwową jednostką organizacyjną, działającą na podstawie ustawy z dnia 25 lipca 1985 r. o jednostkach badawczo-rozwojowych". Siedzibą instytutu będą Katowice. W części wstępnej projektu statutu – jako wiążący akt prawny stanie się nim po nadaniu przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego – czytamy:

„Misją Instytutu jest prowadzenie systematycznych interdyscyplinarnych badań nad przeszłością, teraźniejszością, przyszłością regionu w kontekście polskim i europejskim.

Instytut utrzymuje kontakty badawcze i kooperacyjne z uczelniami śląskimi, a także zagranicznymi instytucjami śląskoznawczymi – o charakterze transgranicznym.

Instytut upowszechnia swoje badania i programy poprzez sesje, konferencje, seminaria naukowe i popularno-naukowe o zasięgu ponadregionalnym, ogólnopolskim i międzynarodowym oraz własne wydawnictwa, w tym publikacje promujące region i popularyzujące wiedzę o Śląsku."

Dokument programowy precyzuje węzłowe problemy badawcze oraz obszar badań i prac rozwojowych, które zostały wpisane w ramy statutu, a obejmują:

Z zakresu historii:

– systematyczne badania nad przeszłością regionu, zwłaszcza z uwzględnieniem Śląska Górnego w aspekcie historycznym i współczesnym;

– pozyskiwanie i opracowanie archiwaliów dotyczących regionu: edycje fundamentalnych opracowań dla Śląska, słowników i encyklopedii, publikacje źródeł historycznych, popularyzacją rzetelnej, naukowej wiedzy o przeszłości regionu, wydawanie czasopism;

– badania nad historyczną rolą Śląska położonego w środku Europy w kontekście polskim i europejskim, nad wkładem Śląska i Ślązaków w kulturę europejską – Śląsk jako miejsce koegzystencji języków, kultur, religii;

– dzieje gospodarcze Górnego Śląska ze szczególnym uwzględnieniem procesów kolonizacyjnych, kryzysu końca XIV i XV wieku, procesów protoindustrializacji i industrializacji oraz ich następstw, wydarzenia determinujące losy Ślązaków w XX wieku;

– poszukiwanie nowych założeń metodologicznych dla interdyscyplinarnych badań odnoszących się do przeszłości regionu; organizowanie spotkań i konferencji naukowych.

Z zakresu badań nad społeczeństwem:

– przemiany struktur ludnościowych i procesów migracyjnych w XIX i XX wieku na Górnym Śląsku;

– przemiany współczesnej religijności, formowanie społeczeństwa obywatelskiego, kształtowanie postaw aktywności społecznej i przedsiębiorczości a także badania nad zjawiskami wykluczenia społecznego i stanem polityki socjalnej;

– zjawiska aktywności społeczności lokalnych – miejskich i wiejskich, procesy identyfikacji regionalnej i narodowej oraz komunikacji międzykulturowej w ramach państwa i wspólnot europejskich, procesy metropolizacji i suburbanizacji;

– rozwój kapitału intelektualnego, formowanie się społeczeństwa wiedzy o wysokich kompetencjach intelektualnych i zdolnościach innowacyjnych;

– kształtowanie elektronicznej przestrzeni informacyjnej i komunikacyjnej oraz aktywnych wzorów uczestnictwa w kulturze społeczeństwa sieciowego.

Z zakresu kultury:

– problemy przemian w kulturze i partycypacja kultury regionalnej w procesach globalizacyjnych, badania nad infrastrukturą i instytucjami kultury;

– badania nad środowiskami artystycznymi i kulturalnymi oraz dokumentowanie ich osiągnięć, badania tradycji oświatowych regionu i wzorów uczestnictwa w kulturze;

– propagowanie regionu jako środowiska o bogatych tradycjach kulturalnych, muzycznych, architektonicznych, plastycznych, literackich, filmowych oraz w zakresie folkloru;

– badania nad stanem języka i gwarami śląskimi; edycje podstawowych tekstów z piśmiennictwa śląskiego, przygotowanie opracowań dla edukacji regionalenj;

– badania nad centralizacją i policentarlizacją instytucji upowszechniania wiedzy i kultury.

Z zakresu gospodarki:

– badania nad restrukturyzacją tradycyjnych sektorów gospodarczych i budową innowacyjnych sektorów gospodarki opartej na wiedzy i kulturze;

– analizą procesów globalizacji gospodarki śląskiej, metropolizacji Górnośląskiego obszaru Metropolitalnego oraz kształtowania struktur aglomeracyjnych w wymiarze lokalnym i regionalnym dla osiągnięcia założonych korzyści;

– badanie poziomu konkurencyjności i atrakcyjności ekonomicznej Śląska oraz walorów regionu dla rozwoju wielkiego, małego i średniego biznesu;

– badania nad kształtowaniem się środowisk kreatywnych i innowacyjnych w regionie; studia nad rozwojem przedsiębiorczości biznesowej, publicznej i obywatelskiej;

– analiza procesów koncentracji i dyspersji przestrzennej procesów rozwojowych w regionie oraz procesów rewitalizacji miast i suburbanizacji stref zewnętrznych aglomeracji miejskich regionu.

Przewidziane są również badania z zakresu samorządu terytorialnego i gospodarczego nad:

– ewolucją systemu organizacyjno – prawnego samorządu terytorialnego i gospodarczego;

– instytucjami samorządu terytorialnego i gospodarczego;

– rolą samorządu w decentralizacji państwa;

– rolą organizacji pozarządowych w kształtowaniu i rozwoju regionu.

Inicjującymi strukturę rozwojową Instytutu Badań nad Śląskiem będą cztery zakłady o szerokim interdyscyplinarnym zakresie badawczym:

Zakład badań nad historią.
Zakład badań nad społeczeństwem.
Zakład badań nad kulturą.
Zakład badań nad gospodarką.

Rada Naukowa Instytutu złożona będzie z wybitnych przedstawicieli nie tylko macierzystych środowisk naukowych, osób o wysokim autorytecie, w tym także z innych ośrodków krajowych i zagranicznych.

Instytut Badań nad Śląskiem, który powstanie ma działać „jako sukcesor – w nawiązaniu do działalności i dorobku, trzech wcześniejszych placówek naukowych o tym profilu i programie badawczym, które istniały w latach 1934-1939, 1945-1949, 1957-1992 a uległy likwidacji w niesprzyjających warunkach historycznych i politycznych".

Teraz wszystko już zależy od naszej skuteczności i mobilizacji sił i środków w doprowadzeniu do realizacji tego ambitnego celu o historycznym znaczeniu dla Śląska. ■

Rozmowa z prezesem zarządu i dyrektorem generalnym Katowickiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Budus" S.A. inż. LEONEM UCKĄ



Foto: Zbigniew Sawicz

Mocno trzymają się ziemi

W tekstach dedykacji nagród i certyfikatów przyznanych „Budusowi" można znaleźć sformułowania, które są swoistą, bo przecież odnoszącą się do obszarów działań jakże konkretnych – poezją uznania. Znajdujemy tam takie m.in. określenia jak *Przejrzysta Firma* lub *Solidna firma* a także *Firma jest członkiem Busines Centre Club, organizacji przedsiębiorców założonej w 1991 roku, do której została zaproszona jako rzetelna i wiarygodna, przestrzegająca zasad etyki kupieckiej, akceptująca ZASADY KODEKSU HONOROWEGO.* Wśród najbardziej cenionych wyróżnień „Budus" może poszczycić się m.in. Wielką Nagrodą z Laurem Prezydenta Izby Budownictwa (2008 rok), Wielką Nagrodą Prezydenta Izby Budownictwa (2007 i 1999 rok), Medalem II Międzynarodowych Targów Budownictwa Drogowego „Autostrada-Polska", Tytułem „Budowa Roku 1993" dla inwestycji „Wodociąg Dziećkowice". W czym tkwi tajemnica trwania i stabilności firmy, która ze znanej jedynie starszym rocznikom katowickiej „przemysłówki" przeobraziła się, mimo zmian ustrojowych i ekonomicznych, w ogólnopolskiego giganta.

– Zacznijmy od historii i podstawowych informacji. „Budus" Spółka Akcyjna jest firmą specjalizującą się w świadczeniu kompleksowych usług budowlanych. Jej historia sięga 1951 roku kiedy to powstało Katowickie Przemysłowe Zjednoczenie Budowlane z siedzibą w Katowicach. Od tego momentu, pomimo ogromnych przemian zarówno społecznych jak i gospodarczych, nieprzerwanie prowadzimy naszą działalność przez prawie 60 lat. Staramy się przede wszystkim przestrzegać reguł rzetelności i fachowości Duży nacisk kładziemy na umiejętność dostosowania się do postępu technologicznego oraz skutecznego znalezienia się wobec poważnych wahań koniukturalnych na rynku budownictwa.

Możemy z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że przed ponad pół wieku istnienia znacząco wpisaliśmy się w historię budownictwa regionu śląskiego, ale też i innych obszarów kraju, przykładowo w Kobylnicy pod Słupskiem, Gdyni, Płocku, Krakowie, Opolu itp. Większość znaczących obiektów w naszym województwie powstała przy bezpośrednim udziale „Budusu". Należą do nich m.in. popularny „Spodek", Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, Stadion Śląski, Wojewódzka Komenda Policji w Katowicach, stacja uzdatniania wody w Dziećkowicach i Goczałkowicach i wiele innych.

– Dotyczą one w szczególności budownictwa handlowo-usługowego, biurowego, hotelowego i mieszkaniowego, sportowo-dydaktycznego, przemysłowego i ochraniającego środowisko. Proszę o wymienienie najciekawszych realizacji?

– Ot chociażby ostatnia – generalne wykonawstwo „Galerii Wisła" w Płocku. Inwestycja otrzymała tytuł Najlepszego Centrum Handlowego w kategorii Duże Centrum Handlowe w konkursie Shopping Center Awards 2009, budowa centrów handlowo-usługowych w Bielsku-Białej, Wrocławiu, Rybniku, Gliwicach, Łodzi, Szczecinie, Kaliszu, gdzie realizowaliśmy także obiekty handlowe dla Przedsiębiorstwa Meblowego „Agata" SA. Budujemy hotele – jak chociażby hotel „Diament" w Katowicach i Wrocławiu, osiedla mieszkaniowe – np. Wiktoria Hause I w Opolu, w Mikołowie Mokrym, Wiśle.

Z wielkim sentymentem wspominam też powstawanie nowoczesnego budynku dydaktyczno-hotelowego Akademii Ekonomicznej w Katowicach, Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. A z obiektów przemysłowych – leżakownię Tyskich Browarów Książęcych, Zakładu Produkcyjnego Wyrobów z Tworzyw Sztucznych w Dąbrowie Górniczej, linię ozonowania i węgla aktywowanego dla zakładu produkcji wody Goczałkowice czy też realizaję zadania pt. „Ochrona głównego zbiornika wód podziemnych 330 Gliwice poprzez unieszkodliwienie odpadów wraz z rekultywacją terenów skażonych Zakładów Chemicznych w Tarnowskich Górach".

– W tym niestabilnym świecie, szczególnie teraz zagrożonym kryzysem musicie dysponować kompetentną, doświadczoną załogą...

– Zatrudniamy na stałe 650 pracowników, lecz tylko część prac wykonujemy, że tak powiem, własnymi rękami. Dajemy pracę okresowo 2 tys. ludzi. Ta stała załoga dawała bardzo często dowody na duże emocjonalne utożsamianie się z firmą. Pozwoliło to nam przetrwać najtrudniejsze okresy. Uważam, że mimo rozwoju nawet najbardziej skomplikowanych i nowoczesnych technologii o trwaniu firmy w dobrej kondycji, mimo wielu trudności i nie zawsze od nas zależnych komplikacji, decydują ludzie, ich chęć działania na rzecz sukcesu. Zaangażowanie i kompetencje tworzą jakość, która ostatecznie decyduje o pozyskaniu Klienta, a więc praktycznie o najbliższej przyszłości. Mimo kryzysu – nasi ludzie mogą spać spokojnie.

– Należy pan do szefów, chyba nielicznych, tak długo związanych z jedną firmą. Rozpoczął pan pracę w „Budusie" jako bardzo młody człowiek...

– Zacząłem w 1976 roku po studiach. Budowaliśmy wtedy fabrykę domów w Panewnikach. Do dzisiaj pozostał mi sentyment do tamtej inwestycji. Od siedemnastu lat szefuję. Osobiście uważam. że długotrwałe związanie się z jednym przedsiębiorstwem ma więcej zalet niż wad, bo taki układ tworzy więź emocjonalną, która jest nie do przecenienia. Przeżyłem osobiście wszelkie wzloty i upadki, odczuwam każde drgnienie naszej firmowej codzienności. Cenię ludzi z którymi pracuję i którzy mnie nie zawodzą. To są bardzo pozytywne emocje. W planowaniu przyszłości jestem optymistą – mam nadzieję, że rok bieżący zakończymy dobrym wynikiem finansowym, uzyskując dalsze zlecenia zapewniające stabilizację i rozwój.

– Co pan czuje, gdy nawet po wielu latach widzi pan obiekty, które powstały dzięki „Budusowi".

– Radość, że trwają, są, służą ludziom. Mocno trzymają się ziemi. I wtedy myślę, że wybrałem najpiękniejszy zawód na świecie.

– Dziękuję za rozmowę.

IRENA FALKIN-SIBIGA

Z PIOTREM USZOKIEM, prezydentem Katowic,
rozmawia MACIEJ M. SZCZAWIŃSKI



Foto: Zbigniew Sawicz

Wizje i konkrety

– Panie prezydencie, Katowice chcą być Europejską Stolica Kultury. Na mieście aż huczy od komentarzy.

– Jakich?

– Cała skala emocji. Od ironii, przez niedowierzanie, sceptycyzm po entuzjazm. Jak by nie patrzeć decyzja jest śmiała.

– Dwa lata temu byłem w Toruniu i nie ukrywam, że właśnie tam po raz pierwszy zetknąłem się z tym pomysłem. Toruń podjął ideę, ja cały czas myślałem o Katowicach. Im dłużej myślałem – tym więcej oczywiście wątpliwości. Nowoczesne technologie, wizja nowego przemysłu, to mogły by być nasze atuty. Ale kultura? Pomysł jawił się raczej szokująco i musiałem się z nim oswoić. Ale później, kiedy analizowałem kryteria oceny ubiegających się o ów tytuł, obraz sprawy zmienił się zasadniczo. Nie chodzi bowiem o dorobek minionych epok i pokoleń, w kontekście konkursu doprowadziłoby to do absurdu, ale o jakość i dynamikę zmian od momentu przydzielenia zaszczytnego tytułu danemu miastu. I wtedy zrozumiałem jakie otwierają się możliwości. Przecież przed nami lata zupełnie wyjątkowych inwestycji w infrastrukturę kulturalną. Rzecz w historii miasta bez precedensu, coś co zapewne szybko się nie powtórzy: nowa siedziba i sala koncertowa NOSPR, Muzeum Śląskie, Centrum Kongresowe, znaczące inwestycje w Akademii Sztuk Pięknych i Akademii Muzycznej, Wydział Radia i Telewizji... To są realizacje na blisko miliard złotych! W Katowicach nastąpi radykalna zmiana infrastruktury kulturalnej.

– W tę materię trzeba jednak tchnąć ducha.

– Kiedy mowa o „duchu", to ja w pierwszej kolejności mam na myśli znakomite osobistości świata kultury. One powinny być zaczynem wydarzeń na skalę europejską. Ale uświadamiam też sobie natychmiast, że bez pociągnięcia za tym pomysłem ludzi, bez zmiany oblicza kulturalnego znacznej części lokalnej społeczności będzie to arcytrudne. Wręcz niewykonalne. Wiem, łatwo się mówi, ale musimy uwierzyć, że to jest możliwe. Nasz potencjał i artystyczny i ludzki jest znaczący. I dodam jeszcze, co w ustach realisty zabrzmi może zaskakująco, że w sytuacjach takich jak ta trzeba też koniecznie mierzyć siły na zamiary...

Rozmawiałem niedawno na ten temat z profesorem Tadeuszem Sławkiem. Zgodziliśmy się natychmiast: sprawą kluczową będzie przekonanie ludzi, że warto zrobić wszystko bez względu na ostateczny wynik naszych wysiłków i starań, by Europejska Stolica Kultury miała herb Katowic. To, co osiągniemy, zmienimy i zbudujemy pozostanie tutaj jako wartość. Zatem ludzie, ludzie i jeszcze raz ludzie. Przecież nie można myśleć wyłącznie kategorią potężnych wydarzeń artystycznych i prezentacji znamienitych osobistości. To przecież nie byłoby w końcu takie trudne, można je w końcu sprowadzić. Chodzi o ludzki wymiar kultury: bytowania, słowa, sposobów i form reakcji.

– Ale to jest Panie Prezydencie, praca dla pokoleń, a my mamy – jak dobrze pójdzie – lat niespełna siedem.

– A co by pan proponował na moim miejscu w sytuacji takiej, jak ta przed którą stanęliśmy? Mój maksymalizm wynika paradoksalnie ze zdroworozsądkowego, pragmatycznego podejścia. Jeżeli ma się udać, jeżeli miasto i mieszkańcy mają odnieść z tej „gry" konkretną korzyść to nieśmiałe półkroki daleko nie zaprowadzą. Najgorsze byłoby w tej chwili tradycyjne mnożenie tysięcznych wątpliwości i cała ta pełna kompleksów inercja. Zabójczo groźna, bo zaszczepia niemożność. Klasyczna sytuacja „jeszcze nie wstał, już poległ...".

Gwarancji rzecz jasna nie mamy żadnych. Nikt ich nie ma. Ale potencjał i możliwości wielkie. Europejskie miasto przemysłowe, stolica industrialnej aglomeracji tracąca z wolna górniczo-hutniczą tożsamość, cały dotychczasowy swój kręgosłup; miejsce podlegające przepotężnym impulsom i przekształceniom chce dzisiaj swoją tożsamość mocno zakotwiczyć na gruncie sztuki i kultury. To działa na wyobraźnię! To jest argument i jednocześnie konkret o symbolicznym znaczeniu. W końcu wielkie inwestycje z tej dziedziny powstaną na terenie i z wykorzystaniem starej industrialnej zabudowy byłej kopalni „Katowice". W samym centrum miasta!

– Jakie są pańskie odczucia i refleksje po ostatnich spotkaniach z mieszkańcami Katowic? W kontekście tego co zostało powiedziane ich nastroje są bardzo istotne.

– W niektórych dzielnicach, nie będę ich tu wymieniał, społeczność jeszcze do niedawna była totalnie uśpiona. Pod względem aktywności po prostu letarg. Rzecz najgorsza jaka może być, nie tylko dla władz, ale dla samego życia w mieście. Ale ostatnio zaczęły mocno działać różne grupy wsparcia w ramach instytucji miejskich. Włączyły się energicznie media. I nagle przebudzenie, ludzie zaczęli nie tylko przychodzić, ale wręcz oczekiwać spotkań; bardzo precyzyjnie dostrzegają ułomności życia, ale też dokładnie wiedzą co zrobiono nowego, co zrobiono dobrze, czego brak, jasno artykułują oczekiwania i ambicje.

– Czyli jest to możliwe również w sferze kultury i kulturalnego życia?

– Sam prezydent tego nie zrobi. Potrzebne będzie wsparcie wielu osób, głównie ze świata kultury i sztuki, żeby nawiązać szeroki i autentyczny dialog. Ja muszę stwarzać warunki i tak będę czynił. Ale powtarzam, sami nie zrobię nic.

– W naszych staraniach o miano Europejskiej Stolicy Kultury znaczącą rolę może odegrać poparcie luminarzy sztuki o światowym autorytecie i niewygasłych związkach ze Śląskiem. Wielu spośród nich nie kryło i nie kryje zaufania do pańskiej osoby...

– To jest moje naprawdę fantastyczne doświadczenie. W pewnych sytuacjach przychodzę do tych środowisk „po prośbie" i zawsze jest reakcja. Życzliwa. Liczę na nią i tym razem. Zaufanie wynika z konkretu wspólnych doświadczeń. Na przykład sprawa Akademii Sztuk Pięknych. To słynna inicjatywa powołania w końcu samodzielnej

uczelni. Rektor Kliś borykał się długo z naprawdę gigantycznymi problemami, mnie nie trzeba było przekonywać, że tu konieczne jest silne wsparcie władz miasta. I że trzeba też wyasygnować konkretne środki, by ASP mogła stanąć na nogi. Tak się stało. Albo zapukał do moich drzwi Rektor Akademii Muzycznej. Dla mnie to było oczywiste, że skoro są tak sprzyjające warunki, bo w dzieło włącza się Minister Kultury i Marszałek Województwa, to zbrodnią byłoby nie włączyć się w dofinansowanie rozbudowy Akademii. *Nota bene* rektor ode mnie rozpoczął. Albo Biblioteka Uniwersytecka. Przekazałem nieruchomość pod budowę tego obiektu, w budżecie miasta zabezpieczono prawie 10 milionów złotych na realizację inwestycji – i to jest właśnie dobrze, jak sądzę, rozumiana funkcja pomocnicza prezydenta. Trzeba dostrzegać i w miarę szybko wspomagać takie inicjatywy i potrzeby. Ale inicjatywa, znowu chcę to podkreślić, musi być zawsze po drugiej stronie. My mamy pomóc i ewentualnie poszukać innych podmiotów wspierających.

– Panie prezydencie, wracając do naszych kulturalno-europejskich aspiracji: wrzesień jest miesiącem ważnych decyzji Rady Miasta Katowice.

– Pewne rzeczy już wcześniej, zgodnie ze swoimi kompetencjami, podpisałem sam. Przede wszystkim przygotowując założenia do budżetu na przyszły rok. W sytuacji bardzo trudnej finansowo wpisałem inicjatywę ubiegania się o tytuł ESK, bo to musi się naturalnie wiązać z większymi nakładami i zielonym światłem na tej drodze. Kluczową sprawą była jednak sesja Rady Miasta 11 września, na której zapadły dwie ważne decyzje. Przede wszystkim Rada przyjęła tę inicjatywę jako swoją, podjęła uchwałę o ubieganiu się Katowic o tytuł ESK i zaakceptowała działania zmierzające do tego, aby na terenach po byłej kopalni „Katowice" powstał Teatr Wielki Opery i Baletu!

Kiedyś pańska koleżanka z Polskiego Radia, red. Ewa Niewiadomska zagadnęła mnie w trakcie „Interpretacji" jakie są moje marzenia. Z reguły nie lubię o tym mówić. Chodzę mocno po ziemi, obawiam się, że upubliczniając marzenia mogę wszystko zapeszyć. Ale wtedy pozwoliłem sobie na trochę więcej otwartości i powiedziałem bez wahania: moim marzeniem jest Teatr Opery i Baletu w Katowicach! Ale jak to w moim przypadku często bywa, marzyłem stojąc mocno na ziemi. Czyli dobrze wiedząc, że to nie jest start od zera, że po latach ciężkich zabiegów mamy wreszcie teren, na którym obiekt może stanąć, że jest koncepcja „teatr na terenie po KWK „Katowice", że podjęliśmy uchwałę o planie zagospodarowania w który będzie ten obiekt wpisany, że podjęto konkretne działania, by Teatr Wielki Opery i Baletu wpisać do strategii Rozwoju Województwa Śląskiego. Przy czym proszę mnie dobrze zrozumieć, to nie jest sprawa do zamknięcia w kadencji 2010-2014. Natomiast już w jej trakcie powinien zostać przeprowadzony konkurs architektoniczny, opracowany projekt budowlany i wykonawczy, żeby z początkiem roku 2015 można było rozpocząć inwestycję po uzyskaniu wsparcia Unii Europejskiej.

– Mimo wszystko „na mieście" da się słyszeć komentarze typu *Uszok zwolnił*...

– Proszę pana, taki odbiór jest odbiorem absolutnie obiektywnym. Bo Uszok istotnie zwolnił jeśli patrzeć przez pryzmat tego, co dzieje się fizycznie w mieście. Tymczasem ostatnie trzy lata to jest czas konkretnej, wymiernej i bardzo intensywnej pracy. Wcześniej rozstrzygaliśmy konkursy. To jest zawsze spektakularne, medialne, o tym jest głośno i robi się szum. Ale po konkursach trzeba podpisywać umowy i wykonywać prace projektowe. Dzisiaj pozwolenie na budowę Muzeum Śląskiego jest praktycznie gotowe. To oczywiście inwestycja Marszałka, ale przy znacznym udziale miasta. Dalej – Międzynarodowe Centrum Kongresowe; pozwolenie budowlane będzie gotowe w listopadzie tego roku, podobnie z pozwoleniem budowy nowej siedziby NOSPR. Później projekty wykonawcze i gotowość ogłoszenia przetargu, czyli czerwiec przyszłego roku. Nie chcę zanudzać sprawami procedur, ale tak to w praktyce wygląda. Droga nie jest prosta i co więcej, jak się patrzy z zewnątrz, nic nie widać. Poza tym ja nie mogę traktować spraw wybiórczo i oddzielnie. Świetnie rozumiem niecierpliwość, która wynika z bardzo przecież pozytywnego apetytu na kulturę, sztukę, na metropolitalny rozmach Katowic. Mnie na tego typu społecznych „głodach" zależy. Ale jednocześnie muszę patrzeć na wszystko kompleksowo, inaczej nic się nie uda. Na przykład żeby na miejscu kopalni „Katowice" powstała baza kulturalnych Katowic – nowa „Kopalnia Kultury" – potrzebny jest, bagatela!, nowy układ komunikacyjny. Taki drobiazg za 70 mln złotych!... – Co najmniej, nie licząc przekładek linii wysokiego napięcia. No i odcinek Rynek – Rondo. Dochodzą mnie różne gorzkie słowa, pytania czemu to się ślimaczy. Zatem konkrety: praktycznie dzisiaj, kiedy rozmawiamy, upływa termin zgłaszania protestów w procesie wyboru projektanta strefy Rondo – Rynek. Już w grudniu, najpóźniej w styczniu, pochylimy się nad bardzo detalicznymi rozwiązaniami całej tej przestrzeni, a potem czeka nas zaraz gorąca dyskusja, bo ten odcinek co zrozumiałe, zawsze dyskusje wywołuje i rozpłomienia emocje. Trzeba przez to przejść, żeby w końcu przyszłego roku były gotowe projekty budowlane i wykonawcze. Czyli żebyśmy najpóźniej w 2011 roku weszli na place budów. Trzeba, powtarzam, przejść przez naprawdę skomplikowane procedury wykonać wiele specjalistycznych opracowań. Mam świadomość zmęczenia, zniecierpliwienia, ale tego się nie uniknie, bo po prostu nie ma innej drogi na tym „torze przeszkód". Na szczęście finiszujemy. I wszystkich zapewniam: nie spaliśmy ani przez chwilę. To była i jest porządna, uczciwa praca. Niektóre rzeczy można było, być może, przyspieszyć o kilka miesięcy. Ale tak jak w życiu nie wszystko człowiek przewidzi i czasem coś się zatnie.

– Jak by pan zatem generalnie ocenił proces zaawansowania zmian w mieście?

– Generalnie wszystko idzie do przodu. Chyba pan nie wątpi, że osobiście chciałbym wejść na place budowy jak najszybciej, najlepiej w pierwszej połowie przyszłego roku. To byłby pewnie wielki sukces, nawet wyborczy. Ale trzeba być realistą i wszystko, zwłaszcza przy tej skali zadań, robić uczciwie i porządnie, a nie przez pryzmat początku czy końca kadencji.

– Dzisiaj żeby zdobyć poparcie trzeba dbać o kreowanie wizerunku. Dobry „piar" to połowa sukcesu. Co pan robi w tej materii?

– Zdaje się, że niewiele. To może cecha charakteru, także pewnej „estetyki", którą wyznaję. Puder, maski, ta cała konfekcja środków upiększających rzeczywistość najczęściej ma jedno imię: manipulacja. I prędzej czy później się złuszczy. A wtedy na wierzch wychodzi wiadomo co.

...W prasie, chociaż mówić by należało o konkretnych tytułach, czego nie zrobię, czytam od czasu do czasu na swój temat teksty polemiczne, nieraz zaczepne. Nie obrażam się. Ktoś kto chce być osobą publiczną musi przyjąć, że takie są reguły tej gry, nie tylko w Katowicach czy w Polsce. Moje założenie generalne to działać długofalowo, bez zrywów na oślep po krótkotrwały efekt.

– Na różnego rodzaju ataki, czasem nawet brutalne, pan z reguły się reaguje.

– Na większości spotkań z udziałem różnych środowisk, również dziennikarzy i osób o silnie spolaryzowanych poglądach jestem świadkiem rzetelności i otwartości. To jest naprawdę budujące, bo gdy dochodzi do wymiany konkretnych argumentów, demagogia i małostkowość prawie zawsze znikają. A jeśli nawet czasem pojawiają się wypowiedzi czy materiały nierzetelne, „nie do końca odzwierciedlające prawdę", no to cóż. Osoba publiczna musi być przygotowana na takie ciosy. Nie ma innego wyjścia, trzeba dalej robić swoje, a nie użalać się na niezrozumienie czy niewdzięczność. Poza tym społeczeństwo dzisiaj jest już na tyle doświadczone i wyedukowane, że nie zawsze przyznaje rację nawet najbardziej sugestywnym dziennikarskim wywodom.

– Słyszałem, jak zarzucano panu, że nie jest pan wizjonerem. Że pańskie działania to takie śląskie trzymanie się wyłącznie konkretów, „odtąd dotąd", bez uskrzydlających gestów, słów... Nie sądzi pan, że wyobraźnia katowiczan potrzebuje jeszcze i takiego impulsu?

– Wizje bez pokrycia niewiele kosztują. Słowami też można żonglować i sporo już takich magików wdzieliśmy. Tylko że potem pozostaje najczęściej rozczarowanie, złość, a w końcu rzecz najgorsza: zobojętnienie. Proszę zatem raz jeszcze posłuchać „wizji" pragmatyka, czyż nie jest, właśnie swoim konkretem, „uskrzydlająca? Otóż mimo kryzysu, mimo trudnej sytuacji ani na moment nie odstępujemy od przygotowań przebudowy centrum. Czyli mówiąc precyzyjnie nie tylko odcinka Rondo – Rynek, ale także terenu po kopalni „Katowice", dalszej modernizacji kwartału Dworcowa – Mariacka, dworca PKP... a będzie to kosztować grubo ponad miliard złotych. W tej chwili w Urzędzie Miasta pracujemy nad tymi projektami bardzo intensywnie, żeby wszystko dopiąć finansowo. Nie ukrywam, że prowadzę też rozmowy z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym; musiałem jednak wydać zarządzenie, w którym określam, że priorytetem są inwestycje w centrum Katowic. Czyli może to się odbyć kosztem prac w miejscach od centrum oddalonych, ale musi być zrobione właśnie tak i w takiej kolejności. Gdy tylko skoordynujemy całość finansowo, to proszę mi wierzyć – tak jak lata 1998-2006 były rewolucją w układzie komunikacyjnym, tak lata 2006-2015 (celowo mówię 2006) to będzie rewolucja w obszarze centrum miasta i obszarze mentalności. Wykreowanie nie tylko instytucji, ale także wydarzeń i zjawisk kulturalnych. I to jest to na czym zależy mi w tej chwili najbardziej. Czemu się całkowicie poświęcam. Powiedziałem „od 2006 roku", bo od tego czasu trwają ciągle pilne prace nad tymi naprawdę dużymi projektami. Jeszcze w tym roku mamy mieć większość pozwoleń budowlanych, w przyszłym projekty wykonawcze, przetargi i wejścia na place budów. Trzeba więc liczyć te 5-6 lat, żeby wszystko zostało uczciwie i solidnie wykonane.

TADEUSZ KIJONKA wiersze czasu wojny

W CZERNI I BIELI

Feliksowi Netzowi
poecie z rocznika 1939

Ta wojna co rok dalsza jak zblakłe zdjęcia i film
W niemej w czerni i bieli, gdy ubywa świadków,
Jakże się postarzała, bo i kto ją pamięta,
Zrywa się w śnie i woła zapętlony w pościel
Jak w przydrożne tarniny gdy sieką na oślep
Nurkujące myśliwce... Boże, znikąd pomocy,
Gdzie paść, skryć się, gdy słońce bezlitosne września
Wyda wszystkich, co z ziemią chcą się zrosnąć żywi
Na ściernіskach, gdzieś w chaszczach, w bruzdach kartofliska.
Znów uchodźcy pokotem lgną twarzą do ziemi,
Gdy suną zwały ognia, rzężą cielska czołgów:
Nie, nie!... kto krzyczy we śnie gdzieś przed egzekucją
I znów co noc się moczy, kto woła o pomoc,
W zagruzowanych domach, kto przywarł do ciała
Martwej matki i kwili, gdy ssie zimną pierś...

Coraz starsza ta wojna – jak najstarsi z nich
Dożywający zaćmy oczu i pamięci.
Już jak nogi się plączą daty i zdarzenia.
Co szuflada zmurszała – spiekłe fotografie
Wypadają na oślep. A gdzie, kogo pytać
O kufry i kartony wydarte z pożogi
Zasznurowane dotąd, gdy choć raz się wspiąć
Po omacku na strychy niczyich kamienic.
A mogą dopaść zwoje taśm celuloidu:

Sprężynujące grozą głuche kadry filmu
Jak serie z automatu w pościgu do końca
I ciała porzucone – co spojrzeć w bezwzględnej
Skali czerni i bieli techniki zapisu
Czasów i barw tamtej wojny od pierwszego dnia.

Tyle lat, kto pamięta, kto rozpozna siebie
Co kadr filmu i zdjęcia? Czy to dziecko – to ja?
A ta kobieta w rowie przydrożnym bez ruchu?
A tamten kikut domu i gniazdo bocianie
Wypalone na zawsze? Widać, że pies wyje,
Bo eskadra zawraca, wznoszą ręce piety –
Czarne, nieme madonny broczące czarną krwią,
Jak wrząca smoła czarną: czerń i biel, czerń i biel...
Co zdjęcie, niema scena uchwycona w ruchu
A jak ze snu wyrwana, nim kamera z rąk
Wypadła komuś w biegu.
Kim był ten, co nigdy
Nie ujrzy tego filmu z lawiny blitzkriegu,
Gdy sam na sam dygotał po ostatni kadr
Masakry ciał w kolorze – w barwach żywej wojny
Naocznie, stąd to drżenie ostatnich obrazów:
Tyraliery ściętej w boju na bagnety,
I szarży kawalerii w gejzerach eksplozji
Łańcuchowych – na dowód: biało-czarny dowód...

I tak już pozostanie, po zerwany sen
Ostatniego z bezbronnych świadków, noc po nocy.

CO WRZESIEŃ

...I jeszcze ostatnia kula dla siebie, co wrzesień
Niedopłakany dotąd – a ileż łez rozpaczy
Już spłynęło rzekami co wzbierają jak szloch
Gdy zardzawi się wrzesień po grząskie brzegi krwią.
Rzek, które nie zawrócą odcięte żywcem po kres
Od ciała tego kraju, jak nogi i ramiona
Co imię: Niemen, Prypeć, Wilia, Seret, Dniestr...
Kto nie zachował kuli ostatniej dla siebie
Z lufą w ustach, przy skroni, pomiędzy oczami,
Musiał pozostać świadkiem bezbronnym do końca
Nim zapadły się armie, bo żadna nie wróci
W marszu do swoich koszar, jak nie odnajdą dróg
Do zagrabionych domów ludzie, psy i gołębie.

Stąd te wołania zewsząd, co wrzesień – ten ból
Gdy jątrzą się odłamki w ciałach, co zarosły
Po eksplozjach i tętnią jak pamięć żołnierzy
W oblężeniu do końca, co pokład tej ziemi
Polskiego roku głębiej a z nimi pospołu
Nabita broń, sztandary i krzyże walecznych.

NIEŚMIERTELNIKI

Nie pomylić z kwiatami – te mogą być wieczne,
A zasuszone żywych barw nie tracą;
Suchokwiaty w rozkwicie uprawiane chętnie
Na bukiety zimowe, bądź wiązanki nagrobne,
Kocanki pełne słońca i żarliwych barw
(patrz: Helichrysum bracteatum, Xeranthemum).

Nie pomylić z kwiatami, choć nazwa ta sama;
Bo nic bardziej mylnego niż cynkowe blaszki,
Żołnierskie medaliki noszone na szyi,
Z numerem ewidencji na obu połówkach.
Otóż po przełamaniu jedną część na dowód
Osadzano na drucie w rejestrze poległych,
Część drugą martwy żołnierz miał odtąd na zawsze.

Milion żołnierzy rzuconych w ten wrzesień na śmierć –
A co nieśmiertelnik w marszu: na front, na front, na front...
Kto gdzie zginął, gdzie przepadł, kogo zamęczono,
Kto do końca zachował nieśmiertelnik męstwa,
A kto w ostatniej chwili zerwał go by przeżyć –
Tego nikt nie ustali w ewidencji tej wojny.

Tak jak się już nie złożą przełamane części
Nieśmiertelników polskich –
Żołnierz za żołnierzem.

BRZEŹNIAKI

Zwiewne brzózki z roczników
wczesnej niepodległości:
roku 18-tego, 19-tego, 1920,
z tych i lat następnych –
wyśnionej generacji
wolności i nadziei,
jak wystrzeliły z ziemi
w tamte zwycięskie wiosny,
aby wzrosnąć i wzbić się
rocznik za rocznikiem.

Hej, uskrzydlone brzeźniaki,
gaje samosiejki
na pobojowiskach żyznych
po wieku krwi i męczeństwa;
co roku w umajonych pochodach
i na apelach pamięci.
Lecz czy kto przeczuł, że znowu
wypełnią się słowa przyrzeczeń
dziecięcych wart honorowych
na wierność do ostatka?

Brzeźniaki rosłe i zwarte
z generacji niepodległości –
rówieśnice „Zośki"
i Szarych Szeregów,
kto jednak mógł przewidzieć
na jaką wam wzróść przyjdzie chwałę.

Co brzoza ścięta na krzyż
i reduta szturmowych grup,
brzeźniak za brzeźniakiem
pokotem wybity do pnia –
przed ukrzyżowaniem.

RÓŻANIEC

Ślepe, bezimienne kule,
co przeszły do historii –
z imieniem Krzysztofa Baczyńskiego,
z imieniem Tadeusza Gajcego,
Krystyny Krahelskiej,
Andrzeja Trzebińskiego,
Józefa Ryszki (Szczepon)
i setek tysięcy poległych.

Bezimienne, jak wyborowi snajperzy,
i plutony egzekucyjne co dnia,
by wykonać ślepo
wyroki bez wyroku.

Nikt nie doliczy się kul
i bezimiennych mogił.

Jak paciorki różańca
przesuwają się w naszych palcach
bezimienne, śmiertelne kule.

Różańca, co nie ma końca.

EGZEKUCJA

Katowice, 4 września 1939

Jak na tym zdjęciu
co roku tego dnia
idą na śmierć pod eskortą
z uniesionymi rękami.

Ten starszy pan w okularach
z odchylonym krawatem –
to Edmund Baranowski,
adwokat z Hajduk Wielkich.
Za nim dwaj w białych koszulach
rozpoznani na zawsze –
ten wątły w pumpach na szelkach,
to harcerz Władek Pierończyk
i druh Łukaszewski Leon,
on też nie w harcerskim mundurze.



W głębi następni mężczyźni
bez sądu i wyroku;
czy wiedzą dokąd ich wiodą –
choć może tego nie czują,
ale co twarz już ze spiżu.

Rzędem pomiędzy szynami,
równym marszowym krokiem
kroczą na tle kamienic
główną ulicą miasta.

Czy im nie ciążą ręce
uniesione nad głową,
jakby na znak zwycięstwa
rozpostarte do lotu.

Kto zrobił wtedy to zdjęcie,
by dać świadectwo prawdzie,
i bezimiennej odwagi –
już nigdy nikt nie ustali.

Za chwilę w prażącym słońcu
znów dojdą pod eskortą
na to podwórze nad Rawą,
jak wcześniej i później tędy
prowadzeni na śmierć.

Choć nie ma już tamtego
wieloboku kamienic,
a wszystkie okna zamknięte
pozostaną na zawsze,
dziś znowu staną pod ścianą
z oczami na wprost luf –
nieustraszeni do końca.

Jak wtedy – w dniach bez świadków,
gdy nikt nic nie widział, nie słyszał,
czy też zapomniał na rozkaz.

Ta cisza nim ktoś wykrzyknie
to samo –
Jeszcze Polska…

Lecz także dziś nie dokończy,
bo znów ta trzykrotna salwa
i dobijanie martwych.

Na dowód, że nie zginęła,
osuną się znowu ciała
w egzekucji kolejnej,
tu i nie tylko w tym miejscu.
Aby co roku ożyć
pod błękitnym trójkątem nieba –
jak okiem opatrzności
pomiędzy czarnymi dachami.

Losy rodziny Wojciecha Korfantego

BARBARA SZMATLOCH

Ocalili tylko wspomnienia



Synowa Wojciecha Korfantego Eugenia z bliźniętami Wojciechem i Feliksem. Zakopane 1937 r.

Swoim dzieciom często powtarzał: „Polska to wielka Rzecz". Wystąpienia na wiecach rozpoczynał od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Z tym pozdrowieniem naszych ojców przychodzę do was, kochani bracia i siostry". Przeciwnicy polityczni bali się go jak ognia. Gdy 24 października 1922 r. w Górnych Łaziskach przemawiał na wiecu Bloku Narodowego, po chwili rozległa się komenda przywódcy socjalistycznej bojówki: „Nie pozwólcie mu mówić, bo nam wszystkich ludzi zahipnotyzuje".

Wojciech Korfanty był politykiem, który miał decydujący wpływ na losy Śląska, a przez to i Polski. I choć postrzegany jest głównie jako polski komisarz plebiscytowy i dyktator III powstania śląskiego, powinien zostać zapamiętany jako ten, który zabrał Górny Śląsk Niemcom i dał go Polsce.

Ale był też człowiekiem, który miał decydujący wpływ na losy całej swojej rodziny. Nie tylko za życia, ale, jak się okazało, także po swojej śmierci. To przecież z powodu jego działalności narodowej i politycznej ci, których kochał najbardziej, stracili wszystko – nie tylko majątki, ale też dach nad głową. Ich plany i nadzieje legły w gruzach. Z dala od bliskich i kraju musieli zaczynać nowe życie. I choć poznałam prawie wszystkich żyjących potomków Wojciecha Korfantego, nigdy od żadnego z nich nie usłyszałam ani jednego słowa skargi.

W opracowaniach poświęconych Wojciechowi Korfantemu możemy przeczytać o najtrudniejszych momentach w jego życiu. Jedni wymieniają pobyt w twierdzy brzeskiej, drudzy chorobę syna Witolda i niemożność przyjazdu do kraju na jego pogrzeb. Jeszcze inni chwilę podpisania wydanego przez sąd polowy wyroku śmierci na osądzonym powstańcu. Ale co do jednego wszyscy są zgodni – najszczęśliwszym momentem w życiu Wojciecha Korfantego był dzień 20 czerwca 1922 r. gdy stanął na czele delegacji witającej polskie wojsko podczas uroczystego przyłączenia części Górnego Śląska do Macierzy. Czy było warto, dla tej jednej chwili, poświęcić całe swoje życie? Odpowiedzią mogą być słowa, jakie Wojciech Korfanty powiedział do udzie-

lającego mu 16 sierpnia 1939 r. ostatniego namaszczenia ks. Marcela Nowakowskiego: „Zabieram ze sobą na tamten świat dwa wspomnienia. Jedno dobre – tym jest Śląsk, drugie złe – to jest Brześć".

Początek końca

– My nie ocaliliśmy niczego oprócz wspomnień. Nasza tragedia rozpoczęła się wraz ze śmiercią dziadka – wspomina wnuk Wojciecha Korfantego, Feliks Korfanty. Do większości mieszkańców Katowic wieść o śmierci Wojciecha Korfantego dotarła 18 sierpnia 1939 r. za pośrednictwem „Polonii" (choć już poprzedniego dnia wieczorem niektórzy przeczytali o tym tragicznym wydarzeniu w 2-stronicowym wydaniu specjalnym). W czwartek 17 sierpnia o godz. 11 w Warszawie miała miejsce eksportacja zwłok Wojciecha Korfantego z lecznicy św. Józefa. Trumna, okryta purpurowym płaszczem goździków, przy dźwiękach dzwonów, przeniesiona została do kościoła Zbawiciela. Gdy zgasły światła, w asyście rodziny i najbliższych przyjaciół, nastąpiło zdjęcie maski pośmiertnej. Następnego dnia odprawiono nabożeństwo żałobne. Z kościoła kondukt poprowadził ks. biskup Józef Gawlina. Za trumną szła żona Elżbieta w otoczeniu rodziny. Ok. godz. 13 trumna została umieszczona w samochodzie-karawanie. Wtedy tłum wypełniający plac Zbawiciela wzniósł w górę dłonie oddając w milczeniu cześć Zmarłemu. Słowami „Roty" Warszawa żegnała wielkiego Ślązaka.

Wieczorem 18 sierpnia w Katowicach przy ul. Powstańców 41 zaczęły gromadzić się tłumy. Jednak dopiero o godz. 22.45 podjechał karawan. Trumnę wniesiono do domu żałoby. W urządzonej tam kaplicy przedpogrzebowej, na katafalku, w dwóch trumnach – metalowej i dębowej, złożono ciało Wojciecha Korfantego. Zapalono świece. Zaciągnięto wartę honorową. Ludzie oddawali hołd i wpisywali się do ksiąg kondolencyjnych. – Ksiąg kondolencyjnych było więcej. Na pewno dwie lub trzy w domu. Dzień pogrzebu był ładny, ogonki stały w paru miejscach w ogrodzie, a my, dzieci, goniliśmy od jednej do drugiej by każdą podpisać. Dla nas to była zabawa. Niestety, nie wiem, co się z nimi stało. Jeśli były w domu na Powstańców, to pewnie Niemcy je wywieźli, bo podstawili wozy meblowe zaraz po wkroczeniu do Katowic i wszystko zabrali – wspomina wnuczka Wojciecha Korfantego Maria Rupp.

Potwierdza to relacja Zofii Zagórowskiej, siostry synowej Wojciecha Korfantego, Eugenii. Gdy w połowie września 1939 r. przechodziła ulicą Powstańców, zauważyła stojące przed willą wielkie ciężarówki. Z domu wynoszono meble i jakieś skrzynie. Zapytała więc jednego z żołnierzy, gdzie to wywożą. Odpowiedział, że do Berlina i zaraz ją stamtąd przegonił.

Jeszcze razem

Gdy 20 sierpnia 1939 r. o godz. 16. rozwało się głośne bicie dzwonów we wszystkich katowickich kościołach, komendanci warty honorowej wynosili z domu żałoby trumnę z ciałem Wojciecha Korfantego. Nieśli ją na trasie konduktu członkowie „Sokoła", hallerczycy. Narodowi Powstańcy, górnicy i rolnicy w strojach regionalnych. Może już wtedy zdawali sobie sprawę, że uczestniczą nie tylko w pogrzebie wielkiego człowieka, ale też w ostatniej polskiej manifestacji przed zbliżającą się niemiecką agresją. Bo uroczystość ta nie przypominała żadnego innego pochówku na Śląsku. Gdy czoło konduktu, mimo kilkukilometrowej trasy, dochodziło do cmentarza przy ul. Francuskiej, trumna znajdowała się jeszcze w kościele katedralnym św. św. Piotra i Pawła.

Za trumną szła rodzina. Po raz ostatni razem. Najpierw żona Elżbieta z synem Zbigniewem. Za nimi synowa Eugenia (niespełna trzyletnie bliźnięta Wojciech i Feliks pod opieką niani stały z boku) z bratem Zmarłego Janem. Za nimi córka Halżka Rupp (wdowa po płk. Rudolfie Ruppie, d-cy 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, a potem 12. Pułku Ułanów Podolskich, zmarłym w 1938 r. w Krakowie na uremię) ze swymi córkami Teresą i Marią. Dalej druga córka Wojciecha Korfantego – Maria Ullmann z mężem Tadeuszem i synem Wojciechem. Tylko najbliższa rodzina kroczyła trójkami. Zaraz za nią, całą szerokością ulicy, przelewał się 50-tysięczny tłum. Wzdłuż całej trasy, zbitym szpalerem, ustawiły się niezliczone rzesze Ślązaków którzy chcieli oddać ostatni hołd Zmarłemu.

Wśród żałobników nie było brata Wojciecha Korfantego Andrzeja (1879-1973), działacza narodowego z Siemianowic, uczestnika wiecu wyborczego „Centrum" w Hucie Laura, podczas którego doszło do rozruchów. Skazany na kilkumiesięczne więzienie, po odbyciu kary wyemigrował na drugą półkulę. Osiadł w Kanadzie, gdzie najpierw pracował w kopalni, a następnie w hotelu Mount Royal w Montrealu. Ożenił się z Kanadyjką francuskiego pochodzenia. Miał troje dzieci – syna Tadeusza Henryka, który podczas II wojny światowej służył w kanadyjskiej marynarce i walczył z Niemcami oraz córki Karolinę i Marię Weronikę. Ostatnie zdjęcie jego rodziny, które zachowało się w zbiorach Eugenii Korfantowej, pochodzi z ok. 1960 r.

Po pogrzebie zostało trochę zdjęć, relacje w „Polonii" i „Gościu Niedzielnym", bo dla prasy sanacyjnej było to wydarzenie wzmianki niegodne. Wrogowie Wojciecha Korfantego mało że nie zdobyli się na gest uczestniczenia w jego pogrzebie (wojewoda Michał Grażyński wyjechał na krótki wypoczynek w Beskidy), to zlecili włamanie do mieszkania i kancelarii adwokackiej jego syna Zbigniewa. – Bezpośrednio po pogrzebie znalazłem się w dość licznym towarzystwie w mieszkaniu mojej siostry Marii i jej męża Kazimierza Kończaka. Był wśród nas nadkomisarz policji Stanisław Brodniewicz, który odebrał telefon od Zbigniewa Korfantego z zawiadomieniem, że w jego mieszkaniu przy ul. 3 Maja (pod numerem 10 na II piętrze) było włamanie. Brodniewicz zamówił samochód i zaproponował mi, żebym też pojechał do mieszkania Zbigniewa, na co przystałem. Na miejscu zastaliśmy tylko bonę do dzieci oraz bliźnięta, które leżały w łóżeczkach. Nie zauważyliśmy żadnych śladów świadczących o celach rabunkowych włamania. Jedynie drzwiczki w biurku Zbigniewa były wyłamane, a półki puste. Jak się okazało, przechowywano tam dokumenty mające służyć do rehabilitacji Wojciecha Korfantego. Dokumenty znikły i zapewne już nigdy nie zostaną odnalezione – wspomina Czesław Rymer, syn zmarłego przedwcześnie pierwszego wojewody śląskiego Józefa Rymera.



Żona Wojciecha Korfantego – Elżbieta. Londyn okres II wojny światowej.

Ucieczka donikąd

Rodzina Wojciecha Korfantego, jak wszyscy, zdawała sobie sprawę, że wojna może wybuchnąć w każdej chwili, a wtedy Niemcy będą szukać zemsty na najbliższych tego, który zabrał im Górny Śląsk. Podjęto więc decyzję o opuszczeniu Katowic. Dzień po pogrzebie Elżbieta

Korfantowa, jej córka Maria Ullmann z synem, córki Halżki Rupp Teresa i Maria oraz synowa Eugenia z bliźniętami wyjechali do Warszawy. Syn Zbigniew i córka Halżka, która po śmierci męża pisała do gazety teksty i redagowała materiały przeznaczone dla kobiet i dzieci, zostali w Katowicach i jeszcze przez kilka dni, do 2 września, wydawali „Polonię". Wyjechali w chwili, gdy do miasta wkraczało niemieckie wojsko.

Z rodziną spotkali się w Miedzeszynie i 7 września postanowili wyjechać na Wschód. Jechali trzema samochodami – ciężarówką i dwoma osobowymi (jedno z aut to czarny jaguar z czerwoną, skórzaną tapicerką i białą kierownicą, którym przedtem jeździł zmarły w 1938 r. syn Wojciecha Korfantego Witold). Pod Dubnem spotkali usiłującego przedostać się do Francji gen. Władysława Sikorskiego.

Rozdzielili się, Zbigniew Korfanty i Tadeusz Ullmann dotarli do Lwowa, gdzie zaraz zostali aresztowani przez NKWD. Zdołali jednak uciec i przedrzeć się na Węgry, a stamtąd do Francji. Chcieli, za namową gen. Sikorskiego, wstąpić do mającego tam powstać polskiego wojska.

Kobietom i dzieciom udało się dotrzeć w okolice Równego, gdzie 17 września dostali się w ręce bolszewików. Zamieszkali w leśniczówce i przez 6 tygodni, w ogromnej niepewności, nachodzeni przez żołnierzy i wspomagani przez okolicznych mieszkańców, czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Zdezorientowani, w listopadzie postanowili wrócić do Warszawy. Ale nie mieli czym. bo samochody, by nie dostały się w ręce Rosjan, zatopili w rzece. Po kładce przechodzili przez Bug na niemiecką stronę a potem, przez 3 dni, towarowymi pociągami jechali do Warszawy.

Po drodze drżeli przy każdej kontroli dokumentów i zdawali sobie sprawę, że potrzebne są im nowe i pewne papiery. – Moja matka miała jeszcze przedwojenny paszport. Ale pozwolenie na wyjazd trzeba było załatwiać w miejscu stałego zamieszkania, czyli w Katowicach. Urzędnik wydający zezwolenie zorientował się, dla kogo je wydaje. Ona była w Warszawie i sama tego nie załatwiała. Na szczęście, niczego nie zdradził – wspomina córka Halżki Rupp, Maria. Przedostali się do Krakowa, a stamtąd do Wiednia – najpierw Maria Ullmannowa z synem, potem Halżka Ruppowa z córkami i matką. Na końcu Eugenia Korfantowa, która miała paszport dostarczony przez podziemie i włoską wizę. Za łapówkę jakiś kolejarz zamknął ją w przedziale. Bo pociąg jechał przez Katowice, a tam ktoś mógł żonę Zbigniewa Korfantego rozpoznać. Bardzo się denerwowała, bo ludzie zwracali uwagę na jej synów. Dopiero później uświadomiła sobie, że to za sprawą pięknych, zakopiańskich kożuszków w które byli ubrani.



Córka Wojciecha Korfantego – Halżka. Londyn, okres II wojny światowej. (Zdjęcie wykonał fotograf „Polonii" Datka).

O chlebie i wodzie

Ale w Wiedniu też już nie byli bezpieczni i trzeba było uciekać dalej. Pociągami pojechali najpierw do Rzymu, a następnie do Paryża. Z grupą rodzin członków rządu zamieszkali w majątku pod Angers. Jednak Niemcy podążali za nimi krok w krok i po zajęciu przez nich Francji trzeba było uchodzić dalej. Wtedy spotkali się ze Zbigniewem Korfantym, który uciekał z Wojskiem Polskim.

Towarowym statkiem belgijskim, o szklance wody i kromce chleba dziennie, płynęli z Arcachon do Liverpoolu. Podróż trwała 10 dni i była bardzo niebezpieczna z powodu zagrożenia ze strony łodzi podwodnych. – Podobną łodzią, w grupie urzędników rządu, płynęła moja matka – wspomina Maria Rupp. W Anglii skierowano ich do obozu, a następnie, z pomocą polskiego konsulatu, zamieszkali w hotelu w Londynie. Wtedy dowiedzieli się, że żony polskich generałów wraz z dziećmi zostaną wywiezione „Batorym" do Kanady. Nie wahali się ani chwili, byle jak najdalej uciec od Niemców! tak Eugenia Korfantowa z synami Wojciechem i Feliksem, Maria Ullmannowa z synem Wojciechem oraz córki Halżki Rupp – Teresa i Maria znaleźli się w Montrealu. Najpierw zamieszkali w klasztorze, potem wynajęli mieszkanie. Przeżyli straszną epidemię grypy. Chorowali wszyscy, a 3-letni syn Eugenii i Zbigniewa Korfantych Wojtek dwukrotnie. Został zabrany do szpitala, gdzie nie potrafił się z nikim porozumieć, bo mówił tylko po polsku. Cudem został wyleczony. Później udało im się odszukać brata Wojciecha Korfantego, Andrzeja.

W polskim konsulacie w Nowym Jorku pracował wówczas Stanisław Sławik, przyjaciel nieżyjącego już Witolda Korfantego. Za jego namową pani Eugenia z dziećmi wyjechała w 1942 r. do Nowego Jorku. Wtedy w Ameryce, na krótko, spotkała się z mężem Zbigniewem, który został wysłany do Wirginii na przeszkolenie oficerskie.

Elżbieta Korfantowa całą okupację przebywała w Londynie. Była członkiem Rady Narodowej przy Rządzie Polskim na Obczyźnie, gdzie reprezentowała Górny Śląsk. Przeżyła bombardowanie miasta nocując w piwnicach. W Londynie pozostała także jej córka Halżka Ruppowa i w konsulacie RP, aż do chwili jego zamknięcia, zajmowała się opieką społeczną.

Gdy wojna się skończyła, wdowa po Wojciechu Korfantym – Elżbieta, jej syn Zbigniew i córka Halżka byli w Anglii. Synowa Eugenia z bliźniętami, córka Maria Ullmann z synem Wojciechem oraz córki Halżki Rupp Teresa i Maria przebywali w Ameryce.

Brat Wojciecha Korfantego, Jan – działacz narodowy, aresztowany za udział w wiecu wyborczym w 1903 r., członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i Polskiej Rady Ludowej, współzałożyciel struktur Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska w Siemianowicach, pracownik Polskiego Komisariatu Plebiscytowego, uczestnik powstań śląskich, działacz ruchu śpiewaczego, został aresztowany w połowie września 1939 r. przez gestapo i osadzony w obozach w Buchenwaldzie i Oświęcimiu. Zmarł w grudniu 1947 r.

Jego żona Wiktoria z Rzychoniów, nazywana polską królową, która podczas okupacji działała w konspiracji, została aresztowana i zamordowana w Oświęcimiu w 1943 r.

Rozrzuceni po świecie

Do kraju wróciła tylko żona Wojciecha Korfantego, Elżbieta. – Mimo błagań rodziny, posłuchała pana Mikołajczyka, który twierdził, że jej obowiązkiem jest wrócić do wolnej Polski. W 1945 r., z siostrą wojskowym transportem wracałyśmy z Nowego Jorku do Londynu, by ją powstrzymać. Rodzina uważała, że więcej zdziała dla sprawy polskiej pozostając w Anglii. Niestety, uparta jak dziadek w 1939 r., nie posłuchała – mówi jej wnuczka Maria Rupp.

Elżbieta Korfantowa zamieszkała razem ze swoimi siostrami Julianną Golusową i Otylią Lewandowiczową w Katowi-

cach przy ul. Szafranka 9 (dziś mieści się tam Muzeum Historii Katowic). Przebywała też u swego brata Pawła Sprotta. Gdy wróciła, teoretycznie miała majątek, ale praktycznie żadnych pieniędzy i była na utrzymaniu rodziny. Potem, za sprawą prof. Karola Estreichera, dostała rentę specjalną. Żyła spokojnie i bezbarwnie. nie angażując się w politykę. Mało kto nawet wiedział, że wróciła do kraju. Stworzyła sobie swój mały świat zamknięty w kręgu rodziny i kawiarnianych przyjaciółek. Często widywano ją też podczas nabożeństw w kościele Mariackim. Do końca wierna, lojalna i dumna. Półtora roku przed śmiercią złamała nogę i odtąd jeździła na wózku inwalidzkim. Zmarła 8 stycznia 1966 r. Miała wylew krwi do mózgu. Pochowana została w grobie męża.

Jej córka Halżka Rupp po wojnie została w Anglii. I choć studiowała kiedyś polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, zajęła się szyciem. W 1954 r. wyemigrowała do USA. W Bostonie otwarła salon mody w którym szyła piękne sukienki i garsonki. Wyszła za mąż za rtm. Konstantego Kozłowskiego, który był redaktorem bostońskiej „Gazety Polskiej". Oboje należeli do polskiego związku społeczno-kulturalnego Sarmacja. Często gościli u siebie profesorów i studentów z Polski (Sarmację rozwiązano w latach 60). Rtm. Kozłowski zmarł w listopadzie 1968 r. – Matka zawsze bardzo interesowała się tym, co dzieje się w kraju. Odwiedziła babcię w Polsce w 1963 r. Była też na uroczystościach zorganizowanych z okazji 50. rocznicy śmierci Wojciecha Korfantego. Długo chorowała. Zmarła w Bostonie w 1990 r. na raka – opowiada jej córka Maria Rupp.

Natomiast córki Halżki Rupp-Kozłowskiej Teresa i Maria w 1945 r., wojskowym transportem przypłynęły z Ameryki do matki w Anglii. Po trzech latach Teresa wyszła za mąż. Potem wyemigrowała do Australii. Do Anglii wróciła w 1958 r., by po roku przenieść się do Nowego Jorku, gdzie mieszka do dziś. Pracowała jako pielęgniarka. Teraz jest na emeryturze. Ma czworo dzieci: synów Marka i Johna oraz córki Antonię i Martę. Obie córki pracują. Antonia mieszka w Pensylwanii i zajmuje się ochroną środowiska, a Marta jest nauczycielką w Nowym Jorku. Wnuczka Wojciecha Korfantego zajmuje się teraz swoimi wnukami, a ma ich sześcioro. Mieszka z synem Johnem, który jest artystą malarzem. Kraju po wojnie nie odwiedziła ani razu. – Chcę zachować obraz takiej Polski, jaką zapamiętałam – odpowiada.

Jej młodsza siostra Maria Rupp skończyła w Anglii studia i w czerwcu 1959 r. wróciła do USA. Zamieszkała w Bostonie i pracowała jako architekt. Zawód ten wykonuje do dziś. Po raz pierwszy przyjechała do Polski w 1968 r. i od tego czasu często odwiedza kraj. W r. 1999 brała udział w uroczystości odsłonięcia pomnika swego dziadka i przywiozła ze sobą wnuka swej siostry Teresy, Zacharego Zawiszę. Pani Maria bardzo dobrze mówi i pisze po polsku. Sporo wie o swym dziadku, l choć nie posiada żadnych oryginalnych dokumentów czy pamiątek, skrzętnie gromadzi wszystkie informacje na jego temat.

Tęsknota i polski dom

Druga córka Wojciecha Korfantego. Maria Ullmannowa, w czasie okupacji przebywała najpierw w Kanadzie, a potem wyjechała do Nowego Jorku i tam już została. Choć ukończyła Wyższą Szkołę Nauk Społecznych w Warszawie, nigdy nie pracowała zawodowo. Przez cały czas działała społecznie na rzecz Polski. Najpierw w Montrealu, potem w Nowym Jorku, m.in. w samopomocy związku inżynierów. Bardzo interesowała się polityką. Nigdy nie przebolała klęski Polski. Do kraju po raz pierwszy przyjechała w 1961 r. by odwiedzić matkę. Owdowiała w 1975 r. Pamiątki rodzinne i obrazy w testamencie przekazała do Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach. Zmarła 6 października 1996 r. na rozedmę płuc. Przeżyła swego syna Wojciecha, który zmarł w 1987 r. w wieku 53 lat.

Jednak najokrutniej los obszedł się z synem Wojciecha Korfantego, Zbigniewem. Po kapitulacji Francji został ewakuowany z Wojskiem Polskim do Anglii. Stacjonował w Szkocji. W 1944 r., jako oficer łącznikowy WP, brał udział w oswobodzeniu Francji. Koniec wojny zastał go w Anglii. Mieszkał u swojej siostry Halżki w Londynie. Myślał, że po klęsce Niemiec ściągnie do Europy żonę i synów i razem wrócą do Polski. Czekał. Ale to była już inna Polska. W 1949 r. wsiadł więc na statek płynący do Nowego Jorku by wreszcie być razem z rodziną. – Zamieszkaliśmy w Nowym Jorku, a ojciec walczył o Polskę w szeregach armii gen. Sikorskiego. Po wojnie bardzo chciał wrócić do swojej ojczyzny, ale było to niemożliwe. Gdy przypłynął do Ameryki, został fałszywie oskarżony o współpracę z komunistami i osadzony na Ellis Island. Zwolniono go dopiero po interwencji Stanisława Mikołajczyka. To był bardzo trudny okres. Musieliśmy nauczyć się żyć w Ameryce. Bratu i mnie było łatwiej, ale rodzice nie pogodzili się nigdy z przymusową emigracją – opowiada syn Zbigniewa i Eugenii, Feliks Korfanty.

Gdy Zbigniew Korfanty dołączył do rodziny, miał 44 lata. Nie byto w nim już jednak ani energii, ani zapału. I choć znał dobrze język angielski, był adwokatem, znalazł zatrudnienie na stacji benzynowej. Pracował ponad siły, w morderczym upale. W 1953 r. rodzina Korfantych przeniosła się do Teksasu. Zamieszkali w Dallas i Zbigniew znalazł zajęcie w warsztacie samochodowym. Ciężko pracował, ale głową rodziny była pani Eugenia. Przygasł. zamknął się w sobie. Potem przyszła choroba serca i depresja. W 1970 r. jego serce nie wytrzymało. Zmarł nagle 18 lipca. Nie miał amerykańskiego obywatelstwa i nigdy już Polski nie zobaczył. Pochowany został na cmentarzu w Dallas.

Po jego śmierci żona Eugenia przeprowadziła się do dwupokojowego mieszkania i utrzymywała się z emerytury. Wśród starych, wysłużonych mebli, na ścianach powiesiła medale męża. W Polsce po raz pierwszy była w roku 1968, gdy mąż jeszcze żył. Potem przyjeżdżała jeszcze kilkakrotnie, także z synami. Ostatni raz odwiedziła swe mieszkające w Katowicach siostry w 1997 r. Bycie Korfantową nie dało jej nigdy żadnych profitów. Ale nie było w niej goryczy, nie wyczuwało się żalu, choć powtarzała, że dzieje całej rodziny to grecka tragedia. Życie ją zahartowało. Myślami zawsze była z Polską. Kiedyś zapytała mnie, czy podoba mi się Ameryka i czy mogłabym tam żyć. Odpowiedziałam, że tak. A wtedy ona, z wielkim wzburzeniem zawołała: „A gdzie pani patriotyzm!". Przez 25 lat pracowała u Polaków Janiny i Stanisława Sławików w administracji ich polskiej restauracji w Dallas. Była skarbnikiem Samopomocy Polaków w Teksasie. Mimo że doskonale znała obce języki, do synów zawsze mówiła tylko po polsku, starała się stworzyć polski dom. Zmarła w Dallas w 2006 r. na chorobę nowotworową.

Powrót do korzeni

Synowie Eugenii i Zbigniewa Korfantych, Wojciech i Feliks, by zdobyć wykształcenie, zostali zawodowymi żołnierzami. A że nie mogli liczyć na żadne kieszonkowe od rodziców, musieli radzić sobie sami. – Jeden z kolegów oddawał krew i otrzymywał za to naprawdę spore pieniądze. Więc też poszliśmy oddać krew. Ale wypłacono nam grosze. Bo okazało się, że kolega miał bardzo rzadką grupę krwi, a nasza była bardzo popularna – wspomina Feliks Korfanty. Podczas wojny w Wietnamie latał samolotami, które w powietrzu zaopatrywały w paliwo bojowe maszyny. Stacjonował też na Filipinach, w Anglii, Hiszpanii i Maroku. Potem pracował w firmie elektronicznej. Teraz jest na emeryturze. Kiedyś brał udział w maratonach, a teraz biega rekreacyjnie, jeździ na nartach i rowerze, poluje. I wreszcie ma czas, by częściej wracać do miejsca swego urodzenia. – Gdy tylko jest jakaś okazja by odwiedzić Katowice, nie zastanawiam się ani sekundy. Wyjechałem stąd kiedy miałem niespełna trzy lata. To, że mówię po polsku, zawdzięczam mojej mamie. Zresztą jak jestem tutaj, wydaje mi się niestosowne, by rozmawiać po angielsku. Tu są korzenie mojej rodziny – mówi. Swego dziadka nie pamięta. ale zna doskonale z opowiadań matki. – Podkreślała, że był wspaniałym ojcem i wielkim człowiekiem. Ale rodzice zawsze dobrze mówią o swoich przodkach, więc nie przywiązywałem do tego wagi. Dopiero gdy przyjechałem do Polski, gdzie i ulica i pociąg nosiły nasze nazwisko, zrozumiałem, że jestem wnukiem kogoś niezwykłego – wspomina Feliks Korfanty.

W Polsce po raz pierwszy był z matką w 1989 r. z okazji 50. rocznicy śmierci Wojciecha Korfantego. W czerwcu 1997 r. odebrał na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach insygnia Orderu Orła Białego, którym dyktator III powstania śląskiego został odznaczony pośmiertnie. Było to jedyne odznaczenie przyznane Wojciechowi Korfantemu.

W domu Feliksa Korfantego (po śmierci matki przeprowadził się z Bedford do San Antonio) wiszą zdjęcia i plakaty poświęcone dziadkowi. Przybywa ich po każdym pobycie w Polsce. W 2003 r. przyjechał, by pobiec w XI Biegu Ulicznym im. Wojciecha Korfantego (między pomnikami w Katowicach i Siemianowicach). – Od kiedy dowiedziałem się o tym biegu, chciałem przyjechać do Katowic i stanąć



Syn – Zbigniew. Wielka Brytania 1943 r.

na starcie. Ale zawsze kolidowało to z moją pracą. Gdy przeszedłem na emeryturę, od razu zacząłem planować swój przyjazd. Chciałem razem z innymi zawodnikami oddać hołd pamięci mojego dziadka i dobiec do mety – powiedział Feliks Korfanty. Jego syn Christopher mieszka w Bedford i pracuje w wydawnictwie prasowym. W Polsce był w 2003 r. i też wziął udział w Biegu Korfantego. Córka Feliksa Korfantego, Felicia Janina mieszka w Oklahomie i pracuje w biurze adwokackim. Odwiedziła Polskę kilkakrotnie. Ma syna Brandona, który był w Polsce na uroczystościach odsłonięcia pomnika prapradziadka. Ale prawnuki Wojciecha Korfantego, wychowywane przez matkę Amerykankę, znają po polsku zaledwie parę słów.

Drugi syn Eugenii i Zbigniewa Korfantych, Wojciech, po czterech latach służby, został cywilnym mechanikiem i naprawiał samoloty. Ożenił się z Amerykanką i zamieszkał w Dallas blisko matki którą się opiekował. Dzięki temu dobrze mówił po polsku. Często odwiedzał też założoną w 1854 r. przez śląskich emigrantów osadę Panna Maria w pobliżu San Antonio. Nie mógł się nadziwić, że wśród ich potomków przetrwała jeszcze śląska gwara. Zmarł nagle w 1996 r. na serce. – Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Jak wielu miał przyjaciół, przekonałem się na jego pogrzebie. Koledzy z pracy, którzy nie dostali dnia wolnego, przyjechali w roboczych kombinezonach by go pożegnać – wspomina brat Feliks. Pochowany został na tym samym cmentarzu, co jego ojciec. Gdy umierał, miał troje dzieci. Dziś żyją tylko mieszkający w Seatle syn Michael (jest stewardem) i córka Melissa (pracuje w firmie reklamowej w Dallas i wychowuje wraz z mężem Jamesem 5-letniego syna Aidana). Rok po jego śmierci córka Courtney zginęła w wypadku samochodowym. Melissa i Michael kilka razy byli w Polsce i bardzo ich urzekł kraj przodków. Michael zbiera książki o historii Śląska, a że nie potrafi ich przeczytać, zaczął się uczyć języka polskiego. Jedna z jego wizyt miała miejsce późną jesienią. Gdy po uroczystościach 11 listopada zobaczył pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego wieńce i kwiaty bardzo się zdziwił, że pod pomnikiem pradziadka ich nie było. I gdy już wydawało się, że zrozumiał, iż każdy z nich ma swoje święto i pod pomnikiem Wojciecha Korfantego kładziemy kwiaty 3 maja, pobiegł na katowicki rynek, by na straganie kupić kwiaty i położyć je pod pomnikiem swego przodka.



Wnuk – Feliks, jego matka Eugenia i autorka artykułu. Dallas 2002 r.

Jak tu się skarżyć?

Wnuki Wojciecha Korfantego, Maria Rupp i Feliks Korfanty podkreślają, że mimo amerykańskiego obywatelstwa, czują się Polakami i cieszą się, że po latach zapomnienia, zasługi ich dziadka dla polskości Śląska zostały docenione.

Gdy w jednym z listów do Pani Marii zapytałam, skąd po wojennej tułaczce, bez słowa skargi na okrutny los, brali siłę by przetrwać i zaczynać wszystko od nowa, otrzymałam taką odpowiedź: „Mimo wszystkich swoich działań i zajęć, Wojciech Korfanty był wspaniałym ojcem i dziadkiem, nie można marzyć o lepszym. Dla rodziny zawsze miał czas. Ponieważ nasi rodzice chodzili do szkół niemieckich, sam uczył historii polskiej, literatury itp., tak, że jak poszli do szkół polskich, byli lepiej przygotowani niż dzieci z polskich szkół. Wszyscy mówili czterema językami. Robił to w taki sposób, że do końca życia nasi rodzice wspominali mile czasy spędzone z ojcem, jak im czytał, opowiadał, uczył i bawił. Dla wnuków też zawsze miał czas. Bardzo nas wszystkich kochał, pokazywał świat, zabierał za granicę, prezenty zawsze były wymyślne, ale nigdy rozrzutne. Nauczył nas radości życia, cenić ludzi i świat, jak radzić sobie w ciężkich i przykrych warunkach. Rodziny pracowników „Polonii" były jego rodziną i wszyscy byliśmy równo traktowani. Najstarsza wnuczka wciąż wspomina miłe czasy spędzane w gabinecie dziadka jak on pracował, a ona się tam bawiła. Ja nigdy nie zapomnę długich spacerów latem i zimą na nartach, jak się za nim pętałam. Zawsze dla nas było miejsce, czy to święta, czy wielkie przyjęcie, czy jakieś polityczne spotkanie. Jak tu się skarżyć? To dzięki Niemu umieliśmy dać sobie radę w ciężkich czasach wojennych i na emigracji".

Ocalili wspomnienia. Swoje i te zasłyszane od rodziców i krewnych, l dlatego podczas każdego pobytu w Polsce odwiedzają nie tylko groby przodków, ale też Kraków, Jasną Górę, Oświęcim i Korfantów. Przed dwoma laty, w trakcie zwiedzania Nikiszowca, Feliksa Korfantego najbardziej zainteresowały... uroczystości pogrzebowe w kościele św. Anny. Po raz pierwszy zobaczył śląski pogrzeb, jakże inny, niż te amerykańskie. Widział płaczących ludzi w żałobie, wieńce, górniczą orkiestrę i pokaźny kondukt podążający pieszo na cmentarz. I wtedy powiedział: „To niesamowite, wreszcie mogę sobie wyobrazić pogrzeb dziadka".

Bo trudno wyobrażać sobie przeszłość, gdy stare, rodzinne fotografie można oglądać tylko w książkach i na okolicznościowych wystawach. Może dlatego, gdy po każdym przyjeździe do Polski zadaję Feliksowi Korfantemu pytanie, gdzie chce pojechać i co zobaczyć, słyszę tę samą odpowiedź: „Do ciebie oglądać albumy". A potem siada z moim ojcem i z zapartym tchem ogląda stare zdjęcia na których utrwalono śląską, a więc i jego, historię. ■

Wspomnienie Halżki Rupp--Kozłowskiej (1904-1990) o swoim ojcu Wojciechu Korfantym



Prawnik Wojciecha Korfantego Christopher se swym ojcem Feliksem. Siemianowice 2003 r.

Poproszono mnie o napisanie kilku uwag o prywatnym życiu mego Ojca śp. Wojciecha Korfantego. Dużo pisano o Jego życiu politycznym – nie zawsze słusznie i często poruszając szczegóły nieistotne i nieprawdziwe. Chcę poruszyć sprawy życia prywatnego z punktu widzenia dziecka.

Było nas czworo – dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Ojciec nasz śp. Wojciech Korfanty był człowiekiem niezmiernie rodzinnie nastawionym, uwielbianym przez dzieci autorytetem. Jego poglądy na życie były dla nas święte. Od dziecka wiedzieliśmy, że był dziennikarzem, posłem-Polakiem do parlamentu niemieckiego, wobec tego dużo czasu spędzał w Berlinie (mieszkaliśmy wtedy w Bytomiu). W domu mówiono wyłącznie po polsku i wiadomo było, że jesteśmy Polakami żyjącymi pod zaborem niemieckim. Nigdy nie słyszałam w rozmowach rodzinnych ani jednego niemieckiego słowa, także w domu moich dziadków, tak ze strony ojca, jak i matki. Służba w domu zawsze była polska, sprowadzana albo z Poznańskiego, albo ze Śląska.

Mając 6 lat, musiałam zacząć chodzić do szkoły, naturalnie niemieckiej, bo polskich szkół nie było. W domu zaczęto się wtedy zastanawiać, czy mówię dostatecznie dobrze po niemiecku, by sobie poradzić. Okazało się jednak, że tak, bo nauczyłam się niemieckiego od dzieci sąsiadów.

Z początkiem I wojny światowej rodzice przeprowadzili się do Berlina. W ten sposób Ojcu łatwiej było sprawować swe obowiązki posła. Ale był w domu i życie rodzinne mogło toczyć się w miarę normalnie. Rodzice niezmiernie dbali o nasze wychowanie, szczególnie o to, byśmy byli przekonani, że jesteśmy Polakami i katolikami. Sobotnie i niedzielne wieczory poświęcone były historii i literaturze polskiej, których uczył nas Ojciec. Uwielbialiśmy te lekcje i byliśmy nimi niezmiernie zainteresowani. Jedną z największych przyjemności było czytanie „Pana Tadeusza" oraz innych dzieł Mickiewicza i Słowackiego.

Ojciec mówił: „Polska to wielka Rzecz" i musicie być dumni, że jesteście Polakami.

Gdy w roku 1918 wróciliśmy do Nowej Polski (Poznań) – nigdy nie zapomnę tego momentu – byliśmy bardziej biegli w literaturze i historii Polski niż dzieci z innych zaborów. W domu dbano również o znajomość przez nas języków obcych – uczyliśmy się francuskiego i angielskiego. W ten sposób znaliśmy cztery języki, jak nasz ojciec, który poza niemieckim, władał biegle językiem francuskim i angielskim.

Jeśli chodzi o nasze imiona, to Ojciec dbał o to, byśmy w metrykach chrztu nie mieli zapisanych imion niemieckich. Więc w metrykach nasze imiona zapisano jako: Halżka Alexandra, Zbigniew Włodzimierz, Marja Bolesława, Witold Wojciech.

Poza szkołą uczyliśmy się także po polsku religii. Gdy nadeszła pora przygotowania nas do I Komunii Świętej, rodzicom zależało, by odbyło się to po polsku, co w Berlinie nie było możliwe. Wobec tego na letnie wakacje wyjechaliśmy całą rodziną do Bnina w Poznańskiem, gdzie proboszczem był ks. Lisiecki – przyszły biskup śląski. On przygotował nas do I Komunii Świętej i tam odbyła się uroczystość.

Polskie tradycje były w domu bardzo przestrzegane – Boże Narodzenie, Wielkanoc oraz z innych okazji. Wigilia to tradycyjna ilość dań, choinka ubrana krakowskimi zabawkami. Wśród prezentów-darów zawsze znajdowały się polskie książki, które sprawiały nam najwięcej radości. Były to książki z wymiany wśród kolonii polskiej w Berlinie, z którą rodzice utrzymywali bliski kontakt. Wielu tych ludzi spotykaliśmy później w Polsce. Na letnie wakacje całą rodziną jeździliśmy do polskich środowisk, tj. wiejskich polskich rodzin na Śląsku i w Poznańskiem. Zwiedzaliśmy Galicję i często bywaliśmy w Krakowie. Wszystko utwierdzało nas w tym, że jesteśmy Polakami. Jako dzieci, byliśmy z tego bardzo dumni.

Jak mieszkaliśmy w Berlinie, Ojciec zabierał czasem mnie i mojego brata Zbyszka na posiedzenia Landtagu lub Reichstagu. Ogromnie nas to interesowało. Pamiętam posiedzenie, na którym mój Ojciec określił na mapie przyszłe granice Państwa Polskiego. Gdy szliśmy na galerię, sala parlamentarna huczała od rozmów. Kiedy Ojciec zaczął przemawiać, nagle zapadła cisza. Nigdy nie zapomnę tego zdarzenia, choć byłam wtedy dzieckiem.

Niezmiernie radosne były dla nas czasy po powrocie z Berlina do Poznania. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasz Ojciec jest osobistością, z którą ludzie się liczą, która ma wpływ na przebieg wypadków historycznych i odgrywa ważną rolę w historii kształtowania się Państwa Polskiego. Natomiast nigdy o ważności Ojca nie mówiono w domu.

Potem był plebiscyt na Śląsku – trudny dla nas dzieci okres. Ojciec w domu prawie nie bywał i ciągle baliśmy się, że może paść ofiarą zamachu.

Okres objęcia Górnego Śląska przez władzę i Wojsko Polskie był dla nas okresem niezmiernie radosnym. Odczuwaliśmy, że Ojciec był człowiekiem niezmiernie honorowanym i zawsze mile widzianym.

Dorośliśmy, kończyliśmy studia uniwersyteckie, powychodziłyśmy za mąż – urodziły się wnuki, które dziadzię uwielbiały. Był Brześć – Ojciec po powrocie o Brześciu raczej nie mówił. Tylko kilka uwag bezpośrednio po zwolnieniu. Był w strasznym stanie fizycznym. Potem o tym nie chciał mówić, by o władzach polskich nie mówić zbyt źle. Potem przymusowa emigracja w Czechosłowacji razem z innymi – ciężki okres dla nas dzieci i dla wnuczek. I ciężkie chwile – niemożność powrotu Ojca w 1938 r. na pogrzeb syna Witolda. A potem powrót do kraju z francuskim paszportem i pod obcym nazwiskiem. I aresztowanie – okropne wrażenie wnuczki gdy przybyła do domu dziadka i drzwi otworzył policjant. Co w domu dziadzi robi policjant?

Potem pobyt na Pawiaku. Codziennie mnie i siostrze wolno było dostarczać Ojcu obiad kupowany u Bachusa. To się po jakimś czasie skończyło. Przypuszczam, że był to okres, gdy Ojca truto. Nigdy przedtem nie chorował na wątrobę, choć Marian Orzechowski tak twierdzi w swej książce. Książka ta zawiera wiele nieścisłości począwszy od faktu, że Ojciec miał niebieskie oczy, a miał brązowe.

HALŻKA A. KOZŁOWSKA
z domu Korfantówna

Boston, maj 1984



Wnuk Feliks przed startem w Biegu Korfantego. Katowice 2003 r.

Gdy Hitler zaczynał budowę nowej niemieckiej potęgi militarnej, najważniejszym problemem była dlań nie liczba wyprodukowanych samolotów i czołgów, ale różnica między stanem wyposażenia wojsk własnych i cudzych. Wiedział, że zwycięża się nie liczbą, ale różnicą. Nie wystarczy więc być silnym. Trzeba, by inni byli słabi. Najpierw – moralnie. Ta dwukierunkowa strategia na różnych polach i w różnych miejscach globu stosowana jest do dziś.

Wojna sumy z różnicami

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Suma potencjałów gospodarczych i militarnych państw, otaczających Niemcy, była zdecydowanie wyższa od wszystkiego, czym mógł dysponować Hitler w swoim kraju. Gdyby pacyfistyczni sąsiedzi Niemiec zaczęli zbroić się już na początku lat trzydziestych – Hitler nigdy by nie zdobył przewagi strategicznej. Ale – jak wiemy – nie zaczęli, o wspólnym bezpieczeństwie nie myśleli i do sumy nie dążyli. Hitler natomiast dążył do różnicy i szybko uzyskał przewagę. Nie nad wszystkimi, ale nad każdym.

Żądzą przewagi kierował się również drugi wielki agresor tej epoki – Stalin, który na zbrojenia kierował jeszcze większą niż Hitler część dochodu narodowego. Obydwaj ci panowie, zanim porozumieli się w sprawie rozbioru Polski, prześcigali się we wspieraniu i finansowaniu ruchów pacyfistycznych w USA, Francji, Wielkiej Brytanii i w innych demokracjach Zachodu. Gdzie tylko pozwalano na działalność socjalistów nacjonalistycznych lub internacjonalistycznych – kwitła ideologia pokojowa, a w parlamentach mnodzy deputowani pilnowali, by ich własna armia nie dostała za dużo pieniędzy.

Upragnioną różnicę ilościową i jakościową zapewniała państwom zbójeckim nie tylko potęga własna, ale – przede wszystkim – niemoc sąsiadów. Inwestowano więc w podziały i nie żałowano środków na osłabianie morale przyszłych ofiar. Jeden pacyfista, ulokowany w obcym rządzie, dyplomacji czy choćby na obcym uniwersytecie, był tyle wart, co fabryka amunicji we własnym kraju.

Rzeka prowokacji

Dwudziestolecie międzywojenne było więc przez Niemcy i ZSRR wykorzystane na wzmocnienie sił własnych i osłabienie cudzych. Obydwa te kierunki były równie ważne. Powtarzam to na wstępie dlatego, że na ogół lekceważymy ten drugi front. Potępiamy oczywiście sowiecką i nazistowską propagandę ze względów moralnych i estetycznych, ale nie dość zajmujemy się celem nadrzędnym. Nie wiemy nawet zbyt dokładnie, jak wielkie środki łożono na dezinformację słowną i czynną.

Tu zajmę się wyłącznie przejawami „twardej" dezinformacji, czyli napadami, prowokacjami i innymi działaniami Niemców, realizowanymi w tym celu, by oskarżyć Polskę o ich sprawstwo. To znów było potrzebne do tego. by naród niemiecki znienawidził Polaków, a inne narody nie przeszkadzały ukarać „winnego". Był też cel dalekosiężny, dziś lepiej widoczny niż kiedyś. Spróbujemy ten cel zidentyfikować.

Dokładna liczba wplecionych w przygotowania wojenne aktów dezinformacji „twardej" nie jest zbyt dokładnie znana. Dotarłem do wiarygodnych opisów zaledwie kilkudziesięciu zdarzeń z tej kategorii. A przygotowano setki operacji. Trzy najważniejsze wykonano na Górnym Śląsku w pobliżu granicy, ale po niemieckiej stronie: w Gliwicach, pod Rybnikiem i w Byczynie. O preparowaniu kolejnych 223 pierwszy napisał Edmund Osmańczyk w książce, wydanej w roku 1951 (rys. 1). I tam, na podstawie dokumentów, o których sądzi, że pochodzą z „tajnego" archiwum Himmlera, Osmańczyk dokonuje pierwszego podziału ze względu na kryterium geograficzne. Przytaczam tę klasyfikacje z niewielkimi skrótami.

Część pierwsza kartoteki nosi tytuł „Nord-Ost" i obejmuje obiekty po niemieckiej i polskiej stronie granicy Prus Wschodnich oraz obiekty na terenie ówczesnego województwa pomorskiego. Ogółem 63 obiekty wyznaczone na podpalenie lub wysadzenie w powietrze jako „dowód polskich prowokacji antyniemieckich".

Osmańczyk wiedział wszystko o istocie nazizmu i nie musiał roztrząsać problemów terminologicznych. Po prostu odbił piłkę. Skoro Niemcy napisali, że te podpalenia czy wysadzenia będą użyte jako „dowody polskich prowokacji antyniemieckich", to teraz wystarczy książce z fotokopiami dokumentów nadać tytuł ***Dowody prowokacji***, a na okładce narysować swastykę. To w roku 1951 wystarczało. Dziś wyraz „prowokacja" zleksykalizował się w tym znaczeniu, jakie nadał mu wówczas Osmańczyk, operujący zresztą słownictwem polskich gazet przedwojennych. Pozostawiam więc na razie ten wyraz w tytule niniejszego podrozdziału, ale nadal poszukuję dopełnień: kogo prowokowano i do czego? A na to odpowiedź jest bardziej skomplikowana. Najpierw trzy zdania Osmańczyka, kończące prezentację kartoteki.

Część druga nosi tytuł „Freistaat Danzig" i obejmuje 32 obiekty na obszarze b. Wolnego Miasta Gdańska. Część trzecia nosi tytuł „Ost" i obejmuje 89 obiektów na obszarze ówczesnego województwa poznańskiego w pobliżu granicy i wokół miasta Poznania. Część czwarta nosi tytuł „Süd-Ost" i obejmuje 39 obiektów na obszarze ówczesnego województwa śląskiego i Śląska Zaolziańskiego.

Opublikowanie całej kartoteki wraz z tłumaczeniem – jak pisze Osmańczyk – wymagałoby 800 stron druku. Autor zamieścił więc zaledwie 45 fotokopii. Nie wiem, gdzie dziś znajduje się cały zbiór. Wiem tylko, że Polskę stać na pełną publikację i koniecznie powinniśmy to zrobić. Choćby po to, by uwolnić się od podejrzeń, że dokumenty zostały podrzucone. Sowieci mieli wtedy pod kluczem wielu Niemców, zdolnych do wykonania tego dzieła, mieli wprawę we wszelkiego rodzaju fałszerstwach, mieli też odpowiednie niemieckie maszyny do pisania i oryginalny papier, ale trudno mi sobie wyobrazić cel takiego przedsięwzięcia po wygra-

nej wojnie. Poza tym – niektóre napady zostały potwierdzone dopiero w latach późniejszych. Są tam też zdjęcia obiektów, wytypowanych do zniszczenia. Tych fotografii nie można było zrobić po wojnie. Dokumentacja zdobyta przez Osmańczyka sprawia wrażenie absolutnie wiarygodnej, ale w naukowym obiegu funkcjonuje zaledwie niewielka jej cząstka. Krytyczna publikacja tego źródła to temat na ambitną habilitację z historii!

Typologia prowokacji

Sierpień 1939 jest wciąż słabo zbadany i czeka na kilka kolejnych doktoratów. W jednym z nich należałoby skatalogować i sensownie sklasyfikować wszystkie incydenty graniczne, zwane powszechnie prowokacjami. Kryterium geograficzne Osmańczyka jest zaledwie jednym z wielu. Można te „prowokacje" podzielić też na dokonane i niedokonane; np. profesor Karol Marian Pospieszalski, który połowę swego niemal stuletniego życia poświęcił badaniom tych wydarzeń, potwierdził ponad wszelką wątpliwość zaledwie 23 przypadki z listy Osmańczyka. M. in. na terenie Wolnego Miasta Gdańska żaden z zaplanowanych napadów nie został zrealizowany. Nie zniszczono też ani jednego z siedmiu obiektów, wytypowanych w Bydgoszczy.

Klasyfikacja ze względu na organizatorów: np. na dworcu w Tarnowie bombę podłożyła z całą pewnością Abwehra i nie w celu dezinformacji, a napad na radiostację w Gliwicach – to dzieło Sicherheitsdienstu właśnie w tym celu. Należy odróżnić akcje wczesne („piąta kolumna" na Górnym Śląsku), właściwe (sierpniowe) i późne (wrześniowe). Jedne odbyły się po polskiej stronie granicy, inne po niemieckiej. Jedne miały prowokować Polaków (do reaktywnego działania), inne Niemców (do nienawiści). Dalej – niektóre akcje były koordynowane inne przypadkowe; z ofiarami śmiertelnymi i bez, polityczne i kryminalne, pożary, wybuchy itd. Do tego jeszcze prawdziwe prowokacje, polegające na naruszeniu polskiej przestrzeni przez niemieckie samoloty, prowokacje medialne, kolejowe, międzyludzkie itd. Do zbadania pozostają też liczne incydenty na granicy z ZSRR, prawie nietknięte refleksją historyków.

Moim zdaniem należy zebrać wszystkie incydenty jakoś związane ze zbliżającą się wojną, radykalnie odrzucić ich nazwy rzeczownikowe i przymiotnikowe zarówno polskie, jak i niemieckie (zawsze fałszujące, np. *Blutsonntag, krwawa niedziela* w Bydgoszczy, 3.09.39), a następnie podjąć próbę odpowiedzi na proste pytania: *kto zrobił, co zrobił, kiedy zrobił, dlaczego zrobił i po co to robił*. Zwłaszcza ostatnie pytanie jest ze względów metodologicznych ważne.



Okładka książki E. J. Osmańczyka

Każdej akcji i każdej czynności należy przypisać cel. A jeśli tego celu nie znamy – starajmy się zrozumieć, o co naprawdę – w danym działaniu chodziło. I dokonajmy podziału ze względu właśnie na cel, jaki przyświecał inicjatorom. Pozwoli to nam zupełnie odrębnie potraktować np. słynny atak na tunel pod Przełęczą Jabłonkowską. Nie była to żadna prowokacja ani dywersja, ani nawet sabotaż, jak się często pisze. To był zwykły błąd. Abwehra miała zająć zaminowany przez Polaków wylot tunelu kolejowego i poczekać na Wehrmacht. Zdarzyło się to w nocy, poprzedzającej pierwszy termin rozpoczęcia wojny, tzn. z 25 na 26 sierpnia. Do dowódcy operującego już w górach oddziału po prostu nie dotarła wiadomość, że Hitler wieczorem 25 sierpnia postanowił przełożyć początek wojny na inny termin. Natomiast dwa kółka na samym dole mapki, opisane „Jablunkau" (rys. 2), dotyczą zupełnie innych zamachów. Na podobnym do katowickiego formularzu i szkicu przedstawiono plan *wysadzenia w powietrze zabudowań przy młynie Volksdeutscha nazw. Sagittarius Müller w Jablonkau-Olsagebiet.*

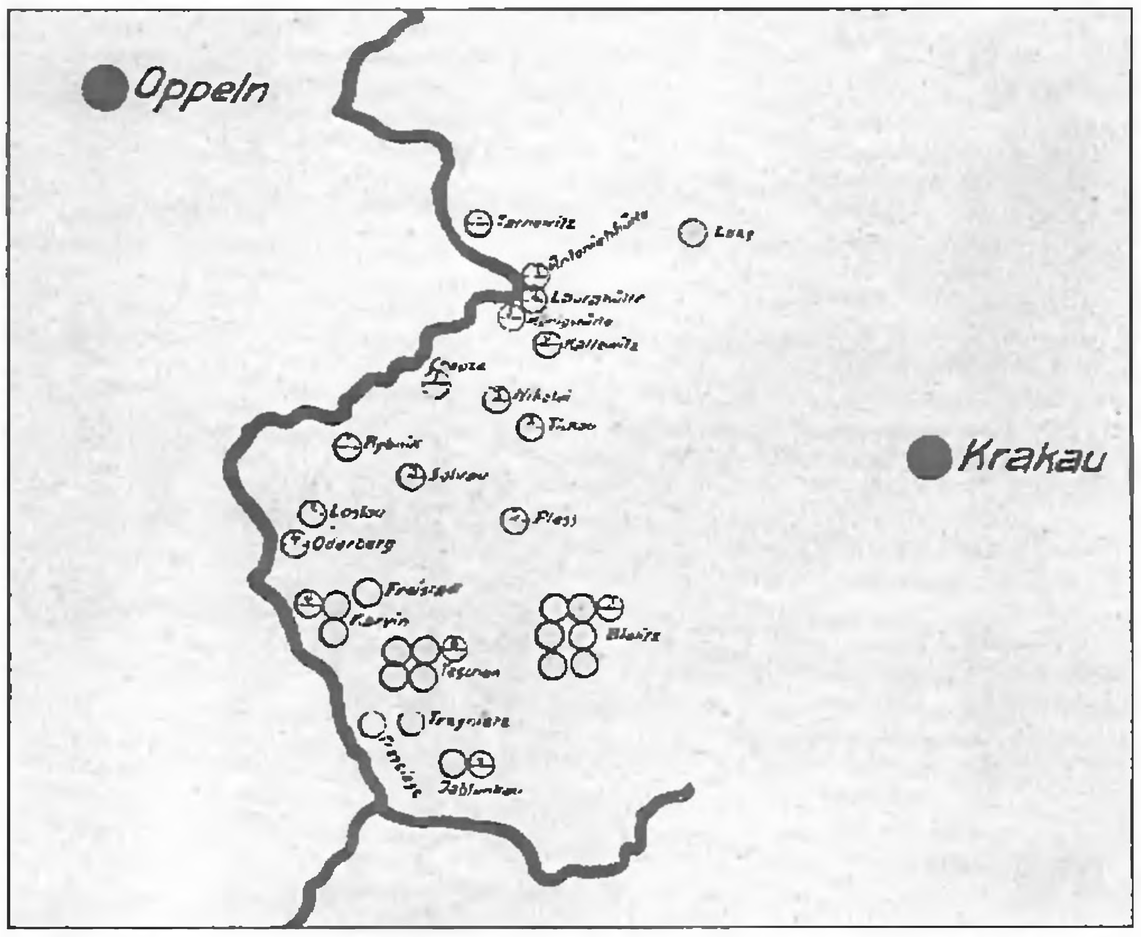
Podobnych pomyłek odnotowano kilka i należałoby je oddzielić od akcji zaplanowanych starannie, takich jak prowokacja gliwicka, która wywołała najszerszy rezonans ze względu na historyczny moment, miejsce, cel i sposób medialnego wykorzystania. Rzeczywiście, wieczorny napad na radiostację w Gliwicach 31 sierpnia był operacją niezwykłą i ważną. Poświęciłem jej wydaną właśnie przez Muzeum w Gliwicach książkę pt. **PROVOKADO**. Musiałem jednak zastanowić się nad kwestiami terminologicznymi. Jeśli „prowokacja" – to ktoś kogoś do czegoś pewnie tam prowokował i coś dalej się wydarzyło lub nie wydarzyło. Co? I tu dopiero robi się ciekawie. Bo prowokowano nie Polaków, lecz Francuzów i nie do tego, żeby coś zrobili, ale – by skorzystali z okazji i siedzieli cicho, co ci skwapliwie przez następne pół roku czynili.

Stodoły – najdziwniejszy napad stulecia

Cele, przebieg i skutki prowokacji gliwickiej poznaliśmy dokładnie. Tego samego wieczora, w czwartek 31 sierpnia – po niemieckiej stronie granicy z Polską – Niemcy zrealizowali jeszcze dwie, bez porównania większe operacje, o których jednak milczą podręczniki. Nawet mieszkańcy Stodół (niem. Hochlinden, dziś dzielnica Rybnika) więcej wiedzą o swoim „morzu", czyli Zalewie Rybnickim, domu papieża i parku jurajskim, niż o nieźle zachowanym budynku przedwojennej niemieckiej komory celnej przy ul. Rudzkiej 409 (rys. 6). A tam działa się Historia! Choć, trzeba przyznać, działa się nader kulawo.

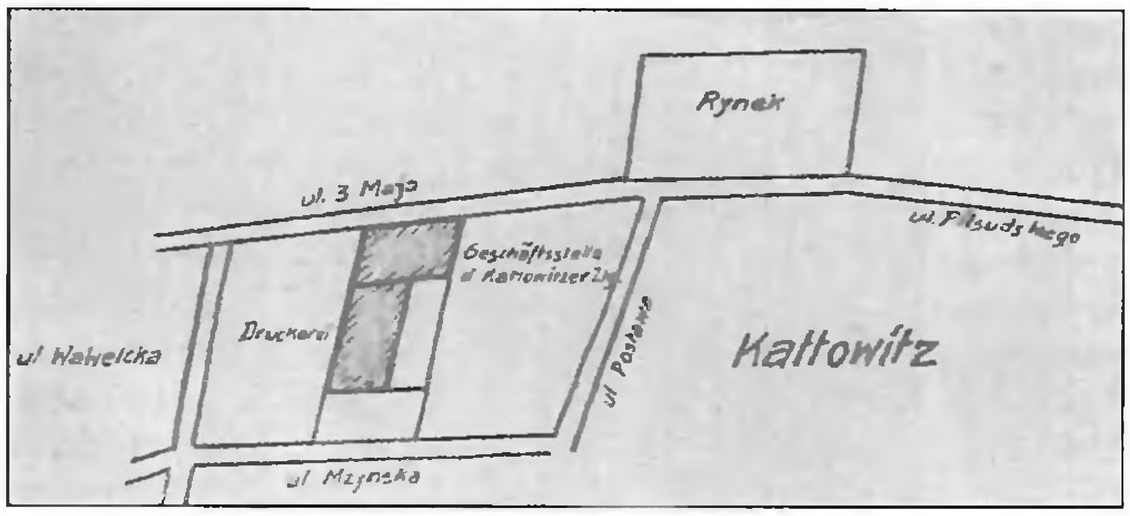
Reichsführer SS Heinrich Himmler już 20 sierpnia osobiście pofatygował się do Hochlinden, by dokładnie obejrzeć miejsce planowanej akcji. Dość obszerny opis tej wizytacji i późniejszego samonapadu na placówkę celną dali niemieccy autorzy Alfred Spiess i Heiner Lichtenstein w książce *Unternehmen Tannenberg. Der Anlass zum Zweiten Weltkrieg,* 1979. Tytuł tego dzieła jest całkowicie błędny, co uzasadniam w innym miejscu (Provokado), natomiast zawartość sprawia wrażenie doskonale udokumentowanej faktografii. Dlatego też bez obawy o większą pomyłkę omawiam tu wyniki śledztwa prokuratora Spiessa i nie dociekam sensu wykonanych w Stodołach w roku 1939 działań. Z opisu wynika bowiem, że takowego za bardzo nie było. Tzn. nie było sensu, bo cel był. Tyle że bezsensowny.

Zaczęło się jeszcze wcześniej niż w Jabłonkowie, bo już o świcie 25 sierpnia. W pobliżu niemieckiego posterunku w Hochlinden pojawiła się



Śląski fragment mapy całego pogranicza polsko-niemieckiego. Kółeczka oznaczają, miejsca, w których znajdowały się obiekty, wytypowane do zaatakowania.

grupa uzbrojonych cywilów, podających się za folksdojczów z Górnego Śląska. Ci ludzie przebiegli przez pobliską granicę i zaatakowali polski urząd celny w Chwałęcicach. Trzej dyżurujący tam celnicy uciekli, a sam budynek został ostrzelany i mocno uszkodzony wybuchami granatów ręcznych. Do dziś nie wierny, kto i dlaczego to zrobił. Niemcy oczywiście natychmiast przeprowadzili śledztwo. Niektórych napastników ujęto i wysłano do Berlina, podejrzewając sabotaż w prowokacji, czyli działania Abwehry, wymierzone w Himmlera. To się jednak raczej nie potwierdziło.



Mapka dokładnie pokazująca, gdzie znajdował się skazany na wysadzenie i podpalenie budynek „Kattowitzer Zeitung".

Ten chaotyczny napad nie był prowokacją. Nie prowokował antypolskiej nienawiści. Raczej sam był tej nienawiści produktem, przypadkowym następstwem nadmiernego poczucia siły. *Dookoła tyle naszego wojska, pewnie za chwilę będzie wojna, dajmy więc wyraz swojej wrogości do Polski, a może przy okazji obłowimy się czym w składzie celnym...* To tylko moja typologiczna rekonstrukcja. Spędziłem rok w jednej celi ze zwykłymi bandytami i próbuję myśleć ich kategoriami. Ci ludzie nie urodzili się przestępcami. Przed napadem byli zwykłymi chłopcami, popijającymi piwko po meczu. W pewnym momencie pojawia się okazja i nikt już nie myśli o niczym innym, jak tylko o tym, żeby... w oczach kolegów nie wyjść na mięczaka.

Zniszczenie polskiej placówki praktycznie zniweczyło plany Himmlera. Wieczorem tego samego dnia miała się tu rozegrać ogromna operacja z udziałem ponad dwustu żołnierzy. Jeden oddział – w polskich mundurach – miał zaatakować i zniszczyć komorę celną w Hochlinden, a drugi – w mundurach niemieckich – miał pokonać „napastników". Nikt nie ośmielił się zameldować Himmlerowi o porannych komplikacjach. Powtarza się błąd jabłonkowski. W nocy z 25 na 26 sierpnia, żołnierze ruszają do akcji... materiał na niezły scenariusz filmowy z suspensem i dwiema perypetiami. To się nadaje również na grę terenową z rekonstrukcją zdarzeń, co rybniczanom przedkładam pod rozwagę, bo ważniejsze miejsca nie zostały zalane.

Najdziwniejsze, że w drugim terminie, czyli 31 sierpnia, gdy Himmler już wiedział o kompromitacji sprzed tygodnia, ponownie rozpoczęto i przeprowadzono do końca bezmyślną inscenizację. Różnica była tylko taka, że liczbę uczestników zmniejszono trzykrotnie (do ok. 60), bo poprzednio z powodu tłoku jedni przeszkadzali drugim. Ponownie też – dziesięcioma czarnymi limuzynami marki mercedes przywieziono tzw. „konserwy", czyli odurzonych zastrzykiem więźniów, którzy mieli być na miejscu zabici dla uprawdopodobnienia wersji o „polskim napadzie". Sześciu z tych ludzi rzeczywiście zamordowano i zmasakrowano im twarze kolbami, by nie można było ich zidentyfikować. Niektórych odziano w polskie mundury, inni leżeli w cywilnych ubraniach. Równie nieudaną akcję przeprowadzono w Byczynie (Pitschen), gdzie przedmiotem ataku była oddalona od siedzib ludzkich leśniczówka.

Minęło właśnie 70 lat od wytworzenia reprodukowanych tu dokumentów. Są to skany fotokopii, zamieszczonych w książce Edmunda Osmańczyka pt. „Dowody prowokacji" z roku 1951. Stąd też ich jakość graficzna jest niewysoka. Chodzi raczej o pokazanie, z jaką, skrupulatnością Niemcy preparowali „twardą" dezinformację, ile zainwestowali w pozbawianie Polaków dobrego imienia.

Objekt Nr.: SO 22

1. Gebiet: Süd-Ost Ort: Kattowitz/Ost-OS.

2. Art des Objektes:
Geschäftsgebäude mit Druckerei.

3. Bedeutung des Objektes:
Kattowitzer Zeitung ist führende deutsche Zeitung in Ost-OS. Von Behörden immer wieder verboten, in der poln. Presse ununterbrochen angegriffen.

4. Nähere Lagebezeichnung:
Stadtmitte, in der Nähe des Ringes. Gebäude erstreckt sich von ul.3.Maja bis ul.Młynska.

5. Kurze Beschreibung des Objektes:
Viereckiger Ziegelbau, verputzt.

6. Besitzer:
Verlag der 'Kattowitzer Zeitung'.

7. Lageskizze:
Anlage: 1 Skizze.

8. Erforderliche Ladung für Wirkung X, II, III:
Sprengung und Brandsatz.
Wahrscheinlichkeitsfaktor: 60 %.

9. Verdämmung:
wird bei Ausführung festgelegt.

10. Werkzeuge und Geräte:
nicht erforderlich.

11. Zeit:

12. Besondere Bemerkung:
Ausführende: Staehura, Kratochvil.

Kopia karty opisu do zamachu na drukarnię. Takich kart z odpowiadającymi im mapkami (tu rys. 3.) w kartotece Osmańczyka ma być ok. 180. Oryginalny format: A4.

Komora celna w Stodołach została zniszczona po czwartej rano. Już 1 września! Dowódcy przecież wiedzieli, że trzy kwadranse później miała się zacząć wojna! Jaki więc szykowano propagandowy użytek? Nie wiem. Moim zdaniem tego napadu nie dałoby się zdyskontować medialnie w żaden sposób. Raczej tylko posłusznie wykonano führerbefehl (rozkaz wodza), w którego sens nikt rozsądny chyba nie wierzył.

Wojna o pamięć trwa

Zdecydowanie sprzeciwiam się wprowadzaniu wniosków na podstawie analogii. Jeżeli coś działo się kiedyś – wcale nie znaczy, że może powtórzyć się teraz w podobny sposób. Nie. Historia wprawdzie powtarza swoje obroty, ale za każdym razem robi to inaczej. Dziś żadnej wojny w Europie chwilowo się nie spodziewam. Żadnej wojny gorącej, żadnej wojny zimnej i żadnej pośredniej. Nie znaczy to, że wrodzona ludzka agresywność, potrzeba dominacji i żądza pieniądza nie znajdzie dla siebie ujścia w innym wymiarze. Na przykład – w przestrzeni pamięci.

Wojna o pamięć już się rozpoczęła. Nabiera nawet nieznanych wcześniej rumieńców, bo miecze się połamały, lufy zarosły rdzą, a rywalizować trzeba. Narody konkurują więc ze sobą w sporcie i gospodarce, w mediach i w kosmosie. Normalnym ludziom to wystarcza. Ale są jeszcze nienormalni, którzy szczują jednych na drugich, naruszają różne granice i pogłębiają różnice. Znał ich Paweł Włodkowic, znał Edmund Osmańczyk, znamy i my.

Niestety, jak się okazuje, do tej nowej gatunkowo wojny jesteśmy kompletnie nieprzygotowani. Z argumentów historiografii peerelowskiej nie da się już korzystać. Nie tylko dlatego, że formułowano je w języku propagandy, ale też dlatego, że zaniedbano przeprowadzenia wielu podstawowych dowodów. Wystarczyło powiedzieć, że Niemcy byli źli, a my na pewno dobrzy. Oni sadyści, my ofiary. Oni zabijali, myśmy cierpieli. To do niedawna starczało. Dziś, gdy Niemcy zaczynają mówić o swoich cierpieniach – milkniemy zadziwieni i brakuje nam argumentów.

Nawet prawodawstwo nie nadąża za zmianami mentalności. W PRL-u nie można było bez pozwolenia prowadzić żadnej działalności gospodarczej,

więc nikomu nie przyszło do głowy zakazywać produkcji nazistowskich emblematów, różnych trupich główek, swastyk i esesmańskich dystynkcji. Teraz – paradoksalnie – w Niemczech tego robić nie wolno, a w Polsce wolno! Gdzie więc są lokowane zamówienia? Ano we Wrocławiu i pewnie w wielu innych miejscach, do których prokurator nie ma prawa wstępu. Przepytajmy kilku młodych biznesmenów z sąsiedztwa, czy odmówiliby realizacji lukratywnego i zgodnego z prawem zlecenia z RFN. Ilu odmówi? A kto im powiedział, że nie należy tego robić za żadne pieniądze? Wolno, więc należy!

Linia frontu jest w tej wojnie nietypowa. Przebiega przez muzea, sale kinowe, telewizję a nawet koncerty rockowe. A na zapleczu wre nieustanna krzątanina historyków, polityków, wydawców i firm marketingowych. Na zapleczu niemieckim, rosyjskim, francuskim, brytyjskim itd. Bo przecież nie – polskim! Liczni polscy historycy odżegnują się od polityki pamięci. Od każdej polityki. Oni chcą uprawiać czystą, obiektywną, wypraną z interesów narodowych, sterylną dziedzinę wiedzy. Jest to zrozumiała reakcja na peerelowskie upolitycznienie historii. Ale nie w każdym kraju zwyciężają pięknoduchy. Nie powiem, że narasta agresja w wojnie o pamięć, ale mogę powiedzieć, że narasta różnica! Nie tylko dlatego, że gdzie indziej inwestuje się w siłę argumentów. Również dlatego, że u nas inwestuje się w słabość!

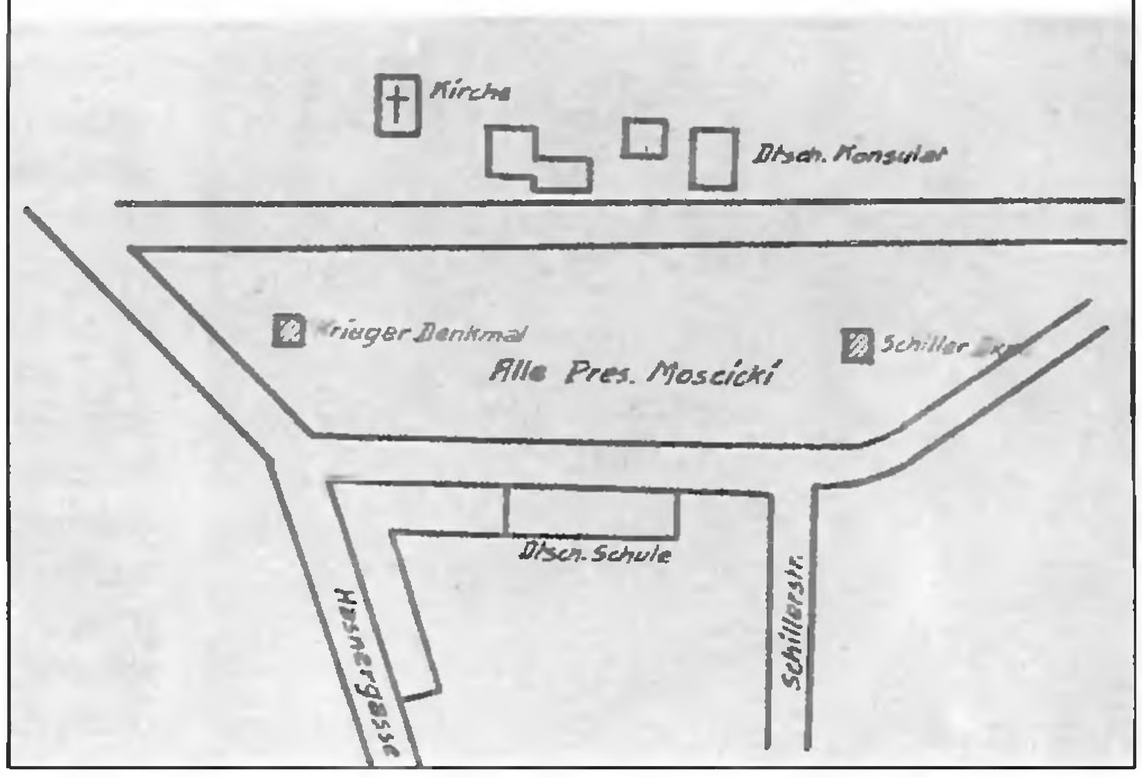


Fotografia pomnika Schillera w Cieszynie



Fot. A. Jarczewski

Fotografia pomnika poległych w Cieszynie



Mapka i dwa zdjęcia pomników, przewidzianych do wysadzenia w Cieszynie. Rys. 6a i 6b. Rybnik, budynek przy ul. Rudzkiej 409. Przedwojenna komora celna, dziś siedziba biblioteki (Filia nr 14 PiMBP). Stan z lipca 2009.

Andrzej Jarczewski – inżynier elektronik, filozof. Autor wydanej przez Muzeum w Gliwicach książki o prowokacji gliwickiej i o późniejszych losach Radiostacji w roli m.in. zagłuszarki „Wolnej Europy". ***PROVOKADO.*** *Gawędy Klucznika Radiostacji (dla gimnazjalistów wyższej klasy)*, Gliwice 2009.

Sumujmy siły!

Prowokacja gliwicka była *hardcorowym* początkiem strategii medialnej, kontynuowanej dziś w wersji *soft* i nakazującej Polakom zdjąć „wygodny kostium ofiary"! Jeśli byli jacyś niemieccy i sowieccy zbrodniarze, jeśli nawet gdzieś byli – to przecież na miejscu mieli wspólników! Wszyscy byli winni. I dyskurs nabrzmiewa nowymi sensami. Pomija się ludobójstwo, by rozognić wspomnienia o różnych indywidualnych czynach, które z punktu widzenia salonowej estetyki czasów pokojowej sytości wyglądają nieładnie. Za chwilę świat zapomni, że Polacy wtedy walczyli o życie!

Teraz najważniejsze są cierpienia Niemców. W Gliwicach, w pierwszym (na południu) przedwojennym niemieckim dużym mieście, opuszczonym przez mężczyzn, zajętym przez Armię Czerwoną – pamięć o cierpieniach masowo gwałconych kobiet żyje w wielu rodzinach do dziś. Tego nie ignorujemy. Ale też nie lekceważymy prawdopodobieństwa, że za jakiś czas pojawią się turyści święcie przekonani, że *polscy naziści są winni, bo wywołali wojnę, a Rosjanie uratowali umęczony brytyjskimi bombami naród niemiecki przed zagazowaniem przez polskich antysemitów, z winy których powstał później berliński mur, szczęśliwie zburzony wspólnym wysiłkiem antynazistów, alterglobalistów, zielonych, różowych, fioletowych i jeszcze tęczowych.* Elementy takiego światopoglądu dostrzegam u gości Radiostacji każdego dnia. Jeżeli tolerancja wobec dowolnych poglądów zwycięży w nas dbałość o dobre imię Polski – taki właśnie lub podobny myślowy śmietnik *ogarnie ludzki ród.*

W ogólnoświatowej wojnie o pamięć zajmuję w gliwickiej Radiostacji pozycję na pierwszej linii frontu. Przyjmuję tam dziesiątki tysięcy gości z ponad 50 państw. Młodzież, dziennikarze, seniorzy, „wszystkowiedzący" a także nasi własni separatyści, żerujący na pogłębianiu różnic. Szukam argumentów, którymi mógłbym odpowiadać na ich coraz bardziej agresywne zaczepki. Rozglądam się za naukowym wsparciem, a ono nie nadchodzi. Patologii ulega też niezagospodarowana przez Polaków przestrzeń medialna, w której rozrastają się coraz groźniejsze nowotwory.

Francuzi swoich świętości narodowych nie kwestionują nigdy. Czy istnieje francuska powieść, z której by wynikało, że francuska kuchnia jest niedobra? Czy jakikolwiek francuski poeta szargał dobre imię francuskiego wina? Sera? Ślimakuff? Czy jakiś Anglik poniżał Royal Navy? Czy choćby jeden Grek zlekceważył Fidiasza? Czy wymowę jakiegokolwiek niemieckiego dzieła sztuki da się sprowadzić do szyderstwa z niemieckiej filozofii? Czy jakiemuś Holendrowi nie smakowało niderlandzkie piwo, a Czechowi – w czeskim filmie – knedliczki? Czy jakiś reżyser rosyjski stworzył spektakl, który by potępiał mordowanie Polaków? Głodzenie Ukraińców, zabieranie innym narodom ich ziemi, niszczenie ich kultury? Jeśli takie dzieła funkcjonują gdzieś poza wąskimi elitami – proszę je ujawnić! I pokazać, jak wpływają na wychowanie własnej młodzieży i jak kształtują obraz danego państwa wśród obcych. Również – które filmy polskie i które filmy o Polsce są rozpowszechniane na świecie i jaki z tych dzieł wyłania się obraz naszego kraju!

Pokazujmy innym nacjom polskie prawdy, polskie wartości, polskie świętości! Ale najpierw podsumujmy własne dzieła, byśmy mogli zsumować je z pracą ludzi dobrej woli w innych krajach. Najpierw je wytwórzmy. Najpierw je wymyślmy! Najpierw stwórzmy warunki, by warto było myśleć! ■

Na długiej liście Osmańczyka znajdujemy różne obiekty: szkoły, kościoły – ewangelickie, domy folksdojczów, zabudowania gospodarcze i kulturalne. Szczególną kategorię stanowią pomniki i cmentarze. Np. karta D58 dotyczy zbezczeszczenia grobu żołnierza niemieckiego we wsi Gąski (*Besudlung des Grabmals und Zerstörung der Kränze*). Z kolei karta D17 dokumentuje zamiar wysadzenia w powietrze pomnika SA-mana Horsta Hoffmanna w Kolbudach. Mam to w pamięci, gdy słyszę o zbezczeszczeniu gdzieś w Polsce cmentarzy żydowskich czy radzieckich przez „nieznanych sprawców". Nie wiem, kto to zleca, ale nie mam wątpliwości, że prowadzi on dokładną statystykę i zbiera dokumentację. Któregoś dnia zobaczymy podsumowanie – kolejną książkę polakożerczą. Autora kupi sobie ten sam zleceniodawca.



Clare Hollingworth w Katowicach

WITOLD TURANT

Winston Churchill w 1939 roku należał do najmniej popularnych polityków brytyjskich i uważany był nie tylko przez politycznych oponentów za wojennego podżegacza. Nie znaczy to bynajmniej, że Brytyjczycy nie mieli pojęcia, co dzieje się na kontynencie. Wiedzieli bardzo dobrze, tylko rozwiązanie militarne narastającego konfliktu uważali za najgorsze z możliwych. Pamiętali straszliwą cenę, jaką zapłacili za zwycięstwo przed dwudziestu jeden laty. Politycy uważali, iż jeśli starcia da się uniknąć, to należy w tym kierunku działać. Churchill natomiast należał do tego nielicznego grona, które było przekonane, że wojna jest tylko kwestią czasu i zamiast go tracić na jałowe rozmówki z niedużym, uczesanym „w ząbek" gościem z Berlina, należy się przygotować, by dać mu skuteczną nauczkę. Jak silne było przekonanie, że Europie, a przede wszystkim Wielkiej Brytanii się „upiecze", może świadczyć fakt, iż po geniusz strategiczny Churchilla sięgnięto dopiero w 1940 roku. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Jest jeszcze lato 1939 roku. Młoda pracownica funduszu Lorda Majora Londynu na rzecz uchodźców z Czech, Clare Hollingworth, opuszcza swoje biuro w Katowicach, by udać się na konsultacje do siedziby zarządu. Podczas pobytu w Londynie otrzymuje propozycję od Arthura Watsona, ówczesnego redaktora naczelnego „The Daily Telegraph" by udać się znów do Polski i pomóc tamtejszemu stałemu korespondentowi gazety relacjonować coraz bardziej zaogniającą się sytuację. Dla młodej kobiety jest to niesłychana gratka. Od wczesnej młodości marzyła o karierze dziennikarskiej, a relacjonowanie konfliktu, na jaki zanosi się w sercu kontynentu to dla niej ogromna, niewyobrażalna wręcz szansa. Zrobi wszystko, by ją wykorzystać.

W nowej pracy

Następnego dnia, po bardzo długim locie do Warszawy, z międzylądowaniem w Berlinie, jest już Warszawie. A oto fragment opisu jej podróży:

„W końcu wystartowaliśmy. Lot przebiegał bez incydentów aż do momentu, w którym zbliżyliśmy się do stolicy Niemiec. Gdy pilot wykonywał zwrot, spojrzałam ponad skrzydłem, gdzie wyłoniło się lotnisko Tempelhof. Betonowe pasy startowe zapełnione były samolotami „Lufthansy", które wycofano z ruchu przed kilkoma dniami. Każdy zakątek lotniska był zatłoczony niemieckimi myśliwcami ustawionymi nosami do ogonów, jak czarne insekty z powieści H. G. Wellsa „The Food of the Gods".

Zaraz po wylądowaniu Forrest i ja zostaliśmy oddzieleni od pozostałych pasażerów i doprowadzeni do zagrody zrobionej z drucianej siatki. Urzędnicy powiedzieli nam, że Hitler wygłosi tego dnia przemówienie w Tannenbergu, które będzie wypowiedzeniem wojny i jako dziennikarze mieliśmy zostać „przetrzymani" przynajmniej do czasu zakończenia transmisji radiowej. Przypuszczam, iż byłam zbyt młoda i niedoświadczona, by bać się tej sytuacji, która rozwiązała się po kilku godzinach, kiedy przez megafon ogłoszono, że przemówienie zostało przełożone na później. Zostaliśmy uwolnieni i powiedziano nam, że możemy lecieć do Warszawy.

Wystartowaliśmy ponownie i samolot trzymał się ściśle wyznaczonej trasy, na wysokości około 500 metrów. Na ziemi nie zauważyliśmy niczego szczególnego, co byłoby godne ostatniego rejsu brytyjskiego samolotu liniowego ponad Niemcami w przededniu wybuchu wojny.

Kiedy wylądowaliśmy w Warszawie, było już ciemno. Gdy przemierzaliśmy rzęsiście oświetlone ulice, nie zauważało się żadnych śladów napięcia. Od czasu do czasu z kawiarnianych ogródków dobiegała muzyka. W hotelu Europejskim zgłosiłam się do Hugh Carletona Greene'a, wysokiego, przyjaźnie usposobionego faceta. Teraz dochodzę do wniosku, że niewielu korespondentów w podobnych okolicznościach przyjęłoby tak radośnie obcą kobietę w charakterze asystentki. On jednak przyjął mnie rzeczywiście serdecznie.

W jego pokoju przy drinku przedyskutowaliśmy nasze plany.

Jedno z nas – powiedział – musi udać się na niemiecką granicę.

To mogę być ja – zaproponowałam. – Znam doskonale teren po obu stronach granicy w pobliżu Katowic i Krakowa. Mój niemiecki nie jest może idealny, ale mam wpływowych przyjaciół na Śląsku.

Zgodził się więc, żebym to ja pojechała.

Połączenie lotnicze pomiędzy Warszawą a Katowicami zawieszono z uwagi na pogarszający się kryzys polsko-niemiecki. Tak więc na południe wyruszyłam nocnym pociągiem. Zatrzymywaliśmy się na stacjach po drodze i widziałam policjantów oraz innych urzędników państwowych rozlepiających ogłoszenia o mobilizacji polskiego wojska."

Była świetnym materiałem na dziennikarkę. Bystra, szybko i wnikliwie myśląca, przedsiębiorcza i odważna. Pierwszy swój pomysł z gatunku tych, które otoczenie przyprawiają o palpitacje serca. zrealizowała już drugiego dnia po przyjeździe:

„Urzędnicy, których spotykałam, byli autentycznie radośni i ufni, że podczas nadchodzącej wojny, której większość z nich spodziewała się w ciągu najbliższych tygodni lub najdalej miesięcy, Polacy dadzą znienawidzonym Niemcom solidną nauczkę. W rzeczy samej optymizm widoczny był wszędzie. Niemniej jednak żony zamożnych mieszkańców Śląska zostały wysłane do Warszawy lub do innych miast w głębi kraju.

Granica z Niemcami była zamknięta. Przepuszczano jedynie oflagowane samochody, którymi niemieccy urzędnicy konsularni lub oficerowie sztabowi w cywilnych ubraniach przemieszczali się do woli w obie strony granicy. To podsunęło mi pewien pomysł i zapytałam Thwaitesa (konsula brytyjskiego w Katowicach – przyp. mój – W.T.), czy mogę pożyczyć jego samochód.

Dokąd się pani wybiera? – zapytał.

Do Niemiec – odparłam."

Przez granicę

„Wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem. Jednak pozwolił mi skorzystać ze swojego auta i w taki oto sposób wjechałam na terytorium Niemiec, a na masce samochodu powiewał „Union Jack". Nazistowscy oficerowie wydawali się cokolwiek zaskoczeni, gdy dotarło do nich, że salutują przed brytyjską flagą ale nikt nawet nie próbował mnie zatrzymać i bez żadnych kłopotów przekroczyłam granicę w Bytomiu. Miasto było prawie opustoszałe, gdyż ewakuowano niemal wszystkich cywilów poza kilkoma handlarzami. Mydło było ściśle racjonowane, dostępna była także aspiryna – ten fantastyczny niemiecki wyrób, natomiast oleje i inne tłuszcze były do nabycia jedynie za specjalnym pozwoleniem. Herbata, kawa z palonej kukurydzy, a także mięso, były racjonowane. A jednak pomimo tej bryndzy kelner, któremu kiedyś w przeszłości wręczyłam suty napiwek, przyniósł mi z restauracyjnej kuchni – kuropatwę.

Nadelektowawszy się tym posiłkiem wyruszyłam na zakupy, by zaopatrzyć się w taką ilość filmów do aparatu fotograficznego, jaka będzie możliwa, a także w wino, latarki elektryczne i inne rzeczy, których w Polsce brakowało.

Pojechałam wzdłuż ufortyfikowanej granicy przez Zabrze do Gliwic, które zamieniono w wojskową bazę. Kiedy wyjeżdżałam już z miasta wyprzedziło mnie sześćdziesięciu pięciu gońców na motocyklach z rozkazami, jadących bardzo ostro zwartą grupą. Na poboczach rozlokowano ogromne ilości wojska z setkami czołgów, wozów opancerzonych i dział polowych. Obok drogi rozciągnięto siatkę maskującą, by ukryć pojazdy wojskowe. Jednakże powiewała ona na wietrze, co pozwalało mi dostrzec wielkie ilości sprzętu przygotowanego do walki. Domyślałam się, że niemieckie dowództwo planuje uderzenie na północ od Katowic i ufortyfikowanych linii, i rzeczywiście, taki był, jak się okazało, kierunek niemieckiego natarcia w tej części Polski."

„[...] Następnego dnia wybrałam się do kilku pobliskich śląskich miast, by skontaktować się z pracującymi tam brytyjskimi poddanymi i w imieniu konsula ostrzec ich i namówić do wyjazdu. Na ulicach pojawiało się coraz więcej polskiego wojska pozdrawianego przez młodzież szkolną i dorosłych mieszkańców. W samych Katowicach każdy, kto tylko miał samochód pakował swoje manatki i kierował się poza miasto. Wszyscy słuchali radia: BBC oraz niemieckich i polskich radiostacji. Wojenne odliczanie zbliżało się do godziny zero."

Robiło się coraz goręcej. Do redakcji w dniu 31 sierpnia Clare przetelegrafowała swój pierwszy materiał, który wprawił naczelnego w osłupienie, ale i przekonał go, że nie będzie musiał żałować swojej decyzji. Tymczasem nad Katowicami zapadła noc. Mało kto przypuszczał i tu i w Londynie, iż jest to ostatnia noc pokoju w Europie.

A więc wojna

„Gdy pierwsze promienie światła dziennego przebiły niebo nad Katowicami w dniu 1 września, zostałam wyrwana ze snu przez eksplozję. Daleki ogień artyleryjski sprawiał wrażenie trzaskania drzwiami. Nad miastem wył silnik samolotu. I znów seria głośnych wybuchów. Z mojego okna – dochodziła wtedy godzina 5. rano – widziałam nadlatujące wysoko bombowce, a gdy spojrzałam w kierunku niemieckiej granicy, odległej o niecałe 30 kilometrów, ujrzałam rozbłyski towarzyszące wystrzałom armatnim. Nagle błyskawica rozdarła powietrze w parku, po chwili następna... i jeszcze jedna. A więc inwazja rozpoczęła się i Wielka Brytania oraz Francja znalazły się na krawędzi wojny z powodu obietnicy obrony Polski przed atakiem Hitlera.

Obudziłam Thwaitesa i rzuciłam się do telefonu, by powiadomić Robina Hankeya, drugiego sekretarza Ambasady Brytyjskiej w Warszawie.

Robin! – krzyknęłam. – Wojna się zaczęła!

Czy jesteś pewna, staruszko? – zapytał.

Posłuchaj! – Wystawiłam słuchawkę za okno mojej sypialni. Ryk silników czołgów otaczających Katowice był wyraźnie słyszalny. – Słyszysz to!? – krzyknęłam.

Wydał się przekonany i całkiem rozsądnie poradził mi, bym się jak najprędzej wydostała z Katowic. Rozłączyłam się i natychmiast wykręciłam numer Greene'a, by przekazać mu wiadomość. O godzinie 5.30 Greene skontaktował się z polskim MSZ-em w Warszawie.

Dowiedziałem się od naszego korespondenta w Katowicach, że Niemcy przekroczyli granicę i posuwają się naprzód – powiedział Greene.

Zupełny nonsens – usłyszał w odpowiedzi. – Nadal prowadzimy negocjacje.

Jednak kiedy tak sobie rozmawiali, w Warszawie zawyły syreny alarmu lotniczego. Po raz pierwszy nazistow-



Clare Hollingworth próbuje zupę ugotowaną w ulicznej kuchni, Pekin, 1974.

skie bombowce pojawiły się nad stolicą Polski i na miasto spadły bomby."

A więc kości zostały rzucone. Pierwszy dzień wojny obfitował w wiele wydarzeń, które należały już do rzeczywistości wojennej i dziennikarka, podobnie jak mieszkańcy miasta stanęła w ich obliczu po raz pierwszy. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, iż zaobserwowane przez nią sceny staną się znakiem czasów niemal w całej Europie na najbliższe niemal sześć długich lat. Clare Hollingworth przemierzała Katowice oraz okoliczne wsie i miasta w poszukiwaniu istotnych informacji, które brytyjskiemu czytelnikowi przybliżyłyby nie tylko przebieg walki, ale także tło konfliktu.

„Na przedmieściach Katowic i w okolicznych wsiach nie widać było paniki. Ludzie stali przed domami, nieco zaskoczeni i spoglądali w niebo. Nikt nie miał zamiaru uciekać.

Zatrzymałam się na widok polskiego kapitana, którego dobrze znałam. Jego ludzie maskowali i czyścili ciężkie działa.

Jest niedobrze – powiedział. – Nawet beton na naszych stanowiskach ogniowych jeszcze całkiem nie wysechł. [...]

Jadąc wzdłuż granicy do Rybnika poprzez nienaruszony wiejski krajobraz, a następnie wracając do Katowic ani razu nie byłam niepokojona jakimikolwiek przejawami walki w tym pierwszym dniu wojny. W niektórych miejscowościach, jakie odwiedziłam, nawet handel na targowiskach odbywał się normalnie. Zajrzałam do kilku kościołów spodziewając się w nich tłumu. Wszystkie były puste.

W Katowicach nastrój był inny. Członkowie straży przeciwlotniczej z żółtymi opaskami na rękawach widoczni byli na ulicach miasta, a na poboczach zaparkowane były karetki. Wstrzymano ruch kolejowy i autobusowy, rwała się łączność telefoniczna. [...] Dotarłam właśnie do konsulatu, gdy wszyscy rzucili się do okien. Trzydziestu lub czterdziestu młodych mężczyzn – najstarszy z nich nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat – prowadzonych było pod wzmocnioną strażą. Wszyscy mieli opaski ze swastyką. Gdy usłyszeli odgłos kanonady, ruszyli na ulice, krzycząc „heil Hitler!" jednak zamiast wzniecić powstanie, wpadli na oddział polskich żołnierzy, którzy szybko ich rozbroili.

W kilka minut później dwie ciężarówki zaklekotały na jezdni przed konsulatem. Były pełne robotników w podartych ubraniach, z twarzami umazanymi brudem i krwią. Przykucnęli otoczeni przez polskich żołnierzy. Ilekroć podnosiła się jakaś głowa, opadała na nią kolba karabinu. Byli to uczestnicy innej próby wzniecenia pronazistowskiego powstania, które się nie powiodło. Gdy wychodziłam z konsulatu na lunch, odkryłam, jaki rodzaj doraźnej sprawiedliwości wymierzyli im Polacy. Dojrzałam linię postaci z uniesionymi karabinami i gdy biegłam do samochodu usłyszałam huk salwy.

[...] Odczuwając realne zagrożenie nocnym atakiem na Katowice, zdecydowałam się spędzić noc w Krakowie, odległym zaledwie o 70 kilometrów, a do konsulatu powrócić następnego dnia rano."

Wojenna rzeczywistość obfitowała w niecodzienne i niewiarygodne, a jednak prawdziwe sytuacje. Clare Hollingworth, jak przystało na Brytyjkę, wychwytywała paradoksy strefy przyfrontowej dodające pieprzu jej relacjom.

„Spędziłam tę noc w Krakowie, który był całkowicie odcięty od informacji, a rano udałam się w drogę powrotną do Katowic. Na szosach pojawiły się już punkty kontrolne niemal w każdej miejscowości i nawet z moją przepustką podpisaną przez dowódcę armii „Kraków" (południowego zgrupowania wojsk) przedostanie się do Katowic zabrało mi sporo czasu. [...]

W Katowicach personel konsulatu starał się za wszelką cenę skontaktować z pewną Angielką, o której wiedziano, że pracuje w zakładach „Elektro", największej fabryce urządzeń elektrycznych w zachodniej Polsce. Ilekroć udawało im się dodzwonić, ktoś rzucał słuchawkę.

W końcu jakiś głos po tamtej stronie powiedział: – Na miłość boską, dajcie nam spokój, zakład się pali!

W kilka minut później pod innym numerem telefonu odezwała się zaginiona kobieta mówiąc:

– Przykro mi. Nie mogę opuścić zakładu. Niemcy już tu byli i wątpię, czy nasz specjalny pociąg ewakuacyjny kiedykolwiek odjedzie.

– To Niemcy już tam są?

– Tak, nie niepokoili nas. Kazali dalej pracować, a potem odeszli.

– To znaczy, że pani dzwoni spoza niemieckich linii?

– Nie ma żadnych linii. Oni odeszli.

Było to nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Przełamanie nastąpiło około jedenastej rano drugiego dnia wojny, ale władze cywilne Śląska dowiedziały się o tym dopiero wczesnym popołudniem. Napięcie w Katowicach sięgało zenitu. Trafiono radiostację, a ponadto krótko przed porą lunchu zbombardowano pociąg z amunicją i nastąpiła eksplozja, od której zatrzęsło się całe miasto. Napływały doniesienia z sąsiednich miejscowości. W Siemianowicach naziści wszczęli rebelię i podpalili za pomocą środków chemicznych większą część miasta. Około 20 kilometrów od Katowic płonęła fabryka kordytu i płomienie wznosiły się ponad horyzont. Nad naszymi głowami krążyły nieustannie niemieckie bombowce".

W odwrocie

„Późnym popołudniem polskie władze poprosiły brytyjskiego i francuskiego konsula, by wraz ze swymi współobywatelami opuścili Katowice. Zapakowałam swoją maszynę do pisania i pozostały skromny dobytek do samochodu Thwaitesa. Dołączyli do nasi brytyjscy pracownicy. Zadzwoniliśmy do francuskiego konsulatu, gdzie konsul, czarujący człowiek, nalegał, bym zabrała skrzynkę szampana, na którą zabrakło miejsca w jego aucie. Chodziło o to, by zaopatrzyć mnie na później w niezbędny napój orzeźwiający.

Kiedy wyjeżdżaliśmy, polski karabin maszynowy otworzył ogień do nurkujących nazistowskich samolotów, orzących ulice kulami i bombami. Wszyscy wyskoczyliśmy z samochodu w poszukiwaniu schronienia i w tej samej chwili nalot się zakończył, a my, pospiesznie powróciwszy na nasze miejsca w aucie, pospiesznie opuściliśmy Katowice."

W chwilach złudnego spokoju czy w odwrocie, który odbywał się szlakiem odwrotu polskiej armii, Clare nie zapominała, iż celem jej przyjazdu do Polski było przekazywanie relacji, bez względu na to, co się wydarzy. W owych czasach korespondent wojenny, zwłaszcza obcego państwa, był rarytasem na froncie czy też w jego pobliżu. Dlatego też stosunkowo łatwo było dziennikarce zbierać opinię liniowych żołnierzy, jak też uzyskać dostęp do generałów.

„– Panienka musi zrozumieć, że należy teraz trochę ustąpić pola, by wzmocnić nasze linie. Rzeczywista linia obrony musi rozciągnąć się pomiędzy rzekami Wisłą i Sanem – tłumaczył mi oficer.

– Poświęcicie zatem cały ten region? I przemysł ciężki Górnego Śląska?

– Jesteśmy na to przygotowani. W imię ostatecznego zwycięstwa. Polska straci nieco więcej terytorium podczas działań wojennych, po to, by potem zyskać więcej, o wiele więcej – później.

Podobnie jak wielu innych oficerów, zdawał się nie dostrzegać, że od początku inwazji armia polska przez cały czas była w odwrocie i że groziło jej rozbicie przez niemiecki Blitzkrieg na małe oddziały. Zamiast stosować się do rad brytyjskich i francuskich ekspertów w miesiącach poprzedzających wybuch wojny i prowadzić działania opóźniające oraz zorganizować przeszkody uniemożliwiające szybkie posuwanie się najeźdźcy, polskie dowództwo niezbyt mądrze skoncentrowało duże ilości wojska i sprzętu przy granicy. Niemieckie kolumny pancerne i zmotoryzowane wchodziły w nie „jak nóż w masło", jak wyraził się pewien polski generał, z którym rozmawiałam w kilka tygodni później."

Katowicka przygoda zakończyła się definitywnie 3 września rano. Kolejnymi etapami, po Krakowie były Lublin, Nałęczów, Łuck, Lwów. Była m.in. goszczona przez hrabinę Chodkiewicz w Płonce i tu dowiedziała się o drugim zagrożeniu, z którego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

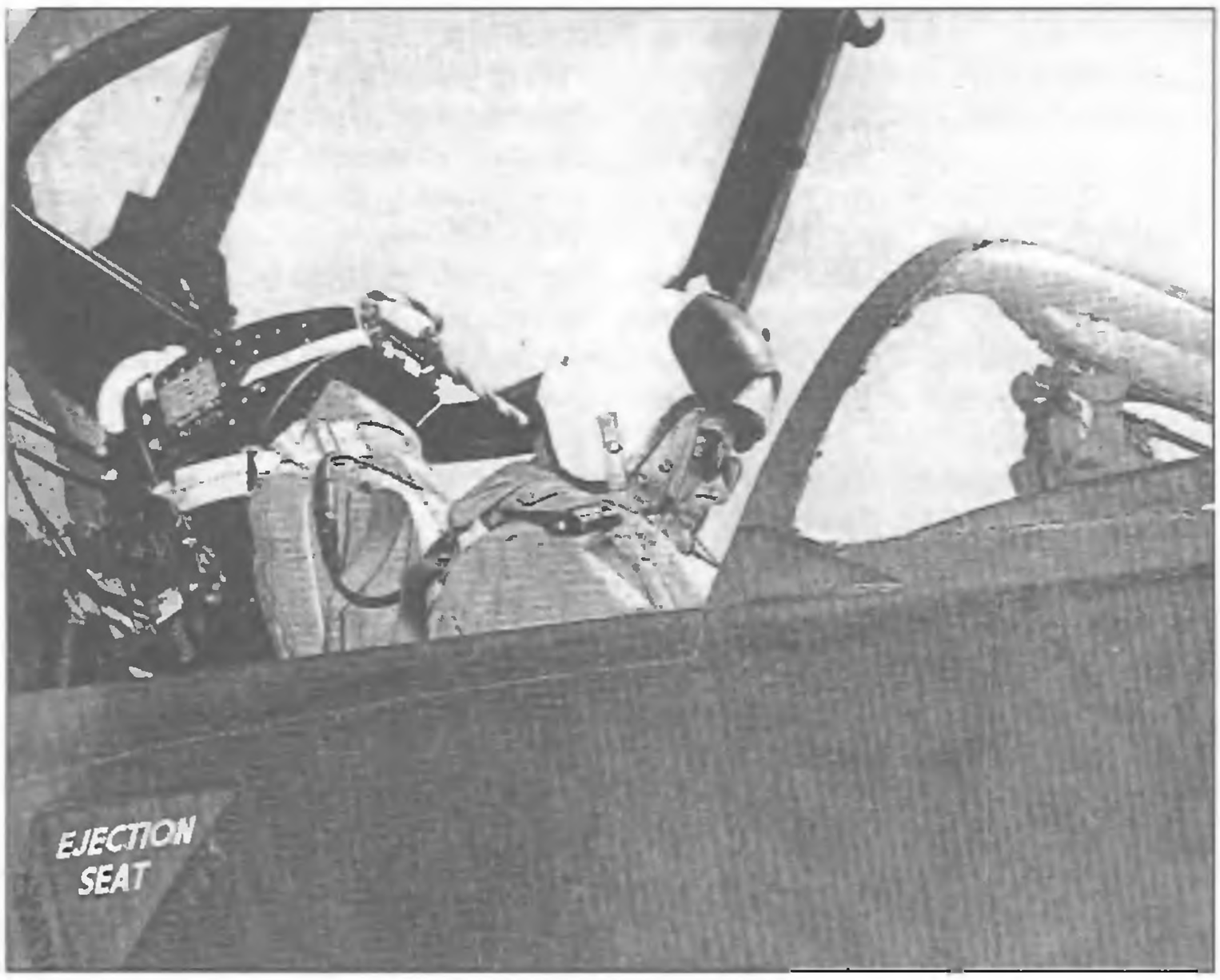
(Hrabina) „Wyglądała na kobietę po sześćdziesiątce i choć jej włosy były siwe, to skórę miała opaloną i delikatną, jak u kobiety o trzydzieści lat młodszej. Młodość także była w jej spojrzeniu, a wyrazistość jej oczu podkreślona była wydatnymi kośćmi policzkowymi, kontrastującymi z jej pociągłą twarzą. W obejściu była bezpośrednia, z pewną domieszką szorstkości, co czyniło ją, podobnie jak i wieśniaków, częścią tamtej okolicy. Miała w sobie także stoicką godność. Zdawała sobie już wtedy sprawę, iż być może jej dni są policzone. A jednak ograniczyła się tylko do stwierdzenia: – Mademoiselle, czy pani wie jaka jest odległość do rosyjskiej granicy? Sto pięćdziesiąt kilometrów. To nie o Niemcach myślimy tu z niepokojem."

Ku Zaleszczykom

Kolejne etapy to Dubno, Krzemieniec i wreszcie Zaleszczyki. Pośród opisów różnych dziwnych zdarzeń znalazło się miejsce i na taki epizod:

„Tego wieczoru zostałam zaproszona na kolację w szopie należącej do zabudowań, które mogły być opuszczoną szkołą. Przy rozstawionych na kozłach stołach w dużej pustej sali polski rząd usiłował podejmować korpus dyplomatyczny oraz personel swojego ministerstwa spraw zagranicznych.

Ministrowie, sekretarze ambasad, dyrektorzy departamentów, Chińczycy, Włosi, przedstawiciele państw Środkowej i Południowej Ameryki siedzieli stłoczeni na ławkach jak uczniowie. Miejsca nie starczyło nawet dla jednej czwartej z nich. Niektórzy jednak woleli uniknąć młyna, jak na meczu rugby. Amerykański ambasador Francis Biddle wraz ze swą żoną i córką siedział w kawiarni naprzeciw w towarzystwie Sir Howarda (Kennarda, ambasadora Wlk. Brytani – przyp. W.T.). Nagle rozpętało się szaleństwo. Sir Howard zostawił włączone, mimo nakazu zaciemnienia, pełne światło w ambasadzie, zamknąwszy drzwi na klucz. Strażnik najpierw dobijał się do budynku, a następnie dopadł go na tym przyjęciu, by dostać klucz do drzwi. Klucz, oczywiście, znaleziono i przestępcze światło zostało wyłączone. Przy kolacji złożonej z jajka i porcji ryżu wpadłam na wspaniały pomysł powrotu do Warszawy. Powiedziano mi, że choć to brzmi dziwnie, droga do stolicy jest nadal otwarta, natomiast odwrót i naloty przestały być atrakcyjnym tematem, a zatem czemu nie spróbować i nie napisać ostatniej relacji z miasta przed wkroczeniem Niemców? Moja sugestia została powitana z przerażeniem. Następnie wywiązała się bardziej rzeczowa dyskusja. Ostatecznie dwie Angielki ugrzęzły w Warszawie, był Brytyjczyk w szpitalu w Lublinie,



Panna Clare Hollingworth gotowa wyruszyć na podbój świata, Lossiemouth. 1966.

mogli być jeszcze inni.... W samej rzeczy kilkoro Anglików zostało opuszczonych przez brytyjską ambasadę, która w zamieszaniu wywołanym wybuchem wojny nie była w stanie ustalić miejsca ich pobytu."

Siedziałam na skrzynce po mydle z panią „Peter" Norton rozkoszując się rarytasem w postaci szklanki sherry, gdy Sir Howard wszedł i pozdrowił mnie.

– Hmm, szczególna z pani kobieta, panno Hollingworth – powiedział. – Co pani robi w środku tego zamieszania? To głód adrenaliny, jak przypuszczam?

– Jestem dziennikarką, Sir Howard. W ten sposób zarabiam na życie."

I pojechała, tworząc wstrząsającą relację z ostatnich chwil wolnej Warszawy i opowiadającą o epopei rozbitej polskiej armii cofającej się, walcząc, na wschód. Najbardziej zdumiewające jest jednak to, iż udało się jej szczęśliwie powrócić nad rumuńską granicę i dołączyć do tłumu uciekinierów. W jej relacjach coraz częściej pojawiały się sceny bulwersujące opinię w demokratycznej części świata – obrazy ostrzeliwanych grup ludności cywilnej, naloty na szpitale, przydrożne rowy pełne zabitych kobiet i dzieci. To m.in. dzięki niej świat pozbył się złudzeń, co sposobu prowadzenia wojny przez Niemcy.

Tak dotarła do Zaleszczyk, gdzie przeżyła zaskakujące spotkanie:

„15.000 uciekinierów tłoczyło się na ostatniej drodze ucieczki do Rumunii. Wyglądało na to, że zjedli już wszystko co tylko było można w każdym sklepiku i restauracji. Weszłam do lokalu pod szyldem „Kafe Klub" i zwróciłam się do żydowskiej dziewczyny po niemiecku, prosząc o coś do jedzenia. Była cicha, spokojna i miała przemiły uśmiech.

„Żem słyszała, że cóś się szykuje. Co byś pani chciała zamówić? – odpowiedziała z cudownym, kochanym akcentem z Whitechapel.

Jeśli można, to zjadłabym jakiś lunch. – Się robi. Te ludzie w ogóle nie wiedzą, co robią. Chono tu, Fritz! – wydała polecenie w kiepskiej niemczyźnie.

Kto by pomyślał! Wyszła za mąż za Polaka, mieszkała na tym zadupiu środkowej Europy i wciąż emanowała cockneyowski spryt rodem z Mile End Road. Kilka tygodni później widziałam ją, jak wykłócała się z cockneyowskim tupetem w brytyjskiej ambasadzie w Bukareszcie o wizę wjazdową, by wrócić do swych rodziców. I otrzymała ją."

Był to jednak ostatni jaśniejszy akcent w polskiej odysei Clare Hollingworth. Wszystko zmierzało nieuchronnie do tragicznego końca. Nadszedł dzień 17 września. Wtedy to w chłopskiej chacie odbyło się spotkanie Sir Howarda Kennarda z pułkownikiem Beckiem. Clare Hollingworth była świadkiem tego spotkania.

„W chałupie Beck przywitał go słowami: – Drogi ambasadorze, muszę pana poinformować, iż rosyjskie siły zbrojne przekroczyły naszą granicę i posuwają się w głąb kraju. Czeka nas całkowita i niechybna klęska. Radzę niezwłocznie opuścić nasze terytorium.

Sir Howard wrócił do ambasady, spakował swoje rzeczy po raz ostatni podczas tego exodusu z Polski i wyruszył wraz z personelem w kierunku rumuńskiej granicy.

Tego samego dnia w południe major Colbourne, amerykański attachee wojskowy jechał samochodem drogą Tarnopol – Zaleszczyki, gdy znalazł się twarzą w twarz z ogromnym 60-tonowym czołgiem. – Zastanawiałem się, – opowiadał później, – jak u licha udało się Francuzom dostarczyć te nowe czołgi do Polski. – Podjechał bliżej i wysiadł z samochodu, żeby lepiej się przyjrzeć. Wtem otworzył się właz i wyjrzał z niego żołnierz w płaskiej śmiesznej czapce ozdobionej gwiazdą, sierpem i młotem. Major Colbourne wsiadł do samochodu i odjechał".

Należy także wspomnieć, iż to właśnie Clare przekazała zachodniemu światu informację o najbardziej niegodnej propozycji, jaką można było Polsce złożyć w takim momencie. Miało to miejsce na dzień lub dwa przed sowiecką inwazją. Sowiecka dyplomacja próbowała się posłużyć do swych celów.... amerykańskim ambasadorem.

„Biddle (ambasador USA w Warszawie – przyp. W. T.) został zaproszony do sowieckiej ambasady – naprzeciw hotelu Bono i wprowadzony do zaciemnionego pokoju, który służył jego sowieckiemu koledze zarówno jako sypialnia, jak i jako *salle de reception*. Z niejakim zaskoczeniem zobaczył chleb, wódkę i całe masy kawioru rozłożone na zgrzebnym obrusie. Po skosztowaniu tych delikatesów zapytał Rosjan, jak weszli w ich posiadanie. Wyjaśnili mu, iż bliskość sowieckiej granicy sprawia, iż wystarczy złożyć zamówienie, by te dobra zostały przesłane. Następnie ambasador sowiecki ujawnił powód, i to powód szczególny, dla którego Biddle został zaproszony do ambasady.

Czy amerykański ambasador zechciałby spytać pułkownika Becka, polskiego ministra spraw zagranicznych, czy polski rząd mógłby zaprosić Armię Czerwoną do wschodniej Polski, by zapewniła tam ład i porządek, a także, by powstrzymała Niemców przed zajęciem tych terenów. Biddle był zaskoczony. Wskazał, iż jest bardzo mało prawdopodobne, by polski rząd z taką inicjatywą wystąpił, a ponadto on sam nie uważa za stosowne wspomnieć o tej propozycji pułkownikowi Beckowi, nawet całkiem prywatnie. Lecz przecież polski minister spraw zagranicznych mieszka o kilka metrów od rosyjskiej ambasady, dlaczego więc rosyjski ambasador nie zada mu tego pytania osobiście?

Jeszcze tego samego dnia, w późniejszych godzinach, rosyjski ambasador złożył wizytę w ambasadzie amerykańskiej. Otóż tak, widział się z pułkownikiem Beckiem, ale usłyszał, iż jest absolutnie wykluczone, by Polacy zwrócili się do Rosjan po pomoc. Rosjanin oznajmił, iż w zaistniałej sytuacji musi się pilnie skontaktować z Moskwą, a to oznacza konieczność przekroczenia granicy w celu znalezienia odpowiedniego telefonu. Następnego ranka cały personel sowieckiej ambasady wyjechał. W dwie godziny później miał miejsce morderczy nalot."

Opisana sytuacja dowodzi niezbicie, iż sowieci mający w Polsce status dyplomatów po prostu wystawiali niemieckiemu lotnictwu ważne cele, a Niemcy rewanżowali się sojusznikowi przeprowadzając terrorystyczne naloty w celu wymuszenia korzystnych dla sowietów decyzji.

I koniec, i początek

Wreszcie nadszedł moment najsmutniejszy, kiedy na moście granicznym w Zaleszczykach pojawiła się kolumna rządowych samochodów. Dla Clare Hollingworth był to końcowy akord jej polskiego epizodu:

„Kiedy przejechali, dojrzeliśmy w zapadającym zmierzchu światła kolejnej kolumny samochodów na północnym brzegu Dniestru. Kolumna zatrzymała się na przeciwległym krańcu mostu. Elegancki młody człowiek przebiegł przez most i wdał się w rozmowę z rumuńskimi pogranicznikami. Pobiegł z powrotem i pierwszy samochód ruszył. Na jego progach stali dwaj mężczyźni z gołymi głowami i w prochowcach. Samochód zatrzymał się, dokumenty i pistolety maszynowe zostały wręczone strażnikom. Jeden z nich zajrzał do wnętrza samochodu i zasalutował. Na tylnym siedzeniu dostrzegłam ciemną postać z plamą białych włosów. Tak oto prezydent Mościcki udawał się do Rumunii na wygnanie. W następnym samochodzie był pułkownik Beck z żoną i córką. Samochód za samochodem, ciężarówka za ciężarówką, wypakowane bagażami przejeżdżały przez most i zjeżdżały ze wzgórza śladami prezydenta."

* * *

Clare Hollingworth wraca przez Bukareszt do Londynu. Trzygodniowy pobyt w Polsce daje jej doskonałą pozycję przetargową wobec wielu redakcji, dla których taki korespondent byłby darem niebios, zwłaszcza że nie zanosi się ani na krótką, ani na lokalną wojnę. Wielka Brytania i Francja teoretycznie są od 3. września w stanie wojny z Niemcami. Na terenie Francji, na ziemiach, które weteranom poprzedniej wojny śnią się po nocach jak koszmar, rozpoczyna się coś, co nazwano w Anglii phoney war (kantowana wojna), a we Francji drôle de guerre (jaja z wojny). Wschód Europy jest w tym czasie polem zmagań dyplomatycznych, których celem jest wyrwanie Bałkanów, Grecji i Bliskiego Wschodu spod wpływów brytyjskich, by przygotować południowy wschód Europy na niemieckie uderzenie militarne. Celami pośrednimi są rumuńskie i bliskowschodnie pola naftowe, a celem ostatecznym.... Ale wtedy mało kto uważał taki scenariusz za realny.

Szlak dziennikarsko-bojowy brytyjskiej dziennikarki wiódł od Rumunii, przez Bułgarię, Grecję, Albanię, Palestynę do Egiptu i Libii. Kiedy zakończyła się wojna, Clare Hollingworth była już prawdziwą gwiazdą brytyjskiego dziennikarstwa, a szczególnie reportażu wojennego.

Warto zauważyć, iż obok wrażliwości na ludzkie losy w wojennym krajobrazie i autentyczne współczucie dla ofiar wojennych konfliktów, w jej dziennikarstwie daje się zauważyć fascynację wojną jako fenomenem w stosunkach pomiędzy społecznościami. Sama dziennikarka uważa, iż korzenie tej fascynacji sięgają jej głębokiego dzieciństwa, kiedy towarzyszyła swemu ojcu w wyprawach na pola słynnych bitew, co było jego szczególnym hobby.

„Ludzie często mnie pytali, jak to się stało, że ja, kobieta, jestem tak zafascynowana wojną. To się zaczęło, gdy mój ojciec, który starał się od moich najwcześniejszych lat zaszczepić mi zainteresowanie historią, literaturą, a także, choć może w mniejszym stopniu, geografią, zabrał mnie podczas wakacji na pola dawnych bitew pod Naseby i pod Bosworth. Później pojechaliśmy do Francji by zwiedzić Crécy, Poitiers i Agincourt. Ojciec zawsze starał mi się zwięźle wyjaśnić uszykowanie wojsk, kto atakował, gdzie i dlaczego, jakie błędy popełniono i jaki był ich wpływ na klęskę, wyjaśniał mi przyczyny bitew – że wojna w rzeczywistości była i jest zawsze przedłużeniem polityki, ostatecznym wynikiem porażki poniesionej przez mężów stanu w ich usiłowaniach utrzymania pokoju. Tak więc dawne pola bitew zawsze posiadały dla mnie pewien rodzaj magnetyzmu."

Powojenny świat

Świat po zakończeniu wojny nadal nie był spokojny. Wojna w Korei, kryzys Sueski, wojna, w Algierii, utarczki z OAS we Francji i przejęcie odpowiedzialności za państwo jej starego znajomego, gen. De Gaulle'a, wojna w Wietnamie – to tylko niektóre z wielu konfliktów relacjonowanych przez Clare Hollingworth. Oto jak ją wspomina pewna starsza Brytyjka, wierna czytelniczka prasy konserwatywnej: – Clare była dla nas jak wyrocznia. Nie dlatego, że pisała to, co chcieliśmy przeczytać. Starała się być jak najbardziej bezstronna i jej komentarze były cenione bez względu na punkt widzenia czytelnika. Wiele osób czytywało „Telegraph" wyłącznie dla niej.

Dodajmy, iż pisywała także do innych gazet, niekoniecznie konserwatywnych.

Ostatnią kampanią, w której uczestniczyła była amerykańska interwencja na Grenadzie w 1984 roku. Później osiedliła się w Hong-Kongu, mimo że jego powrót do Chin był przesądzony i mieszka tam do dziś. Tu odrobina niedyskrecji, ale popełnionej w imię dziennikarskiej rzetelności: Clare Hollingworth liczy sobie 98 lat i jest w nienajlepszej kondycji fizycznej. Do niedawna jednak często zaglądała do baru Międzynarodowego Klubu Dziennikarzy w Hong-Kongu, by wychylić tradycyjną szklaneczkę ginu z tonikiem. Można powiedzieć, że jest nestorką tamtejszego środowiska dziennikarskiego.

W 1999 roku odwiedziła ponownie Katowice. Przejechała swoją dawną trasę (Katowice, Chorzów, Bytom, Zabrze, Gliwice, Katowice) w towarzystwie obecnego konsula honorowego Zjednoczonego Królestwa Alana Artura Strettona i jednego z redakcyjnych kolegów z „Daily Telegraph", w którym w jednym z wrześniowych numerów przed dziesięciu laty ukazał się obszerny artykuł relacjonujący jej pobyt oraz pokazujący dzisiejszy Śląsk. Dziennikarka przejeżdżając nieopodal trwającej wtedy budowy zakładów Opla, skomentowała to tak, iż Europa zmieniła się w oczywisty sposób, jeśli Niemcy do miejsca, w którym kiedyś koncentrowali czołgi na wojnę z Polską przychodzą dziś z ogromną inwestycją, zapewniającą pracę i przyzwoity poziom życia wielu ludziom. Jej wizyta świadczy o tym, iż o Katowicach nie zapomniała. Natomiast Katowice i Śląsk wiedzą o niej bardzo niewiele lub nic.

Oto jak Alan Stretton wspomina tę wizytę:

„Było to latem 1999 roku. Robin Gedye, dziennikarz Daily Telegraph zadzwonił do mnie z Londynu. „Przyjeżdżam do Katowic w związku z moim artkułem na temat 60. rocznicy wybuchu wojny. Czy mogę pana odwiedzić?".

W kilka tygodni później Gedye pojawił się w moim biurze w towarzystwie energicznej starszej damy, którą okazała się Clare Hollingworth. W towarzystwie ich obojga spędziłem niezwykle interesujący dzień, dowiadując się z pierwszej ręki o niezwykle ważnych wydarzaniach w historii ubiegłego stulecia. Próbowaliśmy także zrekonstruować topografię tych kilku dni sprzed 60 lat tak ważnych dla Clare i Europy.

Clare rozpoznała wiele miejsc – na przykład plac Wolności, gdzie mieścił się ówczesny brytyjski konsulat u wylotu ulicy 3 Maja. Próbowaliśmy także odnaleźć rezydencję brytyjskiego konsula, Johna Thwaitesa. Clare była niemal pewna, iż było to gdzieś w górnej części obecnej ulicy gen. Zajączka.

Przejechaliśmy także moim samochodem trasę zbliżoną do trasy jej wypadu do Niemiec. Wierne odtworzenie ówczesnej trasy było już niemożliwe. Zbyt wiele się w aglomeracji zmieniło. Widok radiostacji w Gliwicach ożywił pamięć Clare do tego stopnia, iż była pewna, że rozpoznaje w okolicach ulicy Portowej miejsce, w którym w sierpniu 1939 roku widziała niemieckie czołgi...

Czułem się zaszczycony. Poznałem niezwykłą osobę, znakomitą dziennikarkę i mogłem jej towarzyszć w podróży przez historię."

Sądzę, iż Clare Hollingworth jest postacią, którą zwłaszcza z okazji okrągłej rocznicy wybuchu wojny warto katowiczanom, a także pozostałym mieszkańcom Śląska przypomnieć. Pięć lat temu Brytyjsko-Polska Izba Handlowa patronowała sesji naukowej zorganizowanej przez Bibliotekę Śląską pod hasłem „The First One To Know, The Last One To Leave" (Pierwsza się dowiedziała, ostatnia nas opuściła). Może nadeszła już pora na kolejny krok. Powstają nowe osiedla, wytyczane są nowe ulice. Sądzę, iż nie byłoby nic niewłaściwego w tym, by jedna z katowickich ulic nosiła imię osoby, która przekazywała światu relację o najtrudniejszych momentach w dziejach miasta, co chciałbym poddać pod rozwagę czcigodnym katowickim rajcom. Bo jestem o tym głęboko przekonany, iż tej dzielnej kobiecie coś się od nas należy. ■

Freikorps na granicy wojny

BARTOSZ WARZECHA

Ostatnie lato pokoju na Górnym Śląsku było nadzwyczaj gorące i niespokojne. Nocą granica polsko-niemiecka ożywała rojem tajemniczych cieni. Przemytnicy zacierali ręce, ale wzmożony ruch to oznaka rodzącej się w niemieckiej części Śląska nowej a jakże dobrze z przeszłości znanej Ślązakom formacji – Freikorpsu.

Ta szeroko eksponowana w literaturze przedmiotu formacja nie posiada jednak w Polsce odpowiednio bogatej historiografii, toteż pozwolę sobie przekazać garść podstawowych informacji na temat jej początkow, które sięgają czasów wojen Prus z Napoleonem.

Rodowód i dzieje formacji

Przyjmuje się, że pierwszą akcją Freikorpsu, czyli korpusu ochotników, był zryw majora von Schilla, który na czele 2 regimentu huzarów, 28 kwietnia 1809 roku wymaszerował z Berlina. W trakcie krótkiej antynapoleońskiej kampanii jego pułk przygarniał drobne oddziały różnych rodzajów broni, tworząc jednostkę niewielką, ale o rozbudowanej strukturze. Stąd zapewne mamy do czynienia z korpusem ochotniczym, czyli freikorpsem. Jak podkreślano, cechą tego pierwszego freikorpsu był pełen profesjonalizm wojskowy. Klęska oddziału majora von Schilla nie przeminęła bez echa. Już wkrótce, bo w latach 1813/4 walkę przeciw Napoleonowi podjął freikorps Adolfa von Lützowa, jednak ta formacja, jak zresztą cała pruska landwera była wojskowo nieprzygotowana do wojny – a jej dokonania jak konstatuje niemiecki historyk Treitschke – wyolbrzymiono.

Akcja Schilla była o tyle spektakularna, że prowadzona bez inspiracji naczelnego dowództwa, przez wojskowego z zamiarem osiągnięcia skutku politycznego, co dla niektórych było tylko objawem „samowoli" von Schilla, czy reakcją na upokorzenie armii pruskiej. To, co wyróżniało korpus von Schilla spośród różnego rodzaju formacji ochotniczych, to swoista kadrowość.

W burzliwym okresie po pierwszej wojnie światowej na nowo odżyła idea korpusów ochotniczych. 14 grudnia 1918 roku na bazie 214 dywizji piechoty generała Maerckera sformowany Freiwilligen Landjägerkorps należał do jednych z pierwszych w republice weimarskiej. Istotne w całym tym zdarzeniu było to, że oddział Maerkera podporządkowany był dowództwu naczelnemu. Ustalono wówczas pewien schemat funkcjonowania nietypowej formacji i tym co wyróżniało freikorps był zaciąg ochotniczy. Od kandydata oczekiwano przeszkolenia wojskowego, co ówcześnie po zakończonej właśnie wojnie było warunkiem raczej formalnym; służba trwać miała minimum 30 dni. Wkrótce w zagrożonych rewolucją komunistyczną z jednej strony i dezintegracją granicy wschodniej z drugiej strony Niemiec, jak grzyby po deszczu mnożyły się formacje ochotnicze. Specjalnie dla ziem wschodnich powołano Armee Oberkommando Heimatschutz Ost, które ostatecznie przekształcono w Armeeoberkommando Grenzschutz Süd i Nord. Zadaniem Armeeoberkommando Grenzschutz Süd była ochrona integralności Niemiec na obszarze Śląska i tłumienie antyrządowych rozruchów.

Na Górnym Śląsku podstawą tworzenia formacji ochotniczej była 117 dywizja piechoty generała Höfera. Dywizji przekształconej w grenzschutzdivision a potem w Reichswehrbrigade 32 podporządkowano mniejsze oddziały ochotnicze w tym Detachement von Aulocka, Freikorps Hasse, Oberschlesisches Freiwilligen Freikorps. Ta ostatnia jest ze wszech miar interesująca ponieważ rekrutowana była z Górnoślązaków i wspierana finansowo przez górnośląskich przemysłowców. Przez szeregi górnośląskiego Freikorpsu przewinęło się ok. 4000 ludzi.

W trakcie III powstania na Górnym Śląsku do walki stanęło ponownie wiele ochotniczych formacji w tym: von Heydebrecka, Berghoffa, Laubego, Rossbacha, Strachwitza często przybyłych z daleka: jak bawarski freikorps Oberland. Około 60 różnych oddziałów zostało podporządkowanych dowodzonej przez pułkownika von Schwarzkopfa a potem przez generała Höfera Selbstschutz Oberschlesien. Dzialalność większości korpusów ochotniczych prócz swojej czysto militarnej funkcji nie stroniła od zadań pacyfikacyjno-policyjnych. Co znaczyło się szeregiem, typowym dla wojny domowej okrucieństw.

Freikorps znów odżywa

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu przygotowując plan natarcia na Polskę w 1939 roku stanęło przed problemem forsowania systemu fortyfikacji, coraz gęściej opasujących śląski okręg przemysłowy. Ostatecznie zaakceptowano pomysł natarcia obchodzącego – formacjami regularnymi i szturmu fortyfikacji specjalnymi oddziałami. Pomysł

podsunięty był przez Abwehrę, która zaczęła w tej materii zdobywać doświadczenie formując w 1938 **Freikorps Sudetenland.** Koncepcja ta wydała się na tyle kusząca i rokująca nadzieję, że została przyjęta.

Wiele wskazuje na to, że odpowiedzialna za przedsięwzięcie wrocławska Abwehra już od 1936 roku angażowała się w rozbudowę siatki dywersyjnej w województwie śląskim. Wystarczyło więc aby wrocławska centrala wprawiła w ruch uśpioną machinę. Pod koniec maja 1939 roku Abwehra zgłaszała gotowość 2465 osób z przeznaczeniem do różnego rodzaju zadań dywersyjnych, by z końcem lipca osiągnąć stan 4474 osób. Tak dynamiczny rozwój siatki dywersyjnej nie był możliwy bez sprzyjających okoliczności i wcześniejszych przygotowań a przede wszystkim sprzyjającej werbunkowi specyficznej atmosferze głębokiego podziału widocznego nie tylko na mapie ale przede wszystkim u części mieszkańców. Roznieconv w wyniku powstań śląskich konflikt narodowościowy obustronnie umiejętnie podsycany tlił się, by wybuchnąć z nową siła w 1939 roku.

Wprawdzie ogromna większość mieszkanców nie pragnęła niczego poza spokojem i pokojem, to zbliżająca się groźba konfliktu stanowiła dla wielu możliwość realizacji swoich politycznych, a często osobistych oczekiwań. Umiejętnie manipulowana część społeczności wierzyła w odzyskanie Śląska przez Rzeszę. Sukces Hitlera w Austrii a później w Sudetach stanowił solidną podstawę tej wiary. Z drugiej strony wierzono nawet w przesunięcie granic nad Odrę i Nysę oraz w zwycięski pochód na Berlin. Obustronnie mnożyły się zarzuty o stosowaniu przemocy, nie bezpodstawnie zresztą. Formalnie sanacja śląska deklarowała poszanowanie konstytucyjnych praw mniejszości niemieckiej – praktycznie stosowała szereg środków, by w ostatecznym rozrachunku zlikwidować tę mniejszość. Grażyński prowadził swoją „politykę zagraniczną" co dzieliło część społeczeństwa województwa śląskiego popychając je do czynnej konfrontacji. Tym łatwiej w zaistniałej sytuacji sztabowcom po obu stronach granicy przyszło wykorzystać potencjał społeczny do poparcia wysiłku zbrojnego. Pokłosiem tego była w Polsce mobilizacja w oparciu o **Związek Powstańców Śląskich, Związek Rezerwistów, Związek Powstańców Wielkopolskich i inne mniejsze grupy tzw. batalionów powstańczych, a w Niemczech tzw. Freikorps.**



Freikorps Ebbinghaus prowokuje incydenty na granicy śląskiej.

Zarzucana przez niemiecki wywiad sieć miała wyspecjalizowane „piony": **Regimentsorganisationen (w wojsku), Sabtage Organisationen, Betriebschutz i Kampf Organisationen,** przy czym w tej ostatniej wyodrębniono początkowo trzy grupy: **Olza, Pszczyna i Górny Śląsk Wschód. Ciekawostką jest fakt, że jakaś część zwerbowanych współpracowników należała do Związku Powstańców Śląskich.**

Część zwerbowanych powoli przenikała do Niemiec by przechodzić kursy dywersyjne, m.in. na poligonach w Agnetendorf, Neuenhammer czy Lamsdorf, a następnie wrócić na obszar Polski. Całości miały dopełnić trzy bataliony szturmowe, rekrutowane z polskich dezerterów. Ich pierwotnym zadaniem było przełamanie śląskich umocnień. Podstawą zaskoczenia i gwarantem powodzenia miało być m.in. przebranie jednostek w polskie mundury, co jednak kategorycznie zostało odrzucone przez Hitlera.

W sierpniu nastąpiła wolta niemieckich planów wykorzystania formacji dywersyjnych na Śląsku, do czego zapewne przyczyniła się wzmagająca się fala uchodźców, dekonspiracja siatki Abwehry i odrzucenie przez Hitlera idei wykorzystania batalionów. Ostatecznie zwycięża plan, którego ukoronowaniem jest powstanie Sonderformation Ebbinghaus, nazywanej czasem Freikorps Ebbinghaus, przy czym nie był to jedyny oddział Abwehry.

Po raz kolejny na kartach historii Śląska pojawia się korpus ochotniczy. Tym razem duchem sprawczym okazała się wrocławska Abwehra. Oddział kapitana Ernsta Ebbinghausa powstał w miejsce części Organizacji Bojowej Górny Śląsk obecnej w Nowym Bytomiu, Siemianowicach, Chorzowie, Piekarach Śląskich, Knurowie i Radzionkowie, oddziałów ochrony zakładowej zakonspirowanych na tym obszarze oraz batalionów szturmowych. Osoby które zasiliły szeregi jednostki posiadały znakomitą orientację w terenie, przeszkolenie wojskowe, co napawało niemieckie dowództwo nadzieją na pomyślne i skuteczne przeprowadzenie operacji. Jak raportował polski wywiad w obozach filtracyjnych Ślązaków zbiegłych do Niemiec prowadzono ewidencję osób przeszkolonych wojskowo namawiając do przyłączenia się do „Freikorpsu". Wstępną rekrutację prowadzono również wśród osób, które udawały się do Niemiec w ramach małego ruchu granicznego.

Dlaczego sięgnięto do nazwy Freikorps i kto jej użył pozostanie zagadką. Czy był to element reklamy, czy po prostu jego członkowie pomni tradycji zaczęli go tak nazywać? Nie wiadomo. **Sam Ebbinghaus potwierdza jedynie potoczność używania słowa Freikorps.**

Dywersja i napaści przygraniczne

Sonderformation Ebbinghaus nie była formacją jednolitą. Jego

Biblioteka Śląska

członkowie z całą pewnością nie tworzyli zgranego oddziału, bo na to zabrakło po prostu czasu. Ogólne dowodztwo sprawował kapitan Ernst Ebbinghaus. Freikorps podlegał Abwehrze we Wrocławiu i Grupie Armii „Południe". Od 2 września podporządkowany był VIII korpusowi. O jego zdolności bojowej decydować mogła charyzma poszczególnych dowódców kompanii. Wśród bardziej głośnych nazwisk można wyróżnić Otto Ramdohra, Wilhelma Pissarskiego, Karla Rollego, Ewalda Wulfena. Ramdohr, Rolle i Pissarski posiadali już doświadczenie podobnych eskapad z okresu sudeckiego. Byli więc swego rodzaju fachowcami wypróbowanymi przez Abwehrę. Pissarski posiadał również na swoim koncie staż freikorzysty jeszcze w okresie powstań śląskich. Ich zaangażowanie w SA dawało gwarancję pewności ideologicznej. Przeszłość bojówkarska predysponowała do niebezpiecznych zadań, a szczególnie do zadań pacyfikacyjnych. Na uzbrojenie dostarczone przez wrocławską Abwehrę składało się przeważnie czeskie uzbrojenie.

Powszechnie przyjęto, że wojna rozpoczęła się 1 września 1939 roku o 4.45 – zgodnie z ogólnym rozkazem natarcia. Ostatnimi czasy „palmę pierwszeństwa" próbuje przejąć miasto Wieluń, dokonując zresztą błędnych rachub, bo sugerując jakoby miasto zbombardowano o 4.40. Tymczasem Sonderformation Ebbinghaus hasłem „Falke" – Sokół, przeszła do natarcia o godzinie 3 rano.

Celem zaskakującego uderzenia wyprzedzającego natarcie wojsk regularnych były: kopalnia Bielszowice, Huta Zygmunt, kopalnia Walenty-Wawel; jest bardzo prawdopodobne, że w tym rejonie dowodzili Ramdohr, Rolle i Wulfen. Drugim celem natarcia były kopalnie: Orzeł Biały i Radzionków oraz Huta Łazarz. Trzeci klin prowadził osobiście Wilhelm Pissarski a wymierzony był w kopalnię Michał.

Silna kompania dowodzona przez Sturmbannführera Pissarskiego przeniknęła przez granicę opanowując kopalnię Michał. Wyparłszy z niej grupy powstańcze, Pissarski najprawdopodobniej oczekiwał wsparcia wojska – bezowocnie i wkrótce na miejsce dotarło wojsko polskie. Kompania wojska wsparta powstańcami otoczyła magazyny kopalniane w których usadowił się oddział Pissarskiego. Walki zakończyły się w godzinach popołudniowych. Przyczyną słabnącego oporu było wyczerpanie amunicji, co umożliwiło Polakom przeprowadzenie szturmu. Sam Pissarski zginął i kilkanaście dni później, jego ciało zostało z honorami wojskowymi pochowane w Bytomiu. Prócz 28 zabitych, kompania Pissarskiego straciła 64 wziętych do niewoli. Krwawym epilogiem kompanii Pissarskiego było zamordowanie 3 września w Mysłowicach w parku zamkowym 16 freikorzystów przez jeden z oddziałów powstańczych.

Wykorzystując znajomość terenu freikorzyści, w godzinach porannych, opanowali Hutę Zygmunt, wypierając z niej powstańców. Dopiero po interwencji kompanii wojska porucznika Duszy jednak musieli się wycofać z dużymi stratami do Niemiec. Również silny kontratak dwóch plutonów polskiego wojska wspartych oddziałami powstańczymi przyczynił się do wyparcia Freikorpsu z kopalni Walenty Wawel.

Oddział Ebbinghausa poniósł olbrzymie straty: 174 zabitych i 133 rannych. Liczby te są zaskakująco wysokie, zważywszy fakt, że wojujące strony korzystały wyłącznie z broni strzeleckiej są chyba wymiernym świadectwem zaciętości i wojennej nienawiści walczących.

2 września Sonderformation lizała rany, gdzieniegdzie wykorzystana do zadań zabezpieczających. Główną troską było odparcie polskiego natarcia w kierunku Gliwic, którego oczekiwano z dużym niepokojem. Sukces polskiej obrony dotarł do Katowic, gdzie stał się zaczynem pogłoski jakoby Polacy szturmowali Gliwice. Z drugiej strony granicy, szczególnie niezorientowana i przestraszona wojną ludność cywilna również bardzo poważnie liczyła się z polskim natarciem. Bierność polskiej obrony, wynikająca ze szczupłości i odpływu sił, została wykorzystana i 2 września 68 pułk straży granicznej, poprzedzony drobnymi oddziałami Freikorpsu, zaczął zajmować Rudę Śląską. Wkrótce w mieście władzę przejęła kompania Rollego. **W piwnicy budynku przy ulicy Niedurnego urządzono tymczasowy areszt. W jego murach doszło do jednej z najpotworniejszych zbrodni popełnionych w pierwszych dniach września. Prócz *zwyczajowego bicia* jeden z freikorzystów znęcał się nad schwytanym powstańcem w okrutny sposób, rozcinając przytomnej ofierze brzuch i szukając serca. W ten sposób Emmanuel Donitzka próbował zmusić ofiarę do wyjawienia skrytki z pieniędzmi.** Donitzka, osobnik z przeszłością kryminalną, został skazany na karę śmierci, którą wykonano. Rolle miał również trafić do obozu koncentracyjnego.

Wprawdzie obydwie strony *rozmawiały* za pomocą pałek, prętów, pięści i kopniaków, to okrucieństwo Donitzki przekraczało ludzkie pojęcie swoim bestialstwem; przetrącone ręce, wybite zęby czy połamane żebra.

Zapewne znając potencjał nienawiści jaki tkwił w rozgoryczonych freikorzystach a jednocześnie cierpiąc na brak sił, dowódca VIII Korpusu skierował ciężarówkami w trybie alarmowym 300-osobowy oddział Ramdohra do Orzesza z zadaniem osłony i oczyszczenia tyłów korpusu z niedobitków powstańczych. Jak można było przypuszczać Ramdohr wywiązał sie z misji należycie, o czym raportowano 5 września. W tym czasie sytuacja na froncie zmusiła Grupę Operacyjną „Śląsk" do odwrotu na wschód, co było równoznaczne z oddaniem okręgu przemysłowego.

3 września od strony Bytomia nacierała na Chorzów część 68 pułku straży granicznej wsparta Sonderformation Ebbinghaus. W sukurs freikorzystom i grenzwachtowi przyszły bojówki niemieckie zakonspirowane na miejscu, w ramach wspomnianych już Kampf Organisationen. Stąd też na znacznie już przerzedzone oddziały powstańcze posypały się strzały z dwóch stron. Nawet alarmowa interwencja półplutonu wojska polskiego nie była w stanie zapobiec katastrofie. Chorzów nie okazał się miejscem zaciętych starć, aczkolwiek sytuacja była niejasna jeszcze do 4 września.

Ostatnią większą akcją Freikorpsu miało być opanowanie budynku Polskiego Radia w Katowicach przy współudziale 68 pułku straży granicznej. Rozpoczęcie natarcia z kierunku zachodniego i północnego przewidziano na godzinę 8. Freikorzyści byli jednak już na tyle osłabieni, że nie zdołali wedrzeć się do Katowic. Dopiero wejście 239 DP wyjaśniło całą sytuację. W Katowicach doszło również do ujawnienia się dywersji niemieckiej, która ostrzeliwała wycofujące się oddziały polskie. Charakterystyczne w tym wszystkim jest to, że na będącą w odwrocie kolumnę wojska naciskaną z zachodu znowu posypały się strzały. **Tymczasem 4 września Katowice zostały opanowane. Rozpoczęło się polowanie na byłych działaczy polskich i powstańców.** W takich warunkach po południu na placu Zamkowym miała miejsce egzekucja w której

przygotowaniu główną rolę odegrali jeżeli nie bezpośrednio freikorzyści, to z całą pewnością członkowie samorzutnie tworzonego Selbstschutzu. 4 września w atmosferze upojenia zwycięstwem trudno już było odróżnić kto przyszedł z Sonderformation Ebbinghaus a kto ujawnił się na miejscu. Faktem jest, że bez pomocy miejscowych nie było możliwe wytypowanie osób do rozstrzelania. Miejscem straceń była również ulica Jagiellońska. Większość ofiar – i to już z całego Śląska – trafiała do lasów panewnickich, gdzie egzekucji dokonywała najprawdopodobniej *Einsatzkommando* nr 1 Ludwika Hahna.

Po przejściu frontu

Większość zakładów przemysłowych została zabezpieczona i rola Freikorpsu faktycznie zakończona. Praktycznie jednak freikorzyści, a przynajmniej ich część, wyłapywała członków oddziałów powstańczych, przedwojennych aktywnych działaczy na rzecz polskości na Śląsku; załatwiano również osobiste porachunki. Bicie, maltretowanie zatrzymanych osób było na porządku dziennym, część z nich była przekazywana policji, która decydowała o życiu i śmierci.

Po zakończeniu walk jedynym zadaniem Sondeformation była ochrona szlaków komunikacyjnych i zabezpieczenie obiektów przemysłowych przed spodziewanymi aktami sabotażu polskich oddziałów dywersyjnych. Tymczasem Ebbinghaus zaczął tracić kontrolę nad swoimi podwładnymi, czemu dał wyraz w meldunku z 5 września. Faktycznie Freikorps zaczął żyć własnym życiem już wcześniej.

Już 5 września Szef Zarządu Cywilnego Otto Fitzner wydał zarządzenie o zdawaniu broni i materiałów wojennych a 6 września Georg Brandt nakazał zgłaszać miejsca pobytu powstańców śląskich i miejsc przechowywania broni. Tym samym poczynania freikorzystów i selbstschutzu zyskały sankcję prawną. Coraz mniej karne oddziały Sonderformation Ebbinghaus zostały rozwiązane 8 września. Przy czym „wojaczka" szczególnie w formie po 4 września na tyle przypadła do gustu niektórym, że rozkaz powtórzono 13 września. Zapewne czując, że *obywatelski obowiązek* nie został *do końca* wypełniony, część freikorzystów zasiliła oddziały selbstschutzu pacyfikując województwo śląskie do początków października.



Foto: Bartosz Wawzecha

Spoglądając z perspektywy 70 lat na Freikorps można dokonywać pewnych ocen, aczkolwiek nasza wiedza o nim samym nie jest tak bogata jakby można tego oczekiwać. W 200-letniej historii korpusów ochotniczych stanowi twór dosyć wyjątkowy. Zasadniczo odbiegał od kanonu freikorpsu. Wzorcowe korpusy ochotnicze powstawały samorzutnie, bardzo często z inspiracji możnego protektora, przy mniejszej lub większej akceptacji państwa. Cieszyły się jednak dużą samodzielnością. W 1939 roku utworzono formację, która od początku była na pasku Abwehry. Wszystko na to wskazuje, że wykorzystano zakorzenione w świadomości społecznej wyobrażenie korpusu ochotniczego przy rekrutacji do Sonderformation Ebbinghaus.

Do pewnego stopnia niemiecko nastawieni Górnoślązacy podejmowali służbę ochotniczo. Już sam fakt ucieczki przez granicę był wyrazem gotowości służby. W każdym razie prowadzono intensywny werbunek wśród uciekinierów. Odwołaniem do tradycji Freikorpsu było również specyficzne nazewnictwo zawierające w członie nazwisko dowódcy. Nie dotyczyło to tylko całej jednostki, ale poszczególnych pododdziałów, były więc: kompania Rolle, oddział szturmowy Rollego, oddział Pissarskiego. Wyraźnie zauważalny jest brak aspiracji politycznych, tak charakterystycznych dla tego typu formacji chyba że niechęć lub nienawiść do Polski uznać za takowy.

Właśnie na tym koniku Rzeszy, w której pluralizm mierzył się różnorodnością mundurów, udało się ugrać i zmanipulować część Górnoślązaków do swojego pomysłu. Chwyt ten był zresztą powszechnie stosowany przez wszystkie strony walczące przez cały okres wojny. To czym i w czym podobny był swoim antenatom z okresu powstań śląskich to były z całą pewnością: okrucieństwo i bezwzględność tak charakterystyczne dla wojen domowych. Bo chociaż Sonderformation Ebbinghaus stała w szeregu z jednostkami Wehrmachtu – lecz jej członkowie szli na tę wojnę z całkiem innych pobudek. ■



Defilada Wehrmachtu 5 października 1939 r. w Alejach Ujazdowskich w Warszawie.

Gdy Wehrmacht ruszył na Polskę

GRZEGORZ BĘBNIK

Niemieckie plany wojny z Polską nie grzeszyły specjalnym wyrafinowaniem, stanowiąc jeszcze jeden wariant starego manewru, zastosowanego ongiś przez Hannibala pod Kannami – słabe centrum z dwoma silnymi skrzydłami, które energicznym uderzeniem zamkną przeciwnika w kotle. Te silne, przełamujące uderzenia wyjść miały z północy i południa; inne kierunki pełnić miały funkcje co najwyżej pomocnicze. Na dwu planowanych kierunkach natarć skoncentrowano wszystko to, co miał *Wehrmacht* najlepszego – dywizje pancerne i zmotoryzowane, pułki bombowców nurkujących, jednostki piechoty tzw. pierwszej fali mobilizacyjnej...

Na południu, zatem również nad granicami autonomicznego województwa śląskiego zgromadzono dwie armie, 10. gen. artylerii Waltera von Reichenau oraz 14. gen. płk. Wilhelma Lista. O ile ta druga rozciągnięta była na ogromnej przestrzeni od Dobrodzienia *(Guttentag)* na Śląsku Opolskim aż po granicę słowacko-węgierską, gdzie jej prawe skrzydło osłaniały jednostki słowackie, o tyle 10. armia miała odegrać rolę typowego „taranu". Skupione na niewielkim, liczącym zaledwie około 20 km odcinku frontu pomiędzy Kępnem a Woźnikami dwie dywizje pancerne, dwie zmotoryzowane i trzy lekkie, liczące łącznie 1064 czołgi i pojazdy pancerne (dla porównania – cała przedwrześniowa polska armia miała ich niespełna 500) miały w tym miejscu dokonać wyłomu w polskiej obronie, by najkrótszą z możliwych dróg pognać na Warszawę – kulturalne, polityczne i komunikacyjne centrum państwa polskiego.

W tym zamyśle 14. Armii przeznaczone były mniej dynamiczne zadania. Oczywiście, i ona jednak nie miała przesiadywać w okopach; jej tzw. jednostki szybkie (pancerne i zmotoryzowane) szykowały się do przebicia polskiej obrony w dwóch przynajmniej miejscach: na Spiszu i Orawie, gdzie w tym celu skoncentrowano XVIII Korpus Armijny (dywizja pancerna, dywizja lekka oraz dywizja górska) oraz na południe od znajdującego się w polskich rękach *wschodniogórnośląskiego (ostoberschlesisch),* jak określały to niemieckie rozkazy, zagłębia przemysłowego. Tu uderzyć miała niemiecka 5 Dywizja Pancerna, która sztychem wbić się miała w fortyfikowane w dużym pośpiechu polskie pozycje pod Pszczyną. Przy jednoczesnym uderzeniu XVIII Korpusu na północ, w zgromadzone tutaj jednostki Grupy Operacyjnej „Bielsko" oraz słabej, improwizowanej Armii *Karpaty* zachwianiu ulec miała cała południowa flanka polskich wojsk. W tym momencie polski manewr strategiczny, przewidujący stopniowe odchodzenie jednostek na południowy wschód, z maksymalnie długim utrzymaniem górnośląskiego *zwornika* całkowicie tracił sens.

Jeśli coś mogło opóźnić ten śmiało założony program, był to jedynie opór, jaki polskie oddziały stawić mogły na linii górnośląskich umocnień, wznoszonych w różnym tempie i z dłuższymi czy krótszymi przerwami już od początku lat 30. System żelbetowych schronów bojowych, linie zasieków i specjalnie tworzonych przeszkód terenowych znakomicie chroniły wielkie, żywotne dla każdego państwa zakłady przemysłowe.

Znacznie gorzej było natomiast ze skrzydłami, czego efektem właśnie gorączkowa i spóźniona, niestety, rozbudowa pozycji pod Pszczyną i Mikołowem na południu, a Niezdarą – na północy.

Armia najeźdzczych podbojów

Tymczasem za niedaleką, biegnącą do tego często wcale nie przysłowiowymi opłotkami polsko-niemiecką granicą, gromadziła się armia, której jedynym na dobrą sprawę celem były działania ofensywne. Prowadzone do tego w myśl wytycznych stojącego od 1938 r. na czele OKW (Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych) Adolfa Hitlera, który 22 sierpnia 1939 r. na odprawie generałów oznajmił: *Zniszczenie Polski stoi na pierwszym planie. Celem jest usunięcie sił żywych, a nie osiągnięcie jakiejś określonej linii. Jeżeli wojna wybuchnie także na zachodzie, zniszczenie Polski pozostanie celem pierwszym... Dam propagandowy powód do rozpoczęcia wojny, obojętnie, czy wiarygodny. Zwycięzcy potem nie pyta się, czy powiedział prawdę, czy nie. Przy rozpoczęciu wojny i jej prowadzeniu nie chodzi o prawo, ale o zwycięstwo...*

Nie była to jednak jeszcze ta armia, która w 1941 r. w kilka miesięcy dojdzie do przedmieść Moskwy, by następnie całe cztery lata strawić na powolny powrót. Rozbuchana po marcu 1935 r., kiedy to Hitler wypowiada klauzule rozbrojeniowe, rozbudowa sił zbrojnych co rusz napotyka rozmaite przeszkody. Stosunkowo najmniej istotne są te ściśle technicznej natury; przestawiony już na tory produkcji wojennej przemysł jest w stanie zapewnić nie tylko dostateczną, ale wręcz każdą potrzebną ilość uzbrojenia i sprzętu. Gorzej jest z tym, co w nieznośnym wojskowym żargonie określa się jako materiał ludzki. Warto sobie uświadomić, że o ile jesienią 1934 r. w teoretycznie stutysięcznej *Reichswehrze* służyło 240 tysięcy żołnierzy, o tyle latem 1939 r., w przeddzień wojny w niemieckich siłach zbrojnych pod bronią znajdowało się ponad 4,5 miliona mężczyzn! Kadrowa dotychczas *Reichswehra* dostarczyła większości oficerów i podoficerów do rozbudowywanych jednostek, ale wciąż było ich za mało. Podobnie zresztą jak i z prostymi żołnierzami – brak obowiązkowej służby wojskowej w latach Republiki Weimarskiej sprawił, że wyrosło całe pokolenie tzw. białych roczników *(weiße Jahrgänge)*, ludzi, którzy tej zasadniczej służby wojskowej po prostu nie odbyli. Po 1935 r. w przyspieszonym tempie powoływano ich na kilkumiesięczne przeszkolenia, które mogły najwyżej oswoić z wyglądem broni, w żadnym jednak wypadku nie stanowiły pełnego przygotowania wojskowego. Pierwszoliniowe, najbardziej wartościowe formacje starano się wobec tego formować z najmłodszych roczników; nie dość, że przeszkolonych wojskowo w normalnym trybie, to częstokroć jeszcze mających za sobą wcześniejszy pobyt w skoszarowanych jednostkach Służby Pracy Rzeszy *(Reichsarbeitsdienst – RAD)*, nierzadko służbę w partyjnych bojówkach *(Sturmabteilungen – SA) oraz* spędzających szkolne lata w kręgu kolegów z *Hitlerjugend (HJ)*. Jak wylicza Jochen Böhler, w końcu 1939 r. co siódmy żołnierz odbył przeszkolenie w SA, co piąty był członkiem HJ, zaś co drugi-trzeci służył wcześniej w RAD. Nic dziwnego, że stopień zideologizowania zwykłych żołnierzy dalece przewyższał poziom zainfekowania nazizmem wśród oficerów; oblicza się, iż w przeciętnej dywizji piechoty 31% żołnierzy było członkami jednej lub kilku nazistowskich *Gliederungen*.

Jak już wspomniano zideologizowanie to, przynajmniej w początkach wojny, w dużo mniejszym jeszcze stopniu stało się udziałem korpusu oficerskiego. Znaczna jego część, zwłaszcza ci starsi wiekiem i stopniem wciąż hołdowała *esprit* dawnej armii pruskiej, z wyższością i ledwie tajoną niechęcią spoglądając na ideologiczne rozpasanie *brunatnej hołoty*. Co nie zmieniało jednak okoliczności zasadniczej, czyli akceptacji dla rządów Hitlera, który jako pierwszy od klęski 1918 r. dał zielone światło dla nieskrępowanego rozwoju niemieckich sił zbrojnych. A dla korpusu oficerskiego oraz generalicji stanowiło to wszak rację bytu. Toteż nawet i w tym elitarnym, żywiącym arystokratyczne pretensje gronie zdarzały się przypadki wręcz manifestacyjnego okazywania czci Hitlerowi i wierności narodowosocjalistycznej ideologii, by wspomnieć tylko generała Wernera von Blomberga. Będąc wówczas naczelnym dowódcą *Reichswery*, szybko przepoczwarzającej się w *Wehrmacht* już w sierpniu 1933 r. polecił wprowadzić do żołnierskich bibliotek „Mein Kampf", by w końcu 1934 r. z zadowoleniem skonstatować, iż *większość młodych żołnierzy już dziś przychodzi do nas z RAD, z Hitlerjugend, SA i SS. Wychowani są oni w duchu narodowego socjalizmu.*

Podobny entuzjazm był, co prawda, w tej kaście zjawiskiem nader rzadkim; wręcz niepodzielnie panowała jednak mniej czy bardziej chętna akceptacja osoby „austriackiego kaprala" i jego poczynań. Zastanówmy się bowiem, kim byłby prosty (choć odznaczony najwyższym pruskim orderem *Pourle Merite)* kapitan z I wojny światowej Erwin Rommel, gdyby przyszło spędzić mu życie w realiach Republiki Weimarskiej? Podczas służby w narzuconej zapisami Traktatu Wersalskiego 100-tysięcznej *Reichswehrze* (i tak zresztą był dzieckiem szczęścia, skoro znalazło się dlań miejsce wśród zaledwie czterech tysięcy zawodowych oficerów) w latach 1922-1935 awansował zaledwie o... jeden stopień, z kapitana stając się majorem. Prawdziwego przyspieszenia jego kariera nabrała dopiero po 1935 r. – wtedy jest już podpułkownikiem, generałem majorem zostaje w sierpniu 1939 r., tuż przed wybuchem wojny. A już w czerwcu 1942 r. otrzymuje feldmarszałkowską buławę. Podobnych albo tylko trochę powolniejszych karier było znacznie więcej.

Jednak mimo powołania do służby nawet emerytowanych już oficerów z I wojny światowej kadra dowódcza wciąż cierpiała braki, którym – trochę desperacko – starano się zaradzić poprzez pośpieszne promowanie oficerów policji, a nawet starszych funkcjonariuszy służby celnej czy straży granicznej. Dla wszystkich tych świeżo upieczonych żołnierzy wojna jawiła się jako wielka niewiadoma, stąd też niesłychana nerwowość i zdezorientowanie; udzielanie się panikarskich nastrojów całym pododdziałom było we wrześni u 1939 r. na porządku dziennym.

„Instrukcje" przed zajęciem polskiego Śląska

W porze oznaczonej przez niemieckich sztabowców jako *X-Stunde* (1 września, godz. 4.45) oddziały Wehrmachtu przekroczyły granice Polski. O godzinie 10.00 wszędzie tam, gdzie tylko było to możliwe żołnierze wysłuchali radiowego przemówienia Hitlera, by po zakończeniu transmisji gremialnie odśpiewać pieśń nazistowskich bojówek *Horst-Wessel-Lied*. Wielu jednak nie

miało takiej możliwości zademonstrowania więzi z *Führerem* – od pierwszych godzin szalała przecież wojna.

Wkraczające na obszar przedwojennego województwa śląskiego niemieckie jednostki odebrały wcześniej wyraźny instruktaż – „Nie jesteście na ziemi wroga!". Chodziło o uniknięcie sytuacji, w której miejscowa ludność traktowana będzie jako ciało z gruntu obce, podczas gdy – zdaniem niemieckich polityków i sztabowców – chodziło w tym przypadku o ludzi, którzy kaprysem historii w 1922 r. oddzieleni zostali od *niemieckiej ojczyzny.* I teraz, po 17 latach, ojczyzna ta upominała się o nich. W pewnym przynajmniej sensie takiemu potraktowaniu sprawy sprzyjało także i to, że użyte tu oddziały miały mniej lub bardziej śląski rodowód; dotyczyło to zwłaszcza wrocławskiego VIII Korpusu Armijnego gen. Ernsta Buscha, działającego w ramach 14. Armii. Jego jednostki, czyli dywizje piechoty o numerach 8. i 28., jak też 5. Dywizja Pancerna rekrutowane były na Śląsku Dolnym i Górnym, w mniejszym stopniu także w przyłączonych do Niemiec po konferencji monachijskiej Sudetach *(Sudetenland).* W jeszcze większym stopniu ta regionalna specyfika dotyczyła 239. Dywizji Piechoty, której bazą werbunkową był opolski okręg *Landwehry;* tutaj *stricte* słowiańskie nazwiska pojawiają się nie tylko wśród żołnierskiego *Mannschaftu,* ale również i wśród oficerów.

Z drugiej jednak strony ci sami żołnierze uczulani byli odpowiednio wcześniej na *podstępne* sposoby walki, w jakich to rzekomo celować mieli zarówno polscy żołnierze, jak i ludność cywilna. W rozsyłanym po jednostkach przed wybuchem wojny okólniku Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu przeczytać można: *[Polak] jest despotyczny i bezwzględny wobec innych. Okrucieństwo, brutalność, podstęp i kłamstwo są środkami walki, jakie zastępują mu w podnieceniu spokojne użycie siły.* Korespondowało z tym pełne wyższości przekonanie o ograniczonych możliwościach przeciwnika; ograniczonych zresztą nie tyle nawet brakami w wyposażeniu, co raczej immanentnymi cechami charakteru polskiego żołnierza. Szef sztabu generalnego Franz Halder, wygłaszając w kwietniu 1939 r. swoje ściśle tajne *Rozważania o przyszłej wojnie z Polską* zawarł tam takie między innymi przemyślenia: w przypadku polskiego wojska chodzi o *wielką zbieraninę naprędce przeszkolonych szeregowych, w wojnie przeciwko wojskom Rzeszy nie mających wręcz żadnych szans. Znacząca jest tu również kwestia ogólnego wykształcenia – polski żołnierz jest chyba najgłupszy w Europie, jeśli nie brać pod uwagę Rumunów.* Oczywiste, że ktoś taki nie był w stanie przyswoić sobie rycerskich zasad prowadzenia wojny. Postępowanie niemieckich jednostek wobec wroga winno być zatem adekwatne do sposobu jego rozumowania i toczenia przezeń walki, tym bardziej że przewidywano stawianie podobnie podstępnego oporu również przez ludność cywilną. Szczególnym postrachem wkraczających na polski Górny Śląsk niemieckich żołnierzy byli mityczni często *powstańcy (Aufständische, Insurgenten);* ci mieli czyhać za każdym niemal węgłem domu czy przydrożnym drzewem. Efekty podobnej zbiorowej psychozy wkrótce już dadzą znać o sobie.

Oddziały 14. Armii już od 5.30, zatem w niespełna godzinę od rozpoczęcia działań wojennych, donosiły o *atakach strzelców czyhających w zasadzce i powstańców.* W 10. Armii meldowano, iż *10. pułk piechoty napotkał na mocny opór na północny zachód od Lublińca, w którym brała udział także ludność cywilna.* Asortyment używanych tu określeń był zresztą niezwykle bogaty – od wspomnianych już *powstańców* poprzez *strzelców zza węgła, strzelców z dachu,* czy *strzelców z okien (Hecken-, Dach-, Fensterschutzen)* po *partyzantów* czy *wolnych strzelców (Freischärler).* Co ciekawe, jako *partyzantów* traktowano częstokroć także polskich żołnierzy, którzy ukryci w zasadzce znienacka otwierali ogień do nadciągającego przeciwnika! Najczęściej jednak niemieccy żołnierze nie walczyli z rzeczywistym wrogiem, lecz po prostu z chimerą. Dowodzący 10. Armią gen. von Reichenau pisał w dniu 11 września do dowódców podległych mu korpusów: *Należy skończyć z nerwowymi reakcjami wojska na strzelaninę na tyłach. Najczęściej sami ją wywołujemy. Pojedyncze przypadki prawdziwie wrogich działań nie mogą prowadzić do rozpoczynania przez cały oddział chaotycznej strzelaniny przy najmniejszej okazji. Zabrania się palenia domów jako środka odwetowego.* Zaś dowódca wchodzącej w skład 8. Armii 17 Dywizji Piechoty, gen. mjr Herbert Loch już 4 września, wobec mnożących się incydentów wydał swoim żołnierzom stanowczy zakaz palenia domów, zaś oddziały zmotoryzowane poruszać miały się z bronią nienaładowaną.

W myśl zasad: „rycerskiego prowadzenia wojny"

Brak jednoznacznych wytycznych w podobnych sprawach (zresztą, wobec zarysowanego wcześniej stanowiska *Führera* nie mogły one istnieć), potępiających takie zachowania sprzyjał różnemu traktowaniu ich przez dowódców poszczególnych jednostek. Mimo, iż zawarte w każdej niemieckiej książeczce wojskowej „dziesięć przykazań prowadzenie wojny" *(Zehn Gebote fürdie Kriegsführung des deutschen Soldaten)* głosiły wyraźnie, że *żołnierz niemiecki będzie przestrzegał zasad rycerskiego prowadzenia wojny; okrucieństwo i bezmyślne niszczenie są poniżej jego godności,* czy, *nigdy nie zabije nieprzyjaciela, który się poddał, ani nawet partyzantów i szpiegów – ci karani będą we właściwy sposób przez sądy,* a nawet *zgoła ludność cywilna jest nietykalna; żaden żołnierz nie będzie grabić ani złośliwie niszczyć,* rzeczywistość wyglądała nieraz skrajnie odmiennie. Znacznie częstsze aniżeli dezaprobata dla żołnierskich wybryków, w skrajnych przypadkach skutkująca postawieniem winowajcy przed sądem polowym było pobłażanie, czy nawet akceptacja. Do szczególnie licznych podpaleń domostw, z których to rzekomo padać miały strzały, dochodziło zwłaszcza w pasie działań 14. Armii, na południu Polski. Przysyłane stamtąd meldunki głosiły m.in.: *Jest tu wielu wolnych strzelców (Freischärler), a w związku z tym również i płonących domów. Każdy dom, z którego padnie strzał zostaje [w odwecie] podpalony przez naszych,* czy też *przejeżdżamy przez spalone wsie, z niektórych domów unosił się jeszcze dym. Każda wieś, w której cywilna ludność strzela do wojska, zostaje spalona.* Rzecz oczywista, nie kończyło się na spaleniu domostw wraz z dobytkiem – ich mieszkańcy byli z reguły na miejscu rozstrzeliwani, bez śladu choćby postępowania sądowego.

Wbrew wcześniejszym napomnieniom, los taki stawał się często także i udziałem ludności cywilnej województwa śląskiego. Już 2 września w rejonie działań wrocławskiego VIII Korpusu doszło do incyden-



Niemieckie ckm-y 4 września 1939 r. na ulicach Katowic (ulica J. Kilińskiego).

tów w miejscowości Orzesze; niemieckie oddziały z 8 Dywizji Piechoty zostały tam rzekomo ostrzelane przez powstańców. Dowodzący tam zabronił palenia domostw; mieszkańcy mieli być ukarani w inny sposób. Pacyfikacją miejscowości zajęły się nieregularne oddziały *Freikorps Ebbinghaus;* również podległe dowództwu VIII Korpusu, lecz traktowane jako specjaliści od *brudnej roboty*. W trakcie akcji odwetowej w Orzeszu zginęło około 30 mieszkańców, z czego 20 rozstrzelano w lesie na tzw. Pasternioku. Niewykluczone, że ci sami żołnierze, albo też ich koledzy z wchodzącej także w skład VIII Korpusu 28 Dywizji Piechoty wieczorem 3 września zastrzelili w Mikołowie ośmioosobową rodzinę Wróblów, paląc przy okazji ich gospodarstwo. Również i tu przyczyną być miało ostrzelanie niemieckich żołnierzy z pobliskich zabudowań.

Do tragicznych wydarzeń doszło również 3 września w Częstochowie, zajętej przez *Wehrmacht* bez walki. Po strzelaninie, której źródła do dzisiaj są niewyjaśnione, niemieccy żołnierze w odwecie za domniemany atak rozstrzelali w masowych egzekucjach nieokreśloną liczbę mieszkańców miasta; szacunki wahają się od 300 do 500 osób. Sporą część z nich przyprowadzano nad wykopane jeszcze w sierpniu rowy przeciwlotnicze, gdzie też po dokonanych mordach zagrzebywano zwłoki. Wkraczając w dniu 4 września do Katowic, niemieccy żołnierze z *trzeciorzutowej* 239 Dywizji Piechoty zetknęli się z jednej strony z entuzjastycznym przywitaniem ze strony części mieszkańców, z drugiej zaś – z oporem stawianym przez rozproszone oddziały powstańczej samoobrony czy harcerzy. Ta sama dywizja już wcześniej, maszerując przez Ornontowice brała zakładników spośród cywilnej ludności, puszczając też z dymem domostwa, z których padać miały strzały. I tam, i później w Katowicach zetknięto się istotnie z powstańcami z krwi i kości; zwłaszcza w Katowicach i pobliskim Chorzowie walki miały nieraz gwałtowny, a zawsze niemal tragiczny dla obrońców charakter. *Było doprawdy zachwycające,* pisał na przykład podoficer 239 dywizji, Gustav Gröger, *ilu niemieckich katowiczan oblegało nasze pojazdy, a na nas spadał prawdziwy deszcz kwiatów i czekolady. Przyjęci w ten sposób dojechaliśmy do dworca. Gdy ja sam wjechałem do przejazdu pod torami kolejowymi, zostaliśmy nagle ostrzelani ze wszystkich stron. W tych dniach nie było to po raz pierwszy, lecz po tak zachwycającym przyjęciu nas nie wierzyłem w podobnie nieprzyjazne ugoszczenie. [...] Odpowiedzieliśmy ogniem. Było bardzo ciężko, ponieważ na ulicach huczały wystrzały, a dobrze zamaskowani strzelcy na dachach nie byli łatwi do wykrycia.* Inny podoficer, nazwiskiem Giller wspominał kilka miesięcy później, iż *nagle, pośród deszczu kwiatów i gradu upominków pada kilka strzałów, a zaraz potem grad pocisków ze wszystkich stron. Wszyscy myślą tylko o tym, by wyskoczyć z samochodu...* Podoficer dywizyjnego oddziału obrony przeciwpancernej Hans Ruffer, opisując również walki toczone w Katowicach z ukrytymi na dachach czy w mansardach strzelcami, na koniec trzeźwo skonstatował: *Po jakimś czasie nadeszła nasza kompania i pojechaliśmy do Wirku, gdzie zajmowaliśmy kwatery do 6 września 1939 r. Nie natknęliśmy się już więcej na stawiających opór powstańców.*

Tymczasem zdławienie wszelkiego oporu przez pozostałe w Katowicach w charakterze tymczasowych okupacyjnych władz niemieckie dowództwo traktowane było jako zadanie priorytetowe. Tzw. rozkaz wstępny 3. Odcinka Straży Granicznej, podpisany przez szefa sztabu tej formacji, gen. mjr. Otto von Knobelsdorffa mówił wyraźnie:

Stosowane przez powstańców metody walki pozwalają przypuszczać, że podczas najbliższej nocy zaatakują oni po raz kolejny. Nie jest wykluczone, że powstańcy posługiwać będą się niemieckimi mundurami, opaskami ze swastyką itd. Opanowanie języka niemieckiego nie jest na tym obszarze jakimkolwiek dowodem, że nie chodzi tu o powstańca! Według wszelkiego prawdopodobieństwa aktywność powstańców w pierwszej linii kierować się będzie przeciw kwaterom i liniom komunikacyjnym. Oddziały należy poinformować, że krwawe straty zostaną im oszczędzone tylko wtedy, kiedy partyzantka zdławiona zostanie bezwarunkowo i z użyciem najostrzejszych środków. Cywili przyłapanych z bronią w ręku należy natychmiast rozstrzelać! Ostro zwalczać należy nerwowość, jak wystąpiła w oddziałach w związku z działaniem partyzantki. Strzelać należy tylko wtedy, gdy cel jest jasno rozpoznany. Każdy dowódca wyższego i niższego szczebla winien zatroszczyć się, by nie potęgować nerwowości oddziałów poprzez dziką strzelaninę...

Z jednej zatem strony, jak widzimy, starano się powściągnąć nazbyt nerwowe reakcje żołnierzy; z drugiej zaś dawano swoisty *placet* na bezkompromisowe i pozostające w wątpliwym związku z prawem wojennym postępowanie z *partyzantami*. Kogo do nich zaliczyć, było już wynikiem swobodnej interpretacji każdego dowódcy, czy nawet pojedynczego żołnierza.

Że *powstańcze* zagrożenie było często wyimaginowane, świadczą wydarzenia z Pszczyny, gdzie salwa honorowa oddana przez niemiecki oddział nad chowanymi przy kościele św. Jadwigi kolegami przez przejeżdżających właśnie w pobliżu innych żołnierzy *Wehrmachtu* wzięta została za atak partyzantów. W wybuchłej wówczas chaotycznej strze-

laninie spłonął zabytkowy, pochodzący z początków XVI w. drewniany kościół, uważany za jeden z najcenniejszych tego typu obiektów na Górnym Śląsku.

Szlak mordów, egzekucji i pogorzelisk

Również i jeńcy wojenni nie byli bezpieczni; 12 września w Szczucinie podczas przesłuchiwania wziętych do niewoli polskich żołnierzy jeden z nich, w stopniu porucznika, zastrzelił przesłuchującego go Niemca. Meldunek VIII Korpusu, do którego należeli pilnujący jeńców żołnierze stwierdzał lakonicznie: *Jak udało się Polakowi zdobyć broń, pozostaje na razie niewyjaśnione. Wszyscy jeńcy, w tym porucznik, zostali zastrzeleni, obóz jeniecki – podpalony.*

Szczególnej natomiast agresji doświadczyła ze strony niemieckich żołnierzy ludność żydowska. Charakterystyczne zresztą, że w prześladowaniach tej grupy brały udział nie tylko wysoce zideologizowane oddziały dyspozycyjne SS (SS-*Verfügungstruppen),* lecz i zwykli żołnierze, zarażeni antysemickim bakcylem. Jeszcze raz wrócić tu należy do okresu rozbudowy *Wehrmachtu* i jego ówczesnego dowódcy, gen. von Blomberga; to on w maju 1935 r. wydał rozkaz o wykluczeniu z armii wszystkich tych, których w świetle ustaw norymberskich uznano za Żydów. Z dnia na dzień wczorajsi *Kameraden* stawali się obcymi, niegodnymi noszenia munduru. W tym kontekście stosunek niemieckich żołnierzy do napotykanych w Polsce Żydów nie powinien w najmniejszym stopniu zadziwiać, tym bardziej że składały się nań także stereotypowe uprzedzenia wobec „obcego", a za takiego uchodził egzotyczny dla Niemców polski Żyd, często chasyd w charakterystycznym ubiorze i z tradycyjnym zarostem. *Żydów było mnóstwo. Wszędzie stały te komiczne postacie, brudne i przyodziane w najbardziej niemożebne łachy,* pisał w liście do rodziny jeden z żołnierzy. *Zaświnieni Żydzi* [Saujuden], *w chałatach i z pejsami, tacy, których nie można zobaczyć nawet w „Stürmerze"* [antysemickim organie prasowym NSDAP], wtórował inny. Ponurą sławą okryły się zwłaszcza wydarzenia w Będzinie, gdzie pierwszej masakry miejscowych Żydów dokonały pododdziały pułku SS Germania ze składu VIII Korpusu; notabene, wcześniej ci sami SS-mani wzięli odwet na mieszkańcach Kobióra, oskarżonych o stawienie oporu patrolom *Wehrmachtu* (w tym wypadku chodziło o potyczkę grupy kobiórskich leśników z niemieckim patrolem kawaleryjskim; w żadnym razie nie zawinili tu zwykli kobiórzanie). Poczynano sobie okrutnie, zarówno wtedy, jak i później, gdy na miejsce SS przyszły już zwykłe jednostki wojskowe. W dniu 9 września w spacyfikowanej za pomocą miotaczy ognia dzielnicy żydowskiej zamordowanych zostało około stu osób, dzień później zginęło drugie tyle, spędzonych do podpalonego następnie budynku będzińskiej synagogi.

Idące na wschód oddziały 14. Armii do tego stopnia znaczyły swój szlak spalonymi synagogami i gwałtami na żydowskiej ludności, że w dniu 18 września sam jej dowódca, gen. List poczuł się w zmuszony do wydania specjalnego rozkazu. Pisał w nim, *iż w ostatnich dniach nasiliły się meldunki o braku dyscypliny, napadach i aktach samowoli wobec ludności cywilnej. Jako przykłady należy wymienić: plądrowanie, samowolne włamania do sklepów i przywłaszczanie sobie towarów, które nie służą do codziennego użytku [...] samowolne rozstrzeliwanie bez uprzedniego wyroku sądu wojennego bądź cywilnego, złe traktowanie bezbronnych, gwałt, palenie synagog, pozbawione honoru zachowanie się strażników w stosunku do jeńców w punktach zbiorczych i obozach, szkodzące wizerunkowi sił zbrojnych pijaństwo. Wszystkie te przypadki pozwalają dostrzec rozluźnienie postawy i dyscypliny żołnierzy, przede wszystkim w oddziałach na tyłach frontu. [...] Oczekuję od wszystkich dowódców, że przeciwko tego rodzaju wypadkom występować będą za pomocą najostrzejszych środków.* Zaledwie w dzień później, zapewne wskutek nadeszłych w tym czasie do jego kwatery wieści o kolejnych ekscesach, gen. List poczuł się zmuszony do dobitnego podkreślenia, iż *bezwzględnie zabrania się akcji przeciwko Żydom.* W kilka dni później, 21 września głos zabrał sam naczelny dowódca wojsk lądowych, gen. płk Walter von Brauchitsch. Bombardowany zewsząd doniesieniami o okrucieństwach popełnianych przez posuwające się za frontem oddziałów Wehrmachtu grupy operacyjne służby bezpieczeństwa *(Einsatzgruppen der SD),* a też i o nader nieraz chętnie współuczestniczących w tych zbrodniach żołnierzach regularnej armii, wydał *zakaz udziału wojskowych w egzekucjach policyjnych.*

Czy to pomogło? Faktem jest, że odbyło się kilka przynajmniej procesów przed sądami wojskowymi, w których zapadły łagodne na ogół wyroki na sprawców szczególnie odrażających występków. Faktem jest jednak również i to, że nie ukarano w ten sposób nawet zapewne ułamku procenta spośród wszystkich winowajców. Jeśli ktoś liczył tu na sprawiedliwość, zawiódł się srodze; 4 października 1939 r. Hitler ogłosił amnestię dla żołnierzy Wehrmachtu i SS winnych dopuszczenia się zbrodni na ludności cywilnej. Obłudnie uzasadniono to rzekomym afektem, spowodowanym *morzem zbrodni polskich przeciwko zamieszkującym Rzeczpospolitą Niemcom.*

* * *

Czyżby zatem w obrębie jednego Wehrmachtu współistniały ze sobą de facto może nie dwie armie, ale dwa przynajmniej poglądy na żołnierską moralność? Zdaje się to potwierdzać znamienne wydarzenie, w które zaangażowani zostali wojskowi i politycy nie byle jakiej rangi. W dniu 6 lutego 1940 r., zatem po rzetelnym przetrawieniu doświadczeń wynikających z *Polenfeldzug,* wciąż jednak pod wpływem doniesień z okupowanych ziem polskich b. dowódca 8. Armii, teraz zaś głównodowodzący siłami okupacyjnymi gen. płk Johannes Blaskowitz skierował na ręce Waltera von Brauchitscha memoriał, w którym protestował przeciwko *masowym gwałtom, rabunkom i mordom,* których dopuszczają się w Polsce jednostki policji i SS. Rozzłoszczony miękkością Blaskowitza Hitler odwołał go wówczas ze stanowiska; mimo, iż służył on potem jeszcze na różnych stanowiskach, nigdy nie doczekał się feldmarszałkowskiej buławy. I nawet jeśli swoje zastrzeżenia uzasadniał Blaskowitz tym, iż uprawiany przez wielu żołnierzy ewidentny bandytyzm powoduje rozkład morale, faktem pozostaje ten jedyny chyba podczas wojny protest na tak wysokim szczeblu. Nawet wyobrazić sobie nie można, by podobny głos kiedykolwiek wyszedł z szeregów „gwardii" Hitlera – z SS.

Bo nie była to wojna, jaką pamiętały poprzednie pokolenia. ■

Tytuł i śródtytuły artykułu – od Redakcji.



Cichy chaos

Nanni Moretti nie jest reżyserem tego filmu; jest współscenarzystą i gra w nim główna rolę, producenta filmowego Pietro Paladiniego, któremu nagle umiera. A jednak osobowość tego artysty odcisnęła się na „Cichym chaosie" tak mocno, tak bardzo wypełnia każdą scenę (a Moretti występuje niemal we wszystkich scenach filmu!), co więcej: styl własnych filmów Morettiego wyczuwalny jest niemal materialnie w „Cichym chaosie", iż bardzo trudno jest wyznaczyć granicę gdzie kończy się obecność i inspiracja Morettiego, a zaczyna reżyserska inwencja Antonella Grimaldiego.

Nie znam dorobku tego włoskiego aktora i reżysera, głownie telewizyjnego, człowieka 55-letniego; dzieł istotnych nie znalazłem w jego biogranie, i nie on miał „Cichy chaos" reżyserować, lecz Nanni Moretti, bo temat dla niego wprost wymarzony! A jednak Moretti bał się podwójnego, a nawet potrójnego ciężaru, bo prócz głównej roli i reżyserii, musiałby się liczyć z powieścią Sandro Veronesiego pt. „Caos calmo", którą w roku 2005 okrzyknięto na Półwyspie Apenińskim najlepszą powieścią roku i w ogóle ostatnich lat. Jeśli do tej pory nie zauważyli jej polscy wydawcy, to widocznie patrzą nie tam, gdzie należy.

Centralną postacią jest, jak rzekłem, producent filmowy, nie rekin, ale człowiek współzarządzający dużą firmą, która ma stworzyć fuzję z wielką wytwórnią amerykańską. Paladini nie jest tą ideą specjalnie przejęty. Co dziwniejsze: nie jest on także specjalnie przejęty śmiercią żony. Jakby ta praca nie budziła w nim wielkich emocji. Wydaje się, że jego konstytucyjną cechą jest obojętność, i w tym przypomina bohatera „Obcego" Alberta Camusa. Obojętność, obcość, wewnętrzne odrętwienie, głuchota na ludzkie dramaty. Nagła śmierć żony – czy chorowała? Nie jest to jasne. Upadła w ogrodzie przed domem i umarła. Koło jej nóg leżały skórki od banana, który zapewne jadła. Czyżby poślizgnęła się na skórce od banana? Tak przewracali się bohaterowie komedii amerykańskich od początków kina.

Dziesięcioletnia córeczka Paladiniego, Claudia, krzyczy do ojca nad ciałem mamy: „Tato, gdzie byłeś?!" To pytanie skierowane przez dziecko do taty ma w sobie moc pytania starotestamentowego, a jego konsekwencje nie każą długo na siebie czekać. Ale najpierw, całkiem zwyczajnie: gdzie był Pietro Paladini, gdy umierała jego żona? Nad morzem, w Roca Mare, w swojej skromnej willi, gdzie grał w kometkę z bratem Carlem, wykłócając się o każdy punkt, i gdzie wraz z bratem uratował dwie tonące kobiety. Tylko oni dwaj zareagowali na krzyk tonących kobiet. Jeden z mężczyzn na brzegu wręcz powstrzymywał Pietra Paladiniego. Zatem obojętność nie przeżarła na wskroś duszy bohatera „Cichego chaosu", który poza ekranem monologuje, dość dziwnie: na przykład jakimi latał liniami lotniczymi? Chyba nie wymienił tylko Polskich Linii Lotniczych... Innymi słowy, był wszędzie, dokądś pędził, po co, w imię czego? Ku czemu naprawdę zmierzał?

I raptem, nie porzucając pracy, instaluje się przed szkołą dziesięcioletniej Claudii, na skwerze, gdzie okupuje ławkę. Przywozi córkę, jak inni rodzice, ale nie odjeżdża sprzed szkoły, jak inni rodzice, do swoich zajęć, aby wrócić po dziecko o trzeciej, czwartej godzinie. Nie, Pietro Paladini zaczyna żyć i pracować w parku, na ławce, z widokiem na okno klasy Claudii, w którym dziewczynka ma mu się pokazać podczas dużej przerwy!

I to jest ów, przyznać trzeba, doskonały pomysł na film, żywcem zaczerpnięty z powieści Sandro Veronesiego. Sytuacja niepowszednia, ale nie absurdalna, możliwa w życiu realnym. Nie pozbawiona akcentu względnej nienormalności, ale daleka od szaleństwa. Po pewnym czasie stwierdzamy, że jeśli coś tu jest dotknięte szaleństwem, to raczej świat, od którego stanowczym gestem odgrodził się Pietro Paladini. Ci jego współtowarzysze pracy, zaaferowani wspomnianą fuzją, podkopujący się nawzajem, donoszący jedni na drugich, te nieszczęścia w rodzaju: szef odebrał mi służbowy samolot! Niebawem wyjdzie na jaw, że człowiek, który chciał powstrzymać Pietra Paladniego biegnącego na ratunek tonącej kobiecie, był jej mężem. Najwyraźniej chciał się pozbyć swojej żony, ale czy sam Pietro Paladinie nie pozbył się, w pewnym sensie, swojej żony, zanim nagle nie umarła? Dlaczego nie był z nią w Roca Mare owego pamiętnego dnia, z nią i z córeczką?

Pietro Paladini instalując się przed szkołą z widokiem na okno klasy córeczki Claudii, w rzeczy samej ustawia obiektyw naprzeciw samego siebie, starając się wejrzeć w głąb własnej duszy! Czemu towarzyszy ów dziwny monolog dochodzący do nas z offu, który okazuje się swego rodzaju ściekiem zbytecznych informacji, zamulających pamięć, świadomość i serce. Na naszych oczach toczy się zatem walka o odzyskanie dziecka, co odbywa się nie bez sukcesu, i równocześnie walka o własne życie, o sens pracy całkowicie pozbawionej wymiaru moralnego, wreszcie o sens istnienia na ziemi.

Zastanawiający jest brak u Pietra Paladiniego i jego córki spojrzenia wstecz, na osobę zmarłej żony i matki. Po prostu kobieta wypadła z fabuły życia (filmu), jak w „Przygodzie" Antonioniego, i nikt o nią nie pyta. Czyżby i ona była dotknięta wewnętrznym paraliżem, a córką zajmowała się o tyle, o ile wymagały tego powszednie rytuały? Stąd i w dziesięcioletniej Claudii żadnych oznak żalu i tęsknoty; obecność ojca w jej życiu, nagła i tak intensywna, że trochę nawet krepująca, całkowicie rekompensuje nieobecność matki. Możliwe, że ta utrata zostanie uświadomiona i przeżyta znacznie później. W dojrzałej samotności. Pietro Paladini zjeżdża samochodem na pobocze i wybucha dziecięcym płaczem, sam ze sobą. Może kiedyś stanie się coś podobnego ze starszą Claudią.

Skwer przed szkołą Claudii, z ławką, z kawiarenką w zasięgu ręki, gdzie Pietro Paladini zaczął się stołować, z ławką, z autystycznym chłopcem, przechodzącym o stałej porze przez skwer z pogodną mamą, czekający na przyjazny gest obcego/znajomego pana, wreszcie z dziewczyną (w tej roli piękna polska modelka Kasia Smutniak) z psem, która w owym życiu na skwerze pojawia się wielokrotnie, jak swego rodzaju wyzwanie, zaproszenie do miłości, ten skwer, gdzie na spotkanie z Pietrem Paladinim przyjeżdża „wielki Steiner (w tej epizodycznej, lecz wyrazistej roli Roman Polański) i zasadniczą rozmowę odbywa z nim w samochodzie Pietra, ten skwer, czy lepiej powiedziawszy, taki skwer jest w zasięgu nie tyle ręki, co życia każdego z nas. Trzeba w nim tylko wybrać swoją ławkę.

Stąd osobisty ton, z jakim przemawia do nas Nanni Moretti, dzięki któremu „Cichy chaos" pozostawia w nas na długo bardzo gorący ślad.

FELIKS NETZ



Po raz pierwszy po wojnie utwór Słowackiego wprowadził do repertuaru w maju 1950 r. Władysław Woźnik. Jego wybór padł na „Balladynę" – m.in. z Danutą Kwiatkowską i Gustawem Holoubkiem.

Słowacki na scenie Wyspiańskiego

ANDRZEJ LINERT

W bogatym dorobku licznych teatrów ludowych Górnego Śląska, do chwili odzyskania niepodległości, obok wieczornic i okolicznościowych akademii poświęconych Juliuszowi Słowackiemu, nie znajdujemy wielu przykładów realizacji jego dramatów.

Mimo to Stanisław Kolbuszowski analizując dzieje recepcji jego twórczości w latach 1860-1909, stwierdził, że poeta stanął *na czele ludu śląskiego w latach niewoli, gdyż lud ten jemu ofiarował buławę hetmańską.* W podobnym duchu wypowiadał się w 1959 roku Jacek Koraszewski i w 2000 roku Czesława Mykita-Glensk. Niestety próby realizacji przez zespoły amatorskie całych utworów Słowackiego były sporadyczne. W zderzeniu z popularnymi, lecz schematycznymi komediami obyczajowymi, z naiwnymi melodramatami i wodewilami, bądź misteriami i widowiskami religijnymi, były mało komunikatywne i zbyt trudne.

W latach międzywojennych

Otwarcie Teatru Polskiego w Katowicach w pierwszych dniach października 1922 roku pod dyrekcją Tadeusza Wierzbickiego, nastąpiło bez udziału Słowackiego. Podstawowy profil nowej sceny określać miały sztuki popularne, adresowane przede wszystkim do niewyrobionych teatralnie szerokich rzesz robotniczych. W toczącej się na ten temat dyskusji, m.in. Roman Ingarden wyrażał pogląd, że teatr kresowy w sytuacji odzyskanej niepodległości narodowej nie powinien tak długo odwoływać się do wielkiej literatury narodowej, do dzieł polskiego romantyzmu, aż ludność tych terenów nie wrośnie ponownie w kulturę narodową. Dlatego też, w założeniach twórców teatru katowickiego, jego repertuar, jak i poziom wykonania określały z jednej strony warunki społeczne, a z drugiej stan stałego zagrożenia kultury polskiej ze strony ekspansywnej nadal na tym terenie kultury niemieckiej. Cele te w dużej mierze pokrywały się z opracowaną wcześniej na gruncie wileńskim i realizowaną później z sukcesem na terenie Górnego Śląska wizją teatru kresowego Henryka Cepnika, a także Wacława Nowakowskiego. Od początku była to też instytucja dwoista: komediowo-dramatyczna i do 1932 roku muzyczno-operowa.

Po raz pierwszy dramaty Słowackiego pojawiły się w sezonie 1923/24, kiedy to dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru został przybyły z Wilna Wacław Nowakowski. Jemu zawdzięczamy stosunkowo szybkie wprowadzenie do repertuaru, zagranego 8 razy *Kordiana* w reż. Stanisława Skalskiego (prem. 30 XI 1923) oraz zaledwie raz pokazanego na zakończenie sezonu jako przedstawienie

pożegnalne *Fantazego*, granego jako *Nowa Dejanira* w reż. Nowakowskiego (prem. 5 VII 1924).

Sądząc po liczbie przedstawień, początkowo zainteresowanie dramaturgią Słowackiego na Śląsku nie było zbyt wielkie. Podobną sytuację obserwujemy w kilka miesięcy później, w okresie dyrekcji Henryka Czarneckiego, kiedy to wystawiony *Ksiądz Marek* w reż. Mieczysława Nawrockiego (prem. 14 XII 1924), zaprezentowany został zaledwie 3 razy. Nie lepiej miała się również sprawa z *Balladyną* w okresie dyrekcji Kazimierza Biernackiego, przygotowaną w inscenizacji i reżyserii Józefa Krokowskiego (prem. 27 VI 1927), zagraną zaledwie 2 razy.

Pierwsze niepowodzenia frekwencyjne, a co za tym idzie kasowe, sprawiły, że dyrekcja teatru katowickiego przystępując w kolejnych latach do wystawienia dramatów Słowackiego, zmuszona była liczyć się z ogromnym ryzykiem finansowym. Marian Sobański, dyrektor tej sceny w latach 1927-1939, po latach przyznał: *utwory Słowackiego – trzeba to niestety jasno stwierdzić – nie miały należytego powodzenia.* Niechęć widowni śląskiej budziły obecne w utworach autora *Kordiana* nie tylko trumny, ale jak pisał Sobański: *zwały trupów* oraz *stągwie krwi pomordowanych.*

A mimo to, dramaturgia Słowackiego, obok utworów Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego i Fredry, pełniła w latach międzywojennych na terenie Górnego Śląska niezwykle ważną funkcję ideologiczną. W miejscowej prasie i w publikowanych na jej łamach komunikatach teatralnych z okazji przygotowywanych premier, Słowacki przedstawiany był jako jeden z najważniejszych wodzów duchowych narodu polskiego i współtwórca wielkiej literatury narodowej.

W latach międzywojennych w Katowicach wystawionych zostało osiem jego dramatów. Obok 4 wymienionych na wstępie, cztery dalsze zrealizowane zostały w czasie dyrekcji Sobańskiego. Były to: *Złota Czaszka* w insc. i reż. Mieczysława Szpakiewicza, (prem. 14 IX 1929 r.), *Horsztyński* w insc. i reż. Zygmunta Biesiadeckiego (prem. 5 X 1933 r.), *Lilla Weneda* w insc. i reż. Jana Kochanowicza (prem. 1 IX 1934 r.) oraz *Książę niezłomny* wg Calderona de la Barca w reż. Leopolda Pobóg-Kielanowskiego i scen. Józefa Jarnutowskiego (prem. 10 III 1938 r.).

Opracowywane były w większości w konwencji realistycznej, zgodnie z duchem epoki, z niemal antykwaryczną dbałością o wierne odtwarzanie szczegółów. W warstwie znaczeniowej były nośnikami informacji dosłownych, prezentacją wybranych celowo obrazów z określonej przeszłości historycznej, dotyczącej głównie momentu utraty wolności i życia w niewoli. Poza funkcją poznawczą i apelatywną, niosły Ślązakom przesłanie o przynależności do narodu zdolnego do poświęceń i bohaterstwa, do realizacji nadrzędnych celów ideowych, jaką była walka o niepodległość.

Prezentowane po raz pierwszy na Śląsku dramaty Słowackiego, przygotowywane były zazwyczaj bardzo starannie, z szacunkiem dla autora i pietyzmem dla jego tekstu. Artyści katowiccy wykorzystywali mniej lub bardziej świadomie zdobycze reżyserii Juliusza Osterwy, Teofila Trzcińskiego, a zwłaszcza Leona Schillera. Śląskie premiery miały charakter wydarzeń teatralnych. Niejednokrotnie inaugurowały uroczyste otwarcie sezonu, pełniąc – zdaniem Elżbiety Nawrat – funkcję uświetniająco-reprezentacyjną. Teatr wystawiając po raz pierwszy najwybitniejszą dramaturgię narodową i prezentując nieznaną publiczności śląskiej przeszłość historyczną, spełniał ważną funkcję poznawczą i apelatywną, informując o rzeczywistości minionej, godnej szacunku i poznania.



„Kordian" z roku 1959 w reżyserii Jerzego Kaliszewskiego, ze scenografią Wiesława Langego. Na zdjęciu: Stanisław Niwiński (Kordian) i Michał Leśniak (Grzegorz).



„Mazepa" w reżyserii Bolesława Mierzejewskiego, ze scenografią Barbary Ptak (rok 1967). Na zdjęciu: Jolanta Szajna (Amelia), Adam Kwiatkowski (Mazepa), Bernard Krawczyk (Zbigniew).

W Polsce Ludowej

Po wojnie obecność dzieł Słowackiego w Teatrze Śląskim do 1989 roku była z jednej strony wypadkową zainteresowań i upodobań osobistych kierowników artystycznych, a z drugiej istniejących możliwości realizacyjnych. Zaostrzone kryteria ideologiczne, wprowadzane w życie w parze ze specyficznymi dla tego regionu zaleceniami i ograniczeniami, dotyczyły zarówno tego, co i jak ma być grane oraz w jakim celu.

Po raz pierwszy do repertuaru utwór Słowackiego wprowadził w maju 1950 r. Władysław Woźnik. Jego wybór padł na *Balladynę*. Reżyser prawdopodobnie był świadom tego, że mieściła się ona w normach socrealizmu za sprawą realistycznych walorów. Niemniej jej wystawienie motywował *marksistowskim modelem scenicznym* i *antyfeudalną i antymonarchistyczną* postawą Słowackiego. Opracowany w tonacji realistycznej spektakl, miał liczne odniesienia do wyobrażeń ludowych. Jego podstawową wartością, poza kreacjami aktorskimi Danuty Kwiatkowskiej, Romana Hierowskiego, Stefanii Michnowskiej, Gustawa Holoubka, Bolesława Mierzejewskiego oraz samego Woźnika w roli Grabca, była bogata kolorystyka oprawy scenograficznej, która w porównaniu z szarymi produkcyjniakami, była źródłem jego niezwykłej atrakcyjności, o czym świadczyło aż 159 jej wystawień.

Podobnie jak Woźnik, redutowcem był także Roman Zawistowski, aktor, reżyser i kierownik artystyczny Teatru Śląskiego w latach 1951-1954. Kontynuował on tradycję teatru autorskiego, dbałego o akademicką doskonałość i charakterystyczną dla epoki opracowywanego dzieła rodzajowość. W powodzi bezwartościowego współczesnego repertuaru politycznego, wystawiony 27 marca 1953 r. w reżyserii Zawistowskiego i scenografii Wiesława Langego *Mazepa,* stał się wydarzeniem. Zawistowski w świetle opinii z 1951 r. Podstawowej Organizacji Partyjnej, był *wrogo ustosunkowany do dzisiejszej rzeczywistości*. Także Lange nie wierzył w socrealizm i buntował się wobec jego kanonów i reguł. W efekcie powstało widowisko znaczące. Lange za pomocą monumentalnych elementów syntetycznej zabudowy scenicznej, zrealizował jedną z pierwszych swoich głośnych inscenizujących scenografii. W jej piętrowej konstrukcji, na pierwszym planie znajdowały się symbolicznie zarysowane trzy komnaty, już bez werystycznej wierności wobec szczegółu. W drugim planie, na całej długości sceny widoczne były ciemne i złowrogie mury zamku. To one zdawały się w swoim monumentalnym kształcie pogłębiać panujący w widowisku nastrój grozy. Zawistowski próbując przezwyciężyć panoszący się *realizm szczegółów* i obecność na scenie drugorzędnych drobiazgów, dbał o prawdę psychologiczną postaci. Miał do dyspozycji znakomity zespół aktorski: Gustawa Holoubka, Romana Hierowskiego, Józefa Parę, Adama Kwiatkowskiego oraz utalentowaną Jolantę Hanisz.

Podkreślmy, że w latach socrealizmu sztuka teatru, obok muzyki i plastyki była niespodziewanie jedną z nielicznych form wypowiedzi artystycznej, w której zachowany został w Katowicach element wolności. Nośnikami jej była przede wszystkim klasyka, w tym m.in. inscenizacje Słowackiego, a zwłaszcza z myślą o nich zrealizowane syntetyzujące i asemantyczne scenografie Langego.

Gustaw Holoubek – kierownik artystyczny Teatru Śląskiego w latach 1954-1956, posiłkując się uogólnieniami teoretycznymi Woźnika, a pośrednio i Osterwy, sięgnął na początku sezonu 1955/56 po *Fantazego*. Spektakl, obok kreacji Holoubka tytułowej postaci, do historii przeszedł ponownie za sprawą surrealistycznej scenografii Langego. Plastyk swoją oszczędną zabudowę ograniczył do półkolistego horyzontu i oddalającej się równiny, nad którą zawieszona została ciemna i ciężka jak gradowa chmura, korona drzew. Potęgowała ona klimat panującej grozy. Pozostałe znaki plastyczne, takie m.in. jak leżące i stojące kolumny, tworzyły iluzję nierealnego świata. Fakt zatem, że już w 1953 r. za sprawą inscenizacji *Mazepy*, a w 1955 r. *Fantazego*, w Katowicach odnotowujemy pierwsze udane próby przezwyciężania na gruncie teatralnym poetyki socrealizmu, pozwala sytuować tę scenę w kręgu kilku najwybitniejszych w tym czasie teatrów polskich.

Po 1956 r. sytuacja nie uległa od razu pogorszeniu. Jerzy Kaliszewski – dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Śląskiego w latach 1959-1962, realizując idee swojego mistrza Leona Schillera, kontynuował zapoczątkowany na gruncie śląskim przez Józefa Wyszomirskiego kierunek poszukiwań inscenizacyjnych. Wystawiając 13 XII 1959 r. w scenografii Langego *Kordiana* ze Stanisławem Niwińskim w roli tytułowej, akcentował dezaprobatę dla jego samotnego czynu powstańczego. Katowicki *Kordian* z 1959 r. był nie tyle wyrazem klęski narodu, ile przykładem dramatu Kordiana.

W latach następnych próbę odnajdywania w literaturze romantycznej pojęć i znaczeń adekwatnych dla współczesności, kontynuowali Roman Zawistowski, Józef Para i Mieczysław Górkiewicz. Dopisywanie romantyzmowi własnych uogólnień, nie zawsze kończyło się powodzeniem. W 1965 r. Zawistowski wystawił *Marię Stuart*, a w 1967 r. Józef Para *Szczęsnego Kossakowskiego* (*Horsztyńskiego*) i w tym samym roku Mieczysław Górkiewicz *Mazepę*. Niestety, dwa pierwsze widowiska obciążone melodramatycznym historyzmem, przypadły na okres narastającego w Teatrze Śląskim rozprężenia. *Szczęsny Kossakowski* w dyplomowej reżyserii Pary i opracowaniu dramaturgicznym Edwarda Csato akcentował wybór postawy ideowej bohatera, będącej świadectwem świadomości politycznej młodego pokolenia, kultywującego wartości patriotyczne i narodowe. W niedokończonym dramacie, zrealizowanym w rok przed wydarzeniami marcowymi 1968 r., Szczęsny Kossakowski w finale pytał: *co robić... Powiedz wahająca się myśli, co robić?* Zdaniem Bolesława Surówki dawało to *pewną supozycję, że Szczęsny bez względu na okoliczności, przyłączy się być może do powstania*.

W kolejnych dekadach utwory Słowackiego w Katowicach realizowane były już tylko raz w każdym dziesięcioleciu. I tak w 1975 r. Jerzy Kaliszewski zrealizował po raz pierwszy *Księcia niezłomnego* w scen. Lidii i Jerzego Skarżyńskich. Reżyser starając się przywrócić pierwotny sens ideowy utworu Calderona, równocześnie z pietyzmem odtworzył rytm frazy wiersza Słowackiego. Było to widowisko, w którym bohaterzy o duszach romantycznych występowali w świecie hiszpańskiej poezji dworskiej i rycerskiej. Dominował, w przeciwieństwie do widowiska z 1964 r. Jerzego Grotowskiego, plan historyczny dramatu.

W dziesięć lat później Jerzy Zegalski, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Śląskiego w latach 1981-1992, w 1984 r. wprowadził na scenę *Kordiana*. Jego realizacja była głosem w dyskusji nad przyczyną klęski bohatera, która według Zegalskiego była efektem chrześcijańskiego rodowodu Kordiana i wynikających z tego faktu uwarunkowań filozoficzno-moralnych. Walka młodego chorążego w wykonaniu Andrzeja Dopierały, z jego imaginacją, ilustrowała nie tyle motyw walki dobra ze złem, ile walki, jaką chrześcijański bohater to-

czył ze sprzecznymi wobec jego postawy etyczno-moralnej planami zabójstwa. Klęska Konrada była konsekwencją jego światopoglądu, jakkolwiek postanowiona została „poza jego świadomością przez moce szatańskie". Ten punkt widzenia zrodził się z opozycji do wieloletniej tradycji inscenizacji dramatu Słowackiego, wystawianego bądź to z obowiązku wobec narodowej tradycji, bądź ze względu na zawarte w nim aluzje do współczesności, tak jak było to m.in. w inscenizacjach Kazimierza Dejmka w latach 1965 i 1967 w Teatrze Narodowym w Warszawie czy też najbardziej dyskusyjnej realizacji Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Powszechnym w Warszawie w 1970 r.

W sumie w latach Polski Ludowej w Katowicach odbyło się dziesięć premier sztuk Słowackiego, z których dwukrotnie zrealizowana była *Balladyna, Kordian* i *Mazepa*. Pozostałe: *Fantazy, Maria Stuart, Szczęsny Kossakowski* i *Książę niezłomny*, miały tylko po jednej premierze. Wszystkie te widowiska, odwołujące się do bogatej tradycji kultury narodowej, w robotniczym środowisku Górnego Śląska pełniły w latach ograniczonej suwerenności politycznej wielorakie funkcje społeczno-artystyczne i zadania patriotyczne, wśród których dominowała przemożna chęć odnajdywania w nich pojęć i znaczeń odwołujących się do ówczesnej rzeczywistości.



„Kordian" w reżyserii Jerzego Zegalskiego (rok 1984). Na zdjęciu: Andrzej Dopierała (Kordian) i Roman Michalski (Car).

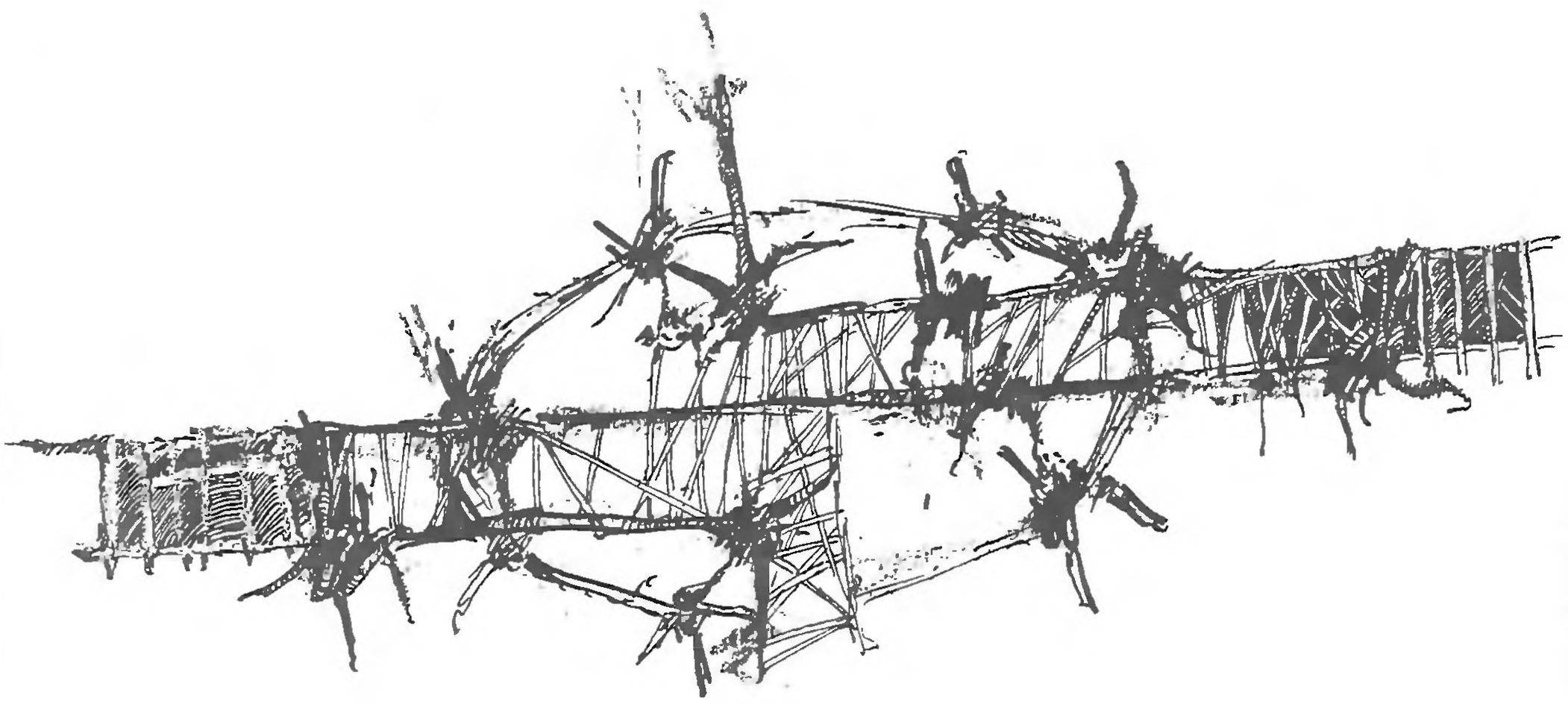
Po 1989 roku

Wystawiony w 1992 r. *Fantazy* w reż. Zegalskiego, był próbą odczytania zawartych w nim treści poprzez realia współczesności. Na scenie zamiast dworku, Barbara Stopka zaproponowała jedynie niezbędne taborety, fragmenty rozlatujących się posągów i kolumn oraz balustrady osłonięte nicią pajęczą. Aktorzy grali na pustej scenie. Zgodnie z epoką zachowali swoje stroje. W opozycji do żarliwej kreacji Juliusza Osterwy postaci Fantazego, kontynuowanej następnie w latach 50. m.in. przez Gustawa Holoubka, ironiczny i oschły Fantazy w wykonaniu Czesława Stopki nie był postacią pierwszoplanową. Ustąpił miejsca pełnej uczucia i intelektualnej dojrzałości Idalii w wykonaniu Bogumiły Murzyńskiej. W tym stanie rzeczy wkraczaliśmy w wolność. Wokół nas była pustka i strzępy wspomnień.

Po raz ostatni dramat Słowackiego w Katowicach wystawiony został w okresie dyrekcji Henryka Baranowskiego (2003-2006). Wybór padł na niegrany tu wcześniej, a popularny na scenach Polski Ludowej *Sen srebrny Salomei*. W porównaniu m.in. z wcześniejszymi inscenizacjami Krystyny Skuszanki z lat 1959, 1963 i 1967, będącymi obrazami krwawej rewolucji, w których patos i ironia mieszały się ze scenami rzezi i melodramatu, realizacja katowicka w reżyserii Krzysztofa Prusa i scenografii Marka Mikulskiego oparta była na próbie stworzenia dwóch planów gry, dwóch światów. Oddzielający ich od siebie przeźroczysty szkic obrazu Jana Matejki, zdawał się niejako wyznaczać granicę pomiędzy jawą i snem. Przesycona czerwienią przestrzeń sceny, emanowała obrazami śmierci. Nastrój grozy potęgowały fragmenty *Symfonii pieśni żałosnych* Henryka Mikołaja Góreckiego oraz *Jutrzni* Krzysztofa Pendereckiego. Zaproponowana w onirycznym kształcie inscenizacja, rozbita, niespójna i rozproszona, nie trafiła do wrażliwości współczesnego widza, podobnie zresztą, jak nie trafiają do nas już od kilkunastu lat proponowane nam w innych teatrach polskich inscenizacje dramatów Słowackiego. Okazuje się bowiem, że im dalej od 1989 r., tym trudniej znaleźć nam klucz do odczytania na nowo tych dramatów. Czyżby były to wyłącznie teksty na czas narodowej niewoli? Realizowane współcześnie w kształcie scenicznych komiksów, rozbite na obrazy prezentowane poza sceną teatru, np. w supermarkecie, eksponujące obsesje i fantazmaty reżyserów, skutecznie eliminują geniusz Słowackiego z naszej współczesności. Nie dziwi zatem opublikowany przez Ewę Nawrocką w 2006 roku szkic pod znamiennym tytułem: *Słowacki – wielki nieobecny*.

■

KRZYSZTOF SIWCZYK



Rys. Wojtek Łuka

Pierwsze wrażenie

Groby wylane betonem, raj marzeń zakłopotanego adolescenta, przeżywającego w świetnym usposobieniu swoje smuteczki. Tymczasem widzę zupełnie jasne perspektywy, zasieki nieba, żar tlenu, który spopiela, jakby nie patrzeć, tamte rewelacje. Co my tu mamy? Sfatygowaną biomasę rozpiętą na żerdziach, chaszcze światła, zanikający w dali fiord, pełen głębi jak na tą ziemię, która czyni sobie śmierć poddaną. Nic to nie znaczy, niczego nie pomaga negować, co zwalnia z konieczności zastanawiania się nad jakąś większą rozterką, chyba że będzie to sytuacja gnid w uniwersalnym sienniku, ewentualnie bóstw, jakie pękają pod paznokciami dłoni złożonych w zbyt żarliwych modlitwach. Akurat nie ma nad czym załamywać rąk, tylko podziwiać: bryk, szkuner, uśmiech.

Wiersz w dobrym czasie

moim zdaniem coś przypomina, jest do czegoś podobny, zgadza się nawet miejsce i pogoda i jest jeszcze czas, żeby o tym myśleć, w to przekorne popołudnie, kiedy nakładające się dźwięki stworzeń każą wybierać między podziwem i zazdrością, a własności rzeczy pierwszego kontaktu są jakby bardziej oczywiste, widelec, nóż i dalsza okolica pełna domków z dykty, w których pachnie lizol i łzy rojone nad wiadomością o śmierci kogoś bliskiego wtedy, ze wstydu ukrywane do późnego poranka, gdy już wszyscy zdążyli zniknąć w teraz tamtej chwili, w radosnych szczeknięciach lasu, nikt nie został zapytać jak się czujemy młody człowieku, jak kapitalnie dziś zachodzi mgłą morze i parawany, kiedy coś próbuję sobie uświadomić, najwidoczniej nic bardziej mylnego niż ten moment, kiedy łapię cię za rękę i myślę *tak*

wiersz najczęściej wymusza na odbiorcy jakąś postawę, może również chodzić o zwykłą zaczepkę, dzieje się tak natychmiast po uruchomieniu tych wszystkich trudnych, bolesnych spraw, nic wtedy już nie warto, nie zastanawia mnie to specjalnie, chodziłoby raczej o utrwalenie sobie paru podstawowych informacji, zakodowanie neutralnych zupełnie faktów, wobec których postawa jest tylko śmiesznym naśladownictwem działań zwierząt, zastanawiających w realny sposób

w twoich dłoniach zostanie piasek, bez względu na wszystko, wspomnienie ukierunkuje wrażenie, które będzie żywe i martwe zarazem, będzie rodzajem narracji o niczym, będzie tanatozą, bodźce przyjdą z odruchu serca

Test

Widok powietrza, w którym niczego już nie brakuje,
ot co znalazłem u schyłku własnej metryki,
prowadzonej mniej więcej od zawsze,
od kiedy zawezwano mnie do odpowiedzi
przed obliczem południa,
w jakieś miejskiej osadzie mgieł,
zdecydowanie z dala od centrum,
w jakim rozgrywały się zdarzenia epoki,
a horyzont przesuwał się co rusz o krok dalej,
kiedy uciekałem w jego stronę,
przez chwasty i mlecz,
przez wykopy pod przyszły fundament czasu,
w jakim miało mieć miejsce nowe życie gwiazd.

I tak dotarłem do teraz,
o czym donosi olej na firmanencie,
pukiel łez w ręku dziecka,
które spóźniło się na apel zjaw,
wybitych na medalionach, obsianych po polach,
zaoranych w przeddzień święta pracy słów,
do jakich uciekamy się, bez najmniejszego sensu.

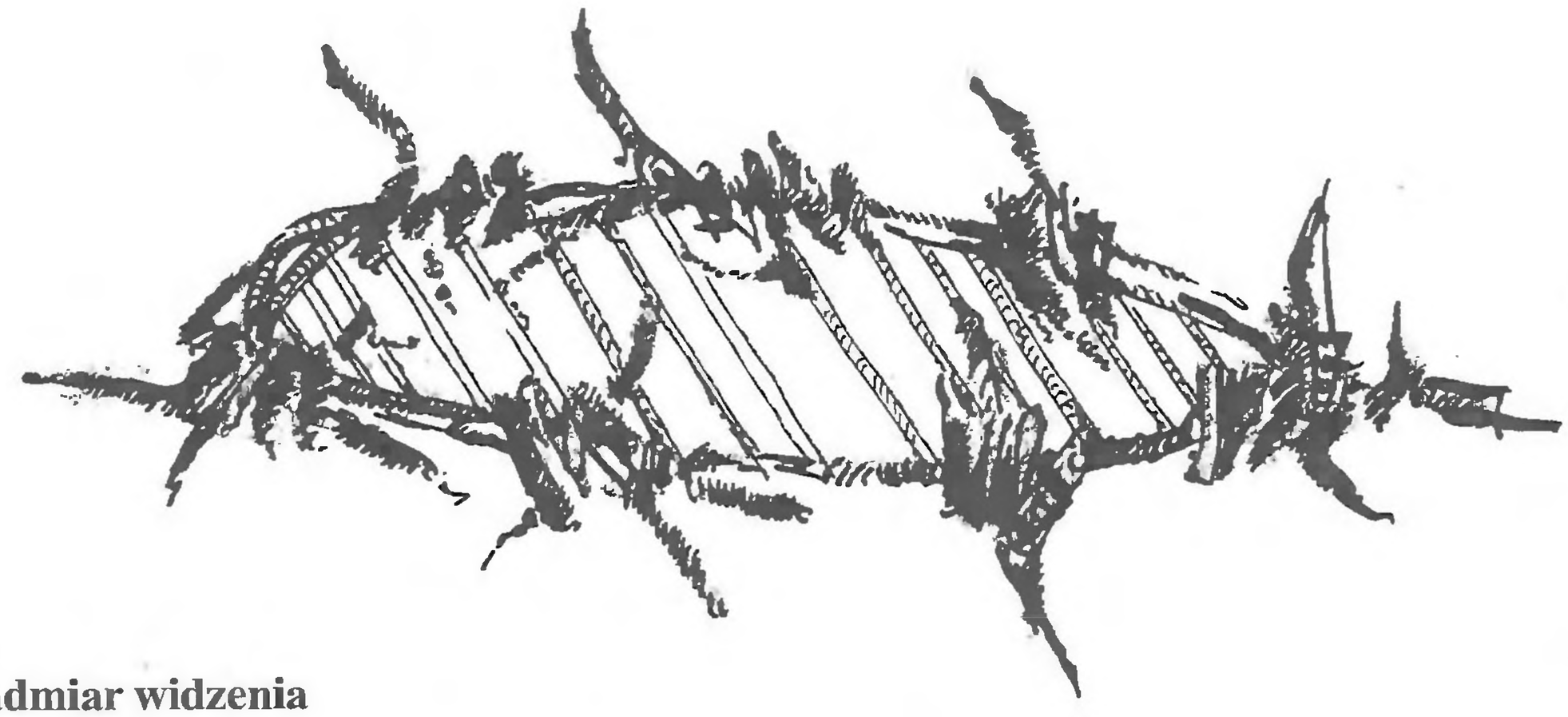
Uciekamy bez najmniejszego sensu,
podczas gdy test wypadł korzystnie,
zaniechano nas dla tej chwili i
na tym mogę odrobinę poprzestać.
Do czasu, kiedy nie można już przestać,
a o nic więcej przecież nie chcę prosić.

Koncentrat

Kostki twarzy skierowane w strony.
Tu spoczywa królestwo tego świata.
Wzrasta naciek drzew, zawłaszcza obóz
Za którym dogasa słońce, plewy i
Wszystko to widzi nas.
Najwyraźniej.

Mnisi drelich w świetle szumi
Pod wiatr, gdy zapada się głos
Nad równiną, o jakiej teraz myślimy
Bez nas, tak jakby coś miało miejsce,
Miało czas i mogło istnieć
W naszej postaci.

Nic nie istnieje w naszej postaci.
O tym milczy drelich, myśli równina,
To widzi czas. W miejscu rusza się
Naciek, kostki spadają po stopniach,
Które prowadzą w górę.
Trzydzieści trzy.



Rys. Wojtek Łuka

Nadmiar widzenia

Dymy, wokół powietrza, którymi oddychają mikre stworzenia.
Mieści się tam bardzo dużo stworzenia i najwyraźniej cierpi
Poważne niedoskonałości. Nie zaobserwowano znaczącego
Sensu.

KRZYSZTOF SIWCZYK

Powieści ukazujących kampanię wrześniową 1939 roku na Górnym Śląsku jest stosunkowo niewiele. Pisarze śląscy najwyraźniej zdawali sobie sprawę z tego, jak trudno opisać postawy i walkę Górnoślązaków w obronie przedwrześniowej Ojczyzny, która dla wielu autochtonów była jednym wielkim rozczarowaniem. W tle majaczyła się dodatkowo zawsze skomplikowana sprawa zmiany narodowości przez miejscową ludność po klęsce wrześniowej.

W cieniu spadochronowej wieży

RYSZARD BEDNARCZYK

Jednym z odważniejszych pisarzy, który zmierzył się z trudnym tematem Września 1939 roku był Kazimierz Gołba. W swojej najgłośniejszej powieści „Wieża spadochronowa" ukazał kilka gorących dni przed i tuż po wybuchu II wojny światowej w Katowicach i okolicznych miastach. Prozaik ułatwił sobie zadanie opisania agresji hitlerowskiej na polski Górny Śląsk, wykorzystując gotowe schematy patriotycznych postaw, jakie podsuwała mu polska literatura i historiografia. Nie dziwi zatem to, że włączył się w zmitologizowany nurt tyrtejski rodzimego piśmiennictwa artystycznego, przy okazji przyczyniając się swoją prozą do powstania nowej legendy – a może jej utrwalenia w społecznej świadomości – bohaterskiej obrony Katowic w 1939 roku.

Harcerskie powstanie śląskie

Głównym bohaterem powieści Kazimierza Gołby jest nastoletni harcerz śląski Stach Jadwiszczok. Jego ojciec Wiktor, maszynista kolejowy, były powstaniec śląski, wychował dzieci: Stacha, Bolka i Tereskę na polskich patriotów. Pisarz przedstawił ich postacie jako anielskie, nawet złe czyny Jadwiszczoków – kradzież roweru, zabijanie Niemców – opatrzone są stygmatem patriotycznej świętości. Opętani ideą polskości bohaterowie przypominają męczenników gotowych złożyć życie w ofierze na ołtarzu Ojczyzny. I wszyscy giną jak bohaterowie: ojciec zamordowany przez sąsiada Reinholda Wallotka, chłopcy zastrzeleni na wieży spadochronowej, a Tereska zabijając niemieckiego żołnierza wkraczającego do Katowic.

Prozaik, kreując świat przedstawiony powieści, posłużył się czarno-białym schematem. Polskich patriotów opisał jako ludzi dobrych, Niemców jako podstępnych, złych morderców.

W tak podzielonym świecie świetlane postacie Jadwiszczoków z diabolicznymi hitlerowcami łączy zamieszkanie w jednej kamienicy, gdzie sąsiadują z niemiecką rodziną Wallotków, której członek Reinhold jest bandyckim nazistowskim bojówkarzem. Konflikt Wallotka z Jadwiszczokami stanowi oś, wokół której obraca się zarówno nienawiść narodowościowa jak i sąsiedzka. Zabicie Reinholda przez młodszego Jadwiszczoka w finale powieści nabiera cech zemsty rodzinnej jak i czynu patriotycznego. W ten sposób przez całą akcję prozy Gołby przewija się motyw porachunków osobistych i państwowych, co ożywia fabułę, nadając jej autentyczności a postępowaniu bohaterów psychologicznego prawdopodobieństwa. Przy okazji zacierana jest nadmierna literackość wątków.

Ale „Wieża spadochronowa" Kazimierza Gołby zasłynęła przede wszystkim z mitologizacji obrony Katowic. Przez lata opisane w powieści wydarzenia: harcerska walka na wieży spadochronowej, liczne potyczki na ulicach Katowic oraz gromadne przeciwstawienie się powstańców śląskich wojskom niemieckim uznawane były za prawdę. Tymczasem były elementem fikcji literackiej. Według najnowszych badań historyków nie było oporu harcerzy na wieży spadochronowej i zbiorowego „czwartego powstania" śląskiego przeciw Niemcom, o którym pisze Gołba. Prozaik dopuścił się mistyfikacji, ukazując byłych powstańców śląskich i harcerzy jako jedynych z bronią w ręku licznie walczących z Werhmachtem na ulicach Katowic.

Zresztą opis chaosu i ewakuacji polskich urzędników, gorzkie słowa oskarżenia w narracji pod adresem sanacyjnych władz także są sporym uproszczeniem i zanadto przypominają historyczne slogany powtarzane w PRL-u przez socjalistyczną propagandę. „Jesteśmy oszukani przez własny rząd... przygotowania do wojny były tylko na papierze... brak samolotów, czołgów, amunicji... dowództwo straciło głowę... bitwa o Śląsk już przegrana" – wykrzykuje profesor polonista do Stacha Jadwiszczoka. Czy pisarz uległ politycznym naciskom, czy osobiście tak surowo ocenił kampanię wrześniową? Trudno dociec po latach, bo równie dobrze mógł stworzyć powieść polifoniczną pełną obcych mu osądów politycznych.

Choć opinia literaturoznawców potwierdza, że tuż po wojnie krytycyzm polskich pisarzy wobec międzywojennej Rzeczypospolitej był czymś powszechnym i oczywistym. „Lata powojenne to okres szczerych i niezbędnych kulturze rozliczeń z Polską przedwrześniową widzianą w sposób najzupełniej naturalny, z perspektywy rosnących w niej wpływów ideologii skrajnie prawicowych, a nawet faszyzujących. Rozliczenie z przeszłością objąć musiało także klęskę wrześniową, zestawianą z mocarstwową propagandą i jeszcze bardziej mocarstwowymi aspiracjami wpływowych ugrupowań politycznych. Podobnie jak

w innych krajach europejskich, surowemu osądowi podlegały demokratyczne formy rządów, więcej – demokratyczny ład, który nie potrafił zapobiec ekspansji agresywnego zła" – napisał Andrzej Werner w artykule „Wina niewinnych i niewinność winnych. Rzut oka na związki polityki z literaturą i literatury z polityką w PRL".

Jednak, pisząc o mitologizacji prawdy historycznej przez Gołbę, trzeba pamiętać o innych polskich literackich legendach; o Ordonie, który nie wysadził reduty i żył długo na emigracji w Paryżu, o generale Karolu Świerczewskim, który zginął w zasadzce, bo podchmielony nie zwykł się kulom kłaniać. Legenda patriotyczna ma bowiem to do siebie, że zawiera tylko część prawdy, a istnieje po to, żeby pokrzepić nas na duchu i tworzyć wzorce do naśladowania.

Ludowa obrona

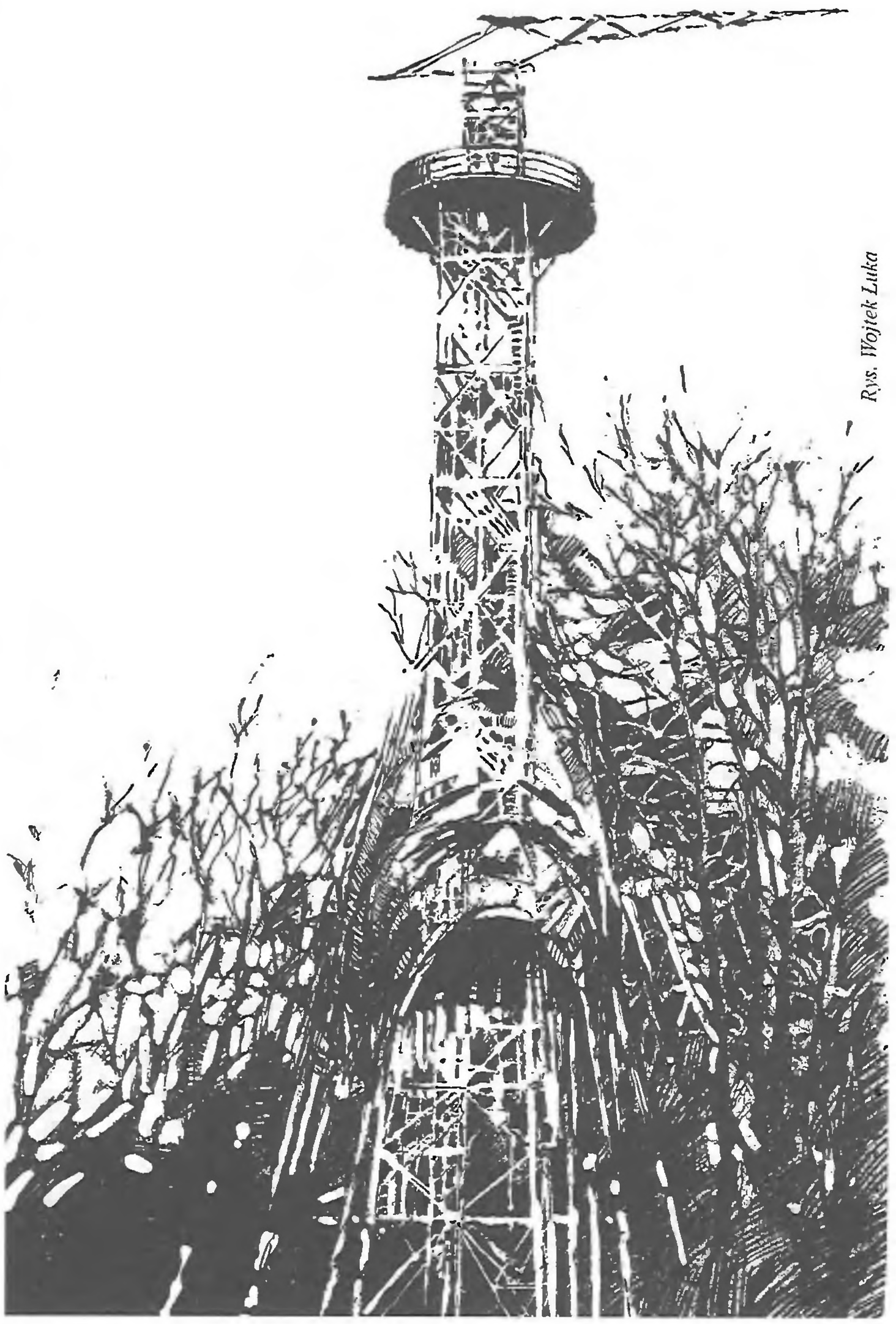
W mitotwórczy nurt śląskiej prozy o kampanii wrześniowej wpisała się także powieść Wilhelma Szewczyka „Ptaki ptakom", która podobnie jak książka Gołby utrwaliła legendę obrony Katowic przez powstańców i symbol harcerskiego oporu na wieży spadochronowej.

Bohaterem utworu Szewczyka jest oficer rezerwy Karol Profaska, walczący w oddziałach samoobrony Górnego Śląska. Akcja powieści rozpoczyna się w chwili przewożenia uwięzionego przez Niemców oficera wraz z kilkoma innymi obrońcami na miejsce kaźni. Wszechwiedząca narracja trzecioosobowa przerywana jest licznymi pierwszoosobowymi retrospekcyjnymi wspomnieniami Profaski z walk obrończych. Bardzo wyraziście i plastycznie opisuje prozaik potyczki z Niemcami na ulicach Katowic. Werystyczny sposób ukazania walk wyolbrzymia obraz obrony miasta w domu powstańców, w pobliżu placu Wolności oraz na wieży spadochronowej.

Prozaik ukazuje przede wszystkim opór powstańców śląskich i harcerzy. Wplecione w narrację oskarżycielskie pytania o niewielki udział polskiego wojska w obronie miasta oraz opisy ewakuacji wojewódzkich urzędników wzmacniają efekt samotnego oporu, do którego zdolni byli jedynie harcerze i powstańcy śląscy. W powieści pojawiają się zresztą autentyczne postacie obrońców Nikodema Renca i Wincentego Fojkisa. Prawdziwe nazwisko nosi też Georg Joschke, katowicki SA-man, bowiem obok polskich patriotów w powieści Szewczyka roi się od śląskich zdrajców i zaprzańców. Pozory dokumentalnej autentyczności zachowane przez pisarza dodatkowo spotęgowały mitotwórczy charakter powieści „Ptaki ptakom". A końcowe słowa utworu, do których nawiązuje tytuł: „Ptaki ptakom" mówić będą aż do dni dzisiejszych: „czy słyszeliście te salwy nad panewnickim lasem" – zdradzają świadomy legendotwórczy zamysł prozaika.

Wilhelm Szewczyk zademonstrował w powieści umiłowanie swojej górnośląskiej małej ojczyzny, gdy wręcz gloryfikował trud walki polskich autochtonów i zwracał uwagę na zróżnicowaną narodowościowo specyfikę Górnego Śląska. Obrona Katowic we wrześniu 1939 roku według autora książki „Ptaki ptakom" była dla insurgentów kontynuacją powstańczych zrywów i miała charakter ludowego zrywu. Prawdziwymi polskimi patriotami w kampanii wrześniowej w 1939 roku na Górnym Śląsku byli dla pisarza jedynie plebejusze, śląski lud. Przy czym istotne stało się również dla autora powieści ukazanie patriotycznej martyrologii Polaków i ludobójczego charakteru hitleryzmu.

Liczne dygresje odautorskie dotykały także szerszego problemu udziału dzieci w wojnie. Harcerskie poświęcenie życia w obronie Katowic i na ołtarzu Ojczyzny przypominało wręcz – pod piórem Wilhelma Szewczyka – godną podziwu dziecięcą krucjatę. Patriotyczna legenda śląskich harcerek zyskała w ten sposób uniwersalny wymiar.



Rys. Wojtek Luka

Hańba rasowa

Całkiem podobnie jak Kazimierz Gołba jako głównych obrońców górnośląskiego pogranicza ukazał byłych powstańców śląskich Zdzisław Pietras w powieści „Ćmy". Główny bohater utworu, którego akcja dzieje się od 29 sierpnia do 1 września 1939 roku we wsiach Borowo i Rogowo pod Wodzisławiem, Stasiek Długosz strzeże i broni brodów na Odrze wraz z byłymi śląskimi insurgentami. Opiekę nad Staśkiem, synem zmarłego powstańca sprawuje weteran Kula. Obok całej plejady postaci polskich patriotów mamy także w książce do czynienia ze zwolennikami Hitlera, do których należy Alfred Kessner oraz nieco wahający się Paweł Grzybek. W przypadku Alfreda oprócz politycznych przekonań o popieraniu nazizmu decyduje złożona przez Niemców obietnica, że po zdobyciu Polski przez Werhmacht Kessner zostanie wójtem rodzinnej wsi. Podobnymi motywacjami kieruje się Grzybek, który ma obiecane stanowisko zastępcy wójta, ale nie jest ideowo przekonany do hitleryzmu. Niemców popiera z wyrachowania i częściowo strachu. Te dwie postacie tworzą trzon nazistowskiej bojówki i siłą rzeczy popadają w konflikt narodowościowy ze Staśkiem.

Chociaż poza powodem państwowym bohaterów poróżniła Niemka Hilda Grajner, narzeczona Staśka, o rękę której marzy także Alfred i po cichu Paweł. Intrygi Kessnera i Grzybka doprowadziły w końcu do tego, że stary Grajner, skądinąd przyzwoity Niemiec nie popierający Hitlera, przekłada ślub córki z Polakiem. W tym prywatnym osobistym konflikcie uwidocznił pisarz rasistowską ideologię nazizmu, która zabraniała Niemkom małżeństw z gorszymi rasowo Polakami. „Musimy zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do zbrukania naszej wspaniałej rasy" – przekonuje Alfred, zamierzający poślubić Hildę.

Ten prywatny wątek sprawia, że fabuła powieści staje się bardziej wiarygodna a intryga ciekawsza. Właśnie w rywalizacji o kobietę ujawniają się emocje postaci. Patriotyzm i nazizm podszyte erotyką demaskują ciemne strony charakterów Alfreda i Pawła oraz szlachetność charakteru Staśka. I może w tym przeciwstawieniu podłych nazistów prawemu polskiemu patriocie jest sporo stereotypowości, która jednak zanika pod warstwą uczuć i prawdziwie ludzkich namiętności. Schematyzm w widzeniu Polaków i Niemców mniej razi okraszony obecnością Amora.

Zresztą Zdzisław Pietras doskonale portretuje w „Ćmach" wiejskie środowisko, dobrze znających się wzajemnie sąsiadów i mieszkańców. Opisuje, jak zagrożenie wojną i hitleryzmem doprowadza do rozpadu więzi międzyludzkich, do odhumanizowania świata przedstawionego. Dawne przyjaźnie, znajomości już nie są istotne, przytłoczone przez idee z zewnątrz, które rozbiły na dobre arkadyjską wspólnotę chłopską.

Powieść kończy się tragicznie; w strzelaninie giną Stasiek i Hilda, jej brat Helmut – fanatyczny zwolennik Hitlera – i Alfred. Umierają w chwili rozpoczęcia niemieckiej agresji na Polskę. Wydźwięk powieści nie jest optymistyczny. Klęskę ponoszą główni uczestnicy prywatnego i narodowego konfliktu. Pokonani zostają powstańcy broniący wraz ze strażnikami granicznymi mostu na Odrze. Na nic zdała się pewność polskich obrońców, że „silne zwarte i gotowe" nasze samoloty przepędzą agresorów. Ale prozaik oszczędza czytelnikowi dalszych opisów klęski wrześniowej i chaosu ewakuacji sanacyjnych władz.

Warto trochę miejsca poświęcić zagadkowemu tytułowi powieści Pietrasa. Kim są tytułowe ćmy? Wyjaśnia to Hilda – w tych słowach nad wyraz intelektualnie rozwinięta jak na zwykłą wiejską dziewczynę – „ćmie się wydaje, że bohaterstwo, na które się zdobędzie, spowoduje, że następne pokolenia ciem żyć będą w nie spotykanym dotąd dobrobycie, będą panować nad innymi ćmami". Przesłanie włożone przez pisarza w usta prostej kobiety jest ponadczasowe i w swoim krytycyzmie odnosi się zarówno do Niemców jak i Polaków. Ma charakter – godnego zapamiętania – pacyfistycznego apelu nawołującego do przyjaznego współistnienia narodów i państw.

Polski wrzesień jako walka klas

Bardzo pesymistycznie ukazany jest przebieg kampanii wrześniowej w powieści Wilhelma Szewczyka „Kleszcze". Na śląskim pograniczu – akcja utworu dzieje się w okolicach Szczygłowic nad rzeką Bierawką w przededniu wybuchu wojny i w chwili wkroczenia hitlerowców do Polski – panuje chaos i panika. Granicy pilnują jedynie byli powstańcy śląscy, wojsko polskie jest ledwo widoczne. W dodatku większość żołnierzy myśli o ucieczce, a miejscowi poborowi o dezercji do Niemiec. Przedstawiciele lokalnych władz, jak naczelnik gminy, zawodzą w chwili próby, chyłkiem ewakuując się. Nieliczni patriotycznie nastawieni policjanci osaczeni są przez miejscowych Niemców oczekujących nadejścia swoich rodaków. W panującym chaosie w siłę rosną nazistowskie bojówki, kierowane przez karczmarza Ducha. Opisuje prozaik przygotowania hitlerowców do prowokacji gliwickiej oraz przejęcia kopalni. Szewczyk nie szczędzi gorzkich słów sanacyjnym urzędnikom, którzy Śląsk potraktowali jako dobre miejsce do zbicia majątku, zazwyczaj nieuczciwie. Żądza wzbogacenia się w przeddzień hitlerowskiej agresji na Śląsk towarzyszy też polskim narodowcom. Jeden z nich, Raczek, marzy o przejęciu gospody proniemieckiego karczmarza. Jeszcze inni, nie tylko naziści ale i zwykli mieszkańcy, myślą o zaborze majątku Żydom. Pojawia się bowiem w narracji i wątek antysemityzmu i pogromów, co uwyraźniają losy żydowskiego szewca Glywytzera.

Jedynymi pozytywnymi postaciami w „Kleszczach" są komuniści. Bartoszek, Jilk – pracownicy kopalni fedrującej mimo zagrożenia wojną – planują nie tylko obronić zakład przed Niemcami ale i przeciwstawić się hitlerowskiej napaści na Polskę. Współpracują w tym celu nawet z niemieckim komunistą Ernestem. Socjalistyczni herosi zamierzają także przejąć i oddać w ręce górników kopalnię. „Dyrektorzy i akcjonariusze, rozbijacze naszego robotniczego ruchu, rozmaici narodowi prorocy, namawiający do bratobójczej walki – oto macie jedną stronę walczących. A drudzy to my, ludzie z kopalń i hut, z tej i z tamtej strony granicy, ludzie, którzy jak Marcel padli w Hiszpanii i jak Wieczorek lub Spendel poszli do więzienia. Drudzy to my, klasa robotnicza, która dotychczas silna liczbą, staje się coraz silniejsza świadomością. Walka między tymi klasami toczy się od dawna na całym świecie i przybiera na sile" – przemawia Bartoszek do pracowników kopalni. Oczywiście ponoszą klęskę i muszą uciekać przed hitlerowską nawałnicą, jednak z myślą o dalszej walce o wyzwolenie od faszyzmu i kapitalizmu.

Wyraźnie powieść Wilhelma Szewczyka „Kleszcze" swoją proletariackością odróżnia się w opisie kampanii wrześniowej 1939 roku od książek pozostałych pisarzy śląskich. Pozbawiona patriotycznej otoczki propaguje internacjonalizm. Gdy spojrzy się na datę napisania powieści w 1950 roku, podczas najczarniejszej stalinowskiej nocy, wychwalanie pod niebiosa walki klas przestaje dziwić. A przeciwstawienie polskim narodowcom jak i hitlerowcom współpracy polskich komunistów z niemieckimi odzwierciedla założenia stalinowskiej propagandy, które we wrześniu 1939 roku w Polsce nie przyszły do głowy nawet samemu Władysławowi Broniewskiemu. Zatem sporo w prozie Szewczyka lakiernictwa i po-

bożnych życzeń rodem z politgramoty. Górnośląski prozaik uległ po prostu – jak wielu innych polskich i śląskich pisarzy – schematyzmowi realizmu socjalistycznego, który zadekretowano w Polsce na szczecińskim zjeździe literatów w 1948 roku. A socrealizm zdaniem Andrzeja Wernera do 1952 roku „jako najważniejszego wroga ciągle uznawał faszyzm; główną przyciągającą siłą komunizmu był mit najbardziej radykalnego przeciwnika i pogromcy faszyzmu. Każdy kierunek myślowy czy estetyczny uznawany za obcy czy wrogi komunizmowi i jego sztuce uzyskiwał w efekcie epitet faszystowskiego."

Ale mimo obecności tylu socrealistycznych wątków powieść „Kleszcze" posiada sporo zalet. Należą do nich wspaniałe opisy śląskiego pejzażu przemysłowego oraz wierne ukazanie wielonarodowościowej społeczności osady górniczej a także zaprezentowanie rozczarowania autochtonów do sanacyjnej Polski i rodzenia się sympatii do III Rzeszy w okresie poprzedzającym napaść na Polskę. Istotny jest również wątek dojrzewania Emila Szóstoka, pochodzącego ze Śląska warszawskiego dziennikarza, który odkrywa w sobie w trudnych dniach września 1939 roku przywiązanie do kopalni i górnośląskiej małej ojczyzny. Akurat ta strona przemiany bohatera opisana została przez Wilhelma Szewczyka w sposób wiarygodny i literacko udany. Czego nie można powiedzieć o powierzchownie opisanym przekuwania jaźni Emila w ideowego komunistę. Podobnie ogólnikowo potraktował zresztą prozaik wątek miłości Matyldy do oziębłego uczuciowo Szóstoka.

Bohaterszczyzna i drwina

Zupełnie odmiennie niż pozostali pisarze śląscy – z szyderstwem i bez patosu – podchodzi do tematu kampanii wrześniowej 1939 roku na Śląsku Leon Bielas w powieści „Sławna jak Sarajewo". Ponad sto pierwszych stron tej prozy poświęconych jest przygotowaniom do II wojny światowej i jej wybuchowi. Pisarz w prześmiewczy sposób demitologizuje legendę polskich ułanów. Opisując manewry polskich wojsk w przede dniu hitlerowskiej agresji, posługuje się myślowymi kalkami ówczesnego społeczeństwa i polityków oraz wojskowych, którzy niezachwianie wierzyli w wyższość polskiej konnicy nad niemieckimi czołgami. W malarski sposób niczym klasycy scen batalistycznych prozaik opisuje zwycięskie szarże ułanów na manewrach, nieudolność piechoty, a do rangi symbolu urasta awaria nielicznych tankietek, co potwierdza przekonanie o nieprzydatności pancerniaków na wojnie. Uwielbienie konnego wojska polskiego potęgowane jest przez wypowiedzi ludzi obserwujących manewry. „Mają piękne konie – dodała Szmatloszka. – Mogą i do Berlina na nich zajechać. Niemcy ponoć tela koni nie mają i bez tóż muszą te zieleźne skrzynie budować, a to ogromnie dużo kosztuje i nic nie warte, psuje się to, szmarować trza, jak, nie przymierzając, staro baba." W tym prostackim podziwie zwykłej wiejskiej baby wyczuć można jednak ukrytą pisarską drwinę z mocarstwowych zapędów władz Polski przedwrześniowej. Taki sam ironiczny wydźwięk mają słowa o chłopcach malowanych niby z wojskowej piosenki. Dyskretna literacka kpina prozaika demaskuje stereotypowe i nienowoczesne myślenie polskiego dowództwa, ale jest zarazem nostalgicznym pożegnaniem z obrazem XIX-wiecznej armii, której kres położyła II wojna światowa.

W powieści Bielasa trudno by szukać scen heroicznej obrony górnośląskiego pogranicza, nawet patriotyczni byli powstańcy śląscy ograniczają się do patrolowania odpustów i targów. Zresztą stan psychiczny byłych insurgentów jest nie najlepszy. Gwizdoń to biedak rozczarowany do Polski a Kozub to pijak. Podobnie zresztą odheroizowani i odarci z grozy są zwolennicy nazizmu. Ich działanie polega na wymuszaniu od handlarzy sprzedaży hitlerowskich gadżetów. Główny polakożerca Grychtolik ogranicza się do gróźb i wyśmiewania z Polski, przy okazji – mimo nadchodzącej wojny – budując nowy dom.

– Tak jak ty, teraz, tak wyglądo cało twoja Polska. Przesraliście ją i przepili. Teraz wom ją zabiorą i bydzie koniec, szlus! Nareście na ten zgnojony Śląsk wrócą prawdziwi panowie – odgraża się Zefel Grychtolik.

Pisarz ukazuje na kartach swojej powieści antybohaterską wersję przebiegu kampanii wrześniowej. Konflikty pomiędzy zwolennikami Hitlera i obrońcami Polski prozaik sprowadza do słownych kłótni pomiędzy byłymi powstańcami śląskimi Gwizdoniem i Kozubem a zwolennikiem III Rzeszy Grychtolikiem. Wyjątkiem nie jest komunista Czogała, wypuszczony z więzienia nie ginie za Ojczyznę. Zamiast ojczyźnianej walki woli Bielas opisać pospolitą bijatykę na zabawie.

Nawet polski policjant Kalinowski zamiast ścigać niemieckich agentów wypuszcza ich z więzienia. Przyczyną kapitulacji funkcjonariusza są sprzeczne doniesienia z dowództwa i bałagan w polskiej administracji rządowej. Dopełnieniem obrazu kampanii wrześniowej jako gromadnej chaotycznej ewakuacji Polaków są opisy odmarszu najszybszej polskiej piechoty – jak pisze Bielas z przekąsem o rodzimym wojsku – i uchodźców przejeżdżających na wozach z dobytkiem 1 września 1939 roku główną ulicą Konewki nad rzeką Ślepiotką, miejscowości w której umiejscowiona jest akcja „Sławnej jak Sarajewo". Wybór takiej typowej śląskiej osady, pod którą literaturoznawcy dopatrzyli się podkatowickich Panewnik, ułatwiła pisarzowi ukazać jak w soczewce wszystkie wojenne swary i narodowościowe konflikty. Prawdziwa obrona Górnego Śląska przez Polaków jest w prozie Bielasa odległa i nierealna jak dobiegające do Konewki odgłosy kanonady i widok dymów nad Wyrami i Żorami. Pierwszy dzień wojny kończy się groteskowym uwięzieniem Grychtolika przez powstańców i uwolnieniem go przez Gwizdonia. Choć chwilami w narracji pojawia się głos Grychtolika pełen podziwu dla ducha oporu i walki polskiego żołnierza i powstańców broniących Mikołowa. Ale to zaledwie przebłyski pochwały polskiego heroizmu podczas kampanii wrześniowej obecne na stronicach „Sławnej jak Sarajewo".

Bardziej zależy bowiem pisarzowi na odbrązowieniu posągów bohaterów i ukazaniu małości człowieka. Ludzką podłość i zakłamanie udanie sportretował prozaik ukazując nagłe przemiany narodowościowe Ślązaków po wkroczeniu Niemców. Nie dziwi przewrotność kupca Pluska czy przedsiębiorcy Boconia, którzy uległością wobec nazistów chronią majątki i własne życie. Zaskakujące są przemiany zadeklarowanych Polaków. Najdrastyczniejszym przykładem narodowego zaprzaństwa jest w powieści Bielasa postać Maksymiliana Sznapke, rachmistrza z kopalni wypierającego się za sanacji śląskiego rodowodu i pozującego na Polaka z Kongresówki, który po wkroczeniu Werhmachtu zamienił się w sturmanna SA. Tego rodzaju postawy demaskuje i krytykuje pisarz, powołując się w narracji na opinie mieszkańców Konewki.

Powieść Leona Bielasa „Sławna jak Sarajewo" w oglądzie kampanii wrześniowej na Górnym Śląsku jest jednak książką wyjątkową i odosobnioną, ale przez to bardzo potrzebną do oczyszczenia ze stereotypów i mitów myślenia o heroicznej obronie śląskiego pogranicza we wrześniu 1939 roku. Proza ta przywraca swoim błazeńskim tonem równowagę w traktowaniu wrześniowej tyrtejskiej legendy, która obrosła na Górnym Śląsku przez lata w szereg półprawd.

„Zdegenerowana sztuka”

RYSZARD KACZMAREK

Niemcy wkraczając na polski Górny Śląsk we wrześniu 1939 roku przystąpili do dzieła zniszczenia, bądź grabieży, znajdujących się tutaj dóbr kultury. Zajął się tym przede wszystkim dyrektor bytomskiej placówki muzealnej – Oberschlesisches Museum – Franz Pfützenreiter. Obawiając się konkurencji ze strony Katowic, które po zajęciu miasta przez Niemców 4 września mogłyby dysponować nowym gmachem przeznaczonego właśnie do otwarcia Muzeum Śląskiego, skłonił niemieckich decydentów do rezygnacji z zamysłu zachowania budynku. Z tego powodu rozpoczęła się jego barbarzyńska rozbiórka, trwająca przez cały okres wojny.

Twórczość Stanisława Szukalskiego w oczach Niemców w 1939 roku

Pfützenreiter nie działał sam. W tym samym czasie pojawił się u jego boku oficer SS – Alfred Kraut, który legitymując się tytułem „Generalnego Pełnomocnika dla Zabezpieczenia Niemieckich Dóbr Kultury na byłych Terenach Polskich” przystąpił przed rozbiórką Muzeum do penetracji jego już zgromadzonych zbiorów. Celem miała być segregacja zachowanych w nim dzieł sztuki i rabunek co cenniejszych eksponatów, zarówno pod kątem ich wartości artystycznej, jak i tej tylko czysto materialnej. Razem z innymi dziełami sztuki zawłaszczonymi bezprawnie w placówkach muzealnych w innych miastach górnośląskich i zagłębiowskich, te najcenniejsze w ocenie Krauta i z tego powodu wywiezione do Berlina wypełniły 8 wielkich skrzyń.

Nie znamy rozmiarów tych skrzyń ani ich zawartości, ponieważ nie zachował się niestety dokładny spis zabranych obiektów. Jedyny ślad po zrabowanych dziełach sztuki, to oprócz ogólnej oceny, że jest to w większości „zdegenerowana sztuka” polska, istotna adnotacja, że tylko dzieła jednego z artystów mogą być przykładem cennego pod względem artystycznym zasobu jakim dysponowało Muzeum Śląskie. Za taki wyjątek uznano obrazy Stanisława Szukalskiego, bądź jego uczniów, przejęte ze zbiorów Muzeum Śląskiego i Gmachu Urzędu Wojewódzkiego.

Jest zastanawiające, dlaczego dzieła Szukalskiego przechowywane w Katowicach uznano z punktu widzenia narodowego socjalizmu za ważne, nawet oceniając je jako przykłady „sztuki zdegenerowanej”? Konieczne jest również, by zrozumieć tę ocenę wydaną przez oficera SS w 1939 roku, przypomnienie, jakież to związki łączyły Szukalskiego z Katowicami.

Stach z Warty i jego Szczep

Urodzony w Warcie koło Sieradza w 1907 roku Stanisław Szukalski wyemigrował już w dzieciństwie z rodzicami do Stanów Zjednoczonych. Pozwoliło mu to rozpocząć naukę w Institute of Art w Chicago, gdzie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności został dostrzeżony przez polskiego rzeźbiarza – Antoniego Popiela. W ten sposób ten czternastoletni wówczas chłopak uzyskał szansę na odnowienie swoich związków z polską kulturą. Popiel, realizujący wówczas w Waszyngtonie na zlecenie amerykańskie Pomnik Tadeusza Kościuszki, potrafił w chłopcu dostrzec zadatki na przyszłego wielkiego artystę. On nakłonił rodziców Szukalskiego do wysłania go do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studiował tam pod kierunkiem kierującego katedrą rzeźby Konstantego Laszczki, profesora należącego do starszego pokolenia młodopolskich artystów, przyjaciela Stanisława Wyspiańskiego i Leona Wyczółkowskiego. Przekazał on uczniowi doskonałe przygotowanie warsztatowe, wyniesione z fascynacji, które Laszczka miał dla geniuszu Augusta Rodina. Niewątpliwie duże znaczenie w jego edukacji miała przy tym symbolistyczna stylistyka rzeźb francuskiego artysty, tak dominująca później w twórczości Szukalskiego.

Dzieła Szukalskiego od początku, kiedy tylko zaczął je prezentować, budziły kontrowersje. Polemiki dotyczyły zarówno ich przesłania, które najczęściej odwoływało się do skomplikowanej i nie zawsze jasnej sfery odniesień natury filozoficznej, często przy tym dodatkowo i specjalnie okrywanej tajemnicą, komentowaną tylko przez autora w sposób symboliczny. Również forma nie budziła u wszystkich zachwytu. Szukalski poświęcał się sztuce figuratywnej, w której z prawdziwym mistrzostwem oddawał detale anatomiczne, co nieraz spotykało się z atakami na nieobyczajność jego dzieł. Występująca zaś u niego częsta stylizacja, odnosząca się do używania estetyki kojarzonej ze słowiańskim neopogaństwem, narażała go na ataki środowisk katolicko-narodowych. Za granicą jednak jego twórczość szybko stała się głośna. Dzieła polskiego artysty z amerykańskim rodowodem wystawiano zarówno w Europie jak i w USA.

Do decydującego starcia Szukalskiego z jego przeciwnikami w Polsce doszło podczas zorganizowanej przez niego wystawy retrospektywnej w Krakowie w 1929 roku, podczas której zdezawuował, wtórną jego zdaniem, twórczość polskich plastyków. Odrodzenie, jego zdaniem, martwej i zastygłej w okowach tradycji polskiej sztuki, miało nastąpić dzięki działaniom młodych twórców. By im to ułatwić stworzył własną grupę artystyczną, którą nazwał „Twórcownią”. Rzeczywiście zaczęli się w niej skupiać nonkonformistycznie nastawieni młodzi twórcy, zwani „Szczepem Szukalszczyków” lub „Szczepem Rogate Serce”. Sam Szukalski powrócił jednak w 1929 roku do Stanów Zjednoczonych i zamieszkał na kilka lat w Kalifornii, nie tracąc jednak kontaktu z krajem i prowadząc ciągle ożywioną korespondencję oraz poszukując zamówień na swoje dzieła.

W tym właśnie okresie pojawił się projekt wykorzystania Szukalskiego do zatrudnienia go przy budowie pomnika w Katowicach.

Z Hollywood do Katowic

Jesienią 1930 roku Szukalski zaproponował w liście pisanym z Hollywood w Kalifornii i adresowanym bezpośrednio do wojewody Grażyńskiego wykonanie dla Katowic monumentalnego pomnika. Wojewoda śląski już wcześniej odwiedził wystawę rzeźbiarza w Krakowie w 1929 roku, a później jeden z członków „Szczepu” pokazał mu gotowy już szkic monumentu, który zainteresował Grażyńskiego. Kiedy Szukalski w Kalifornii dowie-

dział się, że istnieje realna możliwość realizacji tego ogólnego tylko na razie zamysłu, skonkretyzował go, nadając mu tytuł „Wiecznica Baczności – Pomnik Warty". O tym, że Grażyński myśli poważnie o współpracy świadczyło również to, że Katowice zainteresowały się także zakupieniem obrazów Szukalskiego do tworzonego stopniowo zbioru Muzeum Śląskiego.

Licząc, że tym razem nie zostanie pozbawiony możliwości realizacji swoich artystycznych zamiarów, jak to stało się już wcześniej w przypadku projektu wileńskiego pomnika Mickiewicza, kiedy wygrał konkurs, ale odmówiono mu możliwości urzeczywistnienia jego wizji, pisał do Grażyńskiego z nadzieją: *„Żebyście Panowie odczuwali tę odrazę jaką mam do naszego społeczeństwa [...] obyście się nie dziwili mojemu niedowierzaniu i nie braniu na serio obietnic, dawanych przez swoich. Że Panowie mi napominali złożenie projektu na pomnik, to było bardzo miło – lecz ja już kilkakrotnie spieszyłem z moją pracą tam, gdzie była potrzeba, lecz każdorazowo spotykał mię zawód. Jakież gwarancje mogłem, czy mogę mieć, że nie jesteście Poljaczokami."*

„Poljaczokami" Szukalski w swej charakterystycznej tylko dla siebie manierze używania udziwnionego neologizmami, idiomami oraz przedziwnymi konstrukcjami fleksyjnymi i gramatycznymi języka polskiego, nazywał ludzi, których uważał za szkodników i niszczycieli polskości. Rozumiał poprzez to brak poczucia obywatelskości, brak skłonności do wydatkowania energii i pracy na rzecz państwa polskiego. Uważał wręcz za potrzebę chwili rozwijanie poczucia obowiązku pracy dla państwa i narodu, co tak bliskie było poglądom sanacyjnych polityków. Dla Grażyńskiego. jak i dla całej grupy zarzewiackiej, bliska musiała być deklaracja, którą Szukalski złożył na końcu listu: *„Więc ci, co zawodzą mnie, są niszczycielami narodowego majątku, a potrafię ich nienawidzić i gardzić nimi, jako najpodlejszy element i nigdy im tego nie przebaczę, a przy okazji mścił się będę, bo moje życie i ciężkie koleje, któremi szedłem, nie są na igraszkę szubrawców, ja pracuję dla kraju, a co zarobię to i tak oddam krajowi, bo kraj to żebrak, a my patrioci, utrzymujemy go swoją biedą".*

Odpowiedź Grażynskiego została wysłana do przebywającego w USA artysty prawie natychmiast, w październiku 1930 roku. Wojewoda był zachwycony projektem i starał się rozwiać obawy artysty. Pisał, że tym razem, odmiennie jak w podobnych przypadkach w Wilnie, Poznaniu i Krakowie, projekt Szukalskiego może zostać w Katowicach zrealizowany. Koncepcja odpowiadała w całości zamierzeniom władz wojewódzkich, a ponadto Grażyński podkreślał, że przecież Szukalskiemu znana jest estyma, jaką wojewoda ma dla jego twórczości. Do tych



Stanisław Szukalski

słów otuchy Grażyński dorzucił jednak kilka uwag, które oznaczały na razie odłożenie na pewien czas całego przedsięwzięcia. Przede wszystkim już wyraźnie w województwie śląskim odczuwalne były skutki kryzysu gospodarczego i projekt, który pochłonąłby kilkaset tysięcy złotych, nie mógł liczyć na wsparcie w Sejmie Śląskim. Grażyński lojalnie poinformował o tym rzeźbiarza, jednocześnie deklarując, że będzie starał się sfinalizować zamierzenie. Podkreślił przy tym, że przedstawiciele jego obozu politycznego nie mają nic wspólnego z „Poljaczokami". Z dumą stwierdzał: *„Mojem zdaniem stosunek Pański do nas nie zawsze jest sprawiedliwy. Powinien Pan bowiem zdawać sobie sprawę z faktu, że akt woli ze strony jednego człowieka, czy nawet grupy w społeczeństwie, rzadzącem się parlamentarnie nie zawsze musi doprowadzić do celu".*

„Wiecznica Baczność" w Katowicach

Grażyński słowa dotrzymał i już w listopadzie rozpoczęto analizę możliwości finansowych województwa oraz ustalanie ogólnych warunków realizacji projektu. Dzięki zasobowi zachowanemu w Archiwum Państwowym w Katowicach poznać można szczegóły zamysłu artystycznego Szukalskiego i to w interpretacji samego artysty, co w przypadku dzieł tak kontrowersyjnego rzeźbiarza jest szczególnie istotne. Pozwala bowiem rozszyfrować symboliczne przesłanie Szukalskiego i jego filozoficzne oraz historiozoficzne idee zgodnie z pierwotnym zamysłem artysty.

Szukalski pozostawił po sobie szczegółowy opis katowickiego projektu. Ostateczna nazwa pomnika w jego zamyśle miała brzmieć „Pomnik Baczność" lub „Wiecznica Baczności!". Nazwa miała się odnosić do warty czynionej przez Polskę na granicy z Niemcami. W jego mniemaniu Śląsk narażony był bez przerwy na „niespodziewany atak" z zachodu. Dobrze mieściło się to w historiozoficznym ujmowaniu dziejów całej Europy przez Szukalskiego, który podkreślał konieczność budowy nowej Europy, z państw które powstały na wschodzie po kongresie wersalskim.

Elementem centralnym pomnika miał być wznoszący się na gigantycznym cokole orzeł z brązu w złotej koronie, zwrócony w cztery strony świata. Według Szukalskiego konieczne było, by w związku z tym *miał cztery skrzydła i cztery dzioby.* Orzeł stał wsparty na karabinach, które trzymały cztery postacie poniżej niego. Ten motyw był głównym elementem symbolicznym: *Stoi on [orzeł] wsparty na karabinach, które jakoby podaje – górnikowi, rolnikowi, żołnierzowi i dziewczynie.* Szukalski miał wątpliwości, co do sposobu prezentacji tych postaci. W projekcie są one nagie, ale pisał już wtedy z troską: *Figury są nagie – bo nie znam kostiumów śląskich dokładnie. Jeżeli miasto nie jest zacofanem, to można je zostawić nagie, jak w projekcie – co wolałbym. Mamy nagich [...] Chrystusów i Sebastianów – kostiumy nowoczesne są niemożliwe do wykonania w rzeźbie – są bez wyrazu.* W dolnej części pomnika miało się znaleźć specyficzne mauzoleum. W 4 bokach postumentu proponował zrobienie wejść, by umieścić tam cztery groby poległych w powstaniach śląskich: żołnierza, dziewczyny, chłopa i górnika.

Szukalski zaprojektował poza motywami figuralnymi całą masę dodatkowych elementów. Przede wszystkim interesujące były zaproponowane przez niego i nazwane „gwizdami" 12 prześwitów między skrzydłami i kolanami orła. Zastąpić one miały nieestetyczny, zdaniem artysty, ogień znicza gazowego. „Gwizdy" były źródłem dość dziwnej już z naszej dzisiejszej perspektywy nazwy pomnika – „Wiecznica", którą Szukalski na swoją modłę wywodził od Wiatru i Wieczności.

Szukalski nie przesądzał ostatecznej wielkości pomnika, aczkolwiek skłaniał się ku formie monumentalnej. Jego zdaniem „Wiecznica" miała być wielka, bo jak pisał nie jest *z zasady przeciw germańsko-wielkim (kolossal) potworom rzeźby.* Inwestorzy pomnika przychylili się wstępnie do tej właśnie koncepcji. W preliminarzu opracowanym w listopadzie 1930 roku przez konserwatora okręgowego na zlecenie wojewody Grażyńskiego przyjęto dwa warianty. Pierwszy, skromniejszy, zakładał, że postument wykonany zostanie z czeskiego granitu i będzie wysoki na 12 m, a na nim zostanie umieszczony orzeł z brązu o wysokości około 3 m. Ten projekt wyceniono na około 250 tyś. zł. Drugi projekt przewidywał pomnik jeszcze wyższy, na 20-metrowym cokole wznosić się miał 5-metrowy orzeł. Tutaj przewidywano znacznie wyższe koszty – około 500 tys. złotych.



Natychmiast informację o nowych planach wojewody dotyczących wzniesienia pomnika skierowano do prorządowej „Polski Zachodniej". W liście do redaktora naczelnego sanacyjnej gazety – Edwarda Rumuna – podkreślano, że pomnik „mógłby stanowić wspaniały symbol walki o wolność Śląska".

Katowice budują Krakowowi „Twórcownię"

Dla Szukalskiego list Grażyńskiego wydawał się już zielonym światłem do realizacji zamierzeń artystycznych. Z nadzieją pisał, że porzuca Kraków, walczy z nim teraz jako obywatel, a odpowiedź wojewody dla niego jest czymś szczególnym: *Jestem wzruszony tą szlachetnością, a jak na Polskę, niebywałego dowodu troskliwości i obywatelskości. Jeden taki wypadek dobrej woli spłaca mi próżnię pozostawioną w moich uczuciach, przez odrazy, jakiem doświadczył z innych stron.*

W ślad za tym poszła cała lista nowych pomysłów Szukalskiego, którymi rzeźbiarz zasypał Urząd Wojewódzki w Katowicach. Miały one przekonać urzędników do realizacji jego zamysłu. Orzeł, żeby go wyeksponować na cokole, miał być pierwotnie wykonany tylko w brązie, ale teraz Szukalski zaproponował orła srebrnego, Odradzał jednak szybko utleniające się srebro dla pokrycia zwieńczenia pomnika, a zaproponował nową technikę, z którą jak pisał, zapoznał się szczegółowo w USA, Był to sposób galwanizacji stosowanej od niedawna do chromowania części samochodów luksusowych. Miało to zapewnić znajdującemu się na szczycie pomnika orłowi nigdy nie czerniejący *lustrzany błysk, błyszczałby się tylko na wystających kantach, więc byłby widocznym w swych detalach; świeciłby w słońcu jak srebrne szkło i wyglądałby jak żywe łączące się kolorem z niebem.*

Sprecyzował także pomysł mauzoleum. W postumencie proponował ustawić grubo ciosane w kamieniu, przypominające masywne bramy średniowiecznych, pogańskich świątyń, symboliczne płyty grobowe. Za nimi miały znajdować się prochy czterech bohaterów.

Jeszcze raz wracał, chyba do ciągle nurtującej go, zbyt daleko idącej seksualności w prezentacji postaci, którym orzeł przekazywał karabiny. Już w czasach krakowskich spotykały go częste zarzuty za epatowanie publiczności obscenicznością detali anatomicznych. Jak gdyby wyprzedzająco, mimo że nie skarżono się na to z Katowic, wyjaśniał tę kwestię szczegółowo, odwołując się do klasycyzmu: *Jeżeli będą zaściankowcy sprzeciwiali się „genitaliom" to powiedzcie im, że w szkicach rzeźbiarz zawsze tak robi. Ja zaś na rzeźbie zakryję je mgłą, tzn. rzeźbieniem mglistem, aby nie były widoczne. A gdyby i były widoczne, czyż Grecy nie mieli wszystkich rzeźb odkrytych, a czy dzisiaj w Niemczech, Francji i innych nie ma pomników i dekoracyjnych płaskorzeźb zupełnie nagich? Dlaczegóżby Polska nowoczesna uprawiająca atletykę i współzawodnicząca w Olimpiadach miała się wstydzić, jak małomieszczuch, tego co nam Bóg dał?*

Wprawdzie Szukalski odżegnywał się od merkantylizmu swojej sztuki, ale tym razem nie można mu odmówić znacznej dozy pragmatyzmu w realizacji projektu. Przede wszystkim chciał po powstaniu pomnika w Katowicach stworzyć całą serię w istocie kopii, które zamierzał zaoferować innym miastom. By odsunąć od siebie zarzuty ewentualnego autoplagiatu, odwoływał się jeszcze raz do klasycznej formy greckiej, pisząc że i *w Grecji były duplikaty i liczne kopie rzeźb.* Taki sposób stawiania pomników miał zaś wpłynąć znacznie na obniżenie kosztów, ponieważ rozkładałby się na kilka miast. Przerodzić się to miało w system pozwalający podziwiać pomnik Szukalskiego mieszkańcom całej Polski, bez opuszczania przez nich swoich rodzinnych miejscowości: *Otóż jeżeli dane miasto zdobędzie swym dobrym sądem i przypadkiem dobry pomnik – np. Katowice, z Wilna najwyżej pięćdziesięciu odmiennych ludzi odwiedza w przestrzeni pięćdziesiąt lat, przeważnie ten sam jeździ wielokrotnie, bo ma tam interesy do załatwienia. To samo się dzieje z innymi miastami a w jeszcze znikomszej mierze, miasteczkami i całą wsiową Polską. Czyli że jest on widziany przez swoje miasto dla wycieczkowcow. Otóż: Katowice budują pomnik. Poznań buduje kopie pisząc na tablicy u podstoju [postumentu] jest to kopia pomnika z Katowic itd. Poznań zwraca połowę kosztów budowy Katowicom, Katowickiego pomnika, czem umniejsza ciężar oryginalnych kosztów. Jeżeli inne miasta to samo powtórzą, wtedy proporcja wydatków oryginalnych jest zwracana każdorazowo Katowicom, Poznaniowi i innym i w ten sposób budowa pomnika się amortyzuje, pierwsze miasto zyskuje honor oryginatora a ciężar jest odpłacony. Pomnik zasługujący na takie spopularyzowanie służy całej Polsce i zachęca inne miasta do zdobycia pięknego pomnika, któryby przyniósł mu sławę krzewiciela wielkiej sztuki i spłacił się pierwotnie. Rzeźbiarz każdorazowo otrzymywał pewien procent, jak otrzymują kompozytorzy i pisarze za produkcję ich prac – czyli otrzymywaliby królewski procent. To ulżyłoby rzeźbiarzowi i ułatwiło większą jego pracowitość i użyteczność, jednocześnie oswobodziło państwo od danin i wyłudzeń pod pozorem służenia kulturze.*

Najbardziej oryginalnym pomysłem Szukalskiego było wykorzystanie sprawy pomnika do propagowania jego wizji sztuki. Brak środków do utrzymywania „Twórcowni" w Krakowie, gdzie tak mocno i on i jego uczniowie byli atakowani, skłonił go do idei, by sfinansować ją za pośrednictwem wsparcia z Katowic. Wykorzystując przygotowanie pomnika, pozwoliłoby mu to na stworzenie własnej, dobrze prosperującej pracowni malarskiej i rzeźbiarskiej. Proponował wojewodzie zakup gruntu w Krakowie pod przyszłą pracownię, był gotów nawet przeznaczyć na to część swojego honorarium. Chciał tam zgromadzić nie tylko członków już istniejącego Szczepu, ale także zgłaszających się nadal do niego młodych twórców z Poznania i Katowic, a także z USA, a potem z innych krajów europejskich. Przede wszystkim miało to być jednak miejsce dla artystów z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Chciał stworzyć bowiem „Instytut Neuropejski", który zgodnie z typowymi dla siebie zdolnościami tworzenia skrótowców nazwać chciał „Instytut Neuropy". Była to wówczas ulubiona idea Szukalskiego. Dostrzegał możliwość integracji „Nowej Europy". Nie miała ona obejmować tej starej – Anglii, Francji, Niemiec i Włoch – a tylko tę, która powstała na gruzach upadłych w 1918 roku trzech anachronicznych imperiów, umożliwiając odrodzenie narodów słowiańskich. Polska miała pełnić na tym obszarze, przez niektórych zwanego Międzymorzem, rolę mocarstwa kulturalnego, wysuwając się na czoło tworzącego się nowego centrum europejskiego. Należało tylko odbudować dawnego ducha narodu polskiego, którego Szukalski doszukiwał się w pradawnych, pogańskich i słowiańskich czasach, zniszczonych przez wieki chrześcijaństwa.

Wszystkie te plany ostatecznie nie zostały zrealizowane. Mimo że wojewoda jeszcze raz potwierdził w osobistym liście do Szukalskiego z marca 1931 roku gotowość do doprowadzenia do końca całej sprawy, to coraz gorsza sytuacja finansowa możliwość wzniesienia pomnika zniweczyła.

Katowicki epizod Szukalskiego

Nawiązane w połowie lat 30. kontakty Szukalskiego z Katowicami okazały się jednak trwałe i nie zostały zerwane po fiasku projektu wzniesienia „Wiecznicy". W 1936 roku, po powro-

cie do Polski zdecydował się nawet zamieszkać na Śląsku na pewien czas. Dokładnie opisała ten epizod Barbara Szczypka-Gwiazda w artykułach i wspaniałej monografii historii sztuki na Górnym Śląsku (pod redakcją prof. Ewy Chojeckiej). Artysta współpracował wówczas w projektach przebudowy Katowic. Szczególnie placu znajdującego się między Muzeum Śląskim i gmachem Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego. Miał być także autorem płaskorzeźb planowanych na frontonie Muzeum i pomnika Bolesława Chrobrego. Najbardziej znanym zamysłem artystycznym, bo tym razem w końcu zrealizowanym, był orzeł, który znalazł się na ścianie gmachu Urzędów Niezespolonych.

Szukalski nie rezygnował wówczas ze swoich oryginalnych pomysłów na tworzenie nowego wymiaru sztuki. Powracając do idei zapoczątkowanych już w „Twórcowni" dalej myślał o założeniu zespołu, tym razem pod nazwą „Duchtynia", który zamierzał umieścić na dnie Smoczej Jamy pod Wawelem. Tam miało się znaleźć miejsce kultu Słowiańszczyzny. Idee te bliskie były wówczas niektórym poglądom skrajnych ugrupowań prawicowych spod znaku ONR. W Polsce był już wtedy doceniany, co najmniej przez instytucje rządowe. Przebywał w kraju na zaproszenie i na koszt Ministra Sztuki i Kultury, miał stałe poparcie Michała Grażyńskiego. W Warszawie oddano mu do pracy wielką pracownię, z której miało powstać muzeum jego prac.

Po wybuchu wojny Szukalski musiał jednak opuścić ostatecznie Polskę w 1939 roku, udając się już na stałe do USA, gdzie tworzył do lat 70. Po jego śmierci w 1987 roku prochy artysty rozsypano nad wulkanem Rano Raraku na Wyspie Wielkanocnej. Pod koniec XX wieku nastąpił renesans zainteresowania jego twórczością. Jednym z propagatorów jego twórczości został znany aktor amerykański Leonardo Di Caprio.

„Entartete Kunst – zdegenerowana sztuka": losy dziedzictwa Szukalskiego w 1939 roku

W Katowicach twórczość Szukalskiego zniknęła jednak bezpowrotnie już podczas II wojny światowej, chociaż dzieła artysty budziły w 1939 roku wśród Niemców uczucia ambiwalentne. Sugestywność twórczości spowodowała, że zainteresowano się jego spuścizną artystyczną, aczkolwiek zaliczono ją do *sztuki zdegenerowanej*. Pojęcia tego używano już od XIX wieku i w kręgu *badaczy rasowych* oznaczała ona upadek poziomu artystycznego na skutek pochodzenia twórców od przedstawicieli *niższych ras*. W Niemczech podwaliny pod taką teorię sztuki dał krytyk literacki Max Nordau, który w 1892 roku opublikował dzieło *Entartung*. To tam głoszone oceny wykorzystał po 1933 roku Hitler i naziści dla zdefiniowania tego, co nazwano twórczością szkodliwą dla *rasy panów*. Kamieniem milowym w takim dzieleniu sztuki stała się słynna monachijska wystawa otwarta w 1937 roku zatytułowana *Entartete Kunst*, obwożona potem po całych Niemczech. Groteskowo wyszydzano na niej zgromadzone w muzeach niemieckich dzieła sztuki należące do awangardowych, XX-wiecznych kierunków artystycznych. Miały one być dziełem ludzi upośledzonych, posługujących się zafałszowanym obrazem świata. W zamian proponowano nową estetykę, opartą na założeniach *rewolucji konserwatywnej*. W odróżnieniu od faszyzmu włoskiego, czy bolszewickiej rewolucji, gdzie popularne stały się, traktowane jako *rewolucyjne* kierunki awangardowe w sztuce i literaturze, w Niemczech naziści odrzucali konsekwentnie dorobek polityczny, gospodarczy i kulturalny Republiki Weimarskiej z lat dwudziestych, cechujący się w sztuce dominacją awangardy. Uznano ją za oderwaną od tradycji narodowej, skażoną *żydowskim bolszewizmem kulturowym* i nawoływano do estetyki klasycystycznej. Pod hasłem odnowy odwoływano się do natury i *naturalnego porządku rzeczy*, ale pod tym pojęciem rozumiano klasycystyczną rzeźbę, malarstwo i architekturę oraz wątki nawiązujące do neopogaństwa i neoromantycznej symboliki historyzmu XIX-wiecznego. Służebność sztuki wobec narodu miała objawiać się przez spełnianie przez nią funkcji wychowawczych, zastąpienie sztywnej formalistyki funkcjonalnością, wypełnianiu potrzeb wspólnoty narodowej.

Z tej perspektyw w Katowicach we wrześniu 1939 roku mogłoby się wydawać, że nie było tradycji, do której można by było nawiązać. A jednak dzieła Szukalskiego znalazły zainteresowanie w oczach niemieckich okupantów. Złożyły się na to z pewnością dwie przyczyny. Niewątpliwe siła oddziaływania wizji twórczych Szukalskiego. Nie była ona aż tak daleka od estetyki nazistowskiej. W wersji symbolicznej apoteoza germańskości była bardzo bliska temu, co Szukalski ujmował jako prymat Słowiańszczyzny w Europie Środkowo-Wschodniej. Stąd chyba pierwszy kontakt z jego dziełami w Katowicach wywoływał u Niemców uczucie nazywane przez nich samych *Hassliebe* w którym poczucie podziwu i uwiedzenia pięknem dzieła mieszało się z nienawiścią do twórcy i apoteozy słowiańskości. Dlatego Alfred Kraut nie niszczy, ale pakuje starannie do skrzyń obrazy Szukalskiego i wywozi je do Berlina. Nie może ich przecież pokazywać, są dla niego przykładem *zdegenerowanej sztuki*, ale docenia ich siłę wyrazu i nie waży się ich niszczyć.

Inaczej było z powszechnie podziwianym od czasu odsłonięcia w 1938 roku monumentalnym orłem Szukalskiego na gmachu Urzędów Niezespolonych, obecnie budynku Wydziału Filologicznego UŚ. Zarówno swoim ideowym przesłaniem, jak i siłą artystycznego wyrazu mógł podtrzymywać wolę oporu Polaków. Niezależnie od wartości artystycznej musiał ulec unicestwieniu, podjęto przecież już w momencie wkroczenia na Górny Śląsk decyzję, którą konsekwentnie właśnie wykonywano o zburzeniu wszystkich polskich pomników wzniesionych w ciągu 17 lat istnienia województwa śląskiego. Gigantyczny orzeł Szukalskiego o średnicy 4.7 m i wadze 12 ton, wykuty z 35-tonowego bloku dolomitu, został bezlitośnie skuty, by nie pozostało śladu po twórczości polskiego artysty.

W zamian za to po wkroczeniu Niemców do Katowic podjęto natychmiast działania zmierzające do stworzenia *nowej sztuki* na Górnym Śląsku. Oparto się na istniejącej, przedwojennej grupie artystów – Kattowitzer Kunstlergruppe. Jeden z jej członków – Rudolf Kober – przesłał śląskiemu szefowi nazistowskiego związku artystów-plastyków ofertę reaktywacji grupy. Zapewniał, *że nie może zabraknąć artystów w budowie naszej już wolnej, małej ojczyzny [...]. Stoimy wobec tego w pełni za kształtowaniem wychowywania narodu dla zrozumienia sztuki i kształtowania z czasem artystycznej publiczności.* Inicjatywa wykazana przez Kobera spotkała się z przychylnym przyjęciem i cała Kattowitzer Kunstlergruppe w listopadzie 1940 roku została członkiem głównej organizacji artystów nazistowskich na Górnym Śląsku – Künstlerbund Ober-schlesien. Obejmowała kilkudziesięciu artystów z których najgłośniejsi to: Viktor Strauss (Katowice), Theodor Ratka, (Katowice), Willi Heier (Katowice), Rudolf Kober (Królewska Huta), Hans Kornheiser (Cieszyn), Vincenz Oczko (Bielsko Biała). Ostatecznie zorganizowano dla niej tylko jedną przeglądową wystawę wiosną 1940 roku, później zaprzestała aktywnej działalności. W styczniu 1941 roku doprowadzono jednak do zorganizowania wielkiej przeglądowej wystawy pod nazwą *Ausstellung Schlesischer Künstler*, na której znalazły się także ponownie w części dzieła twórców katowickiej grupy oraz te, które uznano za godne miana niemieckiej sztuki.

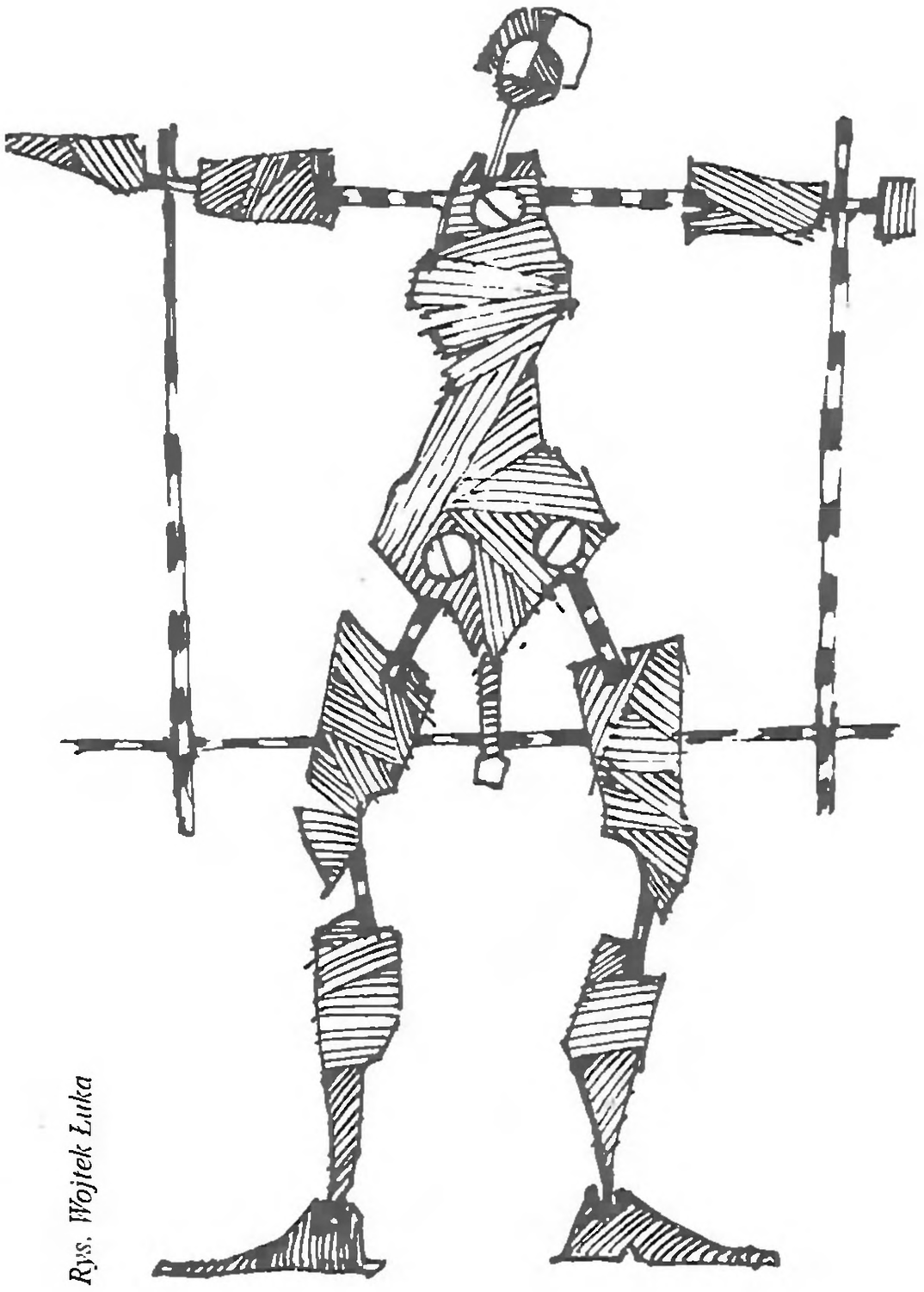
Dzisiaj dzięki zapałowi i pasji całej grupy naukowców, polityków i miłośników dziejów Katowic (są wśród nich rektorzy UŚ – prof. Tadeusz Sławek, prof. Janusz Janeczek, prof. Wiesław Banyś, ponadto m. in.: prof. Ewa Chojecka, prof. Elżbieta Regulska, dr hab. Irma Kozina, senator Krystyna Bochenek, Henryk Buszko, Ireneusz Maszczyk i wielu innych) jest szansa na powrót po 70 latach piastowskiego orła Szukalskiego na fronton Wydziału Filologicznego UŚ, by symbolizował bezskuteczność walki wszystkich misjonarzy stosowania politycznych a nie artystycznych ocen w sztuce. ■

Hansi

JAROSŁAW LEWICKI

Pułk kawalerii następcy tronu stał w dużych koszarach, które wszak nowe, były ponure. Nastawał rok 1914, Kattowitz, miasto stacjonowania pułku ułanów, miało problemy. Byli nimi Żydzi i Polacy, chociaż ci drudzy mniejszym.

Hansi zaczął włosieć w okolicach łona i pach, kiedy zaczynała się wielka atmosfera przed Wielką Wojną. Rano budził go sterczący członek. Fryderyk Monstrualny, jak go nazywał Hansi, był ojcem Hansiego. Monstrualny krzyczał: „ręce na kołdrze". Hansi trzymał ręce na kołdrze, członek zrzucał mu kołdrę na podłogę. Boże, ten członek, Hansi lubił patrzeć na ułanów, którzy jechali czwórkami na ćwiczenia w okolicach Süd parku. Hansi zanim wybuchła wojna zaczął się monstrualnie wstydzić. Wstyd i strach zaczął się kurczyć w sobie, maleć, karleć.



Ryss. Wojtek Łuka

Pułk był zgrabnym tworzywem pułkownika Siegenbacha, który od przyjazdu do Kattowitz był już von Siegenbachem, należał do najmłodszych oficerów korpusu cesarza Wilhelma II. Nie pamiętał wojny francuskiej, chociaż francę złapał będąc jeszcze porucznikiem w Strassburgu. Siegenbach nie lubił Francuzów, trudno się dziwić, franca była chorobą brzydką, chociaż typowo żołnierską, Siegenbach się wstydził, a jako taki był człowiekiem rykliwym, bo armia pruska miała drugie miejsce w Europie jeżeli chodzi o rykliwość, po Rosjanach oczywiście. Rosjan Siegenbach też nie lubił, tak więc przyczyn do wybuchu Wielkiej Wojny było aż nadto. Żołnierze na których się drą muszą iść do walki, bo inaczej zgłupieją i staną się socjalistami. Wedle Siegenbacha wojna wisiała na włosku, pogląd ten podzielał Hansi, jego napięcia seksualne były tak wielkie, że coś musiało wybuchnąć.

To byłem ja, Hansi, mówiący o sobie w pierwszej osobie czasu przeszłego. Stawałem się dwuznacznym człowiekiem, którą to skórę narzucił mi ojciec, a nie żona pułkownika Siegenbacha. W związku z tym czuję się zwolniony z dwuznaczności, w którą to, co podkreślam z całą siłą, wsadził mnie mój ojciec. Dziewictwo jest pozbawione dwuznaczności, a erotyzm jest przyrodzony jak przyrodzenie i nic w tym dwuznacznego, patrząc na to z perspektywy lat to wszystko co się stało to też nie była wina żony von Siegenbacha. Ja rozbudzony – wcale niedwuznacznym erotyzmem młodzieńca, na poły swawolnego, na poły zachwyconego. A to co się wyrabiało, to był czas inicjacji na każdego przychodzący, a ten być może przyszedł później, ale że niechybnie nadchodziły dziejowe burze to i chłopcy rozwijali się szybciej, aby jeszcze mogli polec na przyszłej wojnie.

Służąca von Siegenbachów nie umiała uruchomić windy towarowej, którą z podwórza do kuchni podnosiło się wiktuały. Tak tedy pomogłem jej nie przypuszczając, że wchodzę w łapy dwuznaczności, zupełnie proste, ale tak myślałem potem. Matylda, służąca Irminy von Siegenbach pochodziła z Pomorza Przedniego i była to kobieta duża, po trzydziestce, z twarzą okrągłą, i wszystko było w niej plebejskie z wyjątkiem oczu i ust. Irmina zobaczyła mnie z balkonu i zawołała, żebym wszedł do niej, do mieszkania. Wszedłem, w kuchni na dużym stole Matylda wyładowywała skrzynki z zakupami. Pułkownikowa siedziała w sukni koloru ecru, była śniada i wydawała się bardzo ładna. Po pewnym czasie siedziałem na taborecie patrząc na holenderskie kafle z widokiem wiatraków i polderów, takie same jak w naszej kuchni. Matylda mówiła tym swoim, jak się później dowiedziałem, pomorskim gulgotaniem, opowiadała z przejęciem o kobiecie, która była oskarżona o czary. Było to w czasie okrutnym, bo działo się na początku wojny trzydziestoletniej, dokładnie w 1620 roku kiedy to ścięto i spalono na stosie Sidonię Bork, kobietę wówczas 60-letnią. Sidonia została oskarżona o czary i moc przywoływania złego ducha zwanego Szymek i sprowadzania nieszczęścia na dom Książęcy. A trzeba przypomnieć, mówiła Matylda ze znawstwem, że w młodości zyskała niejakie względy księcia Ernesta Ludwika z Małogoszczy, do małżeństwa jednak nie

doszło. Matylda nagle zaczęła mówić pięknym, zupełnie dla mnie zrozumiałym językiem, dziwne, pomyślałem. Matylda kontynuowała; otóż owa Sidonia w akcie oskarżenia miała oprócz wspomnianych, jeszcze 74 zarzuty, wśród których były utrzymywanie stosunków z czarownicami i nieczystymi duchami. Matylda była podniecona, tak mi się w każdym razie wydawało, na potwierdzenie zarzutów przeciw Sidonii przytaczano: że hodowała trzynogiego królika, że trzymała pod stołem zielone miotły położone na krzyż, że kąpała się w jednej wodzie kolejno przez trzy czwartki, że groziła swoim prześladowcom, że ich zamodli na śmierć, że odmawiała tak zwany psalm Judasza, przepowiadała przyszłość, wiedziała co w danej chwili działo się w Królewcu. To było dla mnie zupełnie niezwykłe. Starałem się sobie wyobrazić Sidonię Bork jak przemieszczała się tam i z powrotem ze Szczecina do Królewca.

Kątem oka patrzyłem na Irminę von Siegenbach, była to chyba najpiękniejsza kobieta jaką widziałem dotychczas. Matylda kontynuowała, za najpoważniejszy zarzut uznano, że miała rzucić urok na księcia pomorskiego Filipa, słowem, że zadała mu Szymka z powodu czego ten władca długo chorował i wreszcie zmarł. Sidonia Bork długo zaprzeczała jakiejkolwiek winie i nawet wyśmiewała oskarżycieli. Torturowana przyznała się do wszystkiego co jej powiedziano. Oświadczyła też wreszcie, że wolałaby umrzeć. Wtedy spalono ją na stosie. Matylda zakończyła. Byłem przerażony, zdziwiony, ta opowieść sprzed trzystu lat była przedziwna. Zobaczyłem ją w poszczególnych obrazach. Sidonia Bork zapadła mi w pamięć. Dostałem przed nos kubek gorącej czekolady.

– Hansi – powiedziała Matylda szeptem – to, co tu się mówi, nie wolno nikomu powtarzać. Wybrałyśmy ciebie bo jesteś inny niż chłopcy w twoim wieku.

– Pij czekoladę.

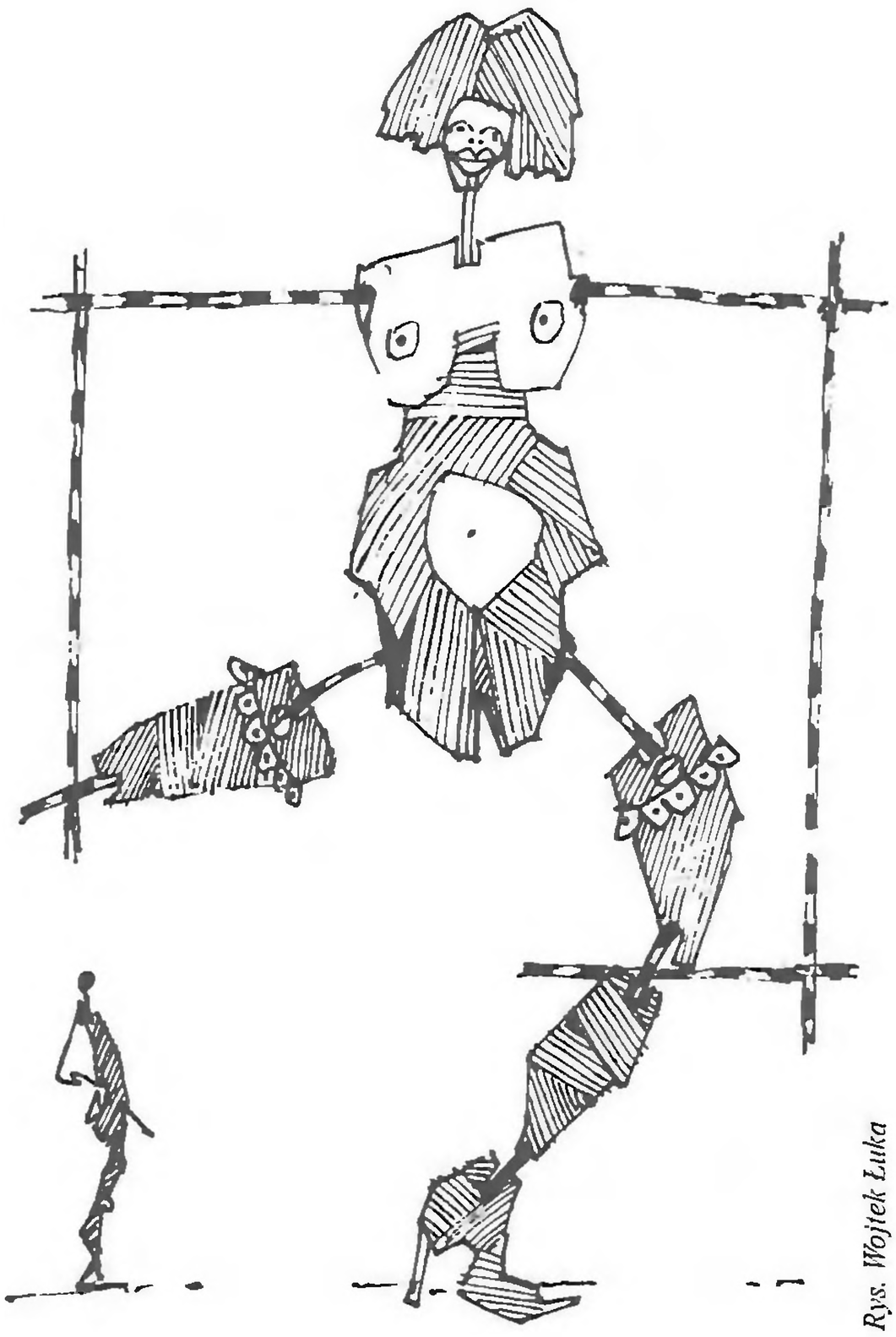
Irmina von Siegenbach wraz z Matyldą wyszły, ja smakowałem czekoladę i wracałem do teleportacji Sidonii Bork między Szczecinem a Królewcem. Z odrętwienia wyrwały mnie głębokie westchnienia, dobiegające z uchylonych drzwi służbówki. Wstałem i podszedłem cicho. W uchylonych drzwiach zobaczyłem leżącą na dużym stole Irminę von Siegenbach, była zupełnie naga i niezwykle piękna. Matylda masowała jej ciało systematycznymi ruchami.

Irmina von Siegenbach myślała intensywnie, wibrująco drgała jej dusza, tak jej się zdawało, a było to libido, bo ono zwykle drga, zwłaszcza u kobiet, które z natury rzeczy posiadają duszę karłowatą. Tak tedy drgało, bowiem zbliżała się wojna, a w zasadzie była tuż, tuż. I gdy drgało to libido zaczęła myśleć o Hansim jako młodym mężczyźnie, efebie o pięknym ciele, gładkiej skórze pokrytej meszkiem, który potem znika. U siebie zaobserwowała jak już błyskawicznie on meszek odchodził w przeszłość, a było to już jakiś czas temu.

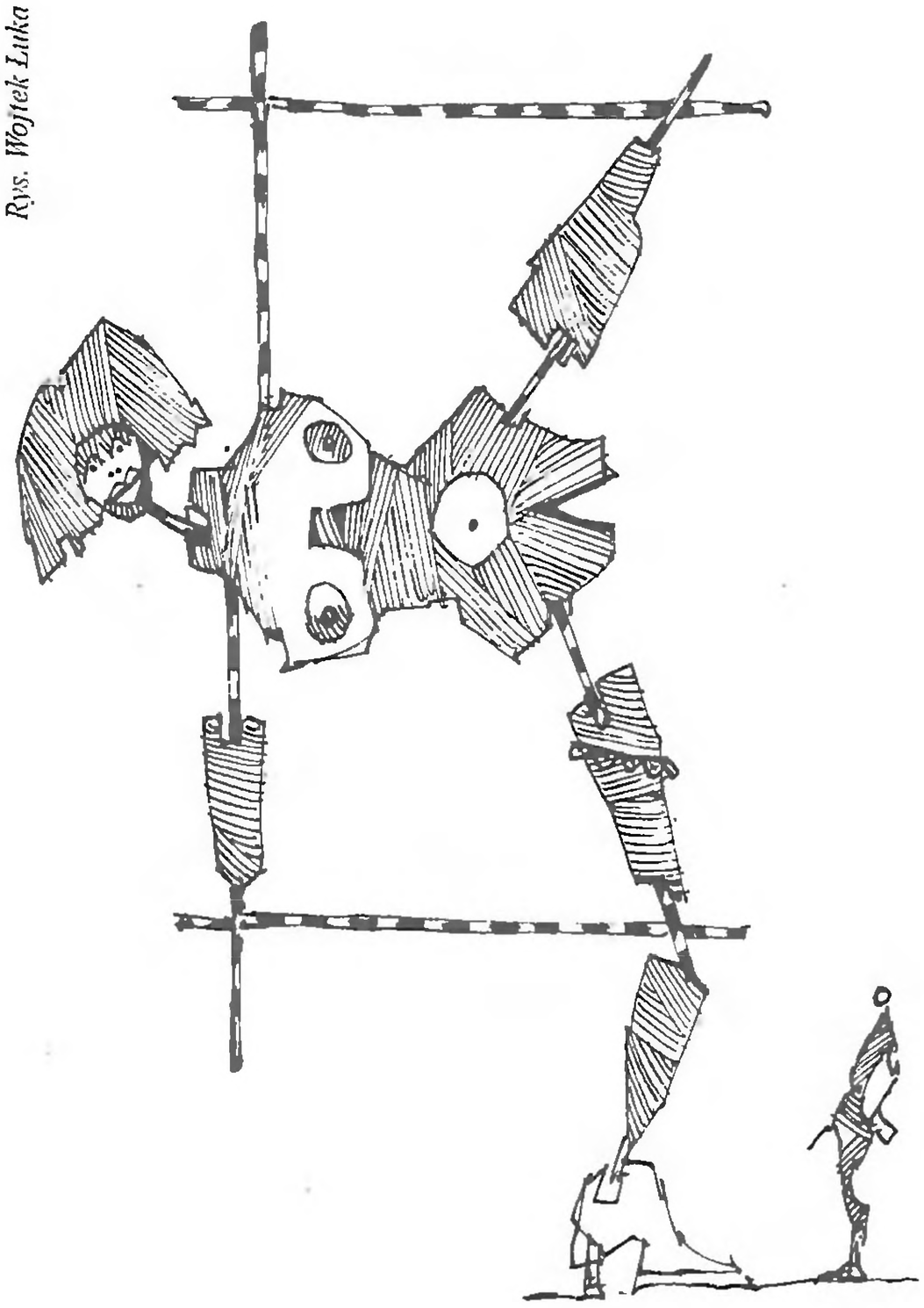
* * *

Matylda z Pomorza Przedniego codziennie się kąpała w zimnej wodzie, stała w wannie i polewała się prysznicem, choć twarz miała plebejską, bo jakąż może mieć pomoc domowa, musiała mieć grube rysy, gruby nos, gruby głos, ale tak nie było, bo Matylda była osobą subtelną i do złudzenia przypominała Matyldę de la Molle. I tyle o Matyldzie, która była piękna i miała skłonności lesbijskie, a może nie. Irminę to podniecało, lubiła oglądać Matyldę nagą, nacierała jej plecy grecką ostrą gąbką. Skóra Matyldy różowiła się wówczas, a sutki intensywnie ciemniały. Irmina była zatem hedonistką.

Myślałem o Irminie i Matyldzie, ciemność była mi sprzymierzeńcem. Moja dusza rosła w ciemnościach, było to dla mnie antidotum na wszechobecność ojca. Wydawało się, że jest wszędzie, w najciemniejszym kącie, gdzie przycupnąłem ja, z moimi myślami. Wszystko spętane, myśli człowieczka takiego jak ja muszą być straszne, ta straszność rosła we mnie, bo wszak nie mogłem o tym nikomu powiedzieć. Chociaż coś jakby widać było. Matka nie, nie, ona by nie przeżyła moich wycieczek w rejony niedostępne, bo przecież kobiecość dla matki była rejonem niedostępnym raz na zawsze. Tajność kobiecości, dla mnie była nasycona trwożliwym spoglądaniem na Irminę von Siegenbach i Matyldę. Nasza służąca była typem pozbawionym ładności, tego co przyciąga wzrok mężczyzn i zachwyt chłopców. Tak było, moje zachwycenie kobiecym ciałem nie wiem skąd się wzięło. Ot, tak sobie, bo przecież inaczej być chyba nie mogło. Siedziałem więc w czerni pokoju, chowając jak najgłębiej moje myśli o kobietach. Nasz dom, to znaczy ten tu na Beatestrasse pachniał nowością



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Luka

i czymś co kojarzyło się z Irminą i Matyldą, choć ta szła tylko w warkoczu zapachu pułkownikowej von Siegenbach. Coś spowodowało, iż wyszedłem z mieszkania. Udało się to prawie bezgłośnie. Schodziłem delikatnie na palcach, chciałem pójść do Südparku, późnym latem wczesne poranki były tam chłodne i pełne zapachów traw i wilgotności dębów, wśród których czasami buchtowały dziki. Schodziłem na palcach, lęk siedział na plecach, doduszał moją biedną duszę, w którą wpełzały wizje kobiet z ich delikatnością, człowiek sam w sobie i dla siebie wydaje się być osobnikiem odrażającym, tak w każdym razie odczuwałem ja, biedny chrabąszcz, których już przecież nie było, zaczynało się już późne lato. Schody skrzypiały, to skrzypienie było dźwiękiem dojmującym i tak dziwnie powiązanym z moją grzeszną duszą. Myślałem, że skrzypienie będzie dla mnie sygnałem obezwładniającego grzesznictwa, które w swej istocie było niezmiernie słodkie, bo wszak li tylko z rozkoszą związane. Tak mi się biednemu wydawało. Podest na półpiętrze to pierwszy punkt, z którego można było się jeszcze wycofać. Klapnięcie zasuwy. Zdecydowanie zesłupiałem, cofnąłem się z lekkim odchyleniem ciała. W drzwiach, pół piętra niżej stał w całej okazałości pułkownik von Siegenbach. Nie był w swoim pięknym mundurze, tylko w szarym, a pikielhauba przykryta pokrowcem w takim samym kolorze. Było niezmiernie wojennie. Pułkownik szybko zbiegł po schodach.

Skrzyp, skrzyp, przemieszczałem się dalej, a tak naprawdę niżej, wysokie drzwi były jak wielkie usta. Coś w tych ustach drgnęło, chrupnęło i twarz Matyldy w ustach drzwi przemówiła: Hansi, wejdź, proszę. Jej ręka miała biały sztywny mankiet.

– Chcę iść do Süd parku – powiedziałem.

– Po co ci, chodźże, trzeba ci coś powiedzieć.

Wzięła mnie za rękę delikatnie, tak jak lubiłem, skóra jej dłoni była leciuteńko szorstka, na wieszaku wisiał mundur galowy pułkownika von Siegenbacha, z szablą. Po lewej stronie, podobnie jak w naszym mieszkaniu służbówka. Była tam kozetka zasłana białą pościelą i krzesło. Matylda posadziła mnie na nim, wzięła za rękę.

– Wiesz – mówiła ciepłym głosem, który był podobny do głosu mojej matki – trzeba uważać, pani pułkownikowa bardzo płakała, chyba będzie wojna. Tak powiedział pułkownik, przyjechał po niego automobil, i pojechali nie wiem gdzie. Pani Irmina cała we łzach. U nas to stare kobiety mówiły, że jak płaczą wszystkie kobiety to wojna będzie na recht, bo tak to chyba kobiety chcą żeby była wojna. Moja matka była mała, kiedy w 1870 r brali chłopów do wojska, a szło ich! Tak tak. Mówiła mi matka, kobiety płakały, ale było im dobrze. Kobieta da sobie radę wszędzie, a chłop tylko na wojnie, albo w szynku. U nas na Pomorzu to i tak kobiety to tylko księżami nie będą, a chociaż to nie wiadomo, boć tam przecież same lutry. Ja cieszę się, że przyjechałam tu, bo to kraj katolicki.

Trzymała rękę na mojej głowie.

– Hansi, ty musisz uważać, bo jak wybuchnie wojna, to będą się dziać różne dziwne rzeczy. Do domu będą wracać ludzie bez rąk, bez nóg. U nas opowiadało się o strasznych czasach, o wojnie tak dawnej, że nikt jej nie pamiętał, a tylko matka mówiła, że była straszna, tak straszna, że kobiety były tak samotne, że łączyły się w kupy i polowały na mężczyzn, im dłuższa wojna, to na wsiach i w miastach zostawali tylko coraz młodsi i młodsi, dzieci, chłopcy, ot tacy jak ty. Matka mówiła, że moja babka mówiła, że podczas wojny francuskiej ginęli młodzi chłopcy, to może było to też i wówczas.

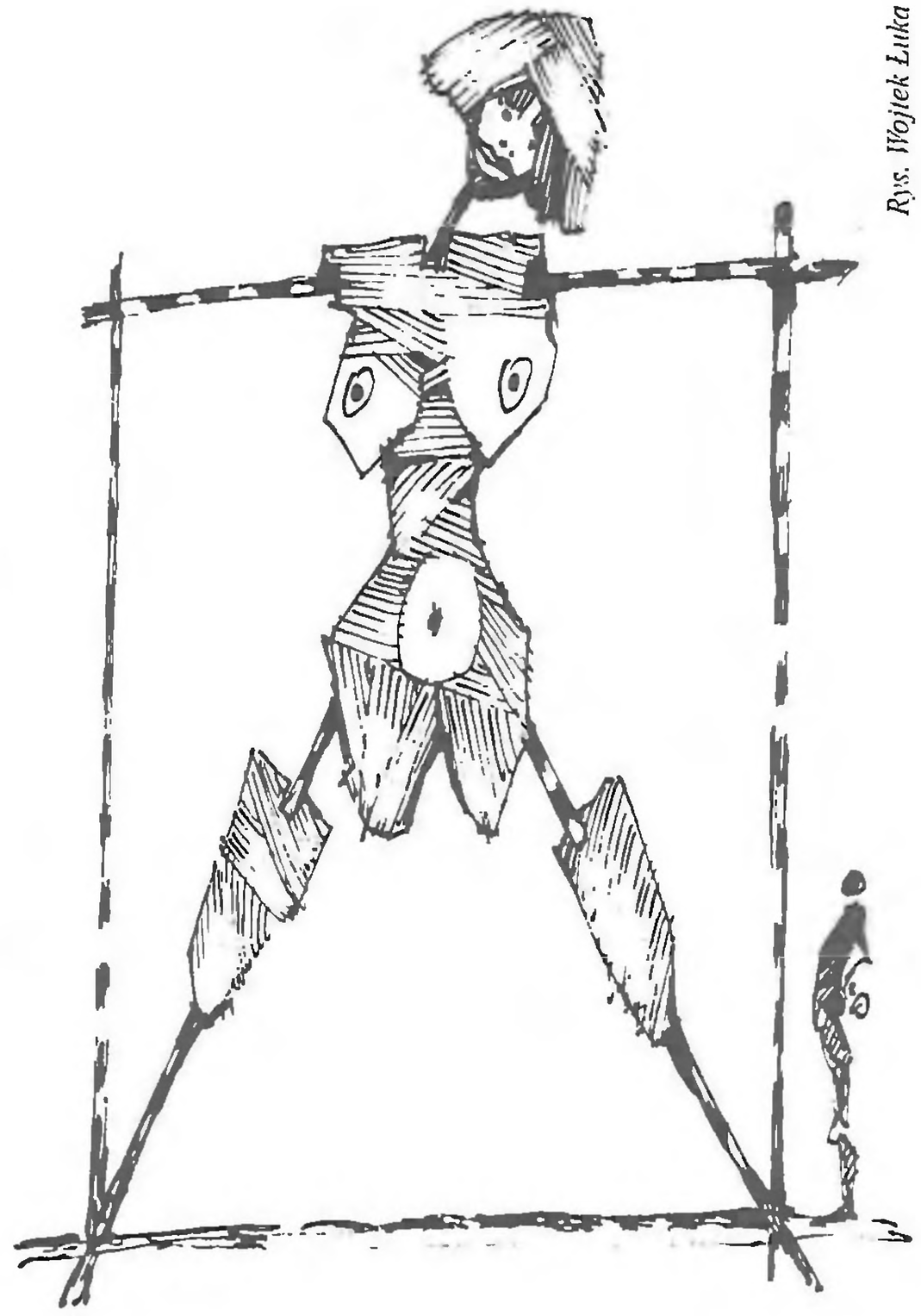
Weszła Irmina von Siegenbach, była olśniewająca, miała na sobie jakąś przezroczystą tkaninę i wyglądała jak zjawa. Z innej piękniejszej planety. Patrzyłem i wpatrywałem się nie wiedząc, że teraz kształtował się w mózgu obraz kobiety, na całe przyszłe życie.

Irmina von Siegenbach była kobietą wyzywającą, tak było, chociaż Hansi nie wiedział o tym, ale jego już przecież młodzieńcze ciało prężyło się. Tak przynajmniej wydawało się wszystkowiedzącemu narratorowi, który przechodził podobne doświadczenia zwane przez niego później Erotyzmem Malutkich Chłopców. Och, cóż to była za rozkosz, tym większa, że efektem był grzech tak ogromny, przytłaczający z reguły chłopców z dobrych katolickich domów na lata. Było to brzemię istotne, później pisałem to wszystko z dużej litery: Brzemię Istotne. Jednakże na skraju młodzieńczości Hansiego było dążenie do rozkoszy. Początkiem był więc obraz Irminy, stojącej w kuchni w peniuarze, bo tak wszak już ten strój możemy nazywać. W tle Irminy i Matyldy, która również patrzyła na swoją chlebodawczynię z uwielbieniem nie było wojny, była ściana w kolorze

złota odbijająca światło słoneczne od włosów Irminy. Hansi dostrzegł był pod cienkim materiałem wyraźnie spiczaste sutki pokaźnych wzgórków piersi co jego oczom sprawiało nieobliczalną przyjemność, ta przyjemność wydawała mu się skrajem rozkoszy. Matylda z Pomorza Przedniego głaskała go dalej po głowie, w pewnym momencie między skórą palców Matyldy a włosami Hansiego przeskoczyła iskra elektryczna, był to sygnał napięcia seksualnego, który pojawił się u Hansiego przy pomocy napięcia elektrycznego. Bolesność tego doświadczenia była znikoma, a jednak w życiu Hansiego dokonał się milowy krok w obejmowaniu życia jako zespołu napięć, wśród których seksualne nie należało do najmniejszych. Czuł się Hansi skrępowany, może nie tyle burzą, która wybuchła mu na głowie co westchnieniem Matyldy, którą owo elektryczne zdarzenie doprowadziło do przyciągnięcia głowy Hansiego do jej ładnego, acz dość obfitego biustu. Stojąca za stołem Irmina uśmiechnęła się, jej piersi poruszyły się nieznacznie. Cóż to był za widok. Niby sprawa normalna, a tu takie drżenie, drżenie wszystkiego co było w środku Hansiego.

To wszystko było się działo w pierwszych dniach lipca, czyli w czasach ponurych i z drgającą w tle wojną, bo wszak Arcyksiążę Ferdynand wraz z małżonką już nie żył. Pułkownik wraz z ułanami przeniósł się do Pless, gdzie od jakiegoś czasu miał kwaterę polową w pałacu hrabiego Hofberga, księcia von Pless, Wielkiego łowczego Rzeszy, Jana XVI, cesarza Niemiec Wilhelma II. Irmina von Siegenbach w sukni koloru ecrú, Matylda w sukni granatowej podkreślającej jej służebną profesję wsiadły do podstawionego przed dom przy Beatestrasse 47 landa wraz z Hansim. Udawały się do Pless. Podróż była piękna, przez Brynów, obok kapliczki św. Huberta, gdzie kończyły się książęce polowania i dalej dość szerokim traktem przez Mikołów, Tychy do Pless. Izabelowate volbluty w liczbie czterech ostro ciągnęły lando. W niecałe trzy godziny podróż zbliżała się do kresu. Irmina von Siegenbach głaskała włosy Hansiego i pytała czy podobały mu się jej piersi, które był widział o poranku. Słowa Irminy wpełzały do ucha Hansiego oszałamiającą wibracją i jego rodzące się libido przechodziło na twarz, zmieniając ją gwałtownie. Matylda patrzyła jak urzeczona na twarz Hansiego i widok jej poraził ją tym, czego nie umiała nazwać – perwersją.

Bryła pałacu wyłaniała się z oszałamiającej zieleni parku. Upał lipcowy poruszał powietrze, które owiewało głowę Hansiego, nie chłodziło, bo nie mogło, głowa była zbyt gorąca. Matylda patrzyła w oczy Hansiego, on jednak nic nie widział. To, co powiedziała Irmina von Siegenbach wytworzyło w jego głowie pustkę, która zwykle pozostaje w głowach chłopców w jego wieku, nie zawsze wszak w lipcowym upale przejeżdżając obok szpaleru ułanów następcy tronu w Pless. Hansi więc zgrzeszył, tak mu się w każdym razie wydawało. Lando zatrzeszczało na podjeździe. Stał na nim pułkownik von Siegenbach, uśmiech mu pełzał pod wywoskowanym wąsem. Gorąca głowa Hansiego miała za przeciwnika sztywną pruską głowę von Siegenbacha. Hansi stawał się mężczyzną, choć



Rys. Wojtek Łuka

było to uczucie dławiące kluchą w gardle. Tak to bywa, gdy sprawy zwłaszcza tak istotne dzieją się gwałtownie. Irmina patrzyła na męża, ale jej wzrok biegł nad pruską jego głową i dotykał pieszczotliwie końców włosów Hansiego. Matylda, świadek zdrady Irminy drżała, nic do tej pory nie wzburzyło jej tak, jak to drobne wszak wydarzenie. Przez ułamek chwili Matyldzie wydawało się, że Irmina zdradziła całą pruską armię i teraz ona przegra zbliżającą się wojnę.

Irmino – głos pułkownika mieścił się na skraju tubalności, i on głos armii pruskiej przywrócił jaźń Hansiemu, ale Irmina była daleka od pruskiej jednolitej myśli państwowej, myślała tkliwie o Hansim, przeżywała równie mocno swoje grzeszne myśli, a to grzech popychał ten świat i do wojny o miłości.

* * *

Park w Pless był tak piękny, że nie widziałem nigdy piękniejszego, chyba że był to Süd park, w którym moje zaspanie budziły dopiero jedyne promienie, gdzie widziałem górników idących na szychtę do Oheimgrube albo wracających z ognikami lampek. Tak było kiedy wyślizgiwałem się z domu przed świtem. Górnicy byli brudni, wyjeżdżali z głębi ziemi i szli do swoich domów kąpać się. Cesarza chyba w Pless nie było, pułkownik von Siegenbach patrzył na swą żonę z przyjemnością właściciela pięknej klaczy, tak mi się w każdym razie wydawało. Tedy patrząc na kształt nawoskowanych wąsów pułkownika widziałem go jak całuje żonę, co wydawało mi się absolutnie niemożliwe, wszak Irmina była delikatna tak

bardzo, tak słodka i tylko jej połączenie z feldgrau Jurgena zabijało we mnie poczucie piękna, ale już wówczas wiedziałem, że wszak piękno bez brzydoty staje się odpychające, lepkie, słodkie.

-Hansi – głos Jurgena von Siegenbacha uderzył mnie w ucho. – Tylko wojsko mój drogi Hansi – wojsko – zaryglował moje ucho zupełnie – daje mężczyźnie absolutne szczęście. Dawno nie wojowaliśmy, gnuśność zżerała nasze dusze.

Irmina wyglądała na uszczęśliwioną. Jurgen będzie miał to co chce, myślała.

– Nie, ja nigdy, ależ tak pułkowniku, chciałbym być żuławem śmierci i zginąć za cesarza, choć jak mówił mój ojciec to szczęście mnie jeszcze nie spotka.

Pułkownik Jurgen von Siegenbach został moim przeciwnikiem erotycznym, co mi się podobało i chciałem go poniżyć wywyższając jego głupotę. Zresztą żołnierze są podobni do mojego ojca, opowiadał nam o swoich bojach w wojnie burskiej. Nie wiem dlaczego nie znosił Anglików. Ale pojechał na wojnę, zaciągnął się, może uciekał bo wtedy ja miałem się urodzić, prawdopodobnie nie lubił mnie i mojej matki. Jurgen klepnął mnie w ramię: – Hansi, idź z Matyldą do parku, tam jest dla was obiad.

Popatrzyłem na Irminę, zrobiło mi się miękko i pomyślałem o mojej biednej matce. Była brzydka i ojciec był brzydki, a ja byłem ładny.

Matylda położyła rękę delikatnie na mojej głowie, wówczas stwierdziłem, że kobiecość jest kolista, w okrągłym przytulającym ruchu ręki wyczuwało się opiekuńczość, obok zaś armia, coś na kształt mechanicznej lalki z ruchami kanciastymi pozbawionymi wszelkiej czułości. Jurgen von Siegenbach schodził w moich oczach pod poziom człowieczeństwa, tak jak mój ojciec, który miał w wojnie burskiej, w której dziwnym trafem uczestniczył, trzech czarnych służących do posług zwykłych i dwie czarne służące służące im do zabaw erotycznych. Po latach się tego wstydził i wówczas prał mnie po gębie i krzyczał: – Hansi ty obłokszatłtny zewłoku, co mnie doprowadzało na skraj apatii, bo cóż miałem robić, był silniejszy ode mnie, brutalny i miał sztywną nogę w której tkwiła brytyjska stalowa kula. To chyba zatem ten kawałek stali w nim osadzony i nieprzeparta chęć do czarnoskórych kobiet stworzyła mi ojca, który tak naprawdę nie lubił wszystkiego, co stworzył Bóg.

* * *

Pod pergolą w parku podano ananasy z bitą śmietaną i bezami, posypano to wszystko wiórkami z czekolady, do tego była limoniada w kryształowych dzbankach i woda sodowa w syfonach. Była więc wojna, Hansi obserwował swoich rówieśników, którzy jak gdyby nie dostrzegali wojny, a Hansi wiedział, bowiem oficerowie i żołnierze mieli feldgrau kapy na pikelhaubach. Wszystko więc było piękne. Ananasy okazały się lodami ananasowymi, a te białe bezy były lodami, których środek był tiramisu. Hansi siedział i wsłuchiwał się w park, który już brzmiał głosami prawie już jesiennych ptaków. Tylko krzyki pawi były trochę drażniące. Wydarzenia ostatnich godzin były gwałtowne. Uświadomienie męskości to było za wiele. Oszałamiające wizje drżały pod powiekami jak obrazy filmowe, które widział w kinoteatrze Rialto u początku Beatestrasse. Te jednak były nasycone zapachami pułkownikowej. Było chyba trzy kwadranse na piątą, gdy dały się słyszeć od strony wschodniej głuche wybuchy, czy to była burza na jasnym sierpniowym niebie? Od strony pałacu dał się słyszeć ostry dźwięk trąbki. Za niejaką chwilę szwadron ułanów galopem ruszył chyba w kierunku wschodnim, skąd nadbiegały grzmoty. Tak tedy Hansi stawał u początków wojny. Szwadron zwartym szykiem przegalopował koło nic nie wiedzących dzieci.

Irmina von Siegenbach i Matylda biegły w kierunku zaparkowanego landa. Pułkownik ostrym, acz spokojnym głosem powiedział:

– Pojedziecie automobilem do Kattowitz – pogłaskał głowę Hansiego, pocałował w policzek Irminę i już jechali w kierunku Tychów. Podróż do domu zajęła im niecałą godzinę. Automobil prowadzony przez żołnierza ostro brał zakręty. Pszczyńskie lasy oddalały się. Musieli trochę czekać na przejeździe koło kolonii Zuzanny, bo tam przetaczano pociąg, taki którego jeszcze nie widział, nie miał okien, był szarozielony i z otworów wystawały lufy. Pociąg był zatem wojenny. Gdy przejechali, za nimi odezwało się stęknięcie, znów świst, a potem huk wystrzału. Tak zatem wojna nabierała gwałtowności. Obrazy i zapachy stawały się jeszcze bardziej intensywne, ręce Irminy i Matyldy opiekuńczym ruchem objęły głowę Hansiego. Pod dom przy Beatestrasse przyjechali na skraju zmroku. Boazeria z czarnego dębu odbijała w ostatnich promieniach słońca witraże, które przenosiły postacie Irminy i Matyldy na drugie piętro pokryte tatuażami witraży. One były piękne. Tak jak dla Hansiego pięknie rozpoczęła się wojna.

– Przyjdź jutro – powiedziała Matylda.

Irmina odwróciła się dość gwałtownie – tak, tak, Hansi, musimy cię narysować, zwłaszcza ja chcę cię narysować, chłopcy powinni być rysowani, tak zresztą jak dziewczęta. Tak, Hansi, musisz przyjść, czy mam wysłać Matyldę z listem do Twojego ojca?

– Tak, on uwielbia jak się go o coś prosi, proszę pani.

Piętro wyżej wrzask, inżynier Bellamer darł się na syna, a wszystko to wykonywał krótkimi seriami bulgocącego berlinera jakby chciał podkreślić swoją pruskość, bo wszak Prusacy szli się bić.

– To dość obrzydliwe Hansi, że masz dopiero tyle lat i nie jesteś zdolny do triumfu jaki niebawem pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu nasz genialny Wilhelm II Hohenzollern Król Pruski i cesarz niemiecki powtórzy rok 1870, wszak Francuzi są rozlaźli i głupi i w dodatku mają w swojej armii czarnych żołnierzy, jakichś Senegalczyków.

Hansi stał w gabinecie ojca, gdzie na ścianie była głowa nosorożca o szarej aksamitnej skórze, była też piękna głowa oryksa.

– Ja, ja – powtórzył Ballamer – byłem i biłem się na wojnie burskiej, oczywiście po stronie dzielnych

germańskich Burów. Anglicy, tam ich znienawidziłem. No ale co będę gadał, ty i tak nie rozumiesz.

To było faktem, nie interesowała go wojna na końcu świata. Rysowanie ćwiczył na głowie nosorożca i oryxa przenosząc je ołówkiem na papier, gdzieś nad jego głową i wzrokiem bulgotał berlinerem ojciec. Potem klepał go w twarz, klepnięciem w którym nie było okruchu czułości. Zatem po prostu dawał w pysk. No czegóż można oczekiwać od ojca, który kochał tylko siebie. Inżynier Bellamer planował iść do Otta gdzie wieczorem miał grać kwartet smyczkowy. Ojciec więc wychodził, a do góry kroczyła Matylda z kopertą w wyciągniętej ręce.

– Do pana inżyniera od pani pułkownikowej.

Bellamer stał zaskoczony, nie lubił jak ktoś przerywał jego starannie przemyślane działania, ze swej istoty hedonistycznie. Pozory ascezy inżyniera Bellamera ginęły w mrokach jego perwersyjnej duszy. I owa perwersja pchnęła go w burską awanturę, a stało się to za przyczyną leksykonu Mayersa, w nim bowiem zobaczył zdjęcie gołej Hotentotki i owa, ona Hotentotka uwolniła perwersyjność inżyniera Bellamera. I tu nagle był dostrzegł w szerokim zmysłowym nosie Matyldy kawałek swojej Hotentotki. Wszystko to działo się w ułamkach chwil, na tle gasnących witraży, które jak się potem dowiedział Hansi, były Muchy.

List

Szanowny Panie inżynierze,

wielce znakomity sąsiedzie, onegdaj zabrałam syna Szanownego Pana na przejażdżkę do Pless, gdzie stacjonuje mój mąż (proszę o dyskrecję – to tajemnica wojskowa) i Pana syn to niezwykle wrażliwy młodzieniec, stwierdził że chciałby narysować z moich zdjęć pod moim okiem pałac i park w Pless, jak również rynek, gdzie najbardziej podobały mu się stojące obok siebie kościoły katolicki i ewangelicko – augsburski.

Ja osobiście uczęszczałam na lekcje rysunku i malarstwa w Monachium, gdzie często przebywałam w Pinakotece. Proszę zatem aby Szanowny Pan zezwolił Hansiemu na kilka lekcji rysunku.

kreślę się z szacunkiem
Irmina von Siegenbach

Bellamer był wyraźnie zdenerwowany. A niech idzie i poklepał okolice szerokiego nosa Matyldy i wezbrała w nim ta hotentocka perwersja. Jednakże przyzwyczajony do przyzwyczajeń, szedł był lekko kulejąc dziarskim krokiem do Otta by w onym wysłuchać kwartetu grającego Salzburczyka. Hansi stał, rozkraczony i patrzył w głąb długiego przedpokoju, na którego koncu poruszała się matka w długiej sukni i czepku. Chciałoby się mu zbiec do dwóch kobiet, niańczących go, a którego to niańczenia nie uzyskiwał był od matki – kobiety przykrytej cieniem olbrzymiej wielkości zwolennika miłości hotentockiej. Do niego nie docierały perwersje ojca. Matka przyjęła gburowatość ojca za coś normalnego, bo wszak kobiecie przystoi mieć nieprzyzwoitego męża. Kobieta nie mogła być nieprzyzwoita, bo to zaiste byłoby nieprzyzwoite i zwaliłoby instytucję małżeństwa w przepaść. Hansi zdał się być sparaliżowany i porażony pozytywaną odpowiedzią ojca zezwalającą na lekcje u Irminy. Zatem mógł iść do niej, piętra parkietowych schodów drgały pod silnymi uderzeniami nóg Hansiego. Dzwonek wibrujący elektrycznym głosem, twarz Matyldy oblana uśmiechem:

– Już jesteś?

Pokazał kartkę listu z adnotacją ojca.

– Jesteś zmęczony? – zapytała z tym hotentockim uśmiechem. A wszak pochodziła z Pomorza Przedniego. Wszedł i oparł się o drzwi, było upalnie, przed oczami miał jeszcze strzelający pociąg pancerny. Takie dziwne pudełka w szarozielonym kolorze podskakiwujące od wystrzałów.

Kuchnia, duża, z holenderskimi kaflami, na których kobaltową farbą ktoś sygnalizował istnienie uspokajającego widoku polderów. Obok stał duży piec, w którym Matylda piekła chleb i opiekała bawarskie golonki. Za stołem pod zwisającą lampą siedziała Irmina. Zieleń szklanego klosza podgrzanego żarówką rysowała urodę pułkownikowej. Ta twarz kojarzyła mu się z Botticellim, którego ryciny obrazów oglądał w encyklopedii Meyersa, oczywiście pod nieobecność ojca, który zachłannie ukrywał swoje skarby. Czekolada, jej zapach drgał w nozdrzach, drażnił, a to kontemplacyjne smakowanie, szybkie gardłowe gadanie Matyldy.

– Hansi będzie pił czekoladę, to uspokaja, to może jedna z ostatnich czekolad, bo rozpoczęliśmy wojnę. Irmina popatrzyła nad głową Hansiego, uśmiech z odrobiną grymasu posłała Matyldzie. Hansiemu wydawało się, że wojnę najlepiej przeżyć w towarzystwie dwóch opiekuńczych kobiet. Dostrzegał całym sobą, że zagrożenie wzmaga poczucie i konieczność czułości, a jego duszy dążenie do takich wzruszeń było rodzącym sie erotyzmem chłopca. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale napełniało go łagodnością, które to uczucie było wszak zupełną odwrotnością wojny, a wojna odpływała smakiem czekolady Sucharda zalanej pełnotłustym mlekiem jednej z ostatnich krów z Greenstrasse. Irmina zaprowadziła Hansiego do buduaru, stała w nim sztaluga. Postanowiła rysować Hansiego pastelami. Opodal sztalugi leżały akty Matyldy, intensywne, ostre, a przecież rysowane subtelnym pastelem. To, co się działo było drapieżnym łaskotaniem delikatnej, efebowej duszy Hansiego. Naga kobieta sama z siebie wywoływała silne doznanie, które później pozna Hansi jako podniecenie.

– Jaki jesteś muskularny – mówiła Matylda rozbierając chłopca z aksamitnego ubrania i jedwabnej koszuli. Nie czuł się skrępowany, odkąd pamiętał rozbieranie nie wywoływało w nim żadnych uczuć. Teraz przeciwnie. Matylda dotykając jego włosów wywołała znów iskrę elektryczną, lekki trzask oznajmiał o napięciach, które odtąd towarzyszyć będą życiu Hansa.

– Chwileczkę Matyldo, ja natrę Hansiego oliwą, to daje subtelne refleksy światła, zwłaszcza na tak młodym ciele. Podaj mi tę butelkę z oliwą i załóż mu przepaskę na biodra.

Stał, prawie nagi przed dwoma kobietami i nie czuł piekącego drapania grzechu.

Od „Welt-Theatru" do multipleksów

Stulecie kina w Katowicach

JAN F. LEWANDOWSKI

Bez rozgłosu mija stulecie kinematografu w Katowicach. Pierwsze katowickie przybytki X Muzy powstawały 100 lat temu, a niektóre zachowały się do naszych czasów. Nie pozostało śladu po pierwszym kinie „Welt Theater" z 1907, lecz istnieje „Colosseum" z 1909 roku, chociaż mało kto wie, że przetrwało pod postacią dzisiejszego „Światowida".

Foto: Zbigniew Sawicz



Mało kto wie, że najstarszym istniejącym kinem miasta pozostaje dzisiejszy „Światowid", którego historia sięga 25 grudnia 1909 roku, kiedy to dokładnie w tym samym miejscu otwarto kino o antycznej nazwie „Colosseum".

Zanim powstały pierwsze katowickie kina, zaglądały do miasta wędrowne kinematografy. Na przełomie 1896 i 1897 roku pojawili się w Katowicach wędrowni demonstratorzy z Berlina, którzy dysponowali aparatem projekcyjnym amerykańskiego wynalazcy Thomasa Edisona. W grudniu 1896 roku i w styczniu 1897 roku prezentowali ruchome obrazy w Gliwicach i w Zabrzu. Z pewnością trafili także do Katowic. Od tego czasu projekcje kinematograficzne gościły w mieście stale, aczkolwiek przez następne lata wyłącznie w doraźnie wynajmowanych salach.

Najstarsze sale

Pierwsze stałe kina otwarto w Katowicach w 1907 roku. Najpierw 10 marca 1907 roku otwarto salę pod nazwą „Welt-Theater" przy Friedrichstrasse 10 (obecnie Warszawska) prowadzoną przez przedsiębiorcę kinematograficznego Juliusa Eckericha z Berlina, a pod koniec marca 1907 roku uruchomiono „Grand Kinematograf" przy Grundmannstrasse 11 (obecnie 3 Maja), będący własnością spółki z Berlina o tej samej nazwie. Oba kina znajdowały się w oficynach przebudowanych na potrzeby kinowe. Dwa pierwsze kina nie istniały długo. Pierwsze zamknięto w 1911, gdy przebudowywano kamienicę przy Friedrichstrasse 10, a drugie w 1915 roku.

Jednak powodzenie pierwszych sal kinowych nie pozostało bez konsekwencji. Przedsiębiorcy kinematograficzni, którzy wcześniej prowadzili kina objazdowe, teraz zakładają kina stałe, najpierw w lokalach adaptowanych na potrzeby kinowe, a potem w budynkach wznoszonych specjalnie jako kina.

Zatem kolejne kina pojawiają się w Katowicach w 1909 roku. Najpierw latem tego roku niejaki Karl Kowoll uruchomił „Stern-Kino-Theater" w sali tanecznej przy Grundmannstrasse 25, by szybko zmienić jego nazwę na „Zentral-Kino" (późniejsze kino „Union"). Jednocześnie stałe projekcje filmowe wprowadzono w teatrze „Apollo" przy Querstrasse 17 (dzisiejsza Staromiejska) prowadzonym przez Michela, Marcela i Josefa Moskowitzów.

Wreszcie Julius Eckerich postawił nowe kino o antycznej nazwie „Colosseum" w oficynie przy Grundmannstrasse 7, powierzając jego budowę mistrzowi budowlanemu Martinowi Tichauerowi. Pierwsze zbudowane od podstaw kino katowickie otwarto z wielką pompą na Boże Narodzenie, 25 grudnia 1909 roku, a w prasie reklamowano je jako „największy teatr kinematograficzny na Górnym Śląsku". Dokładnie w tym samym miejscu znajduje się dzisiaj kino „Światowid", lecz o zupełnie innym kształcie architektonicznym.

Z kolei w 1911 roku wspomniany już Julius Eckerich po zamknięciu działalności „Welt-Theatru" otworzył niedaleko przy Sedanstrasse 10 (dzisiejsza ulica Mielęckiego) nową salę Lichtspiel-Palast „Weltspiegel", znaną później pod nazwą „Palast", mając jako wspólnika Augusta Nitschego.

Tichauer buduje „Rialto"

Natomiast mistrz budowlany Martin Tichauer z Katowic, który zbudował wcześniej dla Eckericha „Colosseum", sam zapragnął zostać kiniarzem i zbudował w 1912 roku dla siebie „Kammerlichtspiele" (czyli dzisiejsze „Rialto") przy Johanne-

strasse 24 (obecnie św. Jana), za torami kolejowymi. Nowe kino zostało otwarte 15 stycznia 1913 roku, a reklamowano je w gazetach, jako „największy i najwytworniejszy kinematograf na Śląsku, 1000 osób mogący pomieścić". Prócz sali kinowej posiadało winiarnię i piwiarnię, także palarnię cygar, a na dodatek orkiestrę, która z filmów niemych czyniła dźwiękowe. Przy budowie kina Tichauer wzorował się najwyraźniej na zbudowanym kilka lat wcześniej gmachu teatru miejskiego, skoro fasady budowli są nieco podobne.

Branża kinematograficzna była po prostu świetnym interesem. W ówczesnych Katowicach, które obejmowały tylko tereny dzisiejszego śródmieścia, otwarto w okresie 1907-1913 aż 7 stałych kin! Była to w branży kinematograficznej rewolucja porównywalna z inwazją multipleksów na przełomie XX i XXI wieku. Prowadzenie sali kinowej stawało się przed pierwszą wojną światową w Katowicach nadzwyczaj zyskownym biznesem, skoro dla masowej, proletariackiej publiczności wizyta w kinie stawała się najważniejszą, stosunkowo tanią rozrywką.

W okresie przed I wojną światową, a później w latach wojny i w okresie plebiscytowym, kina katowickie były częścią niemieckiego rynku filmowego. Po przejęciu miasta przez Polskę związki kin katowickich z niemieckim rynkiem filmowym były nadal silne. Do kin w Katowicach docierały najczęściej filmy niemieckie, a filmy amerykańskie i europejskie przeważnie za pośrednictwem dystrybucji niemieckiej. Napisy do filmów niemych miały z reguły dwie wersje językowe: polską i niemiecką, co wynikało z najbardziej oczywistych potrzeb publiczności wykształconej przecież w szkole niemieckiej.

Sanacja kontra kiniarze

Po przewrocie majowym 1926 roku, władze wojewódzkie poprzez inspirowane działania organizacji społecznych i ataki prasowe „Polski Zachodniej" zmierzały do ograniczenia dominacji filmów niemieckich, a także do usuwania napisów niemieckich. Zamierzenia władzy spotkały się z oporem właścicieli kin katowickich, wspieranych przez działania Związku Teatrów Świetlnych, stowarzyszenia branżowego właścicieli kinoteatrów województwa śląskiego założonego w Katowicach w 1924 roku. Niemniej w latach trzydziestych władze wojewódzkie uzyskały większy wpływ na politykę repertuarową w katowickich kinach.

Pod naciskiem urzędowym i prosanacyjnej prasy kiniarze zmieniali niemieckie nazwy kin. Po kilku krytycznych publikacjach „Polski Zachodniej" kino „Kammer" stało się w 1928 roku kinem „Rialto", a kino „Palast" kinem „Pałacowym" (w 1930 roku). Inne kina pozostawały przy nazwach kosmopolitycznych. Z początkiem lat trzydziestych „Apollo" zmieniło nazwę na „Casino".

Na mapie kin w Katowicach w latach dwudziestych zachodziły niewielkie zmiany. Najbardziej ekskluzywnym kinem było kino „Kammer" przemienione w „Rialto". W 1930 roku w „Rialcie" miała miejsce pierwsza w Katowicach projekcja filmu dźwiękowego (Śpiewający błazen). Podobnie w „Rialcie" zdarzały się uroczyste premiery z udziałem wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego. W każdym razie „Rialto" wysunęło się przed „Casino" (dawniejsze „Apollo") i „Colosseum", które uchodziły za najbardziej elitarne w czasach pruskich.

Niemniej i „Rialto" spotkało się z poważną konkurencją, gdy w 1928 roku otwarto nowe kino „Capitol" przy ulicy Plebiscytowej 3. Jego właściciel Alojzy Potempa stworzył cały kompleks rozrywkowy, z restauracją, salami bilardowymi i kabaretem. W 1931 roku otworzył drugą mniejszą salę kinową „Capitol II". Obie sale znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie „Rialta". Nic dziwnego, że w latach trzydziestych „Rialto" i „Capitol" zawzięcie konkurowały ze sobą o palmę pierwszeństwa.



Dzisiejsze „Rialto" zostało otwarte 15 stycznia 1913 roku, a reklamowano je w gazetach jako „największy i najwytworniejszy kinematograf na Śląsku".

Zmiany na mapie

Poważniejsze zmiany na mapie kinowej następowały w latach trzydziestych. Na początku dekady zakończyło działalność kino „Pałacowe" przy ulicy Mielęckiego, gdy w miejscu starej kamienicy rozpoczęto budowę Banku Handlowego. Za to w listopadzie 1935 roku, pojawiło się nowe kino „Stylowy" przy ulicy Stawowej 19, które działało po II wojnie światowej pod nazwą „Śląsk". Wreszcie 15 listopada 1938 roku w nowoczesnym kompleksie Domu Powstańca Śląskiego otwarto kino „Zorza", które w tamtym czasie stało się najbardziej reprezentacyjną salą stolicy województwa. Na towarzyszącą otwarciu kina premierę *Strachów* Eugeniusza Cękalskiego i Konrada Szołowskiego przybyli najważniejsi notable województwa z wojewodą Grażyńskim na czele.

W okresie międzywojennym sale kinowe pojawiły się także poza śródmieściem. Były to kina: „Raj" (wcześniej „Corso") na Załężu, „Bajka" w Bogucicach, „Atlantic" na Zawodziu i „Dębina" w Dębie. Ponadto kina w Szopienicach: „Colosseum", „Helios" i „Odeon" (wcześniej „Apollo"). Już w latach trzydziestych otwarto kolejne sale kinowe: „Słońce" w Janowie, „Rewię" na Wełnow-



Zbudowane w 1965 roku kino „Kosmos" stało się wtedy jednym z najbardziej prestiżowych w mieście, tutaj na pocztówce z tamtego czasu.

cu, „Capitol" w Dąbrówce Małej i „Bajkę" w Ligocie.

Z końcem lat dwudziestych Katowice stały się także znaczącym ośrodkiem dystrybucji filmowej. Zazwyczaj działało kilkanaście biur wynajmu filmów, w tym ekspozytury najważniejszych dystrybutorów amerykańskich: Universalu, Metro Goldwyn Mayer, Paramountu i Foxa, a od połowy lat trzydziestych także Warner Bros i R.K.O.

Gdy we wrześniu 1939 roku Katowice zostały włączone ponownie do państwa niemieckiego, zmiany odbiły się także na kinach katowickich. Niektóre znalazły się pod przymusowym zarządem niemieckim. Na froncie reprezentacyjnego „Rialta" pojawiła się nowa nazwa: „UFA – Theater Rialto". Do repertuaru powróciły w ogromnej przewadze filmy produkcji niemieckiej. Jednak sieć sal kinowych pozostawała zasadniczo w takim kształcie, w jakim uformowała się w latach trzydziestych.

Znikające punkty

W 1945 roku, gdy Katowice znalazły się ponownie w Polsce, jako pierwsze zostały uruchomione kina „Zorza" i „Wolność" (dawniejsze „Casino"), a potem „Rialto" i kolejne sale. Wszystkie znalazły się pod zarządem państwowym. W lutym 1945 roku uruchomiono Okręgowy Wydział Kinofikacji w Katowicach zajmujący się zarządzaniem kinami na terenie województwa, przekształcony następnie w Zarząd Kinoteatrów Województwa Śląskiego, a potem w Okręgowy Zarząd Kin. Z czasem prowadzeniem kin zajęły się także związki zawodowe, lecz głównie kin dzielnicowych.

Do najbardziej prestiżowych kin w okresie po II wojnie światowej należały długo „Rialto" i „Zorza" jako kina premierowe. Dawne kino „Colosseum" (zniszczone w 1945 roku) zostało odbudowane pod nową nazwą „Światowid", by w latach sześćdziesiątych stać się kinem studyjnym z repertuarem kina artystycznego. W centrum miasta na początku lat pięćdziesiątych zniknęły dwa kina. Zlikwidowano dawniejsze kino „Capitol", grające po wojnie jako kino „Słońce', gdy gmach przy Plebiscytowej 3 przejęła Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia. W tym samym okresie zakończyło działalność kino „Wolność" przy Staromiejskiej (dawniejsze „Casino"), a jego salę przekazano Teatrowi Śląskiemu na scenę komediową.

Już w latach sześćdziesiątych zniknęło dawniejsze kino „Union" przy 3 Maja 25, przemienione po wojnie na „Młodą Gwardię", a w jego pomieszczeniach otwarto restaurację „Melodia" (dzisiaj znajduje się w tym miejscu sala teatru Ateneum). Podczas budowy nowego dworca kolejowego zburzono kamienicę przy Stawowej 19, w której działało po wojnie kino „Śląsk" (poprzednio „Stylowy").

Wprawdzie kino pozostawało najbardziej powszechną rozrywką i nadal otwierano nowe sale kinowe, lecz najczęściej poza śródmieściem i w budynkach przerabianych na potrzeby kinematograficzne. W samym śródmieściu pojawiło się w latach pięćdziesiątych nowe kino „Przyjaźń" w budynku Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy placu Wolności 12 a. Przez wiele lat grano filmy w Hali Parkowej przy ulicy Kościuszki, a także w sali kinowej Pałacu Młodzieży przy ulicy Mikołowskiej. Działało także kino „Elektron" na Koszutce przy ulicy Sokolskiej (gdzie dzisiaj znajduje się studio Telewizji Silesia).

Jeśli w latach czterdziestych w repertuarze znajdowały się filmy z krajów europejskich, przedwojenne polskie i amerykańskie, to w latach pięćdziesiątych kina zostały zdomi-



Foto: Zbigniew Sawicz

Po latach w miejscu „Kosmosu" powstało Centrum Sztuki Filmowej, otwarte jesienią 2006 roku.

nowane produkcją sowiecką i z pozostałych krajów komunistycznych. Od połowy lat pięćdziesiątych do repertuaru powróciły filmy zachodnie, co spowodowało wielkie ożywienie frekwencji, trwające aż do lat siedemdziesiątych.

Od „Kosmosu" do „Ronda"

Jedynym kinem zbudowanym od podstaw w powojennych Katowicach było kino „Kosmos" na Koszutce, którego budowa rozpoczęła się jeszcze w 1959 roku według projektu Stanisława Kwaśniewicza i Juranda Jareckiego. Otwarcie „Kosmosu" nastąpiło w 1965 roku. Z czasem kino to stało się jednym z najbardziej prestiżowych w mieście, a w dodatku jako pierwsze zostało wyposażone w aparaturę projekcyjną do odtwarzania z taśmy o szerokości 70 mm. Z kolei w 1973 roku projekcją *West Side Story* zainaugurowano pokazy filmowe w sali Spodka pod szyldem kina „Rondo", które dysponowało największą, kilkutysięczną widownią. Także w kinie „Rondo" wyświetlano filmy w formacie 70 mm.

Można powiedzieć, że lata sześćdziesiąte, zwłaszcza od czasu „Kosmosu" aż do „Ronda", to apogeum świetności kina w Katowicach, zresztą nie tylko w Katowicach.

Ponadto przeważnie do lat siedemdziesiątych działała większość kin w katowickich dzielnicach. Jednak z czasem, w miarę rozpowszechniania się telewizji, widzowie zaczęli odchodzić od kina, a sale kinowe stopniowo zamykano. Najpierw w dzielnicach peryferyjnych, a potem i w śródmieściu. W latach osiemdziesiątych zamknięto nawet „Zorzę", gdzie miało powstać pierwsze kino dwusalowe. Skończyło się na remoncie mniejszej sali, która funkcjonowała jako kino powtórkowe aż do 2003 roku. W pomieszczeniach po „Zorzy" powstały później kluby muzyczne „Genesis" i „Wyższy wymiar".

Po likwidacji mniejszej „Zorzy" z dawniejszych kin katowickich pozostały: „Kosmos", „Rialto" i „Światowid".

Nadchodzą multikina

Nową rewolucję na mapie kinowej Katowic spowodowały multipleksy, które zwielokrotniły liczbę sal kinowych w mieście. Najpierw 5 lipca 2002 roku otwarto Cinema City na Załężu przy Gliwickiej, gdzie znalazło się 13 sal kinowych oraz trzecie w Polsce trójwymiarowe kino IMAX. Z kolei 27 grudnia 2003 roku pojawiło się Centrum Filmowe Helios z 9 salami kinowymi w nowoczesnym budynku Altusa przy ulicy Uniwersyteckiej. W 2006 roku Cinema City otwarło drugi kompleks z 13 salami kinowymi w Silesia City Center.

Jednocześnie Instytucja Filmowa „Silesia Film" rozpoczęła modernizację „Światowida", „Rialta" i „Kosmosu". W nowo otwarte we wrześniu 2005 roku „Rialto" stało się wielofunkcyjnym kinoteatrem „Rialto", z dominującą, funkcją kinową, a przy tej okazji przywrócono dawniejszą fasadę budynku z początku XX stulecia, włącznie z płaskorzeźbą rzymskiego rydwanu.

Nieco później przeprowadzono przebudowę „Kosmosu" dokonaną za pieniądze unijne. W ten sposób 6 października 2006 roku na mapie Katowic pojawiło się Centrum Sztuki Filmowej obejmujące dwie sale kinowe, ponadto Filmotekę Śląską z biblioteką, czytelnią i wizualnią oraz zaplecze do produkcji i usług filmowych.

Na koniec kino studyjne „Światowid" stało się po kolejnym remoncie kinem dwusalowym.

Spoglądając na to stulecie kin katowickich można powiedzieć, że sal kinowych mamy dzisiaj więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Jeśli dobrze policzyłem, to trzy katowickie multikina posiadają łącznie 36 sal kinowych, do tego dochodzi 5 sal w kinach mniejszych. Wygląda to niby nieźle, w każdym razie nie brakuje miejsca na projekcje.

Jednak to już trochę inne sale. Jakoś więcej sentymentu pozostaje po tych dawnych kinach o nieraz fantazyjnych nazwach, po których nie pozostało już śladu.

Z tego sentymentu warto zapamiętać, że 25 grudnia 2009 roku, dokładnie na Boże Narodzenie, przypada setna rocznica otwarcia najstarszego istniejącego kina katowickiego – dzisiejszego „Światowida", dawniejszego „Colosseum". Ale czy będzie jubileuszowa impreza na stulecie?

■



Foto: Zbigniew Sawicz

27 grudnia 2003 roku pojawiło się Centrum Filmowe Helios z 9 salami kinowymi w nowoczesnym budynku Altusa przy ulicy Uniwersyteckiej.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik spóźnionego przybysza

Miasta współczesnego świata (I)

• Pomyłka Marshalla McLuhana

Współczesny świat uwikłany w globalne procesy przeobraża utrwalone systemy i struktury społeczne. Przeobrażenia te rodzą pytania o przyszłość ludzi, miejsc i przestrzeni gdyby użyć terminologii Yi-Fu Tuana, chińskiego geografa społecznego. Procesy globalizacji a nade wszystko metropolizacji sprzyjają przemianom światowych miast, z których wiele określanych jest dzisiaj jako *global city*, czyli miasta globalnego. To metropolie, które stając się centrami informacji, wiedzy, decyzji i innowacyjności zatracają fizyczne granice. To miasta, które za Zbigniewem Herbertem, można opisać *[...] a miasto cóż to za miasto powiedzcie jakie to miasto pod jaką gwiazdą przy której drodze [...]*. Współczesne metropolie odarte są z kulturowej i społecznej specyfiki. Podlegają procesowi uniformizacji stają się coraz bardziej do siebie podobne. Metropolie obok pełnienia tradycyjnych funkcji metropolitalnych stały się węzłami połączeń sieci. Największe metropolie współczesnego świata to centra decyzyjne i kontrolne. Stąd rozprzestrzeniają się innowacje technologiczne i tutaj skupiają się sieci największych ponadnarodowych firm. W tych ośrodkach wytwarzana jest wiedza i skupia się przepływ światowych informacji. Tutaj w końcu koncentrują się zaawansowane usługi – usługi wyższej klasy. Mylił się zatem Marshall McLuhan mówiąc, że świat staje się globalną wioską. Świat, staje się bowiem globalnym miastem.

• Giganci światowej sceny

Globalne procesy wygenerowały specyficzną hierarchię miast, która odpowiada założeniom paradygmatu systemu światowego Immanuela Wallersteina. To system oparty o trójpodział: centrum – półperyferie – peryferie. Każda z wyróżnionych stref posiada metropolie, ale zajmują one odrębne miejsca w światowej elicie. Faktem jest, że metropolie to główni aktorzy współczesnego świata, które światem współrządzą. Ale nie możemy zapominać o innych pierwszoplanowych, używając teatralnej terminologii, aktorach współczesnej światowej sceny. Są nimi przede wszystkim *Trans National Corporatins (TNC's)*, wielkie korporacje o międzynarodowych kapitałach. Wytwarzają one ponad 80% produkcji światowej. Współczesnym światem współrządzą również instytucje globalne, będące podmiotami chociażby Unii Europejskiej, która dzięki nim zintegrowała największą liczbę państw jednego kontynentu. Grupa państw skupiona jako G7 plus Rosja (często nazywana G8), to kraje które mają największy wpływ na rozwój współczesnego świata. To grupa tych państw konstytuuje warunki globalnej egzystencji. Do grupy strażników współczesnego rozwoju, w dobie obecnego kryzysu, dołączyła grupa G20, której londyńskie spotkanie 2 kwietnia 2009 roku dotyczyło wskazania dróg wyjścia z największego kryzysu gospodarczego początku XXI wieku. Współczesnym światem współrządzą ponadto Złota Triada czyli kraje NAFTA (USA, Meksyk, Kanada), Unia Europejska traktowana jako całość oraz państwa basenu Pacyfiku z dominującą rolą Japonii. Niektórzy, jak robi to Zbigniew Brzeziński, wyrażają się o globalnym centrum w sposób minimalistyczny i definiują go jako grupę G2 czyli tandem amerykańsko-chiński.

Współczesny świat rządzony jest przez wiele podmiotów ale w prezentowanej odsłonie najistotniejsze jest miejsce i rola współczesnych światowych metropolii. Ich hierarchia tkwi zarówno w koncepcji systemu światowego, jak i w metaforze teatralnej. W tak ugruntowanym spojrzeniu mieści się typologia światowych metropolii autorstwa Heine Heineberga. Wyróżnił on: 1. miasta pierwszej światowej rangi – Tokio, Los Angeles, Chicago, Nowy Jork, Londyn i Paryż, 2. miasta półperyferyjne pierwszej światowej rangi – Singapur, Sao Paulo, 3. miasta drugiej światowej rangi – Sydney, San Francisco, Houston, Miami, Toronto, Madryt, Wiedeń, Milan, Johanncsburg, 4. półperyferyjne miasta drugiej rangi – Seul, Taipej, Hongkong, Bangkok, Manila, Mexico, Caracas, Buenos Aires. Wśród wymienionych miast tylko Johannesburg to miasto Trzeciego Świata. Tak skonstruowana typologia odzwierciedla światowy układ hegemonów i pariasów globalnej ekonomii, polityki i kultury.

• Nowy Jork i publiczny *hedonizm*

Kształtujący się od XVI wieku system światowy, który dzisiaj ma kształt globalnej gospodarki ukształtował współczesny świat metropolii. Od tego systemu wywodzą się zasadnicze podziały i różnorodne formy przestrzenne dzisiejszych miast. *Megalopolis*, to wieloprzestrzenne układy osadnicze, powstające w wyniku łączenia rozległych, peryferyjnych stref zabudowy jednorodzinnej i związanych z nią usług rozwijających się wokół aglomeracji i dużych miast. Potocznie tak nazywa się powiązany funkcjonalnie i komunikacyjnie obszar dwóch lub więcej aglomeracji. Przykładem megalopolis jest w Stanach Zjednoczonych kompleks doskonale skomunikowanych miast: Boston, Hatford, Nowy Jork, Filadelfia, Baltimore i Waszyngton. Innym znamienitym przykładem jest obszar basenu Pacyfiku i towarzyszący mu *Nippon Megalopolis* w Japonii, czyli Tokio, Jokohama, Osaka, Kioto i Nagoja. Te olbrzymie miejskie przestrzenie odbijają i wysyłają najjaśniejsze światło z Ziemi, gdy popatrzymy na zdjęcia satelitarne NASA ukazujące naszą planetę. Megalopolis, które są niewątpliwie przyszłością współtworzą urbanistyczną specyfikę współczesności wraz z *global city* oraz *metropoliami*. *Global city* to obszary największego rozwoju gospodarczego świata, a także rynek o najwyższych na świecie wskaźnikach konsumpcji. A ich potęga przekracza nie tylko granice regionalne, państwowe ale i kontynentalne. Dobrym tego przykładem jest Nowy Jork, który nazwany często bywa stolicą świata. *Global city* to metropolie strefy państw centrum, czy pierwszego świata, jak w swojej koncepcji system-świat nazywa je Wallernstein. Ale *global city* można postrzegać jako posiadające wyraźną specyfikę współczesne *metropolie*, które charakteryzuje nie tylko wskaźnik populacyjny (powyżej pół miliona mieszkańców), ale również doskonałość usług, instytucji i wyposażenia, potencjał innowacyjny, ekonomiczny, społeczny, polityczny oraz wyjątkowość miejsca, które jest doskonałością publicznego *hedonizmu* i prywatnej *eudajmonii* dla klasy metropolitalnej. Mówiąc mniej filozoficznie to tutaj poszukuje się radości i rozkoszy życia i tutaj buduje indywidualne szczęście, najczęściej egoistycznie pojmowane.

Współautorką tekstu jest Anna Śliz z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Opolskiego

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Motyka, raszpla, mokwa i myrcha

Kiedy w „Ludziach żywych" Tadeusza Boya-Żeleńskiego (1874-1941) czytam: „Zrozumiał, że to jest porywanie się z motyką na słońce", a w „Zwykłej sprawie" Adama Tarna (1902-1975): „Z właściwym takim ludziom brakiem poczucia rzeczywistości pan się porywa z motyką na słońce", nie mam wątpliwości, że metaforyczny zwrot *porywać się z motyką na słońce* (rzadziej: *rzucać się, iść z motyką na słońce*) znaczy w tych dwu konstrukcjach tyle, co „podejmować zadania niemożliwe do wykonania, ponad siły".

Gdy ktoś natomiast *motyką kopie, okopuje* (np. *kartofle*), *dziobie,* posługuje się *motyką* w dosłownym jej znaczeniu; wszak *motyka* to „rolnicze narzędzie ręczne w postaci kawałka metalowej płytki, niekiedy wyciętej w trzy płaskie zęby, osadzonej na długiej, drewnianej rączce, służące do spulchniania ziemi, okopywania roślin, niszczenia chwastów itp.".

Znana większości języków słowiańskich *motyka* ma niepewną etymologię, co podkreśla chociażby prof. Wiesław Boryś w swym *Słowniku etymologicznym języka polskiego* z r. 2005.

Może –zastanawia się krakowski uczony – wywodzi się od praindoeuropejskiego rdzenia *mat* – „kopać, dłubać" (tego samego, który tkwi w staroindyjskiej formie *matya* – „brona", łacińskiej *mateola* – „rodzaj młota", staro-wysoko-niemieckiej *medela* – „pług") z rzadkim przyrostkiem – *yka*, a może ma związek ze słowami: staroangielskim *mattoc* – „motyka", angielskim *mattoc* – „oskard" i cymryjskim *matog* – „motyka", uznawanymi za zapożyczenia z ludowej łaciny, w której *mattiuca* oznaczała „motykę" (bez kontynuantów w językach romańskich)?

Zapuściłem się w te etymologiczne wywody, by tym bardziej kontrastowo wobec nich zabrzmiał stylistyczny wydźwięk tejże *motyki* w gwarach śląskich: ni mniej, ni więcej jest w nich ona określeniem nie tylko „kobiety złośliwej, jędzy", ale i „kobiety lekkich obyczajów, źle się prowadzącej". Odpowiednie przykłady z „Małego słownika gwary Górnego Śląska" Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec (Katowice 2000) doskonale ilustrują oba te znaczenia: 1. *Sómsiadka ryczy po tym chopie – to tako motyka; baby zaczym sie niy wydadzóm, sóm anioły, a potym to take motyki,* 2. *ta motyka dziynnie z inkszym chopym przesiaduje; loto za chłopiskami ta motyka jedna.*

A że śląska wyobraźnia językowa krąży w tym zakresie znaczeniowym wokół narzędzi rolniczo-ogrodniczych, najlepszym dowodem jest nazwa jeszcze jednego z nich, a mianowicie *gracy* – stylistycznego wariantu *motyki:* 1. *ta graca u masarza zaś mi dała stare żymloki!,* 2. *niy dozwól dzieciom łoglóndać tego filmu ło Nanie – dyć to tako graca!* Użyta nie jako wyzwisko, lecz neutralnie – *graca* (z niem. *Kratze*) to: 1. „ręczne narzędzie w kształcie zakrzywionej łopatki, osadzonej na długim trzonku, służące do plewienia (pielenia), przerzedzania roślin lub płytkiego spulchniania gleby, rodzaj motyki o szerokim ostrzu", 2. „narzędzie w postaci trójkątnej stalowej ramki z trzonkiem, służące do gaszenia wapna i przygotowania zaprawy murarskiej", 3. w górn. „ręczne narzędzie podobne do motyki, służące do zgarniania urobku".

W niezwykle ciekawym – jak zawsze – liście Pan Lubomir Horyl z Kędzierzyna-Koźla, rodem z Goleszowa koło Cieszyna, przypomina o jeszcze jednym ekspresywizmie śląskim, jakim jest *raszpla.* Ta nazwa popularnego „stalowego pilnika o grubych nacięciach, używanego do obróbki miękkich metali, drewna, mas plastycznych itp., tarnika", pochodząca z niem. *Raszpel*, może też być wyzwiskiem kierowanym pod adresem kobiety niesympatycznej, brzydkiej, starej, ale i prowadzącej się niemoralnie: *wzión se tako raszpla i sie ś nióm teroz użyro!*

Sprzyjające ekspresji brzmienie przywołanego słowa powoduje, że jako wyzwisko rejestrowane jest ono także w ogólnych słownikach języka polskiego, choć Śląsk na pewno zachował tutaj frekwencyjne przodownictwo.

Gdy pozostaję wśród słów o silnym nacechowaniu emocjonalnym, przypomina mi się z górnośląskiego dzieciństwa i młodości jeszcze jedno określenie człowieka niesympatycznego, złośliwego – też raczej kobiety, a mianowicie *mokwa: tako mokwa mi wczora nazdała we sklepie.* Nieobecna we współczesnych słownikach, w języku staropolskim znaczyła *mokwa* tyle, co „chlapa, pluta, słota" (*„Nie masz dachu na tak przejętą mokwę"* – pisał Wacław Potocki w XVII wieku). Rejestrują ją jeszcze leksykony XIX-wieczne jako „mokrość, wielką wilgoć". Bo też należy ona do rodziny wyrazów takich, jak *moknąć, mocz, moczyć, wymoczek, moczar, mokry.*

Mam na koniec jeszcze jedno śląskie przezwisko, kierowane do człowieka przewrotnego – *marcha, myrcha: strać się stónd ty pierzińsko marcho; z takim myrchóm się niy bydziesz kolegował.* I ono jest rejestrowane w słownikach staropolskich jako: 1. „trup, zwłoki" (*„A gdyż będzie naleziona marcha człowieka zabitego"* – Biblia królowej Zofii z r. 1455), 2. „ścierwo" (*„Orły na ścierwy padają, jako są marchy końskie"* – Piotr Krescentyn XVI w.), 3. „bydlę" (*„Może pysznego monarchę zmienić w sianem spasną marchę"* – Wespazjan Kochowski XVII w.), 4. „koń padły, szkapa" (*„Stary marcha zrobiony, znędzniały"* – XVII w.). Aleksander Bruckner w swym *Słowniku etymologicznym języka polskiego* z r. 1927 dodaje, że była też używana *mercha, myrcha* jako „babsko".

Jak na jeden odcinek – wystarczy już tych wyzwiskowych form!

JAN MIODEK

Ekoświadomość kontrolowana...

Tematy tabu w ochronie środowiska już nie istnieją. Wystarczy kliknąć myszką, by uzyskać niemal każdą informację. Teoretycznie więc nasza wiedza, wrażliwość, świadomość ekologiczna winny rosnąć proporcjonalnie do zagrożeń. Bo tych z przeszłości jeszcze nie zlikwidowaliśmy, a nowych wciąż przybywa. Tak się jednak nie dzieje.

Badania naszego postrzegania ekologii przeprowadzane są w Polsce dość regularnie od kilkunastu lat, zarówno przez specjalistyczne ośrodki badań opinii publicznej jak i wyższe uczelnie. Najczęściej, począwszy od 1992 roku świadomość ekologiczną Polaków monitoruje pozarządowy Instytut na Rzecz Ekorozwoju.

Ostatnie badanie zostało wykonane w pierwszej połowie br. w ramach projektu „Eko-Herkules – programu aktywnej edukacji na rzecz ekorozwoju", realizowanego przy wsparciu finansowym Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, Fundacji OAK i Fundacji Heinricha Bolla. Przeprowadzili je na zlecenie InRzE pracownicy CBOS-u. (Centrum Badania Opinii Społecznej).

Było ono kontynuacją badań ubiegłorocznych pn. „Polacy w zwierciadle ekologicznym". W szczególności jednak dotyczyło „Świadomości ekologicznej polskiego społeczeństwa w zakresie zagadnień zrównoważonego rozwoju w 2009 roku".

Zamiarem badających było również uzyskanie odpowiedzi na pytanie: w jakim stopniu recesja gospodarcza wpływa na zachowania polskiego społeczeństwa, związane z praktyczną ochroną środowiska, a więc naszym świadomym działaniem?

W kryzysie

I co się okazuje? Spowolnienie wzrostu gospodarczego do zaledwie 0,8 proc. PKB w pierwszym kwartale tego roku nie ma zbyt wyraźnego odzwierciedlenia w ekologicznych zachowaniach Polaków. Pierwsze oznaki kryzysu nie wpłynęły na wzrost oszczędzania energii (zadeklarowało go tylko 1,6 punktu procentowego więcej niż w badaniach przed rokiem). Co gorsza mniej badanych osób niż przed rokiem zadeklarowało chęć oszczędzania coraz droższej wody! Co piąty Polak w ogóle o oszczędzaniu wody nie myśli.

Nieznacznie natomiast poprawiła się sytuacja, związana z segregacją odpadów. Najczęściej i systematycznie segregują je przedstawiciele kadry kierowniczej i specjaliści – ponad 60 proc. tej grupy; ludzie w wieku 45-54 lat – ponad 58 proc. oraz osoby z wyższym wykształceniem – ponad 56 proc. respondentów.

Jedyną wyraźną zmianą w proekologicznych działaniach Polaków jest powszechniejsze korzystanie z toreb wielokrotnego użytku podczas zakupów. Można przypuszczać, że to skutek wprowadzenia przez największe supermarkety odpłatności za foliowe reklamówki, co zniechęciło do ich używania prawie czwartą część Polaków. Obecnie ponad 60 proc. z nas zabiera na zakupy własne torby.

Pogorszenie sytuacji ekonomicznej wielu rodzin wpłynęło w sposób wyraźny na ich konsumenckie wybory. Coraz częściej o zakupie tego czy innego produktu spożywczego i przemysłowego decyduje cena! Kupujemy oczywiście produkty tańsze, chociaż nadal patrzymy na ich jakość. Marka producenta ma dla nas coraz mniejsze znaczenie w przypadku nabycia produktów spożywczych, ceniona jest natomiast przy zakupie artykułów przemysłowych. W przypadku np.. przedmiotów AGD i RTV liczy się także trwałość i niezawodność sprzętu oraz w nieco mniejszym stopniu koszty jego eksploatacji.



Kryteria wyboru

Niestety mniejsze znaczenie niż przed rokiem mają dla nas ekologiczne argumenty przy wyborze towaru. Sposobem wytwarzania produktów żywnościowych, bez szkody dla środowiska, interesuje się zaledwie 4,5 proc. badanych. Natomiast na rodzaj opakowania produktu, z punktu widzenia jego oddziaływania na środowisko, zwróciło uwagę zaledwie 1,6 procenta ankietowanych czyli kilkakrotnie mniej niż przed rokiem.

Ponad dwukrotnie mniej osób niż przed rokiem, bo tylko 5,3 proc. uwzględnia przy zakupie produktów spożywczych fakt czy są one wolne od organizmów modyfikowanych genetycznie (GMO).

W podobnej skali motywem decydującym o wyborze produktu jest znak „bezpieczny dla środowiska". Jeszcze mniejsze znaczenie mają dla polskich konsumentów przyjazne dla środowiska warunki produkcji wyrobów oraz możliwość ich recyklingu. Na ten ostatni aspekt ekologiczny zwraca uwagę tylko jeden procent ankietowanych.

Prośrodowiskowymi kryteriami wyboru produktów w największym stopniu zainteresowani są konsumenci z wyższym wykształceniem, o najwyższych dochodach, robotnicy wykwalifikowani, mieszkańcy dużych miast. Ekologiczne kryteria wyboru produktów spożywczych jak i przemysłowych zajmują w badaniach prowadzonych w ostatnich dwu latach niezmiennie ostatnie miejsca listy motywów, którymi kierują się dokonujący zakupów.

Nie przeszkadza to respondentom pozytywnie oceniać tych, którzy podejmują proekologiczne działania. Na pytanie dlaczego sami tego nie robią, odpowiadają, że nie są zainteresowani zachowaniami proekologicznymi (tak odpowiedziała niemal połowa ankietowanych!), a ponadto nie chcą zmieniać swoich przyzwyczajeń. Bariera finansowa nie jest dla znakomitej większości pytanych przeszkodą w podejmowaniu proekologicznych działań i zachowań.

Nowe technologie...

Po takich odpowiedziach nie dziwi swoista beztroska znakomitej większości respondentów (ponad 70 proc.) w kwestii wyczerpywania się zasobów środowiska przyrodniczego, wykorzystywanych do produkcji dóbr. Remedium na te niedobory, zdaniem

większości, będą zupełnie nowe rozwiązania technologiczne, pozwalające na zastępowanie zasobów naturalnych innymi, oszczędniejsze nimi gospodarowanie oraz rozwój recyklingu.

Tylko ponad 12 proc. badanych widzi rozwiązanie tego problemu w zmianie stylu życia, ograniczeniu konsumpcji, a niewiele ponad 8 proc. w powszechnej edukacji społeczeństwa.

Wiara w potęgę technologii, rozwiązujących nawet najtrudniejsze problemy naszej cywilizacji, nie pozostaje bez wpływu na ocenę zasobów energetycznych i nowego modelu energetyki. Nadal uważamy, że gospodarka Polski będzie się rozwijać dzięki takim mediom energetycznym jak surowce i energia odnawialna, ale zaakceptowaliśmy po raz pierwszy bardzo wyraźnie również energetykę jądrową. Wzrost akceptacji dla niej jest niemal skokowy, bo wzrósł w stosunku do badań przed rokiem aż o 70 procent!

Znacząco też zwiększyła się grupa osób jednoznacznie przypisujących zmiany klimatyczne działaniom człowieka. Zwłaszcza że i w Polsce w ostatnich latach doświadczamy ich nasilających się, coraz groźniejszych skutków.

Świadomość ekologiczna jest miernikiem postrzegania przez nas obiektywnej rzeczywistości. Winna zmuszać do podejmowania wysiłku, by lepiej ją poznawać i rozumieć, w rezultacie wpływać na nią, jeśli to możliwe.

Zrównoważony rozwój

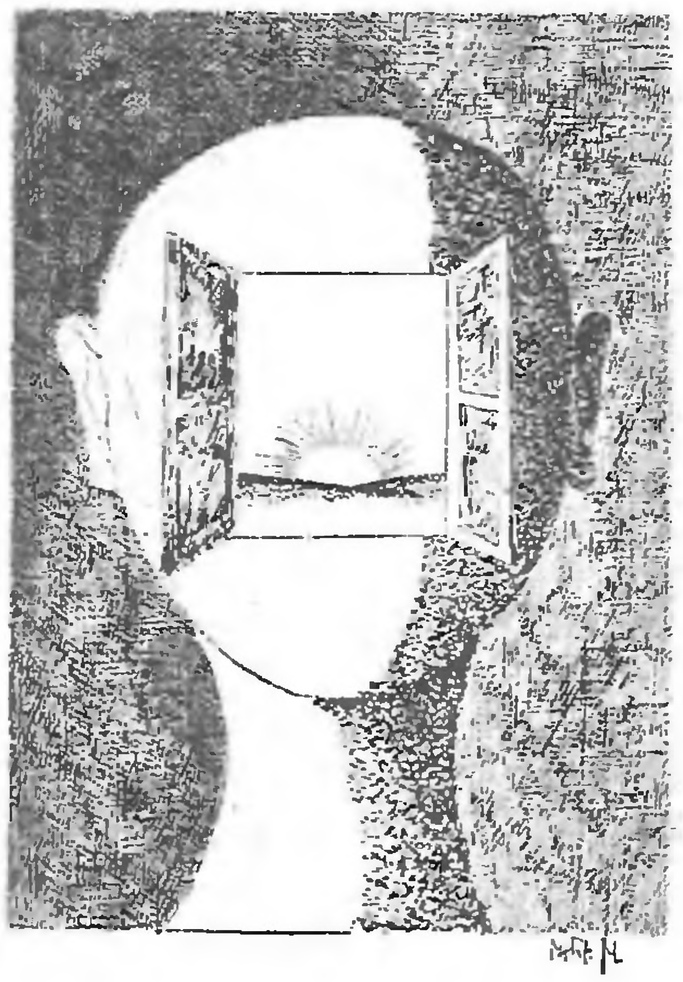
Dlatego w badaniach świadomości ekologicznej Polaków w ostatnich latach często powraca pytanie o zrównoważony rozwój jako antidotum na galopujące niszczenie zasobów naturalnych i środowiska człowieka.

Jak go rozumiemy, ile o nim wiemy, skoro jest popularyzowany od pierwszego Szczytu Ziemi w Rio de Janeiro w 1992 roku czyli od kilkunastu już lat?

Tylko co trzeci badany potrafił poprawnie skojarzyć ten termin z równoprawnym traktowaniem rozwoju gospodarczego, rozwoju społecznego i ochrony środowiska. Dla co piątego respondenta zrównoważony rozwój oznaczał równomierne traktowanie wszystkich dziedzin gospodarki.

Gdyby spojrzeć na te wyniki z punktu widzenia świadomości grup społecznych, to bez niespodzianek ekorozwój prawidłowo kojarzyli głównie ludzie z wyższym wykształceniem – ponad 54 proc., najlepiej zorientowanymi w temacie byli przedstawiciele kadry kierowniczej, specjaliści różnych branż i mieszkańcy największych miast.

Mimo to, wiedza Polaków o zrównoważonym rozwoju może napawać optymizmem. Respondenci pytani o skutki podejmowanych decyzji, mających wpływ na rozwój kraju nie mieli wątpliwości, że w równym stopniu winny one dotyczyć gospodarki, ludzi, jak i dbałości o środowisko naturalne. Taką opinię wyraziło prawie 72 proc. badanych.



Również kolejne pytania, dotyczące społecznej akceptacji dwu podstawowych zasad zrównoważonego rozwoju: zanieczyszczający płaci oraz zasady przezorności (czyli przewidywanie skutków planowanych działań gospodarczych i powstających inwestycji) zyskały również niemal pełne zrozumienie. Te zasady poparło ponad trzy czwarte respondentów. Z jednym zastrzeżeniem. Zwrócono uwagę, że bezwzględne respektowanie prawa w kwestii zapłaty za zniszczone środowisko prowadzi często do bankructwa przedsiębiorstw. Nie zmienia to faktu, ze polskie społeczeństwo choć nie do końca rozumie bardzo pojemne pojęcie zrównoważonego rozwoju, to takiego rozwoju właśnie oczekuje.

Potwierdziły to również opinie w kwestii potrzeby konsultacji przez społeczeństwo ważnych dla kraju decyzji gospodarczych. Mają one służyć unikaniu niepotrzebnych konfliktów społecznych, zapobieganiu złym decyzjom władzy i ograniczeniu negatywnych skutków dla środowiska i przyrody.

Nie oznacza to jednak, że stajemy się społeczeństwem obywatelskim. Sami w tych konsultacjach nie bardzo chcemy uczestniczyć. Ich obowiązkiem połowa badanych chciałaby obciążyć organizacje społeczne oraz władzę i administrację.

Natura 2000

Jak w Polsce wdrażamy Europejską Sieć Ekologiczną „Natura 2000" czyli system ochrony zagrożonych rzadkich gatunków roślin i zwierząt oraz unikatowych siedlisk przyrodniczych?

Ten obowiązujący zapis prawny, dotyczący każdego kraju unijnego spotyka się w Polsce z różnym przyjęciem. Mimo że jej obszar obejmuje w naszym kraju powierzchnię znacznie mniejszą niż w innych krajach unijnych nie wywiązujemy się dobrze z tego obowiązku. W województwie śląskim np. jest w tej dziedzinie szczególnie najwięcej do zrobienia.

Dlatego nie dziwi fakt, że znajomość pojęcia Natura 2000 wypadła w ostatnich badaniach niemal zawstydzająco. Tylko jedna trzecia ankietowanych rozumiała je mniej więcej prawidłowo. Około 20 proc. kojarzyło „Naturę 2000" z obszarami chronionymi oraz tymi o najwyższych walorach przyrodniczych. Część nazywała je terenami atrakcyjnymi turystycznie, dla kilku procent badanych były to przede wszystkim obszary konfliktów społecznych. Co nie dziwi, po najgłośniejszym w Polsce przypadku Rospudy.

Jacy jesteśmy?

Kolejne badania opinii publicznej, w kwestii naszego stosunku do szeroko rozumianej ochrony środowiska, przyrody, nie napawają zbytnim optymizmem. Nasza świadomość ekologiczna, zachowania, styl życia, wysiłki by zmienić na bardziej przyjazny środowisku wizerunek Polski, mocno jeszcze odbiegają od poziomu krajów skandynawskich czy choćby sąsiadujących z nami Niemiec.

Nasi zachodni sąsiedzi (wszyscy bez wyjątku!) segregują odpady w dobrze zorganizowanym systemie. W województwie śląskim, gdzie strumień odpadów jest największy i największe są opóźnienia w porządkowaniu tego typu zaszłości, zdarzają się przypadki rezygnacji z segregacji śmieci w gminach tylko dlatego, że z tego obowiązku wywiązuje się niewielki procent mieszkańców. Takie zdarzenia najlepiej recenzują poziom wiedzy i nieświadomości ekologicznej władz samorządowych.

W latach 80. ub. wieku w województwo śląskie aż „kipiało" ekologiczną energią. Dziś się jej nie czuje, chyba że zagrożenia, tak jak przed laty, zajrzą ludziom prosto w oczy. I nie jest to wyłącznie skutek obojętności społecznej. Także, a może przede wszystkim złego zarządzania ochroną środowiska w województwie śląskim. Nietrudno to sobie uświadomić, gdy odwiedza się inne regiony Polski.

JOLANTA KARMAŃSKA

Kiedy wchodzimy na strony internetowe instytucji kultury, na ogół wiadomo, czego można się spodziewać. Najpierw „Aktualności", potem otwieramy kolejne zakładki: najpierw „Aktualności", potem „Repertuar", „Wydarzenia", „Galeria", „O nas", „Kontakt" – słowem – standard, wyczerpujący niezbędne informacje dla odbiorcy.

Śląscy fotograficy zrzeszeni w Okręgu Śląskim ZPAF postanowili, że strona internetowa Związku będzie nie tylko źródłem podstawowych informacji na temat bieżącego funkcjonowania, ale

www.zpaf.katowice.pl

swego rodzaju archiwum tego, co się w śląskiej fotografii wydarzyło, odkąd w 1951 roku Halina Holas-Idziakowa założyła w Katowicach, w 1951 roku Delegaturę ZPAF. Pieczę nad tym wspaniałym, lecz trudnym i ogromnie pracochłonnym projektem powierzono Januszowi Musiołowi, znanego ze swej pasji do wszelkich nowatorskich form fotografii. Zatem budowanie strony www też leży gdzieś na pograniczu foto-multi-wideo-art'u.

Powoli więc strona internetowa Okręgu Śląskiego ZPAF staje się prawdziwą kopalnią wiedzy o wielu wybitnych fotografach związanych ze Śląskim ZPAF-em. Obok rejestracji wydarzeń bieżących można znaleźć np. „Leksykon Śląskiej Fotografii. Materiały z planu filmowego" – za tą prostą informacją kryje się ogromne przedsięwzięcie – to zdjęcia wykonane podczas realizacji krótkich filmów (filmy będą dostępne wkrótce w zakładce „Filmy o fotografii"), których bohaterami są najznakomitsze postaci śląskiej fotografii, opowiadające o sobie, swojej twórczości, artystycznych inspiracjach i życiu fotograficznym na Śląsku. To najprawdziwsza historia fotografii na Śląsku opowiedziana przez jej twórców i uczestników zdarzeń. Rozmowy z bohaterami filmów prowadzą Andrzej Koniakowski, Katarzyna Łata-Wrona, Maria Śliwa. Na razie można obejrzeć zdjęcia – fotosy z planu filmowego – autorem filmów i zdjęć jest oczywiście Janusz Musiał. Jak dotąd udało się zarejestrować rozmowy z Jerzym Lewczyńskim, Janem Zegalskim, Józefem Ligęzą, Michałem Sowińskim, Andrzejem Koniakowskim, Waldemarem Jamą, Sewerynem Błochowiczem, Timmem Stützem, Bogdanem Konopką, Haliną Holas-Idziakową.

Jako że Związek „fotografami stoi", więc można obejrzeć znakomite zdjęcia wykonane przy okazji realizacji projektów happeningowych jak „Śląskie tramwaje" – tu zdjęcia Arkadiusza Goli i Zbigniewa Sawicza, czy relacje np. z panoramy twórczości Haliny i Leonarda Idziaków i benefisu Sławomira Idziaka – przy pomocy obiektywu aparatu fotograficznego relację zdawał Arkadiusz Ławrywianiec. O innych wydarzeniach „opowiadają" Maria Śliwa, Krzysztof Lisiak czy Maciej Sobierski. To przy okazji lekcja bardzo dobrej fotografii, bowiem wszyscy są członkami Związku, mają spory dorobek artystyczny.

Na tym nie koniec prezentacji autorskich – inna zakładka – „Audio" – to zapisane jako mp3 zapisy wypowiedzi – tak więc obok statycznej fotografii i filmu pojawia się zapis audio – głos – jakże istotny element osobowości, identyfikujący postać, nadający jej niepowtarzalnego charakteru.

Na kolejnych stronach można nie tylko oglądać bardzo dobre zdjęcia, ale również poczytać o fotografii – w rolę komentatora prezentowanych nie tylko w galerii związkowej wystaw i zdarzeń, wcielił się Andrzej Koniakowski. Są to felietony przeznaczone raczej dla „osób z zewnątrz", dla czytelników i amatorów fotografii. Chce zaciekawić, zaprezentować autora, „opowiedzieć" wystawę, uzupełniając tekst zdjęciami. Koniakowski odnotowuje również ważne zdarzenia – jak np. realizację ważnych projektów fotograficznych jak „Wodna i okolice", „Miesiąc fotografii Jerzego Lewczyńskiego", przenosiny siedziby Związku z ulicy Warszawskiej na ulicę św. Jana, przekazanie fotela – „Gołębnika" przygotowanego przez autora felietonów na aukcję „krzesło dla studenta" prowadzonej przez „Gazetę Wyborczą". Zapisał akcję „Krowa w kwiatki" czyli happening przypominający twórczość Anny Chojnackiej. To na stronie katowickiego ZPAF-u można znaleźć pożegnanie Kazimierza Seki – wybitnego reportażysty i dokumentalisty. Także tu Andrzej Koniakowski swoimi zdjęciami przypomina Katowice lat 60. ze swoimi pięknymi neonami. Takich neonów już nie ma... Nie zapomniał odnotować III nagrody dla Arkadiusza Goli na 11 Międzynarodowym Triennale Architektury w Krakowie za zdjęcia pt. „Zandka" – o dzielnicy Zabrza.

Cóż jeszcze ciekawego można znaleźć na stronie internetowej katowickiego ZPAF-u? To autorski projekt Janusza Musiała nazwany „Kopalnia obrazu"./ Jak powiada autor jest to projekt, który ma skupiać osoby wypowiadające się za pośrednictwem medium fotografii. To poszukiwanie i odkrywanie osób, promowanie ich twórczości. „Kopalnia obrazu" ma też pokazywać tematy i treść a także kondycję szeroko rozumianej śląskiej fotografii, nie tylko osób związanych z Okręgiem Śląskim ZPAF. To ogromny projekt, ale wart zachodu.

Oczywiście strona wymaga jeszcze ogromnej pracy i wielu uzupełnień – ale już jest swego rodzaju wielką księgą śląskiej fotografii, i z pewnością jest swego rodzaju elektroniczną wersją pisma fotograficznego wydawanego przez ZPAF w Katowicach. To projekt wart uwagi, zważywszy nieograniczony zasięg Internetu (zamiarem autorów strony są także wersje angielska i niemiecka) – to najlepsza promocja znakomitej śląskiej fotografii.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Foto. Janusz Musiał



Fragment strony internetowej okręgu śląskiego ZPAF.



Stanisław Sputo, Szara rzeczywistość



Foto: Janusz Musiał

Kadr z filmu „Anna Chojnacka"



Foto: Janusz Musiał

Kadr z filmu „Halina Holas-Idziakowa"



Foto: Janusz Musiał

Kadr z filmu „Waldemar Jama"

www.zpaf.katowice.pl



Edward Poloczek, Autoportret



Maria Śliwa, Panopticum

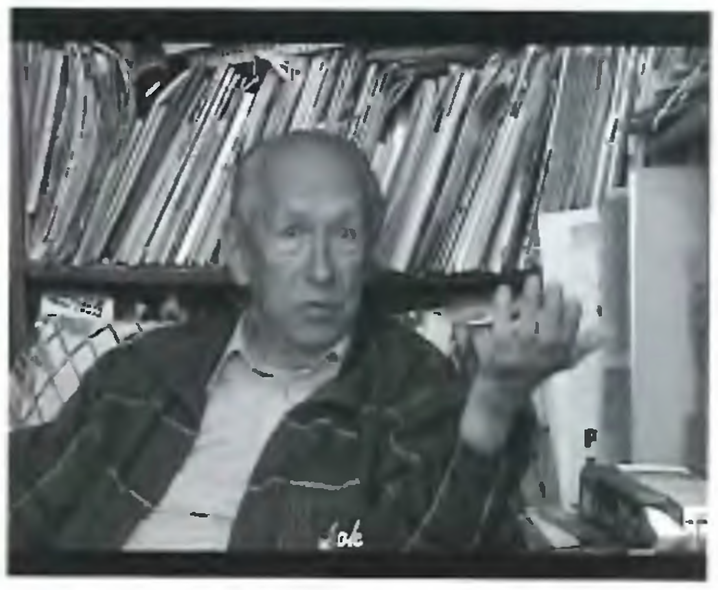


Foto: Janusz Musiał

Kadr z filmu „Jerzy Lewczyński"





STANISŁAW RODZIŃSKI

malarstwo









Reprodukcje: Leszek Żebrowski

Sosnowieckie Centrum Sztuki w Zamku Sieleckim zaprezentowało nową wystawę – zbiór prac wybitnego polskiego malarza Stanisława Rodzińskiego. Artysta urodził się w Krakowie w 1940 roku. Studiował na Wydziale Malarstwa krakowskiej ASP, a po zrobieniu dyplomu w pracowni prof. Emila Krchy zajął się samodzielną pracą artystyczną i nauczycielską. Związany z uczelniami takimi jak: PWSSP we Wrocławiu, ASP w Krakowie, Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie. Od 1968 roku Rodziński rozpoczął także działalność publicystyczną i eseistyczną w zakresie sztuki (współpracował m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym", „Znakiem", „Dekadą Literacką", publikował także w „Dzienniku Polskim", „Odrze", „Kulturze" paryskiej, „Rzeczpospolitej"). Rodziński jest również autorem książek poświęconych sztuce: *Sztuka na co dzień* (1999), *Obrazy czasu* (2002), *Mój szkicownik* (2005).

Od 1963 roku artysta wziął udział w ponad 200 wystawach, w tym w ponad 100 indywidualnych w Polsce (m. in. w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Częstochowie, Łodzi) i za granicą (m. in. w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Rzymie). Prace Rodzińskiego zasiliły zbiory muzealne i prywatne, m.in. w Muzeach Narodowych w całej Polsce, w Muzeach Archidiecezjalnych w Krakowie i Warszawie, Muzeum Historyczno-Etnograficznym w Chojnicach, Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu czy Muzeum Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

W malarstwie Rodzińskiego dominują dwa wątki – pierwszy koncentruje się wokół tematyki religijnej, drugi prezentuje artysty spojrzenie na pejzaże. Oba wątki stapiają się jednak w całość i – jak podkreśla sam artysta – „krajobraz może się okazać w większym stopniu obrazem religijnym niż Ukrzyżowanie". Tematyka religijna malarstwa Rodzińskiego jest zarówno jego osobistym wyznaniem wiary, jak i konsekwencją i efektem przeżyć, doświadczeń artysty. Opieka nad ciężko chorą bliską osobą pobudziła go do stworzenia cyklu pt. *Pieta* (na wzór Piety *Rondanini* Michała Anioła), która wyraża myśl, że sposób w jaki opiekujemy się chorym, powiela wzór opieki nad ciałem ukrzyżowanego Chrystusa.

Cykle Rodzińskiego stanowią pamiętnikarski obraz ewolucji jego twórczości i osobowości. „Na początku kolor w jego obrazach – jak stwierdza malarka Irena Popiołek – był wyciszony i monotematyczny. Posługiwał się głównie bielą, czernią i ziemiami. Patrzącemu mogło się wydawać, że autor tych obrazów jest daltonistą, który nie zdoła się przekonać i dotrzeć do sedna koloru". Od lat typowe dla tego artysty są barwy stonowane i ciemne, które łączą wszystkie dzieła wspólnym klimatem, nie tyle mrocznym, co poważnym. Dziś jednak Rodziński śmiało nanosi na zimną czerń i szarość ciepłe barwne plamy czerwieni i żółci, a także ostrą, żywą zieleń i niepokojący błękit, stwarzający wokół prezentowanych postaci spirytualistyczną poświatę (np. w obrazie *Matka* poświęconym pamięci księdza Jerzego Popiełuszki).

Na początku jest wzruszenie...

Nie jest łatwo odczytać obrazy Rodzińskiego, które nie są banalną prozą, ale trudną malarską poezją. Wiele jest w tych pracach bólu i cierpienia. Pełnym smutku ciężarem napełnia się serce odbiorcy, kiedy stoi przed olbrzymim błękitno-szarym Chrystusem o pustej twarzy pozbawionej rysów i oczu i łysej głowie owiniętej bandażami (obraz pt. *Pieta*). Strach budzą wyłaniające się zza niego fantomowe postaci o podobnej wypotworzałej czy raczej chromej fizjonomii. Obrazem samotnej modlitwy i pokuty jest *Miserere* przedstawiający klęczącą postać skierowaną twarzą w stronę świetlistego punktu. Postać jest tego samego koloru co otaczające ją ciemnoszare tło i istnieje samodzielnie tylko dzięki nadającym jej kształtu konturom stworzonym za pomocą silnie chropowatej faktury. Źródłem światła zdaje się być realnie istniejący w galeryjnej sali reflektor, który skierowany jest dokładnie w miejsce jasnej plamy na obrazie. Światło, wyłaniające z mroku szare postaci, w wymowie dzieła ma jednak z całą pewnością sakralne pochodzenie. Rodziński niezwykle subtelnie operuje szczegółem – jedynym ciepłym akcentem w kompozycji jest czerwona plamka, przypominająca krew, na nogach postaci. Krwista czerwień zaznacza także rany Jezusa i nadaje postaci Marii Magdaleny symbolicznej cierpiętniczej poświaty (obraz *Maria Magdalena VII* z cyklu podobnych).

Kolejnym cyklicznym motywem jest tragiczna postać *Rozstrzeliwanej*. W jednym z obrazów z tego cyklu przedstawiona jest za pomocą kolażu na płótnie – kraciasty materiał udrapowany na kształt sukienki na skulonej ludzkiej sylwetce stworzonej z czarnej plastycznej plamy.

Pejzaże Rodzińskiego są równie ekspresjonistyczne jak kenotyczne obrazy *Męki* i empatyczne wyobrażenia tragedii wojennych. W latach 70. artysta pozostawał pod silnym wpływem rosyjskiej poezji i wrażeniem rosyjskiego pejzażu. Wtedy w jego obrazach narodził się powracający później przez lata motyw dramatycznego *Domu poety* (tytułowym poetą był niedoceniony i szykanowany Borys Pasternak). Samotny – biały lub czarny – dom osadzony w niepokojącej czerwienią i żółcieniami rozległej przestrzeni sprawia wrażenie wyciętego z innej rzeczywistości i wklejonego w nie pasujące, obce tło. Historyk sztuki Joanna Pollakówna podsumowała, że „zmysłowy Pasternakowski szczegół u Rodzińskiego zanika, wtopiony i małomówny, ale wyrazisty w swej ekspresji kolor; jak w obrazie *Łan zboża*, gdzie na tle czerni goreje żółto-ugrowa plama, czerń jest być może awersem oślepiającego światła".

Jednym z barwniejszych zaprezentowanych na wystawie obrazów Rodzińskiego jest *Oranżowe niebo*, prezentujące podobny tęczy prześlizg po kolorach i odcieniach. Od góry niebo nosi kolor nasyconej, soczystej czerwieni, poniżej przechodzi w pomarańcz, miesza się z żółtym, zielenieje aż przemienia się w morsko-szafirowy. Na tym tle odcina się powracający jak refren w poezji obrazów Rodzińskiego biały dom otoczony szarą obwódką i kilka ciemnych wierzb.

Jak stwierdza historyk sztuki Jacek Woźniakowski obrazy Rodzińskiego „to są wypowiedzi o materii, która chwyta światło. Albo inaczej: o świetle, które schodzi w materię. W materię grubą, gruzłowatą, błotnistą, piaszczystą, ziemską. Horyzont leży płasko znużony własnym ciężarem (...) ale nagle ziemska masa ożywa muśnięta ognistym promieniem (...) W tej śmiertelnie poważnej grze ziemi i światła nie ma człowieka. Zjawia się tylko znak jego obecności...".

EWA M. WALEWSKA

Z profesorem ANTONIM BARCIAKIEM
– historykiem, badaczem dziejów Śląska,
autorem przygotowywanej monografii Katowic
rozmawia JADWIGA WOŹNIKOWSKA



Foto: Muzeum Historii Katowic

Śląsk nie ma siły przebicia

Z profesorem Antonim Barciakiem spotykam się w jego gabinecie, mieszczącym się w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego. Profesor wrócił właśnie z Janowa i Złotego Potoku, gdzie przez ostatnie dwa lata wraz ze studentami historii prowadził podczas letnich obozów studenckich inwentaryzację historyczną gminy Janów. Było to możliwe dzięki porozumieniu z lokalnym samorządem, podkreśla profesor Barciak…

– Efekt prac przekazany zostanie wkrótce w formie maszynopisu gminie Janów, która ułatwiła nam pracę i zapewniła studentom noclegi na terenie prowadzonych badań. Te z kolei polegały głównie na ustaleniu obiektów historycznych, takich jak krzyże, kapliczki, obiekty kościelne i ich wyposażenie, budynki, cmentarze oraz nazwy polne.

– Czym są nazwy polne?

– To nie są nazwy miejscowe. Są nazywane też zamiennie nazwami terenowymi. Może to być na przykład skrawek pola, wąwóz, zagajnik, posiadające swoją nadaną przez lokalną społeczność nazwę. Tego typu zjawiska występują także w miastach, na przykład małopolskich, wzorem Krakowa spotkać można nieoficjalne dzielnice takie jak Kleparz, czy Kazimierz.

– Czy często trafia się podczas takich poszukiwań na nazwy to zabawne, to zadziwiająco – przerażające?

– Taką nazwą w gminie Janów jest na przykład nazwa gajówki i polany w lesie Śmiertny Dąb. Niejednokrotnie też nazwy pól, łąk, czy włości nawiązują do nazwiska, czy bardziej przezwiska, bądź przydomku właściciela. Ma to związek z faktem, że mieszkańcy, zarówno wsi, jak i zwłaszcza małych miasteczek bardziej przywiązani byli nie do oficjalnej nazwy, czy nazwiska, ale przede wszystkim operowali przydomkami lub przezwiskami.

– Czy takie zjawisko to już przeszłość?

– Myślę, że występuje nadal. Proszę pamiętać, że chłopi na ogół swoje nazwiska uzyskali nie dawniej niż 300. lub 200. lat temu. Szereg nazwisk powtarza się na wsiach, czy małych miasteczkach. Szukając danej osoby musimy nie tylko znać jej imię i nazwisko, ale także dokładny adres lub przydomek. Przygotowując monografię Wilamowic, pamiętam, że niemal w co drugim domu mieszkał ktoś o nazwisku Nycz, czy Foks. Wracając jednak do naszych ostatnich badań terenowych… dokonujemy także inwentaryzacji cmentarzy, gdzie naszą uwagę kierujemy szczególnie na napisy znajdujące się na nagrobkach. Z badaniem nekropolii trzeba się bez wątpienia śpieszyć, gdyż wiele starych nagrobków z początków XIX wieku wykonanych z piaskowca ulega zniszczeniu.

– Jakie informacje cenne dla historyka znajdują się na cmentarzach?

– Przyglądnijmy się napisom na krzyżach w Katowicach. Otóż zamieszkująca te tereny ludność uczęszczała do niemieckich szkół i nie znała języka polskiego w formie pisanej. Toteż zapis był próbą dostosowania posiadanej niemieckiej wiedzy do polskiej pisowni. Na jednym z takich krzyży znajduje się słowo „posiedziciel". Wiemy, że w naszym ojczystym języku takie słowo nie występuje. Jego etymologia jest jednak następująca: w niemieckim języku słowo „Besitzer", oznacza osobę posiadającą pewne dobra, czyli „właściciela". Wierne tłumaczenie spowodowało proces słowotwórczy, a jego wynikiem jest wyżej wspomniany „posiedziciel".

Dla historyka ciekawy jest też problem liternictwa. Krój liter przecież zmienia się. Wrócę jeszcze do treści jakie można znaleźć na nagrobkach. Do dziś pamiętam napis, na który natrafiłem podczas jednej z wypraw w przygraniczne tereny z Ukrainą. Było to ponad trzydzieści lat temu. Otóż napis głosił, że nagrobek ufundowany został przez wdzięczną żonę, za to, że mąż jej nie „bijał". Niejednokrotnie natrafiamy także podczas badań na ciekawe wierszyki, czy nietypowe curriculum vitae.

– Panie profesorze mówi pan wiele o pracach badawczych, o zaangażowaniu młodych ludzi, jak zatem rozumieć tytuł odbytej dwa lata temu jednej z naukowych konferencji historycznych, który brzmiał „Śląskoznawcze deficyty badawcze nauk historycznych"...

– Co prawda nie ja organizowałem tą konferencję, ale zgodzę się, że rzeczywiście tego typu zjawisko ma miejsce. Odkąd zaangażowałem się w badania dziejów Śląska, podnoszę dwie zasadnicze kwestie. Po pierwsze; Śląsk bez wątpienia jest krainą geograficzną, jednak już jego wschodnie granice wzbudzają wiele dyskusji. Do Śląska zalicza się bowiem dawne tereny Księstwa Oświęcimskiego, czy Zatorskiego, gdzie nie ma tak naprawdę świadomości śląskiej, nie występuje gwara śląska ani tradycja. Czym w takim razie jest Śląsk? Pod względem politycznym, do końca XV wieku były to tereny rządzone przez książąt z linii Piastów Śląskich. Prawdą jest jednak, że przynajmniej ostatni ich przedstawiciele większość czasu spędzali w Krakowie. W badaniach jakie przeprowadzamy wyraźnie widać, że ogromną rolę odegrała przynależność tych terenów, aż do początku XIX wieku do diecezji krakowskiej. Dowodem na to jest proweniencja wyposażenia starych kościołów, które w większości pochodzi generalnie z Małopolski albo Opawczyzny. Zmiany zaczynają się z chwilą przejścia tych terenów

pod władanie diecezji wrocławskiej. Ciekawym przykładem jest Księga Członków Bractwa Świętego Szkaplerza Ojców Franciszkanów z Bytomia. Otóż księga ta spisywana była od końca XVII wieku do połowy XIX wieku. Wpisane są do niej osoby i to bodaj w równej mierze zarówno z jednej, jak i drugiej strony ówczesnej granicy, a więc z terenów współczesnego Zagłębia, czyli Będzina, Sosnowca, aż po Siewierz. Różne jest tylko co najwyżej brzmienie imienia Georg lub Jerzy, Karl, czy Karol i nazwiska, zależne zazwyczaj od tego, czy chodziło o osoby z jednej, czy z drugiej strony granicy. To dowodzi różnorodności jaka panowała na tym terenie.

– Jakie wpływy okazały się najsilniejsze? Co składa się na obecną śląskość?

– Śląskość w tych czasach tak na dobrą sprawę dopiero się tworzyła. Był to teren zapomniany przez innych. Dowodem na to są zapiski Józefa Ignacego Kraszewskiego, który jadąc przez te ziemie dopiero je odkrywał, nie ukrywał zdziwienia, że ludzie je zamieszkujący władają podobnym językiem, jak w pozostałych częściach Polski. Niestety po dziś dzień historia Śląska zwłaszcza ta dawniejsza jest mało znana i mało doceniana.

– Może wciąż pokutuje przekonanie, że Śląsk jest jednorodny, czarny i nieciekawy?

– To druga rzecz o którą trzeba zawalczyć. Otóż podkreślę to jeszcze raz: Śląsk wciąż jest w Polsce nieznany i niezrozumiany. Mimo, iż na Górnym Śląsku cały czas mówi się o trzech powstaniach, postrzeganych przy tym często w kategorii zrywu narodowowyzwoleńczego, to w historii ogólnokrajowej są one nadal mało znane a co ważniejsze – nie weszły do panteonu powstań narodowych. Nawet Powstanie Wielkopolskie jest dużo bardziej znane niż te mające miejsce na Górnym Śląsku.

Tutaj pojawia się problem winy. Dlaczego tak się dzieje? Powodem jest między innymi lansowanie na Śląsku niskiej kultury. Dopiero dziś zaczyna się zwracać uwagę na kulturę wysoką. Wciąż jednak pokutują demony przeszłości, czego dowodem może być postać telewizyjnego niedojdy – Bercika. To właśnie przez pryzmat tego wątpliwego bohatera telenoweli, nierzadko spotykać się można ze stwierdzeniem, że mieszkańców naszego regionu określa się mianem takich Bercików.

– Wina leży zatem po stronie Ślązaków, czy mamy cały czas do czynienia z ogólnopolskim stereotypem na temat Śląska?

– Generalnie można powiedzieć, że są dwie szkoły. Jedna mówi, że jest to nasza wina, druga, że „obcych". Wydaje mi się, że jednak to my ponosimy odpowiedzialność za wizerunek naszego regionu. Nie jesteśmy przecież zbiorowiskiem nie radzących sobie w życiu i wciąż kombinujących ludzi. Śląsk jest przecież tą krainą, która leży w środku Europy – to właśnie tutaj krzyżują się szlaki handlowe i kulturowe. To właśnie o ten region i znajdujące się na jego terenie bogactwa walczyły od dawien dawna sąsiadujące państwa i narody. W herbie Republiki Czeskiej znajduje się przecież nic innego, jak właśnie herb całego Śląska – taka sytuacja to dziejowy ewenement! Zresztą Czesi po dziś dzień podkreślają swoje przywiązanie do tych ziem, mówiąc o nich jako o ziemiach Korony Czeskiej, bo Śląsk przecież przez 400 lat był ziemią tej korony. W Czechach dużym nakładem sił i środków organizowane są międzynarodowe konferencje naukowe poświęcone właśnie ziemiom korony czeskiej, a więc także Śląskowi, a efektem tych spotkań są wysokiej jakości wydawnictwa, o których w Polsce moglibyśmy tylko pomarzyć. Również Niemcy prowadzą intensywne badania nad przeszłością tej ziemi.

– Czy w takim razie można powiedzieć, że Śląsk poza granicami naszego kraju jest postrzegany lepiej?

– Myślę, że mimo wszystko jest wciąż krainą nieznaną i wciąż nierozumianą. Podróżujący przez Górny Śląsk pod koniec XVIII wieku niemieccy podróżnicy piszą ze zdziwieniem w swoich notatkach z podróży, że region ten wcale nie zamieszkują ludzie owłosieni i podobni do małp, a wręcz przeciwnie wydają się być całkiem normalni. Anonimowy wędrowiec podziwia pracowitość i zaradność Ślązaków. Jedyne co ich różni od innych społeczności to język jakim się posługują. I tutaj najbardziej chyba znany ze wszystkich podróżników Johann Gottlieb Schummel, bodaj po raz pierwszy używa określenia „Wasserpolonish", co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „rozwodniony polski".

Co warte podkreślenia podróżnicy z końcem XVIII wieku zaczynają szczególną uwagę przywiązywać do otaczającej ich przyrody. Podróżując przez ziemie śląskie wskazują niejednokrotnie na bujność i obfitość zieleni, która wszędzie się roztaczała. Na przykład na terenie współczesnych Katowic niegdyś dominowały lasy liściaste, nie brakowało także akwenów, co ma swoje odzwierciedlenie w nazwach niektórych dzielnic: Zawodzie, Zadole, Dąb, Dąbrówka, Załęże.

– Jaka powinna być zatem strategia, która skutecznie i prawdziwie pokazałaby nasz region innym, zarówno w kraju, jak i zagranicą?

– To bardzo trudne pytanie. Ja nie czuję się uzdrowicielem i posiadaczem złotej recepty w tym zakresie. Zwróciłbym jednak uwagę na przybliżanie historii naszego regionu. Ona wciąż jednak obraca się wokół kwestii politycznych, a przecież nie tylko na tym powinna się skupiać. Problem powstań także traktowany jest ściśle politycznie. Zazwyczaj postrzegano społeczność tego regionu w kategoriach narodowych: albo Polacy, albo Niemcy. Nikt nie brał jednak pod uwagę tego, jak tutejsi ludzie odnajdywali się w tych wszystkich zawirowaniach politycznych. Co wtedy czuli, jak funkcjonowali?

W XIV wieku Wrocław należał do większych miast Europy. W radzie miasta zasiadali wtedy Rusin, Niemiec, Czech i Polak. Jak się porozumiewali? Skutecznie, skoro Wrocław rósł w siłę i potęgę. Dobro wspólne, interesy kupiectwa, rzemiosła i rolnicze były znacznie ważniejsze niż jakiekolwiek podziały narodowe.

Dziś Śląsk nie ma siły przebicia. Mało osób stąd zajmuje czołowe stanowiska. Na tyle znaczące, by zadbać o nasz region. Chociaż ostatnio obrana przez samorządowców strategia pokazania Śląska, jako miejsca turystyki i nauki wydaje się być przekonywująca.

– Może ten nieciekawy obraz Śląska w Polsce to wynik zazdrości?

– Na początku lat 70. odwiedziłem Pomorze. W tym czasie Śląsk był tam nie tyle nie lubiany, co wręcz znienawidzony. Chodziło nie tylko o przywileje, jakie w tym czasie posiadali na przykład górnicy, ale przede wszystkim o to, że Śląsk nie poparł trwającego w tym czasie na Pomorzu buntu.

– Wydarzenia, które nastąpiły jednak 10 lat później w naszym regionie powinny jednak zmienić ten wizerunek...

– W tym czasie zostały oczywiście zauważone. Później jednak za rzadko do nich wracano. Mimo wszystko można zadać pytanie, czy przywoływano wydarzenia sprzed Kopalni Wujek na tyle często, by na trwałe zapadły w pamięć Polaków. Wiele regionów ma opasłe dzieła, które dotyczą ich historii. Tego brakuje na Śląsku. Brakuje tu badań podstawowych, zwłaszcza starszych okresów dziejowych. Ten region nie posiada rzeczy tak kluczowej, jak „Słownik historyczno-geograficzny". Nie posiada spisu urzędników śląskich, który mają już niemal wszystkie ziemie polskie. Takie przykłady można mnożyć. Powstanie tych pozycji wiąże się jednak z jeszcze jednym problemem. Dziś niestety nie ma odpowiedniej liczby młodych naukowców, władających dobrze językiem niemieckim, czy łacińskim i potrafiących czytać stare teksty. To z kolei uniemożliwia im pracę nad tekstami źródłowymi, których znaczna część nie była jeszcze nigdy w rękach badaczy. Wszelkie bowiem dokumenty, które były tworzone i wydawane w tym regionie do roku 1945 są napisane właśnie w języku niemieckim, wcześniej zaś po łacinie.

– W najbliższym czasie w naszym regionie odbędą się dwie znaczące konferencje. Czego będą dotyczyć?

– To już kolejne z cyklicznych konferencji. Pierwsza z nich odbędzie się już 9 i 10 września w Katowicach i poświęcona będzie industrializacji i górnictwu na Górnym Śląsku i będzie to już IX katowicka konferencja naukowa. Te procesy zasadniczo zmieniły oblicze tego regionu. Mimo iż wcześniej wydobywano tutaj rudy i wypalano liczne połacie lasów w celu uzyskania węgla drzewnego, to tak naprawdę węgiel kamienny spowodował prawdziwą rewolucję na Śląsku. Stał się on podstawą uprzemysłowienia tych ziem. Jak tradycja górnicza postrzegana jest z perspektywy XXI wieku dowiemy się już podczas konferencji i towarzyszącym jej dyskusjom.

– Patrząc z perspektywy historyka górnictwo okazało się darem, czy przekleństwem dla tego regionu?

– Historia jak wiemy lubi płatać figle. Bez wątpienia górnictwo przemieniło zielony Śląsk w region przemysłowy. Od kilku lat sytuację próbuje się odwrócić i przywrócić naturze przynajmniej częściowo to, co zostało zabrane. Taka jest zresztą ogólnoświatowa tendencja. Każdy z nas ma przed oczami negatywne wyniki działań kopalń w postaci szkód górniczych, popękanych dróg, czy też te bardziej obrazowe, jak niedawne osunięcie się ziemi przy bloku mieszkalnym w Siemianowicach Śląskich.

Z drugiej strony węgiel i oparty na nim przemysł sprawił, że Śląsk był łakomym kąskiem dla wielu mocarstw. Przypomnijmy, że po pierwszej wojnie światowej Niemcy postawiły wyraźne ultimatum: nie zapłacimy reparacji wojennych, jeśli zabierzecie nam Śląsk. Węgiel jest zatem – a już na pewno był – „czarnym złotem", ale może być też zarazem czarnym przekleństwem.

– Za miesiąc z kolei – 12 i 13 listopada historycy spotkają się w Zabrzu...

– Tak, to już trzynaste naukowe spotkanie z cyklu „Kultura Europy Środkowej" ze szczególnym uwzględnieniem Śląska. W poprzednich latach dyskutowaliśmy między innymi na temat Piastów Śląskich, dominikanów i ich roli, tożsamości, wielokulturowości, czy też kultury prawnej, gospodarczej, edukacyjnej i umysłowej. W tym roku czeka nas również niezwykle ciekawy temat: „Ślązacy w oczach własnych i obcych". Zaprosiliśmy najlepszych specjalistów nie tylko z kraju. Na poprzednich konferencjach byli już uznani badacze między innymi z Włoch, Węgier, Austrii, Czech, Słowacji i Niemiec.

– Dziękuję za rozmowę.

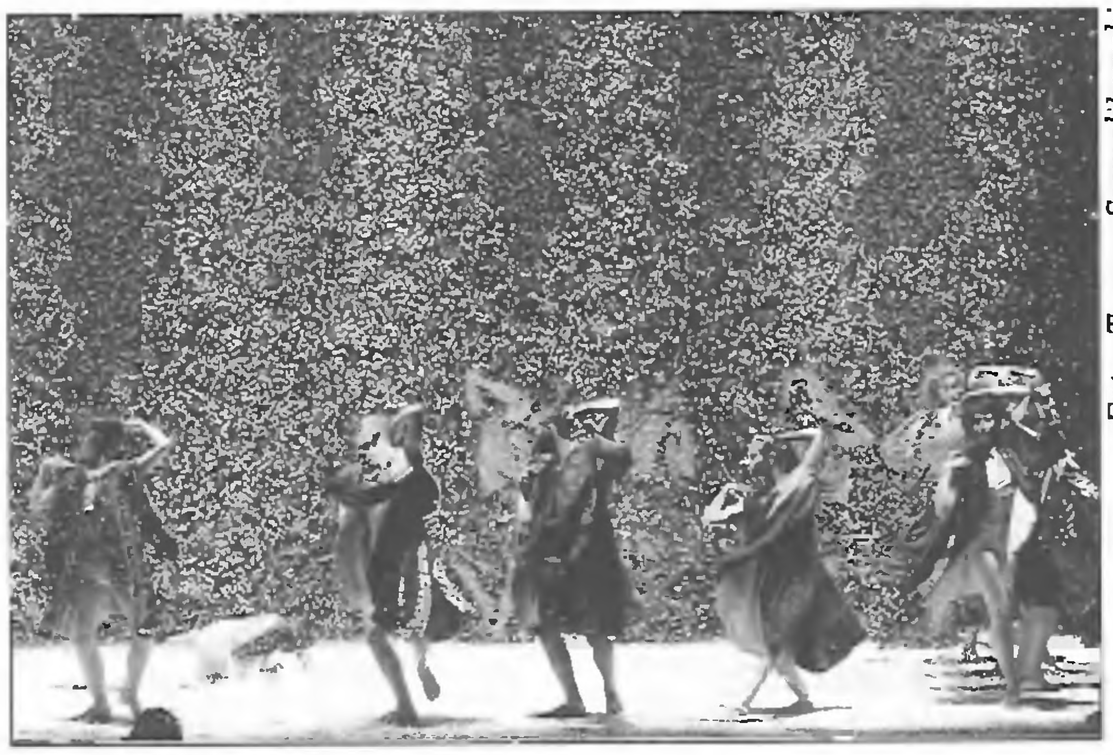


Foto: Tomasz Szemaikowski

Rewelacją XVI Konferencji Tańca Współczesnego okazał się występ zespołu Kibbutz Contemporary Dance Company z Izraela.

TANIEC

Taneczny fenomen

W marcu Śląski Teatr Tańca kierowany przez Jacka Łumińskiego otrzymał specjalną Złotą Maskę za organizację piętnastu edycji Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego. Na przełomie czerwca i lipca impreza odbyła się po raz szesnasty. To przedsięwzięcie trzeba uznać za fenomen. Co roku ponad 20 najlepszych zespołów tańca współczesnego (chodzi przede wszystkim o jego nurt określany mianem „tańca fizycznego") przyjeżdża z całego świata do Bytomia. Nie do wypieszczonej Warszawy, nie do podpartego europejską renomą Krakowa, albo bogatego Wrocławia.

Żeby w pełni zrozumieć ten fenomen, warto trochę poznać Bytom. Kilkaset metrów od siedziby Śląskiego Teatru Tańca stoją (a właściwie straszą) zrujnowane opustoszałe budynki, rozciągają się całe dzielnice nędzy i patologii, których mieszkańcy żyją głównie z pomocy społecznej. Ulica Piłsudskiego, jedna z głównych arterii Bytomia. Tuż przed skrzyżowaniem z Piekarską. Wejście w podwórka Piekarskiej, to wejście w XIX wiek – wychodki wciąż w podwórzu, klatki schodowe malowane po raz ostatni „za Niemca". Właśnie na Piłsudskiego 24a mieści się Wydział Teatru Tańca Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Stale przyjeżdżają tutaj, by prowadzić zajęcia i egzaminować studentów profesorowie Jerzy Stuhr, Krzysztof Globisz, Tadeusz Bradecki. Naprzeciw bytomskiego wydziału PWST kamienica jak z Bronxu – zagospodarowany parter, ale wyżej tylko dwa mieszkania mają lokatorów. Okna pozostałych zabite są dyktą, zardzewiałą blachą, a nawet starymi drzwiami w liszajach łuszczącej się farby. W takich miejscach jak podwórka na skrzyżowaniu Piłsudskiego i Piekarskiej Stuhr albo Globisz bywali dotąd zapewne tylko na planie filmowym, przy okazji produkcji, których akcja rozgrywała się w „zakazanych dzielnicach" przegranej (w procesie transformacji ustrojowej) Polski. A teraz tutaj uczą, tutaj ma siedzibę ich Alma Mater. To też dzięki fenomenowi, jaki stworzył Jacek Łumiński i jego współpracownicy.

Warto przytoczyć w tym miejscu liczby: w ciągu dwóch tygodni do Bytomia przyjechało około 600 tancerzy z pięciu kontynentów. Prawie 40 nauczycieli m.in. ze Stanów Zjednoczonych, Egiptu, Holandii, Izraela, Kolumbii, Rosji, Austrii i Polski prowadziło codziennie zajęcia dla ponad czterystu uczestników warsztatów – zarówno zaawansowanych, jak i początkujących. Mogli oni uczyć się 25 technik tanecznych – od klasycznego baletu rosyjskiego do latin jazzu, tańca brzucha, tańca indyjskiego oraz tańca afrykańskiego. Najbardziej wytrwali mogli uczyć się tańca codziennie u pięciu nauczycieli przez 7,5 godziny (pięć półtoragodzinnych bloków zajęć, rozplanowanych między godziną 8.30 a 18.30). Potem były jeszcze spektakle – co najmniej dwa w ciągu dnia, na scenie głównej Śląskiego Teatru Tańca (godz. 19) i na scenie alternatywnej w postindustrialnej Elektrociepłowni „Szombierki" (godz. 21 lub 21.30). Przy tym wszystkim – międzynarodowe seminarium historyków i krytyków tańca, warsztaty radiowe i pisania o tańcu (prowadzone przez Ewę Niewiadomską i Marka Skoczę), dwutygodniowe zajęcia dla dzieci oraz tygodniowe dla seniorów, warsztaty taneczne dla niepełnosprawnych – dorosłych oraz (po raz pierwszy) dzieci. Coś jeszcze było – ale co sam już nie wiem, bo nie sposób się rozdwoić, żeby we wszystkim uczestniczyć, wszystko zobaczyć. Słowem – przedsięwzięcie totalne, o budżecie wynoszącym ponad milion dolarów (ze względów biurokratyczno-logistycznych część tych pieniędzy nie „przechodzi" przez Śląski Teatr Tańca, ale wędruje wprost do występujących zespołów, którym sponsorzy i mecenasi opłacają koszty podróży, pobytu w Polsce oraz honoraria).

W tym roku absolutną rewelacją okazał się spektakl *Ekodoom* izraelskiej grupy Kibbutz Contemporary Dance Company. Organizatorzy Konferencji podkreślają, że jest to bodaj najbardziej znany i renomowany zespół tańca współczesnego na świecie, zaś jego wizyta na bytomskim festiwalu to wydarzenie porównywalne jedynie z występem tutaj przed kilku laty Michaiła Barysznikowa. Rzeczywiście – Kibbutz oczarował widowiskiem totalnym, oddziaływującym na wszystkie zmysły. Żeby stało się to możliwe, w Bytomiu dokonano cudów technicznych – scena Śląskiego Teatru Tańca to równocześnie scena sali widowiskowej Bytomskiego Centrum Kultury, bardzo zgrzebna pod względem technicznego wyposażenia. Tymczasem w spektaklu grupy Kibbutz wykorzystano dwieście reflektorów (wypożyczono je z innych teatrów) oraz czterokrotnie wyższy pobór mocy niż ten, na który ma pozwolenie BCK. Dzięki temu zobaczyliśmy w Bytomiu rzecz niezwykłą.

Niestety, gros pozostałych spektakli, choć trzymało dobry poziom, nie zapadało tak w pamięć, nie porywało w takim stopniu. Ukułem dla nich określenie „spektakle filatelistyczne" – albowiem wiele z nich przyrównać można było do znaczków pocztowych: niby każdy jest inny, a w rzeczywistości wszystkie są takie same. Oczywiście istnieją ludzie, którym kolekcjonowanie znaczków pocztowych sprawia radość, zapewne są też miłośnicy tańca, dla których ucztą jest oglądanie takiej serii festiwalowych przedstawień. Muszą być oni miłośnikami formy tańca, ruchu samego w sobie, jego sprawności, siły, ekspresji. Kto jednak, przyzwyczajony do teatru w bardziej tradycyjnej formie, oczekuje chociaż próby opowiedzenia jakiejś historii, zasygnalizowania problemów – odczuć może niedosyt. Odnotujmy, że korzystnie wyróżniał się spektakl *Intime* francusko-węgierskiej grupy, której choreografem jest urodzony w Budapeszcie Pal Frenak. To artysta wychowany przez głuchoniemych rodziców, pierwszym językiem, jakiego się nauczył był język migowy, stąd jego naturalne niemalże wyczulenie na ruch i gest, jako środka przekazu. Renomowana szwajcarska grupa „Compagnie Drift" pokazywała już Bytomiu lepsze produkcje. Z kolei zupełnym nieporozumieniem wydało mi się odczytanie *Jeziora łabędziego* Piotra Czajkowskiego przez izraelskiego choreografa Idana Cohena. Na tym międzynarodowym tle nie muszą mieć żadnego poczucia „odstawania" od światowej czołówki polskie zespoły, reprezentowane przez gospodarzy, czyli Śląski Teatr Tańca, Lubelski Teatr Tańca, a także prezentujące się na scenie alternatywnej Stowarzyszenie Teatralne „Chorea".

MARCIN HAŁAŚ

Haendel, Bach i Rilling

MUZYKA

Najpierw Haendel, bo w katowickim kościele Świętych Piotra i Pawła ten dwudniowy (30 i 31 maja), nadzwyczajnej miary festiwal zorganizowany staraniem NOSPR, otworzył *Mesjasz* właśnie; nazajutrz ustąpił pola dwóm *Kantatom Zielonoświątkowym* Bacha i jego *Magnificat,* które rozbrzmiało w dostosowanej do rozmiaru zespołów i dzieł Sali Akademii Muzycznej – taką bowiem możliwość otwiera owo mobilne akustycznie wnętrze. I Jerzy Fryderyk, i Jan Sebastian odnieśliby z pewnością – może nawet „wreszcie?" – satysfakcję z takiego właśnie śpiewania i grania ich muzyki; niesie ona przecież i solistom, i ansamblom tak wielkie i niebotyczne zadania wykonawcze, że trudno uwierzyć w lotność, finezję lub choćby poprawność tamtych, odległych historycznie, ich wykonań za życia autorów. Pisane z tygodnia na tydzień monumenty – podobno i *Mesjasz* miał powstać w połowie miesiąca zaledwie! – być może dopiero teraz znajdują, w rękach najdociekliwszych i perfekcyjnych wykonawców, swoje adekwatne ucieleśnienie?

Mieliśmy zatem w Katowicach sposobność świadkowania nadzwyczajnym kreacjom arcydzieł obu uczestników „kolacji na cztery ręce": dwa wieczory „przy ich stole" w piątek i sobotę w końcówce maja pozostaną w pamięci, jak mało które wydarzenia muzyczne. Szefowa NOSPR, Joanna Wnuk-Nazarowa, znów zadbała o atrakcje kulturowe z najwyższej półki i dała nam, ale też i świetnym wykonawcom miejscowym, okazję uczestnictwa w produkcji artystycznej o parametrach światowych; oto przybył na Śląsk sam Helmuth Rilling, by wraz z grupą swoich muzyków, których skupia i wtajemnicza w barokowe arkana od lat 55 w *Gächinger Kantorei Stuttgart* i w instrumentalnym *Bach-Collegium*, kreować wespół ze śpiewakami katowickiego Zespołu *Camerata Silesia* i muzykami NOSPR wielki repertuar, z rolami solistów obsadzonymi międzynarodowo: sopranistką była słodkogłosa Chilijka Karolina Ullrich, altem – Bawarka Anna Schlosser, która w pełni pokazała swą barwę i sprawność w Bachu; tenorem śpiewał Dominik Wortig związany z teatrem operowym w Hadze, partie basowe podał z dramatycznym nerwem Brytyjczyk Simon Kirkbride. Przyjechali świetni w swych eksponowanych partiach instrumentaliści: wiolonczelista Joachim Hess i wyspecjalizowany w klawiszowym basso continuo Boris Kleiner; błyskotliwe partie trąbki grał (a miał co robić!) Wolfgang Bauer, wtórował mu niezawodnie Nigel Shore na oboju; skrzypków wiódł w barokowe rejony sugestywny Georg Egger. Tak „inkrustowany" niemiecko-angielskimi „wspornikami" stylistycznymi zespół stanowić mógłby niebezpieczny „zbiorowy instrument", którego brzmieniu i sprawności zagrażało choćby nierówne w sprawach wykonawstwa historycznego doświadczenie; a jednak – czy to dzięki przemożnej sile osobowości prowadzącego i jego wypróbowanym na seminariach prowadzonych po całym świecie darom pedagogicznym, czy też za sprawą wyjątkowej podatności i giętkości muzyków polskich wybranych do tego niełatwego, konfrontacyjnego niejako zadania – zbiorowość ta, stanowiąca wspólnotę muzyczną na to jedno niedługie lecz poważne zadanie okazała się nie tylko sprawna i precyzyjna, ale też wybornie spełniająca zmierzenia artystyczne wodza – Helmutha Rillinga. Nie szczędził wielki artysta słów uznania polskiemu „akapitowi" zespołu, wyciągał do oklasków wyróżniających się wykonawców, nasłuchali się wysokich, zasłużonych ocen śpiewacy katowickiej formacji *Camearta Silesia,* przygotowani przez swą maestrę, Annę Szostak.

Istotnie, było ich za co chwalić: w arcytrudnych partiach oratorium Haendla, przez kompozytora pomyślanych wirtuozowsko a przez Rillinga realizowanych w tempach „współcześnie" żywych, wokaliści pokazali swe możliwości techniczno-głosowe a także permanentną gotowość śpiewaczą, gdy bez straty ani chwili dyrygent podążał ku następnemu i następnemu ogniwu dwugodzinnego *Mesjasza* z blisko dwudziestu epizodami chórowymi, wypełnionymi gęstą polifoniczną treścią. Nawet fuga w części 23, o temacie rysującym dźwiękami krzyż (z *saltus duriusculus*, „skokiem bolesnym" septymy zmniejszonej w środku) pobiegła, popłynęła bez nadmiernego patosu i jakoś zwiewnie, rzec by się chciało: duchowo, jak całe oratorium, któremu Rilling nadał charakter jakiejś strzelistej modlitwy... Sprzyjało temu wrażeniu piękne wnętrze neogotyckiej świątyni Piotra i Pawła, a może i obecność Arcybiskupa i katowickich Biskupów? Tak czy inaczej, wykonawcy „pokonali" ciężar dzieła, a idąc za ręką Rillinga, aż po finałowe *Amen* obsadzone przez dyrygenta solowo w pierwszym podaniu tematu – uczynili je lekkim acz ważkim, ulotnym a przecież zapadającym w najgłębsze doznania.

Także i drugi dzień Rillinga na Śląsku przyniósł równie „wysokie" odczucia i ani krztyny zawodu ze strony wykonawców: Bach i jego kantaty: *Erschallet, ihr Lieder* BWV 172 i *Wer mich liebet, der wird mein Wort halten* BWV 74, zagrane i wyśpiewane z pogodnym dostojeństwem, jak przystało na wigilię święta, jakiemu oba dzieła kiedyś służyły, znów zachwyciły precyzją wykonania; zarazem jednak uzmysłowiły słuchaczom, ile obszarów twórczości geniusza protestanckiego spoczywa jeszcze poza kręgiem „zwykłej" praktyki koncertowej... Potęga pomysłów kompozytorskich – zwłaszcza w sferze muzykowania duetów, obsad triowych, efektów chórowych aż po „teatralne" efekty z formułami omalże deklamacyjnymi – uderzyła z wielką siłą „odkryć na nowo" nawet doświadczonych muzyków. Na koniec zabrzmiała Bachowa *summa* ekumeniczna: wzniosłe dzieło kantora BWV 243, *Magnificat D-dur,* którego fragment końcowy podarowali nam hojnie wykonawcy na bis, po nie wyczerpującym, jak by się zdawało, ich sił i skupienia koncercie w tak wymagającej, selektywnej dźwiękowo Sali Akademii im. Karola Szymanowskiego. Były wielkie brawa za wielki występ międzynarodowego zespołu muzyków. Polacy z NOSPR i z zespołu *CAMERATA SILESIA* nie ustąpili pola Stuttgartczykom, byli ich znakomitymi partnerami.

„Jak się to robi?" – chciałoby się spytać, bo w zasadzie trudno byłoby uchwycić coś, co by zdumiewało, zaskakiwało w warsztacie dyrygenckim Rillinga: wszystko bowiem wydawało takie „po prostu" naturalne. Prowadzi całą skomplikowaną tkankę kompozytorską bez partytury, w wielkim skupieniu śledząc raczej t o k dzieła, niż je r e a l i z u j ą c; z nadzwyczajną a życzliwą uwagą wpatruje się w solistę kreującego właśnie swą partię; w ręku – badylek-batuta, trzymana na sposób kaligraficzny, jakby piórkiem wpisywał w przestrzeń (równie precyzyjnie i celnie jak na pergamin) słowo po słowie, iluminację jedną po drugiej: pokorny sługa wielkiej księgi sztuki. Skrupulatny, nie narzucający swej oryginalności, wspierany i dowodzący, równy pomiędzy świetnymi. Takim chcemy pamiętać Helmutha Rillinga z krótkiego a bogatego „festiwalu", jaki NOSPR zgotowała, z udziałem sponsorów rządowych i samorządowych, na 250. rocznicę śmierci Georga Friedricha Haendla.

BOŻENA GIEBUROWSKA-GABRYŚ

Nie dziwi pomysł prezydenta Piotra Uszoka o pretendowaniu Katowic do miana Europejskiej Stolicy Kultury już w roku 2016. Doświadczenia starożytnego Krakowa, który dzierżył to miano w jubileuszowym roku 2000, są inspirujące. Mnogość imprez towarzyszących temu wydarzeniu znacząco zwiększyła barwną falę turystów ściągających do grodu Kraka ze wszystkich zakątków globu, a także utwierdziła jego pozycję na europejskiej mapie jako punkt stałych pielgrzymek.

Oczywiście specyfika obu miast jest bardzo odmienna, ale właśnie różnice są szansą postindustrialnych Katowic. Jakże wspaniałą i ambitną rzeczą jest projekt restytucji okazałej siedziby Muzeum Śląskiego – rozmachem nie ustępującej tej zburzonej w 1940 przez Niemców. Także plan rozbudowy i modernizacji gmachu Filharmonii Śląskiej, który zakończy się w roku 2011, napawa optymizmem.

Trwający globalny kryzys gospodarczy, a także ostatnio ujawnione decydenckie spory raczej nie pozwalają na wiarę w realizację niezmiernie ambitnego projektu przebudowy centrum miasta – autorstwa pracowni architektonicznej Tomasza Koniora – który przecież tak przyciągał widzów na niedawnych targach w Cannes.

Jednak wydaje się, że w tej chwili Katowice najbardziej potrzebują realizacji dwóch przedsięwzięć: budowy zupełnie nowego dworca kolejowego, wypełniającego walory komunikacyjne i estetyczne na miarę XXI wieku (obecny jest przedmiotem żartów w Internecie, których autorami są goście z różnych stron Europy), oraz konieczność powstania rynku – jako centralnego punktu miasta – przyciągającego swą atrakcyjnością i funkcjonalnością.



Najdłuższą tradycję wydawniczą posiada Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Katowicach (dziś już Akademia Muzyczna) – najstarsza uczelnia Górnego Śląska – wydająca „Zeszyty Naukowe", przeznaczone rzecz jasna dla profesjonalistów. Współcześnie posiada własne wydawnictwo, oferujące pozycje ściśle naukowe, jak i przeznaczone dla odbiorcy masowego; przykładem jest pismo „Klucz", opisujące najważniejsze wydarzenia z życia Akademii.

Periodyki, kwartalniki, studia

WYDAWNICTWA MUZYCZNE

Katowice od bardzo dawna nie są pustynną przestrzenią kultury. Liczba koncertów, wystaw, konkursów, projekcji, artystycznych inicjatyw powoli przybliża nas do największych miast polskich. Przeglądając zbiory Biblioteki Śląskiej pod rokiem 1909, natrafiłem na wydawany również w Katowicach *Przewodnik Koncertowy. Organ Dyrekcji koncertów krakowskich.* Z roku 1920 pochodzi *Śpiewak Śląski. Dwutygodnik literacko-muzyczny. Organ Kół Śpiewaczych na Śląsku.* Poznańskie pismo *Teatr i Kino*, poświęcone sprawom teatru, muzyki, sztuki, kinematografu już od roku 1923 obejmowało program wszystkich widowisk w Katowicach. Od roku 1932 wydawany był tutaj *Zespół Mandolinowy* – popularny miesięcznik muzyczny dla wszystkich.

Oczywiście oddzielny rozdział stanowią wydawnictwa powojenne i współczesne. Najdłuższą tradycję w tym względzie posiada Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Katowicach (dziś już Akademia Muzyczna) – najstarsza uczelnia Górnego Śląska – wydająca *Zeszyty Naukowe*, przeznaczone rzecz jasna dla profesjonalistów. Współcześnie posiada własne wydawnictwo, oferujące pozycje ściśle naukowe, jak i przeznaczone dla odbiorcy masowego; przykładem jest pismo *Klucz*, opisujące najważniejsze wydarzenia z życia Akademii. Gość odwiedzający nowe skrzydło gmachu Akademii powinien wstąpić do bibliotecznej czytelni, gdzie znajdzie bogatą płytotekę.

W naszym regionie działa znaczna liczba amatorskich chórów – zarówno świeckich, jak i religijnych – kontynuując przedwojenne tradycje. Życiu tych muzycznych organizmów poświęcone jest pismo *Życie Muzyczne. Kwartalnik Polskiego Związku Chórów i Orkiestr*. Muzyka bluesowa – wciąż niezmiernie popularna – obrała sobie Katowice za krajową stolicę. Stało się tak za sprawą charyzmatycznych muzyków pochodzących z tej ziemi: przede wszystkim Ireneusza Dudka – pomysłodawcę i dyrektora corocznego festiwalu Rawa Blues, Jana „Kyksa" Skrzeka – muzyka grającego bluesa całym sobą, czy legendarnego, tragicznego Ryszarda Riedla. Właśnie temu gatunkowi w całości jest poświęcony wydawany w Chorzowie kwartalnik *Twój Blues*. To kolorowe pismo z ciekawą szatą graficzną i dobrymi fotografiami ukazuje się już bez mała 10 lat. Znajdziemy tam rozmowy z muzykami, teksty biograficzne, relacje z koncertów, recenzje płyt oraz książek tematycznych i – co ważne – zapowiedzi najbliższych wydarzeń w Polsce, Czechach, Słowacji.

Miłośnicy ostrych rockowych brzmień doskonale znają wydawaną od roku 1990 w Katowicach polską wersję pisma *Metal Hammer: the international hard rock & heavy metal magazine*. Warto dodać, że wydawca tego miesięcznika firma Metal Mind Productions jest producentem płyt CD z dobrą muzyką rockową i organizatorem tematycznych festiwali w Spodku, gromadzących tysiące młodych słuchaczy.

Zawodowi muzycy mają na Śląsku możliwość nagrania płyty matki w warunkach profesjonalnego studia nagraniowego. Chyba najważniejszym tego typu miejscem jest studio nagraniowe Polskiego Radia Katowice. Po gruntownym remoncie obiekt zyskał nowy sprzęt nagrywający. Studio w każdej chwili może zamienić się w salę koncertową dla 200 słuchaczy. Z jego usług korzystali już Leszek Możdżer, grupa Myslowitz i Kwartet Śląski.

Poza tym w regionie jest cała masa mniejszych, prywatnych studiów nagrań. Pozwolę sobie wymienić następujące: Cofeina Studio, Cyberstudio, B&T Records, Kompania Muzyczna TIM, Nurt ENT, Studio Demos, Wilka, Jam Session, Studio R7 Non Stop, Diamond Sound. Własne studio posiada także Młodzieżowy Dom Kultury w Gliwicach.

PIOTR BARNERT

Od czasu do czasu pojawiają się na łamach „Śląska" relacje na temat działalności stowarzyszenia Ślązaków działającego w Warszawie. Sam temat wywołuje nieodłączne wątpliwości: straciliśmy czy zyskaliśmy na „eksporcie" cennych sił do stolicy? W epoce działalności nieocenionej spółki Intercity nie jest to problem z gatunku zasadniczych: rano można pojechać, swoje zrobić, wieczorem wrócić. Exodus Ślązaków do stolicy, który miał miejsce w latach 60. i 70., zasługuje jednak na chwilę refleksji, jest bowiem ważnym dokumentem PRL-owskiej polityki w poszczególnych dziedzinach życia społecznego, nie wyłączając nauki i kultury. Mnie interesuje oczywiście kultura, a ściśle rzecz biorąc – szkolnictwo muzyczne. Pracując nad jubileuszową monografią Uniwersytetu Muzycznego F. Chopina natrafiłam na wiele materiałów archiwalnych, które ilustrują zakres i charakter zjawiska, a także dokumentują nieznane kulisy emigracji śląskich muzyków do stołecznej uczelni.

Jednak najpierw był kurs odwrotny: tuż po zakończeniu wojny przyjechali do Katowic muzycy, których przed wojną o osiedlenie się w naszym mieście nikt by nie śmiał posądzać: Ludomir Różycki, Grzegorz Fitelberg, Bolesław Woytowicz. Dwaj pierwsi byli przed 1939 rokiem przejściowo związani z konserwatorium warszawskim, Woytowicz natomiast uczył w konkurencyjnej szkole Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Najogólniej rzecz biorąc, „nie zmieścili się" w wytworzonych po wojnie układach personalnych Warszawy, więc chętnie objęli posady na Śląsku. Nie powróciły też po wojnie do Warszawy osoby napiętnowane przez wszechwładną Komisję Weryfikacyjną do spraw Muzyków. Ofiarą niesprawiedliwej decyzji tego ciała padł m.in. cieszynianin Karol Hławiczka, przed wojną rokujący wielką karierę jako muzykolog i działacz pedagogiczny, bywalec salonów ministerstwa WRiOP.

Ci, którzy mieli dobrą opinię, a przy tym przebojowość i łut szczęścia (zwłaszcza, jeżeli chodzi o możliwość otrzymania locum w Warszawie), intensywnie zabiegali o możliwość zaczepienia się w stolicy. Do takich osób należał Faustyn Kulczycki, jeden z najaktywniejszych śląskich działaczy muzycznych, współzałożyciel i dyrektor Śląskiego Konserwatorium Muzycznego założonego w 1929 roku. W 1947 roku został zatrudniony przez rektora Stanisława Kazurę w stołecznej PWSM, obejmując tam funkcję prorektora (był także urzędnikiem Departamentu Muzyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki).



Następcy Kazury, rektorzy: Stanisław Szpinalski, Kazimierz Sikorski, Teodor Zalewski pracowali nad projektem – jeszcze przedwojennego pochodzenia – by z warszawskiej uczelni stworzyć rodzaj „konserwatorium narodowego" – uczelnię gromadzącą najlepszą kadrę, która byłaby godna stopnia akademickiego, o którego nadanie zabiegano od lat 50. Wtedy właśnie rozpoczął się kadrowy „drenaż" innych ośrodków. Z Katowic przybyli wówczas do uczelni świetni instrumentaliści, m.in. pianistka Lidia Kozubek, która trafiła do warszawskiej uczelni po studiach, podejmując staż artystyczny u Jana Ekiera, czy trębacz Stefan Hadryś, który do lat 80. był na Okólniku jedną z czołowych postaci. W 1966 roku rektorowi Teodorowi Zalewskiemu udało się pozyskać wybitną pianistkę rodem ze Śląska Reginę Smendziankę. Rozpoczęła ona pełną rozmachu działalność organizacyjną, która osiągnęła apogeum w momencie, gdy artystka została rektorem uczelni – w 1972 roku, po rezygnacji Tadeusza Paciorkiewicza. Jako główne zadania wyznaczyła sobie Smendzianka uruchomienie „światowych" aspektów działalności szkoły (międzynarodowe kursy, m.in. dla pianistów japońskich, intensywna wymiana międzynarodowa, wielojęzyczne publikacje o szkole), a poza tym – po raz kolejny – zgromadzenie wyborowej kadry pedagogicznej. Sprawując funkcję rektora przez rok, zdążyła Smendzianka uzyskać spektakularne sukcesy kadrowe, doprowadzając m.in. do zatrudnienia opierającego się dotąd obowiązkom dydaktycznym Tadeusza Bairda jako profesora kompozycji oraz do postawienia na stanowisku prorektora Bohdana Wodiczki. Z archiwalnej dokumentacji wynika, że miała ponadto w planie ściągnięcie do Warszawy Henryka Mikołaja Góreckiego i Leona Markiewicza.

Co do Góreckiego, plany te zostały podtrzymane także przez następnego rektora Tadeusza Wrońskiego. Pertraktacje z kompozytorem w sprawie zatrudnienia w PWSM prowadził Tadeusz Baird, jako ówczesny szef Katedry Kompozycji w uczelni. W liście datowanym w Warszawie 13 czerwca 1974 roku zawiadamiał rektora Tadeusza Wrońskiego: *„Za pośrednictwem kol. Kotońskiego, który niedawno bawił w Berlinie Zachodnim, nadeszła odpowiedź na mój list prywatny, który kilka tygodni temu wysłałem do H. M. Góreckiego. Okazuje się, że H. M. Górecki byłby w zasadzie skłonny nawiązać z PWSM w W-wie stałą współpracę i to stwierdzenie otwiera, jak sądzę, przed Rektoratem PWSM drogę do wszczęcia z nim ewentualnych oficjalnych pertraktacji. Nie potrzebuję dodawać, jak wielkim wzmocnieniem dla naszej Uczelni byłoby pozyskanie tego świetnego kompozytora i doświadczonego już pedagoga kompozycji. Rzecz wiązałaby się z uzyskaniem dla H. M. Góreckiego mieszkania w W-wie (chciałby on opuścić Katowice również ze względów zdrowotnych). Mam nadzieję, że ewentualne wystąpienie w tej sprawie Rektoratu (może wspólnie z Prezydium Zw. Kompozytorów Polskich) do Ministra Kultury i Sztuki mogłoby przynieść pożądany skutek. W tej nadziei wysuwam wniosek, by kierownictwo Uczelni podjęło odpowiednie kroki dla zapewnienia współpracy H. M. Góreckiego. Z głębokim poważaniem, Tadeusz Baird".*

Dalszego ciągu sprawy prawdopodobnie nie było, w każdym razie nie ma materialnych dowodów na to, by *„odpowiednie kroki"* rektorat PWSM w Warszawie podjął. Może zrezygnował sam kompozytor, a może – jak to bywało – nie otrzymano przydziału mieszkania w Warszawie? Dotychczasowi biografowie Góreckiego nie wspominali o opisanym epizodzie, a i sam kompozytor nie wypowiadał się nigdzie na temat warszawskich projektów. Półtora roku po powyższej korespondencji został rektorem uczelni katowickiej, kierując nią w najlepszym okresie, kiedy wyszli z niej tak wybitni muzycy, jak Krystian Zimerman czy Eugeniusz Knapik. Chwała Bogu, że nie zabrano nam Góreckiego do Warszawy.

MAGDALENA DZIADEK



Andrzej Jarczewski: *Provokado*. Gliwice 31.08.1939. Muzeum w Gliwicach. Seria monograficzna, nr 16. Gliwice 2008, ss. 238.

Tropami prowokacji gliwickiej

Są tematy, które mogą być podjęte i opisane przez wielu. I takie, które czekają na swoich wyłącznych autorów. W tym jednak przypadku książkę jaka powstała o słynnej prowokacji gliwickiej – jak się okazuje pełnej błędów powtarzanych od lat przez kolejnych autorów – mógł napisać tylko Andrzej Jarczewski, który zweryfikował fałszywe wersje i ustalił prawdziwy przebieg tamtych sensacyjnych wydarzeń, by dowieść niezbicie, że między precyzyjnie zaplanowanym a ich rzeczywistym przebiegiem nie ma zgodności od początku do końca. Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, żeby aż do tak rażących pomyłek i nieporozumień mogło dojść, skoro prowokacja ta została przygotowana z największą starannością, pod osobistym nadzorem najwyższych przywódców III Rzeszy – Hitlera, Himmlera i Heydricha. I jak to było w ogóle możliwe przy bezbłędnej ponoć a niezawodnej niemieckiej precyzji. Okazuje się, że wystarczy czasem jedno potknięcie wynikające z braku pełnego rozeznania i bezwarunkowej kontroli, by cały scenariusz okazał się w realizacji niezgodny z założeniami.

Bezpośrednim pretekstem do wybuchu II wojny światowej miały stać się wydarzenia w gliwickiej radiostacji przygotowane w pełnej konspiracji, które zaplanowano na dzień 31 sierpnia 1939 roku, dokładnie o godzinie 20.00. Wtedy miało tam wtargnąć kilku essesmanów w cywilnych ubiorach, którzy jako rzekomi powstańcy śląscy mieli przekazać w świat komunikat o rozpoczęciu przez Polskę wojny z Niemcami, to zaś w założeniu miało powstrzymać Anglię i Francję przed wypowiedzeniem wojny Niemcom zgodnie z sojuszniczymi zobowiązaniami wobec Polski. Jednak prowokacja gliwicka w swym rzeczywistym technicznym przebiegu była operacją całkowicie nieudaną i to z niewiarygodnego wręcz powodu: dowodzący akcją oficer SS Alfred Helmut Naujocks po prostu nie orientował się w podstawowej kwestii, że radiostacja składa się z 2 odrębnych budynków, które dzielą 4 kilometry. Czynne studio skąd nadawano programy i gdzie funkcjonowały redakcje mieściło się w starym gmachu z roku 1925, natomiast w budynku nowym znajdował się nadajnik z obsługą techniczną.

Z nierozpoznania stanu faktycznego wyniknęły kolejne błędy i następstwa, gdy okazało się na miejscu, że nic się nie zgadza ze scenariuszem – poczynając od radiowego studia z technicznym wyposażeniem. Toteż po dotarciu na miejsce, lecz nie tam gdzie miała się rozegrać cała akcja, do interwencyjnej dyspozycji pozostał jedynie tzw. mikrofon burzowy, przez który nadano przygotowany komunikat. Okazało się jednak, że nie dotarł on do politycznych adresatów po prostu z technicznych przyczyn – przede wszystkim z powodu ograniczonego zasięgu słyszalności, choć dziewięć słów porażającej informacji o polskiej napaści usłyszeli wówczas gliwiczanie. Lecz skoro tak sensacyjny komunikat nie został odebrany nawet w Berlinie, tym bardziej nie mógł dotrzeć (choćby z nasłuchu) drogą radiową do Paryża i Londynu. W tej sytuacji kompletnego technicznego fiaska całej operacji dwie godziny później poszła nadana już z Berlina na cały świat wiadomość, że polska armia wtargnęła na teren Niemiec z kierunkiem na Breslau.

Jak rzecz się miała istotnie z tą najsłynniejszą prowokacją hitlerowską tamtych czasów, co się stało i dlaczego nie doszło do realizacji zaplanowanego z „niemiecką precyzją" a w największej konspiracji scenariusza, przedstawia z imponującą wnikliwością i kompetencją Andrzej Jarczewski. Opartą na źródłowych dokumentach książkę niemieckich autorów: Alfreda Spiessa i Heinera Lichtensteina, zasadniczo dopełnia i wzbogaca gruntownym rozpoznaniem wszystkich okoliczności wydarzeń związanych z gliwicką prowokacją, rekonstruując z nadzwyczajną ścisłością cały przebieg tej akcji, zgodnie z rzeczywistym przebiegiem. Żeby jednak to zadanie wykonać, trzeba było mieć nie tylko w sobie równą Andrzejowi Jarczewskiemu pasję poznawczą, lecz także jego przygotowanie jednoczące techniczną wiedzę informatyka i elektronika z matematyczną a także politologiczną i nawet – co okazuje się też być ważne w przypadku tej książki – z umysłowością filozofa i językoznawcy. Najważniejszy okazał się jednak życiowy przypadek gdy gliwiczanin, Andrzej Jarczewski, przy tym publicysta i pisarz, znalazł się tutaj w swoim czasie jako organizator i szef zabytkowej Radiostacji po przekazaniu jej na placówkę muzealną, którą od lat kieruje. Sam siebie nazywa w tej roli klucznikiem Radiostacji, a w związku z tym nadanym sobie barwnym tytułem uznał swoją książkę za zbiór gawęd, jako że stale oprowadza wycieczki, głównie młodzieży, a stara się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Andrzej Jarczewski postanowił znaleźć gruntowne, sprawdzone odpowiedzi, rekonstruując z wyjątkową ścisłością i pasją poznawczą wydarzenia z dni poprzedzających datę kluczową owego historycznego dnia 31 sierpnia 1939 roku, angażując w to swą rozległą wszechstronną wiedzę techniczną, znajomość samego obiektu i jego topografii. Jego fascynacja Wielką Damą, jak nazywa tę najwyższą na świecie wolnostojącą drewnianą konstrukcję, ma w sobie nie tylko cechy urzeczenia i podziwu, bo też wielokrotnie wspinał się na szczyt tej 111 metrowej zabytkowej budowli. Wzbudza uznanie i szacunek specjalistyczna wiedza autora z zakresu elektroniki epoki radia lampowego z całym skomplikowanym zapleczem, obejmującym anteny nadawcze, wyposażenie studiów i nadajnika, systemy zasilania i wszystkie złożone rozwiązania techniczne, które mogły tu mieć znaczenie a należało je wziąć pod uwagę. Jednak Jarczewski nie poprzestaje na tej wiedzy, lecz metr po metrze, uwzględniając wszystkiekomplikacje, usiłuje przejść w wyznaczonym czasie prawdopodobną trasę jaką dotarli na miejsce napastnicy. Przy tym nie tylko te realia bierze pod uwagę rekonstruując zdarzenie. Ustala także takie szczegóły jak czas zachodu słońca, azymuty przekątnych wieży, czy też okoliczności tak mało dotąd brane pod uwagę jak chociażby fakt, że 31 sierpnia 1939 w Gliwicach obowiązywało częściowe zaciemnienie, o czym wspomina w „Pierwszej polce" gliwiczanin Horst Bieniek.

W oparciu o gruntowne badanie i śledztwo oparte na osobistej wizji lokalnej Jarczewski odtworzył w swej precyzyjnej analizie cały przebieg tamtych zdarzeń uwzględniając różne prawdopodobne warianty szczegółowe. Od „Provokada" w literaturze przedmiotu obowiązywać muszą ustalenia, które rozpoznał, udokumentował i zrekonstruował. Nie można w nieskończoność powtarzać panującej dotąd powszechnie wersji, którą bezkrytycznie przejął Norman Davies, a którą autor „Provokada" przytacza z krytycznym komentarzem.

Czy jednak jego wnikliwe ustalenia śledcze zawarte w tej książce jednoczącej w sobie cechy reportażu historycznego, precyzyjnego dokumentu lecz także eseju czy publicystycznego komentarza z wielu dziedzin, może przy nakładzie 1000 egzemplarzy wywrzeć wpływ na rewizje dotychczasowych ujęć i opisów. Autor „Provokada" w tej bogato udokumentowanej i zilustrowanej książce (111 pozycji) raz po raz podejmuje bowiem z pasją spory z fałszerzami historii oraz ich zleceniodawcami. Bo „Provokado" to także książka o nazizmie oraz obu ideologiach i systemach totalitarnych naszych czasów. Także o mechanizmach, typologii i wzorcach prowokacji, o roli współczesnych mediów i instrumentów propagandy oraz ich wykorzystywaniu w bataliach politycznych.

„Prawda nie zwycięża sama" – stwierdza też raz po raz gdy pisze o naszej polskiej bezbronności w polityce i w aktualnych sporach historycznych. Tu za swoje racje i forsowane argumenty w kampaniach politycznych trzeba płacić i przepłacać, tak jak to robi chociażby Rosja. Nie wystarcza dowiedziona prawda ani świadectwa doznanych krzywd. Najgorsza jednak jest całkowita niemoc wobec cudzych fałszerstw i medialnej agresji. Te kwestie mocno zajmują autora „Provokado" w licznych partiach książki świadomego naszej polskiej bezsilności w tych konfrontacjach – także w roku 70. lecia wybuchu II wojny światowej i historycznej daty w którą wpisana jest gliwicka prowokacja.

TADEUSZ KIJONKA



Marci Shore *Kawior i popiół*, Świat Książki, 2009, tłum. Marcin Szuster.

Oczarowanie i rozczarowanie

Autorka tej niezwykłej książki, Marci Shore, jest profesorem historii na Uniwersytecie w Indianie. W roku 2004 rękopis książki *Kawior i popiół* został wyróżniony Fraenkel Prize, nagrodą przyznawaną autorom wybitnych prac z – dziedziny historii współczesnej. Nic nie wiemy o konkurentach Marci Shore do tej prestiżowej nagrody, lecz ci, którzy wyróżnili jej dzieło, nie mogliby wykazać się większą kompetencją, jako historycy, znawcy przedmiotu, ale i jako ludzie obdarzeni pierwszorzędnym gustem literackim.

Możliwe, że owa literackość, narracyjność *Kawioru i popiołu,* jeśli nawet nie stanowiłaby nieprzekraczalnej przeszkody w uznaniu jej jako pełnowartościowej pracy doktorskiej, to jednak kłóciłaby się z wypracowaną w Polsce tradycją dzieła *par excełence* naukowego. I znów, nie opór, lecz pewne zdziwienie mógłby wywołać język tej pracy, daleki od akademickości, styl, w którym jest miejsce na dezynwolturę, paradoks, anegdotę, żart, ba, dowcip nawet! Każdy recenzent naukowy z respektem odniósłby się do potężnego aparatu bibliograficznego, przypisów, które zajmują blisko sto stron tej liczącej czterysta stron czystej pracy doktorskiej, nie licząc „Trzech akapitów do polskiego czytelnika" i kilkustronicowych podziękowań. Jednakże mógłby mieć pewne zastrzeżenia do sposobu w jaki uczona dama korzysta z naukowych źródeł. Są one bowiem wplecione w tok narracji, gdy trzeba, wzięte w cudzysłów i opatrzone numerem, ale tak, aby nie narzucać się czytelnikowi swą drobiazgową pedanterią. Bo ta książka jest opowieścią! Przede wszystkim – opowieścią.

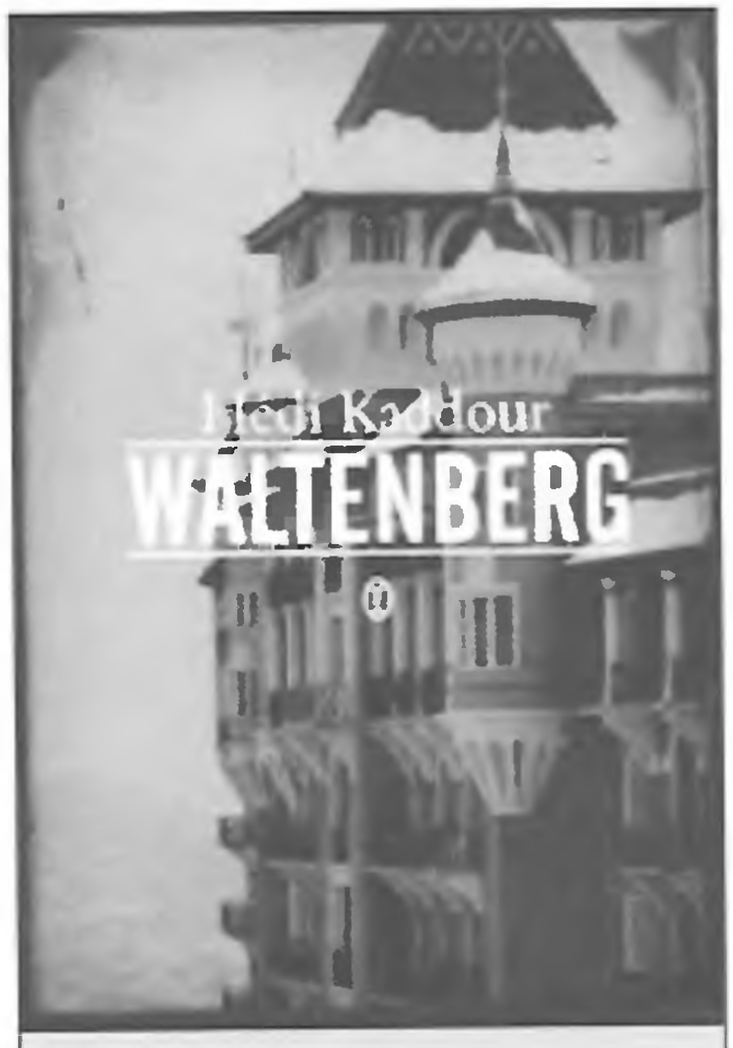
Podtytuł: „Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem". Przed wstępem (pt. „Kiedy Bóg umarł...") przywołującym w tytule tezę obwieszczoną przez F. Nietzschego na 36 lat przed owymi słynnymi dziesięcioma dniami, które wstrząsnęły światem, kiedy to Bóg nie tylc po nietzscheańsku umarł, co po leninowsku został zamordowany, Marcia Shore przedstawia, niczym dramaturg przed tekstem swojej sztuki, listę postaci występujących w *Kawiorze i popiele.* Nie wszystkich, bo tylko pierwszoplanowych, że wymienię kilka z nich: Jakub Berman, Jerzy Borejsza, Władysław Broniewski, Stanisław Ryszard Stande, Wanda Wasilewska. Ola i Aleksander Watowie, Adam Ważyk, Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Bruno Jasieński, jeszcze kilka. Plan drugi i trzeci, bogate, nader żywe tło zaludnia jeszcze plejada postaci epizodycznych, nie mniej wyrazistych od „głównych osób dramatu", które dopełniają ten, zaiste, wstrząsający *danse macabre.*

Tak, taniec śmierci! Wielu z bohaterów tej doskonale udokumentowanej powieści, swoje oczarowanie marksizmem, co gorsza: miłosne urzeczenie komunizmem i Rosją Sowiecką, przypłaciło śmiercią – i to w ojczyźnie światowego proletariatu lub, gdy szczęście im dopisało, pobytem, z niewiadomym wyrokiem, w sowieckich więzieniach i łagrach. Rzecz godna odnotowania: nieliczni z nich — jak Tadeusz Boy-Żeleński (w tej książce postać z drugiego planu) – zginęli z rąk niemieckich. W tej opowieści o polskich inteligentach (i inteligentkach!) zakochanych bez pamięci w ZSRR i uciekających pod jego obronę, śmierć, obok legitymacji członka komunistycznej partii, nosi drugą legitymację: funkcjonariusza NKWD, a obok symboli, jak sierp i młot, prawdziwy nagan.

Przecież są to rzeczy znane, przez wielu opisane. To prawda. Bo też do nas skierowane są tylko owe trzy akapity (do polskiego czytelnika), reszta, czyli cała opowieść z przypisami – do czytelników anglojęzycznych, zainteresowanych – jak pisze Marcia Shore – europejską historią i kulturą. A to ważna uwaga, ponieważ historia kilkudziesięciu postaci (Polaków głównie żydowskiego pochodzenia, z nielicznymi wyjątkami, jak Władysław Broniewski szczycący się swoją słowiańskością i szlacheckością) dzieje się na prowincji europejskiej, ale jednak w Europie, w ścisłym powiązaniu z historią Europy w XX wieku, z jej (spenglerowskim) zmierzchem, zdradą (bendowską) klerków, z apokalipsą hitlerowskich obozów koncentracyjnych i stalinowskiego archipelagu gułag. Czytelnika polskiego, który zna „Mój wiek" Aleksandra Wata, ale i dzieje „Skamandra" i rodzimej awangardy, który studiował w zaciszu bibliotecznym roczniki „Wiadomości Literackich", który przeżył kawał swojego życia w komunistycznym Peerelu, i pamięta straszne skutki wytężonej pracy teoretyków („terroretyków" – jak pisze Marcia Shore!) realizmu socjalistycznego, i ich nagły odwrót od komunistycznej ewangelii (i pełnej pasji, a nawet furii „ewangelizacji") w Październiku 1956 roku – tego czytelnika nie zaskoczy Marcia Shore jakimś odkrytym świeżo dokumentem (bo trudno za takowe uznać dedykacje spisane *przez* autorkę *Kawioru i popiołu* na tomikach skamandrytów, futurystów (Jasieński i Stern) i awangardystów (Ważyk), udostępnione jej w Muzeum Majakowskiego w Moskwie), owszem, coś uporządkuje, coś przypomni, coś uwydatni. To jest książka dla cudzoziemca!

FELIKS NETZ

Panorama XX wieku



Hédi Kaddour: *Waltenberg*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009. 713 stron.

Tomasz Mann współczesności, Marcel Proust, który odnalazł „swój" czas i Lew Tołstoj z Francji rodem – oto najkrótsza charakterystyka Hédiego Kaddoura – pisarza, eseisty, literaturoznawcy; autora „Waltenbergu" – „oczekiwanej od kilkudziesięciu lat *la grand roman français* – wielkiej powieści francuskiej". Ta – nominowana do Nagrody Goncourtów książka – to jedno z największych przedsięwzięć translatorskich ostatniego okresu. Opasłe tomiszcze, promowane jako „wielka panorama historii XX wieku; opowieść o przyjaźni, miłości, tajnym wywiadzie i wielkiej polityce", jest w stanie zaspokoić nawet najbardziej wysublimowane gusta czytelnicze.

Czwórka głównych bohaterów – niemiecki pisarz Hans Kappler, francuski dziennikarz Max Goffard, amerykańska śpiewaczka Lena Hellström (vel Hotspur) i proradziedzki polityk Michael Lilstein – tworzy trzon tej siedmiusetstronicowej powieści. Akcję książki rozpoczynają wydarzenia roku 1914, kiedy to „francuska kawaleria przypuszcza szturm na niemieckie marzenia", Kappler wspomina ukochaną Lenę, a Max wyraża swoją opinię o karabinach dla dzieci. Migotliwa, momentami impresjonistyczna narracja z licznymi retardacjami, pozwala czytelnikowi nie tylko wniknąć w realia I wojny światowej, ale i poznać świat przeżyć wewnętrznych – stojących po dwóch stronach barykady – Hansa i Maxa. Kolejne rozdziały nie tylko obnażają coraz to inne aspekty ich przyjaźni, ale i stanowią parabolę losów uniwersalnych. Drobno utkana sieć połączeń pomiędzy bohaterami staje się bowiem punktem wyjścia dla losów całej XX-wiecznej Europy.

Właściwa akcja książki nie rozpoczyna się – wbrew utartemu zwyczajowi – na jej pierwszej stronie, a dopiero wraz z nadejściem roku 1956, kiedy to Michael Lilstein, enerdowski szpieg, werbuje tajemniczego francuskiego kreta. Spowolnienie akcji i przerzucenie ciężaru fabuły z pola bitwy do serca szwajcarskich Alp pozwala zarówno na zaznajomienie się z mapą naszego globu, jak i – co równie ważne – z obowiązującymi w wieku XX, tendencjami artystycznymi. Powieść Kaddoura to nie tylko panorama losów politycznych minionego stulecia. To także wachlarz zmieniających się estetyk.

Konstrukcja rozmów Miszy z – „nowo narodzonym" w rozdziale czwartym – agentem jest arcydziełem sztuki narracyjnej. Wielopoziomowa polifoniczność utworu pozwala poznać punkt widzenia każdej z postaci, w tym... każdego z narratorów. Tych jest bowiem w powieści pod dostatkiem. Nawet czytelnik może się poczuć jednym z nich (tego typu literackie gry – jak sądzę – zawdzięcza autor Proustowi. który jako pierwszy uczynił z czytelnika współtwórcę dzieła w procesie lektury). Wspominany rozdział czwarty rozpoczyna nota: „Przyjaciel Michaela Lilsteina zaprasza cię na homara (...), spotkasz w wagonie pierwszej klasy piękną kobietę w czerwieni...", wieszcząca szereg, oczekujących na nas (siedzących przecież grzecznie w domu ludzi!) atrakcji.

Ucieczka od chronologii jest jednym z wielu atutów książki. Zabieg ten pozwala Kaddourowi na maksymalne skupienie uwagi czytelnika; zmusza do śledzenia – wraz z agentami CIA – zagadkowego kreta. A że jego personalia poznajemy dopiero na ostatnich kartach dzieła, tym i „przyjemność tekstu" (a więc, jak pisze Barthes „chwila, w której ciało rusza w ślad za własnymi myślami") większa. Poza rozkoszą „zmysłową", książka zapewnia rozrywkę intelektualną; stanowi nie lada wyzwanie. Kaddour, mocno igrając z historią najnowszą, odsłania karty wielu afer, przytacza anegdoty ze Stalinem czy Berią w rolach głównych, płatając tym samym czytelnikowi figla, granice między prawdą a fikcją ulegają bowiem zatarciu. Pozorna dbałość o szczegół okazuje się zwodnicza. To nie detale są centrum opowieści, a – zawsze niedostępny – świat przeżyć wewnętrznych.

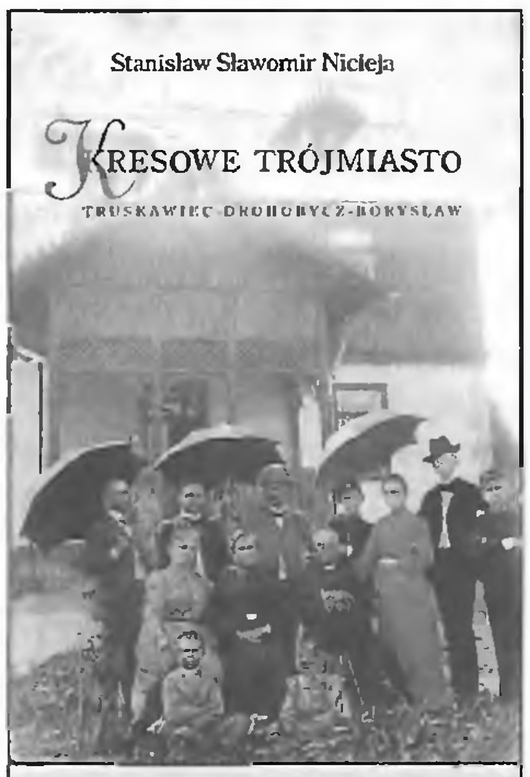
Dziesiątki bohaterów, wiele – często przeciwstawnych – poglądów, gorące uczucia i 77 lat historii łączy jedno – tytułowy Waltenberg. Jest to alpejska miejscowość, w której znajduje się luksusowy hotel Waldhaus, miejsce „torowania drogi prawdzie". To tu. w szwajcarskiej Gryzonii, w trzeciej dekadzie XX stulecia spotykają się filozofowie, ekonomiści, politycy i artyści, by rozmawiać o losach Europy. Nieco później w tym samym miejscu odbywają się spotkania Lilsteina z kretem.

Waldenberg to miejsce, w którym „odnalazł się" czas (a może jego tam po prostu nie ma?) W powieści czytamy: „Niewielki most przy wjeździe do miasteczka stoi, jak stał, [Michael] chodził po nim co wieczór, paląc swoje pierwsze fajki napełnione ciemnym tytoniem, wymieszanym z tytoniem holenderskim o miodowym smaku, rozgwieżdżone niebo zwiastowało mróz, pod mostem ten sam co kiedyś szmer strumyka, wszystko mu się wydaje mniejsze, niż dwadzieścia pięć lat temu, ale to wciąż to samo, ten sam most przy wjeździe do miasteczka". Zmienia się władza, zmieniają układy sił w Europie; nawet – promowane przez Lilsteina „dwie dusze" (marzycielska i pragmatyczna) stopniowo tłamszą się nawzajem. Jedyne, co pozostaje nienaruszone to Waldenberg – miejsce mniej dziewicze, niż Proustowskie Combray, wywierające jednak równie silny wpływ na teraźniejszość i oferujące podobną dawkę słodkości (słynną magdalenkę zastępuje tu przysmak Lilsteina – Linzer Torte).

Książka Kaddoura jest więc nie tylko powieścią szpiegowską, romansem czy alternatywnym podręcznikiem historii najnowszej, ale nade wszystko opowieścią o czasie, o przemianach, które są nieuniknione, o kolejach losu i – zataczającej krąg – zdradzie. Urodzony w Tunisie pisarz mówi głosem swych postaci: „myśl nigdy nie zdoła uchwycić trwania". Ujęcie w literackie ramy konkretnego momentu dziejowego nie staje się więc – jak sądzę – ambicją pisarza. Miast tego akcentuje autor ciągłość Historii – często nieracjonalnej, bo „gdyby rozum rządził światem, nic by się na nim nie działo".

By ostatecznie podsumować tę – grającą tendencjami powieści mieszczańskiej książkę – wystarczy sięgnąć do... jej wnętrza. Czytamy tam: „To był świetny pomysł na powieść. Herr Kappler, przełomowe momenty ostatniego półwiecza, dziesiątki znakomitych scen..." By cytat ten okazał się adekwatny w stosunku do „Waltenbergu", wystarczy zastąpić Herr Kapplera monsieur Kaddourem. I rozkoszować się lekturą.

SABINA KWAK



Stanisław Sławomir Nicieja: *Kresowe trójmiasto. Truskawiec – Drohobycz – Borysław,* Wydawnictwo MS, Opole 2009, s. 294.

Zapomniane miasto

Profesor Stanisław Sławomir Nicieja, wieloletni rektor Uniwersytetu Opolskiego, od wielu lat zajmuje się dawnymi Kresami Wschodnimi Rzeczypospolitej, co jakiś czas poświęcając im swoje kolejne książki. Zasługi Nicieji na tym polu są wielkie, by przypomnieć tylko jego wysiłki zmierzające do przywrócenia pamięci o Cmentarzu Łyczakowskim. W latach 90. był także współautorem serii filmów dokumentujących polskie dziedzictwo kulturowe na Kresach. Blisko współpracował wówczas ze zmarłym w roku 2007 Jerzym Janickim, wybitnym scenarzystą, pisarzem i filmowcem. To właśnie Janickiemu Nicieja zadedykował swą najnowszą książkę, kończąc ją rozdziałem poświęconym autorowi scenariuszy do seriali „Polskie drogi" czy „Dom".

Kresowe trójmiasto. Truskawiec – Drohobycz – Borysław to ujęta w popularno-naukowe ramy opowieść o zapomnianym skrawku dawnego województwa lwowskiego, który zasłynął wartościami na zawsze, niestety, utraconymi. W okresie międzywojennym, a właściwie już dużo wcześniej, niewielki Truskawiec wyrósł na jedno z najpiękniejszych i najnowocześniejszych uzdrowisk polskich, z którym równać się mogła tylko Krynica. W książce zamieszczono wiele ilustracji i dawnych pocztówek przedstawiających wspaniałe wille i liczne domki zdrojowe. Wprawdzie uzdrowisko to, słynące z kilku gatunków wód, w tym „Naftusi", istnieje do dzisiaj, ale dawna tkanka architektoniczna została w czasach sowieckich niemal doszczętnie zrujnowana i zastąpiona blokowiskami. Dzisiejszy obraz tego miejsca musiał pozostawić w autorze gorycz, skoro zdecydował się na zamieszczenie tylko dwóch współczesnych zdjęć, pokazujących odrestaurowany w ubiegłym roku pomnik Mickiewicza. Truskawiec doprawdy był perłą o europejskim blasku. Doceniały to elity II Rzeczypospolitej. Regularnie bywali tu politycy (m.in. Piłsudski i Witos), sportowcy (m.in. Walasiewiczówna i Konopacka), aktorzy i śpiewacy (m.in. Ordonówna, Dymsza i Kiepura), pisarze i poeci (m.in. Witkacy, Tuwim i Słonimski). Ale najwięcej uwagi Nicieja poświęcił budowniczym kurortu, właścicielom zdrojów i rezydencji, słynnym lekarzom (m.in. światowej sławy onkologowi Kazimierzowi Pelczarowi).

A Drohobycz? Najwięcej uchował z niegdysiejszego czaru, choć od dawna nie można już nazwać go – za Marianem Hemarem – „półtora miastem" („połowa Polaków, połowa Ukraińców, połowa Żydów"). Nieodłącznie kojarzy się z Bruno Schulzem, ale Nicieja przypomniał także innych pisarzy i artystów związanych z tym miastem. M. in. Andrzeja Chciuka, który po wojnie wylądował w Australii. Sporo uwagi poświęcił także urodzonemu w Drohobyczu Kazimierzowi Wierzyńskiemu, malarzowi Feliksowi Lachowiczowi czy braciom Gottliebom.

Drohobycz uchodził za stolicę polskiego zagłębia naftowego, ale najwięcej szybów wzniesiono w nieodległym Borysławiu, gdzie powstawały wielkie fortuny i gdzie także dokonywały się najbardziej widowiskowe bankructwa. Opolski profesor przybliżył nam sylwetki budowniczych i inżynierów tego wydajnego, ale już dziś wyeksploatowanego zagłębia. Przypomniał też losy wybitnych postaci, który wyrosły w tym niezwykłym pejzażu (m.in. Ignacego Daszyńskiego i Hermana Liebermana).

KRZYSZTOF KARWAT



Dariusz Dyrda: *Rýchtig gryfno godka.* Instytut Ślůskij Mowy, Tychy 2009.

Jo móm wónty

Wziónech moja mało cera na klin i zaczółech ji czytać ta ksiónszka. Jak jako wancka zaczýła mi sie úoros wiercić, kopać gyrami i coś tam na boku łónaczyć. To jo jóm pytom: Chcesz suchać czy niý? A úóna mi pado: Niý chca, bo wola na kómpie pograć! Żech ji pedzioł: Dzioúcha, dej se pozůr, Dydrda godo, że to je rýchtig gryfno godka i ty jóm mosz znać! A úona mi odfuknyła: Fulosz fater i fanzolisz. Jo Dyrdy niý znóm, na pewno je s niego fajny kamrat, ale niý kosz mi tego suchać, bo nic s tego niý kumóm. Co żech mioú pedzieć? Że tak do prowdy jeżech krojcok i tysz niý wiým, czy úón mo recht?

No bo nie wiem. Co prawda Darek Dyrda jednoznacznie stwierdza, że jego ni to słownik, ni to elementarz śląskiej gwary zatytułowany „Rýchtig gryfno godka" jest, jak pisze w podtytule: „Pierwszym podręcznikiem mowy śląskiej", ale ja śmiem mieć pewne wątpliwości. A może inaczej: Jo móm wónty.

Po pierwsze – słowniki podobne do tego, który autor zamieścił w swojej publikacji, znajdują się w przynajmniej kilku wydanych wcześniej książkach stojących na moim regale ze śląską literaturą. Może i ten jest pełniejszy – nie odważę się stwierdzić, czy jest lepszy, czy gorszy od tamtych – ale jest kolejny. Z pewnością nie pierwszy.

Pozostając przy temacie, jednak wchodząc już w szczegóły – nie dowiaduję się z tego słownika (a moją żonę gnębi to od kilku miesięcy), jak nazywa się po śląsku zakładana kiedyś na tylne koło roweru (wg Dyrdy: koua; po mojemu: koúa) heklowano siatka, by jadącym w kieckach kobietom te kiecki nie wkręciły się w szprychy. No jak? Sak? Chyba nie, a po lekturze „Rýchtig gryfnýj godka" nadal nie wiem.

Po drugie – mimo niezaprzeczalnej rzetelności autora, ogromu wykonanej przez niego pracy oraz naprawdę budzącej respekt znajomości rzeczy – nie odważyłbym się nazwać jego książki podręcznikiem. Rozumiem pod tym pojęciem opracowanie, w którym znajdę pełną i usystematyzowaną wykładnię wszelkich reguł, jakimi rządzi się dana mowa.

Tutaj tego nie ma. A może inaczej – jest, jednak podane wyłącznie w formie „prawideú" na zakończenie każdego z kilkunastu opowiadań tworzących pierwszą część książki. Autor, wskazując jednostkowe przykłady zwrotów lub konstrukcji werbalnych, skupia się najczęściej na nich samych – co jest o tyle dobre, że poznajemy konteksty ich wykorzystania; jednakże ograniczając się do omówienia konkretnego tekstu, Dyrda z rzadka tylko odważa się definiować ogólne zasady. Nie objaśnia w wyczerpujący sposób śląskiej deklinacji ani koniugacji, nie wkracza na zawiły grunt śląskiej składni ani stylistyki (na przykład: charakterystyczne dla tego języka kończenie zdania spójnikiem „ale").

Oczywiście – objaśnianie reguł na żywych przykładach ma swoje niezaprzeczalne zalety, bo nie ma w nim nudy wiejącej z teoretycznych rozpraw, jednakże nie należy wówczas używać słowa „podręcznik", gdyż bliższe jest sformułowanie „czytanka". Zastosowane przez autora podejście powoduje, że żaden gorol po zapoznaniu się z jego książką raczej się śląskiej mowy nie nauczy, a co najwyżej będzie lepiej rozumiał rozmowę dwóch hanysów. Dlatego po mojemu „Rýchtig gryfno godka" jest raczej pozycją przeznaczoną dla tych, którzy już gwarą się posługują, niż podręcznikiem dla tych, którzy dopiero chcieliby ją opanować.

BOGDAN PREJS

Barbara Gruszka-Zych

Ostatnie śniadanie



Barbara Gruszka-Zych: *Ostatnie śniadanie*. Sopot 2009.

Codzienność niezwykła

W lirykach Barbary Gruszki-Zych główną rolę odgrywa potężny ładunek emocjonalny, skrywany w drobnych, kilkuwersowych zwykle utworach – nastrojowych perłach. Udaje się tej autorce wyzwolić ogromny potencjał poetycki z międzysłownych połączeń, urokliwych metafor, w których spajają się doświadczenia prywatne, wręcz osobiste lub intymne z uniwersalizowanymi spostrzeżeniami. Wyrastające na gruncie konkretnych doznań obserwacje cechują się ulotnością: Gruszka-Zych zamienia je w impresyjne wiersze o ogromnej sile oddziaływania. Dowodem na wyczulony metaforyczny słuch poetki może być opublikowany w „Bibliotece »Toposu«" niewielki objętościowo tomik *Ostatnie śniadanie*. Barbara Gruszka-Zych potrafi wychwytywać frazy porywające, w swoich wierszach odwołuje się do wielkich tematów: przypomina zagadnienie śmierci i przemijania (to zresztą stały motyw kolejnych zbiorków), opowiada o miłości matczynej oraz o tęsknotach i nadziejach. Istnienie podobnych wątków, wielokrotnie już w literaturze realizowanych, także przez samą poetkę, wyzwala przeważnie podejrzenie o sztampowość i powtarzalność realizacji, jednak w *Ostatnim śniadaniu* Gruszka-Zych z każdym tekstem na nowo zaskakuje, wprowadzając nasycone uczuciowo, lecz nie sentymentalne opisy. Przenośnie, jakimi się posługuje, są ascetyczne w formie, ale bardzo pojemne i bogate znaczeniowo. Daje się zauważyć w wierszach z tego tomiku tendencję do przeplatania sfer *sacrum* i *profanum,* powracają tu też próby interpretowania codzienności przez elementy otoczenia, nieprzystające do prezentowanego świata. To stosunkowo prosty chwyt, który przynosi olśniewające efekty. Gruszka-Zych konstruuje przy jego pomocy obrazki rodzajowe, zamieniane ze zwykłych, nieciekawych fotografii bez przykuwającej uwagę treści w piękne malowidła, urzekające jednocześnie prostotą i niepowtarzalnością: do takich osiągnięć zaliczyć można oczy sęków w stole, czy watę śniegu, przyklejonego do łapki bażanta. W ujęciu Barbary Gruszki-Zych to, co monotonne, nudne i już niezauważane, przeobraża się w fascynujące i pełne tajemnic. Poetka dzięki antropomorfizacjom oraz ciągłym odwołaniom do rzeczywistości tworzonej przez człowieka uruchamia mnogie sensy, dynamizuje statyczne scenki i odkrywa głębię oswojonych (więc odruchowo banalizowanych) widoków. W lirycznych miniaturach, niekiedy na przestrzeni zaledwie dwóch słów, wyzwala się tu szczególnie silne emocje: ich brzmienie podsyca jeszcze niezmienna kruchość i delikatność tej poezji.

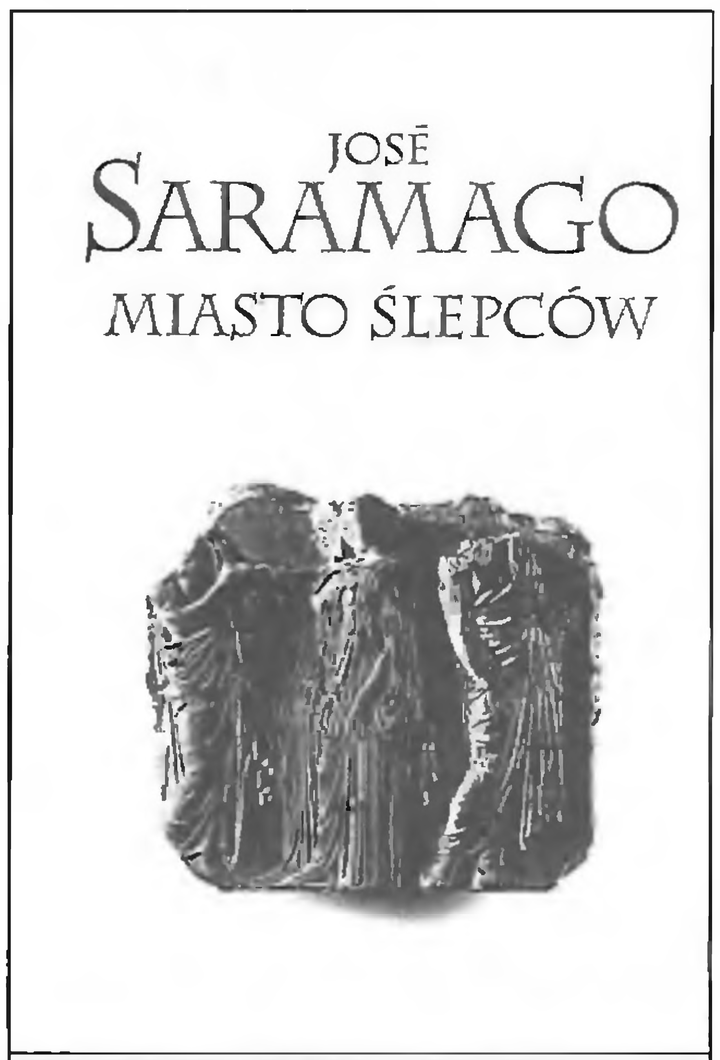
Kilka utworów z *Ostatniego śniadania* przypomina poetyckie reportaże – to doświadczenia przełożone na wiersz. Próby tłumaczenia również pełne są atrakcyjnych dla odbiorców określeń. Autobiograficzny klucz pozwala wyjaśnić zakres poruszanych tematów, realia stają się natomiast inspiracją dla kolejnych tekstów – stąd choćby serce w wyniku przesłuchania sądowego oskarżone o wadę czy wizja operacji przyrównanej do prozaicznej czynności – krojenia chleba na stole. Naturalność, jaką przykłada Gruszka-Zych do zjawisk rzadkich, prawie egzotycznych, miarę rytmu codzienności staje się podstawowym atutem zbiorku.

W *Ostatnim śniadaniu* podstawę tematyczną stanowi myśl o śmierci. Tytuł książki nawiązuje zarówno do motywu ostatniej wieczerzy, jak i – ostatniego pożegnania – jest zatem odwróceniem frazy pierwszej i powtórzeniem drugiej, co pokazuje, jak Gruszka-Zych dobrze zdaje sobie sprawę z ciężaru słów. Wbrew przypuszczeniom, ponure *memento* w obliczu zmysłowej, kobiecej liryki nie wywołuje dysonansu. O ile dotąd wątki eschatologiczne miały u Gruszki-Zych wymiar ponadczasowy, o tyle w najnowszym tomiku nacisk kładzie autorka na wydarzenia prawdziwe, jednostkowe fakty, dotyczące bliskich i przyjaciół; największy lęk przed śmiercią wywołuje rozstanie z kimś znajomym. Tym razem przedstawia poetka wstrząsającą historię odejścia dwuipółletniej dziewczynki („Małgosia nauczyła się liczyć / do dwóch lat i kilku miesięcy") i tragiczny wypadek mężczyzny. Powraca myślami do organisty, dawniej niezbyt lubianego, docenionego dopiero wtedy, gdy go zabrakło. W epigramatycznym pejzażu składa hołd Czesławowi Miłoszowi. Śmierć jest wszechobecna: teść starzeje się („nogi zaczynają się spóźniać tylko zegarki spieszą w inną stronę"), a pamięć o pewnej babci uobecnia się w przedmiotach, trwalszych niż ludzie. Szymborska pokazywała bezradność kota w pustym mieszkaniu – Gruszka-Zych idzie o krok dalej, skupia się na opuszczonych i bezsilnych ubraniach („bezradność bluzek na wieszakach ich opuszczone ręce / w domu smutek i kurz"). Udowadnia, że świadomość przemijania, wpisana w ludzką naturę, zaczyna się wyostrzać w obliczu tęsknoty. Ma mnóstwo sposobów na przekazanie informacji o upływającym czasie. Wtrąca skojarzenia, związane z odchodzeniem, w rozmaite konteksty, prezentuje między innymi klepsydrę piwa, w tej obrazowej metaforze przemycając myśl o śmierci i przemijaniu. Z rzadka próbuje złagodzić wizję kresu życia, szuka pocieszenia w drobiazgach i próbach unieśmiertelnienia człowieka, nawiązujących do klasyki: „do czego służą słowa pisane / pomagają słyszeć tych którym brakło głosu / rozmawiać z nimi otwierając pismo zamiast ust". Po człowieku zostają przedmioty, teksty, zapis głosu na taśmie – chociaż wiadomo, że „nie da się nagrać pożegnania" na automatycznej sekretarce. Nieczęsto zmarli „łaskoczą nas po piętach", pozwalając sobie na delikatną kpinę z odchodzenia.

Jest Barbara Gruszka-Zych mistrzynią celnej obserwacji, ujmowanej w zgrabne formułki, miniatury poetyckiej i wzruszenia pozbawionego egzaltacji. Nieustannie dziwi się światu (genezą wiersza może być telefon z życzeniami urodzinowymi z ogarniętego wojną miejsca), tworzy pod wpływem impulsu, jej liryka stanowi zapis chwil, rejestr wrażeń niezwykłych w swojej powszedniości. Magiczność tej poezji polega na nietypowym prezentowaniu naturalnych zjawisk i zastąpieniu neutralności nasyceniem emocjonalnym. Ważną rolę odgrywają tu przedmioty reinterpretowane przez pryzmat ludzkiego spojrzenia – to one nabierają sensu, pomagają tłumaczyć rzeczywistość i ukazywać jej złożoną strukturę.

IZABELA MIKRUT

Kaprawe oczy strachu



J. Saramago, *Miasto ślepców*, przeł. Z. Stanisławska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza S. A Warszawa 1999, s. 324.

Miasto ślepców to kolejna książka Jose Saramago przetłumaczona dla polskich czytelników (Warszawa, 1999). Portugalski pisarz i laureat Nagrody Nobla, którą otrzymał w 1998 roku, zdobył sławę i rozgłos dopiero w wieku sześćdziesięciu lat. Stał się rozpoznawalny jako twórca podejmujący w swych dziełach zagadnienia uniwersalne, ponadczasowe, wpisujący się tym samym w krąg humanistów snujących opowieść o ludzkim życiu, dla której odniesień i tłumaczeń poszukuje się w mitach i archetypach. Translatorskie zdolności tego prozaika przejawiają się na kartach każdego z jego dzieł, miedzy innymi: *Baltazar i Blimunda, Rok śmierci Ricarda Reisa,* czy też *Kamienna tratwa. Historia oblężenia Lizbony, Ewangelia według Jezusa Chrystusa, Wszystkie imiona* oraz *Podwojenie* – wymieniając tylko te tytuły, które zostały przetłumaczone na język polski.

O *Mieście ślepców,* książce, której fabuła osnuta została wokół jednego nadrzędnego wątku: nagłego ataku „białej choroby", a postaci są silnie stypizowane, stając się reprezentantami postaw ludzi, czyli – najogólniej rzecz ujmując – dzieląc się na dobrych i złych, należy mówić jako o powieści-paraboli. Epidemia ślepoty, jaka któregoś dnia rozprzestrzeniła się w nieokreślonym miejscu na Ziemi, ot tak dopada wszystkich mieszkańców. Prawie wszystkich. Widzi tylko jedna osoba, żona lekarza okulisty, dla której to błogosławieństwo staje się wkrótce prawdziwym przekleństwem.

Ktoś kiedyś powiedział, że dopiero w sytuacji zagrożenia można odkryć prawdziwą naturę człowieka (inna mądrość ludowa podobnie kreśląca związki międzyludzkie to na przykład: prawdziwego przyjaciela poznajemy w biedzie, czy też – przywołujące o wiele bardziej drastyczne obrazy – słowa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego: „Człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach (...)"). Kiedy okazuje się, że rzeczywiście w sytuacji ekstremalnej człowiekiem rządzą nie kultura i tradycja, ale zew, to – jak pisze Saramago – „nie trzeba wielkiej wyobraźni, by pojąć grozę sytuacji, ujrzeć wielkie kaprawe oczy strachu (...)". W miejscu internowania ślepców, opuszczonym i rozpadającym się szpitalu psychiatrycznym. gdzie przez jakiś czas wegetują głodni i upokorzeni chorzy, wszelkie codzienne sprawy reguluje odwrócony kodeks moralny, odtwarzany codziennie o stałej porze przez głośniki w salach, niepisane prawo dżungli. Jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, oprócz tych, którzy mimo cierpienia i żalu znoszą nieludzkie warunki, trafiają się psychopaci. Te fragmenty książki Saramago, które stanowią zapis ich „aktywności" bardzo silnie oddziałują na wyobraźnię czytelnika, pozostawiając żywy obraz w jego pamięci na bardzo długo. Zostają one spotęgowane przez dopowiedzenia narratora, który jest wszechwiedzący, stara się być obiektywny, ale jednocześnie bardzo często zdradza swoje myśli. Robi to w sposób szczególny. Zapis treści w *Mieście ślepców* jest specyficzny. A to z dwóch względów. Po pierwsze, analiza formalna tekstu każe zastanowić się nad tym, dlaczego dialogi postaci nie zostały wyodrębnione. Nie zostały, ponieważ – jak się okazuje – taka forma zapisu sygnalizuje jedność przekonań, komunię opinii i sądów wypowiadanych przez bohaterów i narratora-obserwatora (a świadczy o tym oczywiście przede wszystkim sens poszczególnych wypowiedzi). Po wtóre natomiast: zdania w powieści zostały mocno rozbudowane, a cezury między nimi nie są wyznaczane przez kropki, lecz kolejne przecinki. Sprawia to wrażenie płynącego strumienia myśli, opisów i dialogów, które ściśle ze sobą korespondują i w przeplecie komponują się w kłącza. Narratora cechuje empatia. On wciąż wierzy w to, że zniewoleni odbywający kwarantannę przetrwają, że misja żony lekarza (nieujawniającej bardzo długo, że ślepota jej nie dotknęła) ma sens, a wreszcie, że człowiek jest dobry. Czy w istocie jednak taki jest? Przecież, zważywszy na paraboliczne przesłanie powieści Saramago, metaforycznie ujęta ślepota, ta zwana często ignorancją, egoizmem i innymi poza medycznymi określeniami, miała zostać uleczona w sytuacji, kiedy odetnie się dopływ świata zewnętrznego do duszy ludzkiej, by możliwe stało się spojrzenie w głąb siebie, bo przecież – cytując Małego Księcia – „najważniejsze jest niewidoczne dla oczu".

Miało być tak pięknie, wszak (tu cytat z *Miasta ślepców):* „Być może w świecie ślepców wszystko będzie wreszcie prawdziwe (...) Ludzie zaczną wreszcie być sobą, ponieważ nikt nie będzie im się przyglądał". Być może. Nie wiadomo tylko, czy lepiej będzie, jeśli już zawsze będą pamiętać o tym, co ich spotkało, czy jeśli dane im będzie zapomnieć. Przecież prawda o naturze ludzkiej, jaką odczytujemy z kart powieści Saramago okazuje się niezbyt budująca, a tym bardziej pożądana. Miało być najpiękniej zaraz po tym, jak „dostrzegą" i spokornieją. W takim rozumieniu epidemia „białej choroby" może być rozumiana jako szansa na odpokutowanie, odkupienie win. Zatem mieszkańcy zostali ukarani za to, że nie potrafili dostrzec tego, co istotne. *Miasto ślepców* zawiera takie oto *memento,* które zostało wyłożone już w motcie do książki, będącym fragmentem z *Księgi Przestróg:* „Jeśli masz oczy, patrz. Jeśli widzisz, spostrzegaj".

Powieść José Saramago po prostu trzeba przeczytać. Można też zobaczyć film, licząc się jednak w tym przypadku z brakiem wielowymiarowości w sposobie przedstawienia psychiki ludzkiej, jakiej studium odnajdujemy w książce. Niestety wymowy i sposobu prezentowania świata przedstawionego i postaci *Miasta ślepców* nie udało się – moim zdaniem – oddać filmowi powstałemu na podstawie tej powieści w 2008 roku w reżyserii Fernando Meirellesa i z Julianną Moore w roli głównej. Dlaczego? Przede wszystkim i nade wszystko dlatego, iż bliżej filmowi do estetyki hollywoodzkiego rozmachu niż do wielopłaszczyznowej analizy człowieka – bohatera opowieści snutej z enklawy niewidomych, jaką stworzył portugalski noblista. Dzieło Meirellesa jest jedynie – jeśli można – przekąską dla oczu, natomiast parabola Saramago stać się może daniem głównym dla duszy. Jak się okazuje, słowo jako narzędzie literackiego przedstawiania świata oddziałuje tutaj intensywniej i sugestywniej niż obraz kinowej produkcji. Między innymi również właśnie dlatego warto tę powieść-parabolę przeczytać.

EWA CHROMIK

Wojciech Janota: *Dla Śląska. Szkice o sławnych Polakach.* Wyd. „Śląsk", Katowice 2008, s. 264.

Można się dowiedzieć z tej książki m.in. że Bolesław Prus nie polubił Wisły (przyczyniła się do tego jego agorafobia), podobały mu się natomiast Katowice, które odwiedził w czasie swojej podróży zagranicznej (swój podziw wyraził zestawiając to miasto z Sosnowicami należącymi do „jego", czyli rosyjskiego zaboru). Można się zapoznać z katowickimi uroczystościami (dzwony kościelne, salwy honorowe, przemówienia) związanymi z przejazdem specjalnego pociągu przewożącemu szczątki Henryka Sienkiewicza (kochanego na Śląsku za *Krzyżaków*) ze Szwajcarii do Warszawy. Jest relacja ze spotkania Korfantego z Dmowskim w Sosnowcu, informacja o związkach z regionem Włodzimierza Tetmajera (nie tylko projektował wystrój do kościołów w Sosnowcu i Ligocie pod Białą, ale apelował też o wsparcie dla śląskich powstań). Kilkadziesiąt sylwetek, cytowane obficie mało znane lub całkiem zapomniane źródła. Lektura obowiązkowa dla lokalnych patriotów, ale też dla tych wszystkich, którzy zajmują się edukacją regionalną.

Jan Kajfosz: *Magia w potocznej narracji.* Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2009, s. 316.

Tytuł brzmi intrygująco, a przez to niewinnie. Magia jest modna, o czym świadczy powodzenie książek i filmów, których jest tematem. Ostrzegam zatem, że to poważna praca naukowa z zakresu językoznawstwa. Językoznawstwa współczesnego, które bada wprawdzie nadal to, co zawarte jest w nazwie tej dyscypliny, ale w kontekście społeczno-kulturowym. Mówiąc jaśniej – przedmiotem badań jest człowiek-użytkownik języka, człowiek żyjący w społeczności komunikacyjnej. Jeżeli się przebrnie przez specjalistyczną terminologię, która niewiele ma wspólnego z „narracją potoczną", można naprawdę znaleźć się w świecie magii, bo ta książka otwiera przed nami nowy sposób myślenia o języku. Polecam ją jednak nie tylko polonistom, ale też tym wszystkim, którzy zajmują się folklorem, ponieważ teksty wybrane do analizy to autentyczne ludowe gawędy i opowieści ze Śląska Cieszyńskiego. Wprawdze wywód ma charakter uniwersalny, myślę jednak, że folkorystów zainteresuje badanie tekstów i z takiego punktu widzenia.

Mateusz Wiliński: *Stosunki polsko-niemieckie w latach 1982-1991.* Wyd. „Śląsk", Katowice 2009, s. 218.

Niemcy dziś kojarzą się nam, współczesnym Polakom z Eriką Steinbach, planowanym wspólnie z Rosją rurociągiem na dnie Bałtyku, może jeszcze (żeby nie sięgać wyłącznie po negatywne konotacje) z faktem, że kiedyś państwo to mocno wspierało nasze wejście do Unii Europejskiej. Lektura książki Wilińskiego uświadomiła mi, jak szybko się zapomina o wydarzeniach, których byliśmy przecież świadkami 18, 20, 25 lat temu. Całkiem niedawno. A tyle się przez ten czas zdarzyło. W roku 1982 istniała jeszcze NRD i mało kto przypuszczał, że zjednoczenie Niemiec nastąpi tak szybko. A potem, po ciężkich dyplomatycznych bojach spotkanie Kohl-Mazowiecki. Mały fragment historii ukazany został nie tylko poprzez deklaracje i traktaty, ale też relacje „z życia parlamentarnego" w obu krajach I wewnętrznych debat. Autor skoncentrował się wyłącznie na stosunkach politycznych, pomijając zupełnie wzajemne relacje np. w dziedzinie kultury itd. Mimo tego zawężenia tematu interesująca lektura.

***Tychy w czasach wojen. Materiały II Tykiego Sympozjum Historycznego.* [Seria: Zeszyty Historyczne]. Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2009, s. 92.**

Siedemdziesiąta rocznica wybuchu II wojna światowej stała się okazją do edycji wielu publikacji związanych z tą tragedią. Również w Zeszytach tyskiego Muzeum Miejskiego poświęcono jej wiele miejsca. Jednak znaleźć tu można także fascynujący materiał Dariusza Nawrota opowiadający o czasach wojen napoleońskich na Śląsku, ze szczególnym uwzględnieniem działań księcia Sułkowskiego. Natomiast Ryszard Kaczmarek (redaktor serii razem z Marią Lipok-Bierwiaczonek) pisze o „kajzerowskiej armii" i powstaniach śląskich. Z II wojną światową są związane teksty Piotra Adamczyka, Alojzego Lyski i Bartłomieja Warzechy. Zaś Aneta Ociepa poświęciła swoj tekst zbiorom tyskiego Muzeum upamiętniającym udział tyszan w wojnach. Zawsze czytam podobne rzeczy z wielkim zainteresowaniem, cieszę się, że muzea oraz inne instytucje mogą wreszcie je publikować bez cenzury. Tylko szkoda, że tak mało ludzi zajmuje się na serio edukacją regionalną młodzieży.

Jerzy Krasuski: *Polska-Niemcy. Stosunki polityczne od zarania po czasy najnowsze.* Wyd. „Ossolineum", Wrocław 2009, s. 384.

Omówiona powyżej książka koncentrowała się na dziejach najnowszych stosunków polsko-niemieckich i pokazywała, jak te relacje były (i są) skomplikowane. Krasuski też zajmuje się niedawnymi laty poświęcając im, rzecz prosta, niewiele miejsca. Nic dziwnego, bo swoją obszerną publikację zaczyna od czasów Słowian i Germanów, potem zajmuje się m.in. dążeniem cesarzy niemieckich do podporządkowania sobie Polski, zakonem krzyżackim, rozbiorami i, oczywiście, obiema wojnami światowymi. Jednym zdaniem – to kompletna historia naszych wzajemnych relacji politycznych, bardzo ciekawa, pokazująca, jak bardzo skomplikowane były. Wiemy, że Drzymała miał wóz, istniała Republika Weimarska itd. Ale wiele z przedstawionych przez autora faktów i wydarzeń jest stosunkowo mało znana szerszej publiczności. A tak na marginesie: wgłębiając się w ten wykład o trudnym sąsiedztwie na przestrzeni dziejów zaczyna się wątpić w łacińską maksymę, że historia jest nauczycielką życia.

***Strony. Opolskie pismo społeczno-kulturalne. Nr 1-2.* Wyd. Pedagogiczna Biblioteka Publiczna, Opole 2009, s. 346.**

Nie omawiam tu zazwyczaj periodyków, tym razem jednak muszę zrobić wyjątek, bo oto stał się prawdziwy cud. Oto w czasie światowego kryzysu opolskiemu (a więc bliskiemu nam) środowisku udało się wydać nowe pismo poświęcone literaturze, sztuce, najogólniej – kulturze. Piszę „nowe", choć *Strony* to właściwie reaktywacja periodyku, który – jak pisze redaktor naczelny, Jan Feusette – był „w zamrażarce" prawie 7 lat. Dlatego obok numeru 1-2 umieszczono w nawiasie 26-27. Sporo materiałów związanych z życiem kulturalnym Opola. Ale równie wiele ogólnopolskich. Do pierwszych po przerwie numerów redakcja zaprosiła „redaktorów bratnich pism z Polski" (dobry chwyt marketingowy). Wśród nich był też nasz kolega Felek Netz, który „zadebiutował" w nowych *Stronach* ciekawą prozą *Każdy anioł przeraża*. Poza tym – inni znani pisarze. Polecam ten tytuł wszystkim zainteresowanym kulturą. Redakcji zaś życzę równie interesujących następnych numerów ukazujących się bez żadnych przerw.

ANEGDOTY

HENRYK BZDOK



Kryspian Adamczyk – malarz i grafik, dał się w minionych czasach poznać jako uzdolniony projektant wnętrz, stąd nie dziwi jego wieloletni związek z „Miastoprojektem", choć dziwi a może i nie, że po Sosnowcu osiadł teraz w Pszczynie. Kiedy go tam ostatnio spotkałem, nie mogłem nie zadać mu pytania: ...a co się stało, że przeniosłeś się do tego pięknego miasta?

Siedliśmy pod parasolami kawiarenki na Rynku, a Kryspian zaczął tak:

– Wiesz Henio, urodziłem się w Warszawie, a ciotka co mieszkała w Skarżysku Kamiennej... a kiedyś potem będąc w Katowicach, natknąłem się na afisz mówiący o zapisach do Liceum plastycznego... chciałem do Warszawy, ale tam było już po egzaminach... a Katowice takie niezniszczone to i podobało mi się, więc poszedłem do liceum co było przy ulicy Stawowej...

– ... a taki w marynarce samodziałowej co tam był, powiedział: tu masz papier, sztalugi i ten odlew gipsowy, narysuj to... i wyszedł. Kiedy wrócił po czasie i spojrzał na rysunek rzekł:

– Jesteś przyjęty na drugi rok, zgłoś się w... a Rzepecka to była kosa, kiedy usłyszała, że nie znam geometrii... a potem to byłem jakby to jej asystentem.

Czas płynął, o powodzie przeniesienia się do Pszczyny ani słowa, a Kryspian ciągnął opowieść o tamtych Katowicach, profesorach co już odeszli, o figlach jakie płatali sobie i bliźnim, o pięknych koleżankach, zalotach i o skończonym liceum.

Później o studiach i jak to potem wylądował na ASP w Katowicach i o tym jak bał się przyznać ojcu, że wybrał pędzel a nie deskę kreślarską architekta jak to Tato widział.

I o tym jak się w końcu przyznał a ojciec rzekł:

– Majątku to ty synu nie zrobisz, ale życie będziesz miał wesołe...

Spojrzałem na zegarek, czas płynął, Kryspian gadał a odpowiedzi na pytanie – żadnej.

Potem odprowadził mnie do mego pojazdu. ni chwili nie przerywając opowieści, która sięgnęła już lat sześćdziesiątych... i wydarzeń. które i mnie były już znanymi, tylko wyjaśnienia dlaczego zamieszkał w Pszczynie nie było.

Postanowiłem go odwiedzić ponownie, a jeśli wtedy uzyskam odpowiedź na me pytanie to podzielę się i z Wami, a jeśli nawet nie to Kryspiana i tak słuchać warto.

JULIUSZ WĄTROBA

WEJŚCIE SMOCZKA

Weszliśmy w Europę
Kuchennymi drzwiami
Wcześniej zrobił to Szopen
Kopernik z ciałami
Niebieskimi
Co krążą
Po wszechświata drogach
To w komitywie z Bogiem
To znowu bez Boga

Europa w nas weszła
Do księżyca wilk zawył
Bo obsadzają krzesła
Żądni Europy sławy
By w Parlamentu lożach
Rozpierać się i gnuśnieć
Taka jest wola boża
(gdy z przemęczenia uśnie)

A ludek tonie w głodach
Klnie i ząbkami zgrzyta
Choć do radości oda
Tak pięknie nam rozkwita
Jak maj w zielonych głowach
Jak w śnie stokrotka złota
Jak w nas ciągle od nowa
Polityków głupota

WYZNANIE POLITYKA

Przed układem po układach
Przed aferą po aferze
Ponoć w bagno się zapadam
I sam nie wiem już w co wierzę
Ale tu nieważna wiara
(czy jest czarna czy czerwona)
Ważne by efektem starań
Była władza i mamona

Co tam głodny elektorat
Głupi i naiwny ludek
Ja gnam
Ze mną wilków sfora
W zyski w dziwki i w obłudę



PODKOPKI

EPITAFIA

EUGENIUSZ DEPTA

* * *

Pewnej aktorki
Tu spoczywa bardzo słodka
wielka diwa Cugier-Kotka.

* * *

Posła Cymańskiego
Poseł leży tu Cymański.
Grobu strzeże pies bezpański.

* * *

Posła Filipka
Poseł leży tu Filipek bez koszuli i bez slipek.

* * *

Posła Palikota
Poseł spoczął tu Palikot.
Płacze po nim sejm no i kot.

* * *

Dr h.c.
Doctor to honoris causa, ale teraz w życiu pauza.

* * *

Wykształciucha
Kończył szkoły jak się patrzy –
życie przeszło mu raz, dwa, trzy.

* * *

Eriki
Steinbach leży tu Erika,
co przestała wreszcie fikać.

* * *

Franza
Tu spoczywa Niemiec Franz,
bo zakończył życie ganz.

* * *

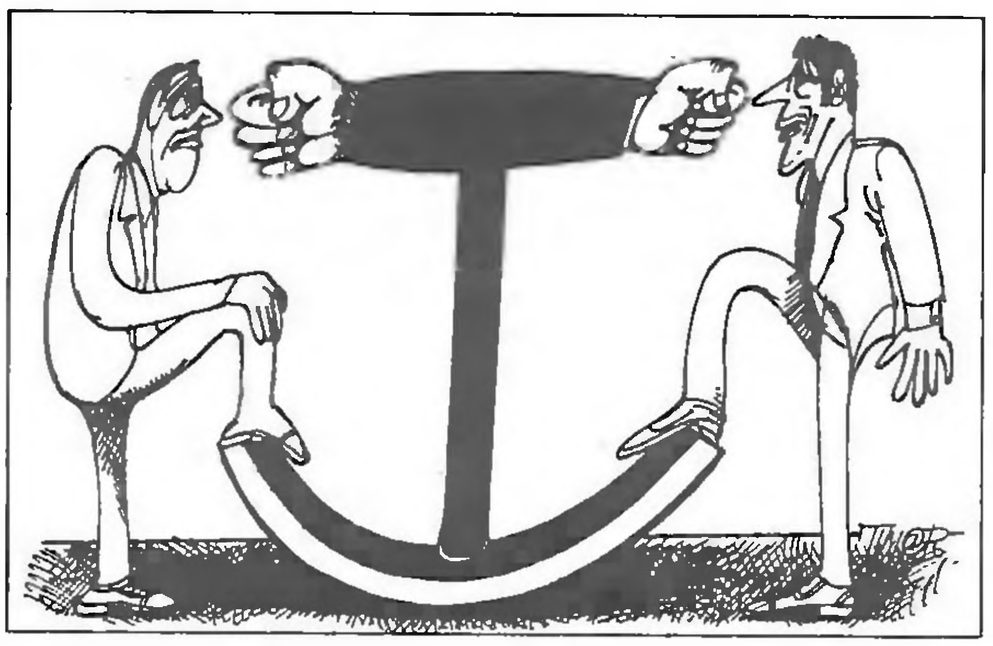
PZPR
Przewodnia tu siła leży narodu.
Miała dać szczęście – narobiła smrodu.

* * *

P. Pęka
Oto grób jest posła Pęka,
co zza grobu ciągle stęka.

* * *

Nelly
Tu spoczywa Nelly, przeciwniczka Tuska,
co nie dość, że Niemka, to w dodatku ruska.



Rys. Ryszard Twardoch

Na styku gestu i niewidzialnego



Foto. Tomasz Zakrzewski

Czym jest taniec? – to pytanie z pewnością może zadać oglądający fotografie Tomasza Zakrzewskiego. Ruchem? gestem? rytmem? dźwiękiem? ciszą? A może barwą? smugą światła? dotknięciem? muśnięciem? refleksem? Tancerz odpowie: ekspresją, wyrazem, uzewnętrznieniem, wizją. Ktoś inny dopowie: komentarzem, opowieścią, interpretacją.

Oto tancerz zanurzony w ogromną, udrapowaną, krwistoczerwoną materię – ledwo zauważalny, jednak obecny. Gdzie indziej ruch ciała rozłożony na poklatkowe ujęcia; sylwetka w embrionalnym ułożeniu, jakby szykująca się do kolejnego ruchu, przesiąknięta – do przezroczystości światłem; dziewczyna na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, zawieszona nad własnym odbiciem, napięte stopy i ramiona, reagujące na każdy zewnętrzny impuls, jakby stąpała po żarze węgielnym, a tu, pod jej stopami, tylko subtelne refleksy odbijające jej delikatne, sprężyste ciało; postać sprawiająca wrażenie fragmentu witraża... Gdzie indziej postaci stopione z tłem, w jednej, bez mała monochromatycznej tonacji. Wszędzie światło, światło, światło... wydobywające detale sylwetek z tła, bądź wręcz wpychające je w bezgraniczną przestrzeń. Każde zdjęcie to ruch – ruch pomiędzy jednym a drugim ułożeniem czy upozowaniem ciała, między jednym a drugim gestem, jakby przeczący fizyczności tego zjawiska.

Zakrzewski nie poszukuje w tancerzach ich osobistych emocji, rozterek, uniesień, nie fotografuje zmęczenia, radości – nadaje im inny wymiar, tworząc obrazy – niezwykle malarskie, przesycone kolorem. Tancerz staje się pretekstem do budowania w obrazie emocji i ekspresji poza tanecznych, a jednak z tańcem nierozerwalnie związanych, będących kwintesencją tego, co pod słowem „taniec" może się skrywać.

„Obiekty" swoich fotograficznych fascynacji od kilku lat odnajduje na deskach Śląskiego Teatru Tańca w Bytomiu. Każdy zespół, każdy indywidualny artysta to osobny rozdział zapełniany pozami i gestami nie tylko na scenie, ale też podczas prób i w różnych, innych sytuacjach. Zakrzewski przez te lata wypracował swoje „znaki rozpoznawcze", stał się artystą, którego można zidentyfikować zaledwie po kilku zdjęciach. Swoje zdjęcia kształtuje czasem jak freski, a czasem traktuje je bardzo kameralnie, podglądając i rejestrując jakby znienacka.

U Zakrzewskiego – to jedna z owych charakterystycznych cech – nie ma zbliżeń, nie ma detalu, konkretu, nie ma wysiłku, mięśni, twarzy, potu, tylko ruch i to co z niego wynika. Fotografuje jakby pierwotną ideę tańca – potrzebę wyrażania poprzez ciało emocji i ekspresji dla nich samych. Próbuje pokazać na swych foto – obrazach czystą ideę tańca. I na pewno udaje mu się to. Zdawać się może, że fotografia Tomasza Zakrzewskiego powstaje na styku idei gestu i ruchu postaci, w nierozerwalnym związku z siłą, jaka z nich emanuje a obiektywem – gdzieś pomiędzy znaczeniem scenicznym a zmysłem obserwacyjnym ich autora. Są ulotne, zawieszone w czasie i przestrzeni. Są żywiołem ale i uspokojeniem. Intrygują i zachwycają swym niebanalnym pięknem.

Tancerze na zdjęciach Zakrzewskiego istnieją sami dla siebie, dla ruchu właśnie lub jego braku, dla ekspresji, wyrażenia swego wnętrza, dla sprecyzowania poprzez swoje ciało, gest komunikatu dla widza. Zakrzewski wychwytuje te chwile bezbłędnie – to one później funkcjonują jako niezależne byty artystyczne, wyjęte z kontekstu całości spektaklu, z kontekstu anegdoty i opowieści. Pozostaje wrażenie, impresja – obraz. Tancerze istnieją dla przestrzeni, w którą zostają wpisani, współgrają ze światłem, które tak fascynuje Zakrzewskiego. Światło sceniczne – wystudiowane, „grające" w spektaklu, będące jego immanentnym elementem, w zdjęciach Zakrzewskiego stawiane jest na równi z tancerzem. Współtworzą aurę i nadają zdjęciom charakteru.

Jego zdjęcia powstają drogą eliminacji wielu elementów – siła wyrazu zawiera się często w geście, w kompozycji sylwety, w zderzeniu z elementem scenografii. Powstają foto – obrazy niezależne od spektaklu, dla potrzeb którego ów ruch został mozolnie skomponowany, Zakrzewski ma swoją choreografię, napędza te swoje istoty jakąś magiczną siłą, każącą im pokonywać ludzkie niedoskonałości i słabości.

Tomasz Zakrzewski to artysta z pewnością niepowtarzalny, który wytworzył własną poetykę i stylistykę. Jest absolwentem Studium Fotografii Profesjonalnej przy Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Jest jednym z nielicznych w Polsce fotografów specjalizujących się w fotografii teatralnej. Od ponad 10 lat współpracuje z czołowymi teatrami Górnego Śląska, m.in. Teatrem Rozrywki w Chorzowie, Teatrem Śląskim w Katowicach, Operą Śląską w Bytomiu, Gliwickim Teatrem Muzycznym i Teatrem Zagłębia w Sosnowcu. Od 1999 roku współpracuje ze Śląskim Teatrem Tańca w Bytomiu, dla którego fotografuje premiery teatru oraz spektakle w ramach Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego i Festiwalu Sztuki Tanecznej.

Publikował reportaże fotograficzne prezentujące taniec współczesny w czasopismach „Foyer" oraz „Foto". W 2006 roku wystawiał swoje prace na Biennale Fotografii Tańca w Paryżu. Swoje fotografie wystawiał Górnośląskim Centrum Kultury w Katowicach („Halka. Narodziny spektaklu", 2005), w Teatrze Rozrywki w Chorzowie („West Side Story. Przed premierą", 2006), w Ratuszu w Gliwicach („Undergrunt", 2006). Podczas tegorocznej Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego w Bytomiu pokazał zarówno w siedzibie Śląskiego Teatru Tańca a następnie w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia" w Czeladzi swoją najnowszą wystawę pt „Ruchome obrazy/Moving Stills".

WIESŁAWA KONOPELSKA



Teatr Novogo Fronta



Compagna De Dance de Almada

TOMASZ
ZAKRZEWSKI
fotografia



Group Motion



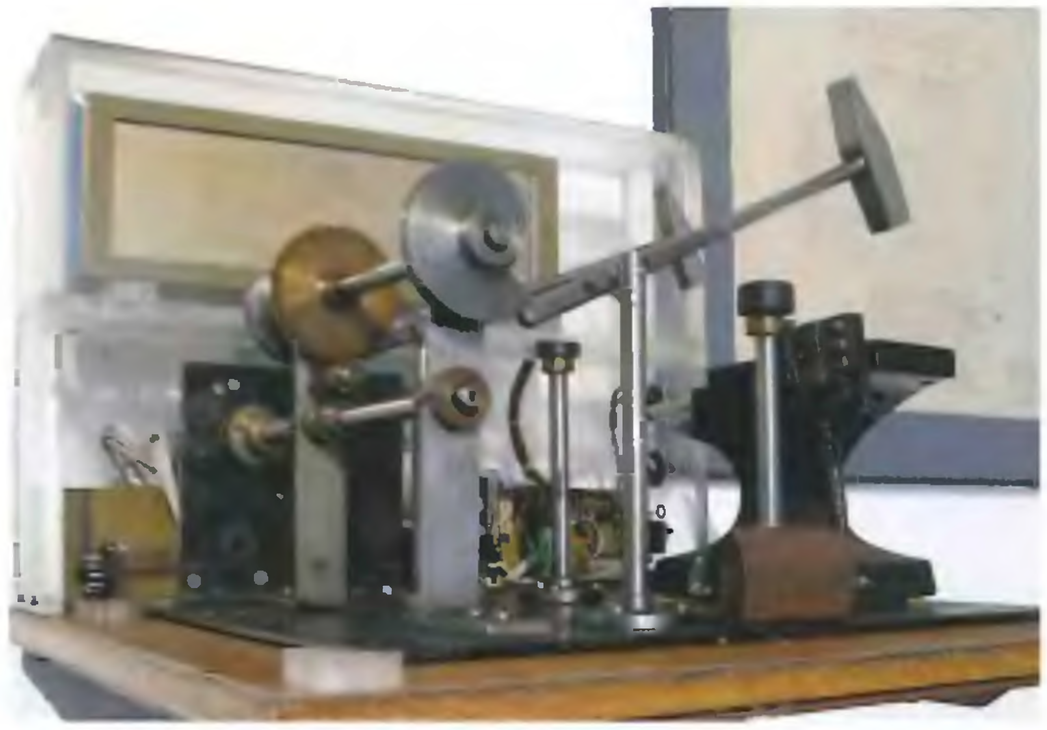
Teatr Novogo Fronta



Stanisław Ligoń – "Karlik z Kocyndra" – dyrektor Polskiego Radia Katowice w latach 1933–1939.

ZNAKI I TWARZE MIASTA

KATOWICE



„Muzeum Ligonia 29”



W130. rocznicę urodzin patrona Polskiego Radia Katowice, Karlika z Kocyndra, czyli Stanisława Ligonia – w siedzibie radia została otwarta izba muzealna, w której znalazły się wszystkie skarby radiofonii. Wśród nich m.in. stare magnetofony, radioodbiorniki oraz pamiątki. Uroczyste otwarcie izby odbyło w dniu urodzin Patrona, czyli 27 lipca.

Stanisław Ligoń był pisarzem, malarzem (studiował w krakowskiej ASP, w latach 1923-1928 był nauczycielem rysunku w gimnazjum im. Adama Mickiewicza, współpracował jako scenograf z Teatrem w Katowicach i w tym okresie napisał głośne widowisko regionalne *Wesele na Górnym Śląsku*; jako kierownik Związku Śląskich Teatrów Ludowych zorganizował wojewódzką kostiumernię i bibliotekę teatralną, otoczył opieką terenowe sceny teatralne, teatry lalkowe), ilustratorem, działaczem kulturalnym i narodowym, także reżyserem i... aktorem. Potomek rodu Ligoniów, którego protoplastą był poeta śląski Juliusz Ligoń.

Prawie od początku istnienia rozgłośni Stanisław Ligoń związany był z Radiem Katowice. Po raz pierwszy stanął przed mikrofonem 25 grudnia 1927 roku. Prowadził stałe audycje: *Bery i bojki, Przy sobocie po robocie, Co niedziela u Karlika brzmi pieśniczka, gro kapela.* Kontynuacją tych audycji w latach 50. była *Radiowa czelodka.* Posługiwał się spolszczoną gwarą śląską. Koncentrował się na audycjach regionalnych i satyryczno-politycznych skierowanych przeciwko hitlerowskiej propagandzie. W czasie jednej z audycji, kiedy groźba wojny stawała się coraz bardziej realna, Stanisław Ligoń wyszedł z propozycją zbiórki na zakup ckm-u dla wojska, na „Żeleźniok Karlika”.

W styczniu 1934 roku został dyrektorem katowickiej rozgłośni Polskiego Radia.

Zmarł w Katowicach 17 marca 1954 roku. **(wk)**



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY

Nr 54 • WRZESIEŃ 2009

Filharmonia Śląska

KATOWICE
w 70. rocznicę wybuchu wojny

70. rocznicę wybuchu II wojny światowej **Filharmonia Śląska** przypomina koncertem przygotowanym w ramach europejskiego projektu *An Orchestra Network for Europe – ONE step further*, dotowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach programu Kultura 2007-2013. W katowickiej Galerii Szyb Wilson 4 września o godz. 19 **War Requiem Benjamina Brittena**, wykonają: Orkiestra Symfoniczna i Chór FSI, przygotowani przez Pascala Perrota kameraliści z francuskiej Orchestre de Pikardie, Knabenchor der Jenaer Philharmonie oraz Eva Dřizgová, Johannes Klüser i Jean-Marc Salzmann. Dyrygować będą **Mirosław Jacek Błaszczyk** i chórmistrz chłopięcego chóru z Jeny, **Matthias Schubotz**. *War Requiem* to wielkie dzieło skomponowane przez Benjamina Brittena w 1961 r. na konsekrację odbudowanej z wojennej ruiny katedry św. Michała w Coventry. Monumentalne oratorium entuzjastycznie przyjęte zostało już podczas prawykonania. To znaczący początek **65. sezonu artystycznego** filharmoników. Jego program wyznaczyły: *Rok Fryderyka Chopina 2010*, przyszłoroczny jubileusz 65-lecia Filharmonii Śląskiej wspólne inicjatywy pięciu partnerów projektu ONE *step further* (są w nim także orkiestry radiowo-telewizyjna z Lublany i kameralna z Żyliny) oraz początek modernizacji i rozbudowy gmachu przy ul. Sokolskiej, także ze środków unijnych i województwa śląskiego. Filharmonicy zapraszają.



Knabenchor der Jenaer Philharmonie



Jean-Marc Salzmann

4.9.

45. lecie Teatru Ziemi Rybnickiej

RYBNIK
Jubileusz!

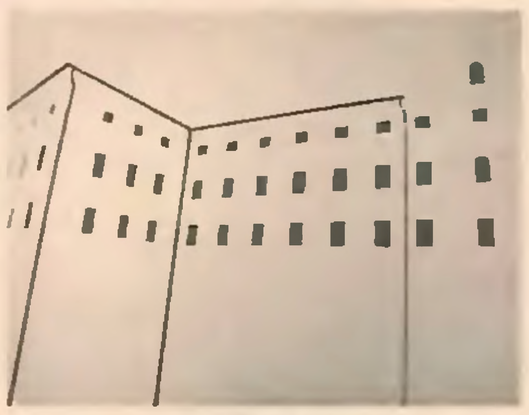
W ciągu 45 lat swojej historii, mury **Teatru Ziemi Rybnickiej** były świadkami wielu wyjątkowych wydarzeń kulturalnych, a imprezy organizowane tu cyklicznie, zdążyły zyskać dużą renomę. Od początku Teatrowi towarzyszą seanse filmowe DKFu **Ekran**, a od kilku lat, za promocję X muzy wśród młodszej widowni, odpowiedzialna jest **Mala Akademia Filmowa**. Wyjątkowo długą tradycją poszczycić mogą się **Rybnickie Dni Literatury**, w tym roku organizowane już po raz czterdziesty, które odwiedziło wielu znakomitych artystów i ludzi pióra. Ponadto, przez lata w historii Teatru Ziemi Rybnickiej zwanego obecnie **Rybnickim Centrum Kultury** zapisały się takie cykliczne imprezy jak (XXIV) **Dni Muzyki Organowej i Kameralnej**, (XXIV) **Silesian Jazz Meeting**, (XXIV) **Konkurs Gawędziarzy**, Rybnickie Centrum Kultury gościć będzie uczestników piątej już edycji **Międzynarodowego Turnieju Tańca Break Dance – Bez Spiny**. Swoje stałe miejsce w kalendarzu imprez zyskał również **Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego**, który po zeszłorocznym sukcesie, w tym roku zorganizowany został po raz drugi oraz muzyczna impreza pod hasłem **Rybnik Blues Festival**. Ostatnie lata upłynęły także pod znakiem promowania działalności amatorskiej. Istniejące zespoły taneczne i teatralne dla różnych grup wiekowych i stopnia zaawansowania, zbierają najwyższe laury na festiwalach ogólnopolskich. Właśnie dlatego spektaklem **Królowa śniegu**, w wykonaniu amatorów, tworzących pod opiekuńczymi skrzydłami Teatru Ziemi Rybnickiej, zostanie uczczony jubileusz jego **45-lecia.**



Galeria Szyb Wilson

KATOWICE
Nadrealizm elewatorów i żurawi

We wrześniu przyjadą do **Galerii Szyb Wilson** olbrzymie płótna **Mariana Solisza**. Artysta tworzy krzykliwe i zmysłowe w swej kolorystyce plany miast, z doskonale symetrycznie wykreśloną architekturą kościołów, kamienic, mostów, okrężnic, szybkich dróg, traktów kolejowych. Z daleka można w tych kompozycjach dostrzec przedstawienia twardych dysków i układów scalonych, a nawet posądzić autora o komputerowe generowanie dzieł. W bezpośredniej rozmowie wyjaśnia On jednak, że nie lubi informatyki, a skomplikowane i matematycznie precyzyjne sieci dróg i zabudowań z jego obrazów są próbą oddania planu dzikiego i zachwaszczonego ogrodu, po którym z rozkoszą i beztroską biegał w dzieciństwie... Obficie wykorzystywane w tej twórczości motywy rzutu i mapy wskazują na dążenie do uporządkowania przestrzeni i objęcia jej. Może tu chodzić o przestrzeń życia, przestrzeń płótna lub o kłopotliwą strukturę wielkich miast, w których tożsamość człowieka staje się czymś płynnym i ruchomym. Z obrazów tych będziemy mogli wyczytać zarówno przerażenie chaotycznym światem, jak i zachwyt nad jego tajemnym uporządkowaniem. Tematyka przedstawień bliska jest przemysłowi, stąd taki dobór przestrzeni wystawienniczej. Malarz zaplanował podwieszanie swoich olbrzymich płócien do stalowej konstrukcji pod sufitem tej industrialnej budowli. Ostatecznym założeniem jest osiągnięcie klimatu nieoczywistości, gdzie całość tej kreacji balansowałaby na granicy snu i zwyczajności, a przemysłowa historia była poddana w wątpliwość i pogmatwana na wzór tego, co czynili z realną rzeczywistością surrealiści.



Marian Solisz, Szkic

Wernisaż wystawy odbędzie się 10 września, ekspozycja potrwa do 23 października.

Izabela Ochman

wernisaż 10.9.

Gliwicki Teatr Muzyczny

GLIWICE
Polska prapremiera



Największy telewizyjny przebój wszech czasów nareszcie na polskiej scenie! W liceum *East High* pojawia się nowa uczennica – *Gabriella Montez*. Trafia tam na znajomego – kapitana drużyny koszykówki *Troya Boltona*, którego spotkała przypadkiem podczas niedawnego wyjazdu na ferie. Czy między liderem *Basketów* a nadzieją licealnych *Mózgowców* coś zaiskrzy? Czy zdecydują się – ku przerażeniu *Sharpay* i *Ryana*, gwiazd szkolnych *Performów* – na udział w castingu do musicalu skomponowanego przez nieporadną *Kelsi*?

High School Musical przebojem zdobył najpierw widownię małego ekranu, a później szczyty amerykańskich i światowych list przebojów. Odtwarzający w filmie główne role Vanessa Hudgens i Zac Efron to dziś największe młodzieżowe gwiazdy w show-biznesie. Trzecia część perypetii *Gabrielli* i *Troya* jako pierwszy musicalowy hit telewizyjny odniosła gigantyczny sukces kinowy. Od kilku lat triumfy w Ameryce i w Europie święci również teatralna wersja *High School Musical*. I właśnie na polską premierę tej ostatniej zaprasza wszystkich fanów *HSM* **Gliwicki Teatr Muzyczny**. Zagrają w niej młodzi artyści wyłonieni w ogólnopolskim castingu. Reżyserem spektaklu jest **Tomasz Dutkiewicz**, dyrektor warszawskiego Teatru Komedia, a opracowania choreografii podjęła się **Sylwia Adamowicz**.



Tuż przed premierą
Materiały prasowe GTM/Kinga Knapik

Jaka będzie pierwsza polska obsada *High School Musical*? Czy nasi *Gabriella* i *Troy* zdobędą przebojem serca fanów? Jak zabrzmią piosenki *HSM* po raz pierwszy w całości po polsku? Baw się z *High School Musical* w Gliwickim Teatrze Muzycznym – we wrześniu aż osiemnaście spektakli!

premiera 18.9.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ZAMEK
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR
DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
ul. 1 Maja
tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Rynek 26
tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12
www.muzeum.bytom.pl

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
Ad Extra
Teodor Durski
wystawa młodego łódzkiego artysty należy do programu tegorocznej edycji *Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2009*



Teodor Durski, Ekleipsis, 2006, serigrafia

czynna do 29 września

PROJEKTY ARTYSTYCZNE:
1.9. – 1.10.
Incydenty 2009
program rezydencji artystycznych
Stawianie na głowie
w Bielsku-Białej!
Anna Daniell – Norweżka polskiego pochodzenia, wbrew dotychczasowej konwencji stawiania rzeźb na postumentach, proponuje umieścić postument na głowie salamandry plamistej wykonanej z brązu, a Dariusz Fodczuk postawi na głowie czterometrową stalową postać mężczyzny. Lars Morell z Norwegii pokryje imitacją lodu naturalnych rozmiarów karoserię małego fiata, Sławomir Brzoska, wykona z kamienia i stalowych lin trzymetrowy obiekt w kształcie koła



Sławomir Brzoska, Polska. Kompas dla Bielska-Białej, projekt obiektu, Incydenty 2009

sala dolna
3.9. czwartek
Fotografia dzikiej przyrody 2008
Wildlife Photographer
of theYear 2008
80 fotografii nagrodzonych i wyróżnionych w największym na świecie, konkursie fotografii przyrodniczej – *Fotografia dzikiej przyrody 2008/ Wildlife Photographer of theYear 2008*. Konkurs organizowany jest od 1964 roku przez *BBC Wildlife Magazine* oraz *Muzeum Historii Naturalnej* w Londynie i jest największym forum fotografów dzikiej przyrody na całym świecie



© *Copyright, Dan Mead, USA, Piaskowi sprinterzy*

czynna do 29 września

kawiarnia Aquarium
1.9. wtorek
Ogród niewiniątek
Agnes Janich



Agnes Janich, Ogród niewiniątek, 2009, fragment instalacji

instalacja złożona z 11 krzaków róż w drucie kolczastym. Dla Agnes Janich każda roślina jest symbolem miliona osób: Polaków i Żydów – ludzi, którzy zginęli w czasie II wojny światowej w obozach koncentracyjnych
czynna do 29 września

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Mary koszmary
wystawa dla najmłodszych
i nie tylko
czynna do końca września

CHORZÓW

GALERIA MM
7.9. poniedziałek, godz. 17.00
wernisaż
Krzysztof Marek Bąk
grafika
czynna do 28 września

CIESZYN

ŚLĄSKI ZAMEK SZTUKI
I PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
Artinfo Dizajn
– Człowiek i Projekt
to swoista panorama działań młodych projektantów. Celem głównym wystawy jest przedstawienie dizajnerów z twarzami, imieniem i nazwiskiem. czyli nadanie dizajnowi ludzkiego oblicza
czynna do 9 września

CIESZYŃSKI
OŚRODEK KULTURY
GALERIA COK
10.9. czwartek, godz. 15.30
wernisaż
Jan Bojko
rzeźba
czynna do końca września

GALERIA „NA PIĘTRZE"
3.9. czwartek, godz. 17.30
wernisaż
„Ja, góra..."
pokonkursowa
i poplenerowa wystawa
Stowarzyszenia Serfenta
czynna do 15 września

3.9. czwartek, godz. 16.00
wernisaż
„Czyż nie są piękni...?"
wystawa fotografii
Sławomira Blachuta
czynna do końca września

CZELADŹ

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
„ELEKTROWNIA"
Ruchome obrazy
Moving stills
Tomasz Zakrzewski
fotografie
jest jednym z nielicznych w Polsce fotografów specjalizujących się w fotografii teatralnej.
Od ponad 10 lat współpracuje z czołowymi teatrami Górnego Śląska
czynna do 10 września

10.9. czwartek
Prace roku 2008
ZPAP
Oddziału w Katowicach
czynna do końca września

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
SALA ŚLĄSKA
18.9. piątek
Szczeliny istnienia
fotografie
Jerzego Lewczyńskiego
mistrzowskie zdjęcia nestora polskiej fotografii
Jak dbać o przesadną czystość zdjęcia czy estetykę tworzywa, gdy dotykając starych fotografii czuję i widzę ślad tej często sponiewieranej przeszłości lub ślad dotyku ludzkich dłoni i oczu? Tak więc stałem się wędrowcem po nieskończonych ugorach zapomnienia i niebytu rozświetlanych światłem zniszczonych fotografii. /Jerzy Lewczyński/
czynna do 11 października

SALA POPLENEROWA
18.9. piątek
Wacław Wantuch
Akt
wystawa fotografii
artysta specjalizuje się głównie w czarno-białych aktach kobiecych. bliskich abstrakcyjnym formom. Autor bowiem potrafi przekształcić kobiece ciało w niespotykane kompozycje zastygłe w oryginalnych pozach



czynna do 11 października

SALA GOBELINOWA
18.9. piątek
IV Międzynarodowy Salon
Martwa natura w fotografii
wystawa pokonkursowa



*Katarzyna Kramarz, Pamiątki – Sokołowiec 2006 – **Grand Prix** III Salonu Martwa natura w fotografii*

czynna do 11 października

GALERIA ANTRESOLA
Janusz Mielczarek
wystawa fotografii

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

GALERIA CIASNA
Moje miasto
Spacer po plaży
wystawa fotografii otworkowej
Ryszarda Poprawskiego
czynna do 18 września

KATOWICE

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
17.9. czwartek
7 Triennale Grafiki Polskiej,
Katowice 2009

GALERIE

najciekawsze prace wybitnych polskich artystów grafików powstałe w ciągu ostatnich trzech lat
czynna do 15 listopada

Labirynty pamięci 1939-2009
czynna do 6 września

GCK
GALERIA SEKTOR I
1.9. wtorek, godz. 18.00
wernisaż
Sygnatury wojny
artyści zaproszeni do udziału w wystawie transponują wydarzenia z września 1939 na język sztuki współczesnej za pomocą różnorodnych strategii i technik artystycznych
czynna do 14 października

godz. 18.15
wykład i pokaz dokumentacji
Agnieszki Kłos

godz. 19.00
akcja streetartowa
Akademii Ruchu
w przestrzeni miejskiej

GALERIA ENGRAM
8.9. wtorek, **wernisaż**
Projekt Bieguny
Mariusz Pałka
Małgorzata Niespodziewan
prezentacje duetów graficznych ukazujące bogactwo i różnorodność formalną i tematyczną współczesnej grafiki polskiej
czynna do 8 października

GALERIA
ŚCIANA DZIECKA
W poszukiwaniu harmonii
czynna do 15 października

GALERIA PUSTA
Światowidz
Krzysztof Szlapa
Łukasz Biederman
Robert Panas
Tomasz Zając



Robert Panas

czynna do 27 września

GALERIA PIĘTRO WYŻEJ
Sabina Woźnica
Człowiek i natura
prace z cyklu *Człowiek i natura* powstały w latach 2005-2009



czynna do 6 września

GALERIA SZYB WILSON
10.9. czwartek, **wernisaż**
Rzut. Mapa. Plama.
wystawa prac
Mariana Solisza
ogromne, barwne płótna, przedstawiające surrealistyczne w swym klimacie mapy miast, elementy przemysłowe, misterną architekturę budynków



Marian Solisz z cyklu „Ślady"

czynna do 25 października

GALERIA RONDO SZTUKI
7.9. poniedziałek
Eurobasket
wystawa poświęcona historii koszykówki
czynna do 18 września

17.9. czwartek
ArsGrafia
Festiwal Międzynarodowe
Triennale Grafiki PRINTART
czynna do 16 października

25.9. piątek, godz. 18.00
wernisaż
Katowickie neony
wystawa fotografii
czynna do 15 października

11.9. piątek, **finisaż**
Labirynt pamieci.
Oblicza zla 1939-2009
Poziom 0
prace najwybitniejszych artystów videoartu na świecie,
finisaż wystawy odbędzie się w rocznicę terrorystycznego ataku na wieże *World Trade Center* w Nowym Yorku

GALERIA FOYER
DUŻEJ SCENY
Teatr Śląski
18.9. piątek, **wernisaż**
rysunki satyryczne
luksemburskiego grafika
Pola Leursa

MIKOŁÓW

GALERIA MDK
Sandra Lorkowska
czynna do końca września

SOSNOWIEC

SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
– ZAMEK SIELECKI
1.9. wtorek, godz. 17.00 **wernisaż**
Sosnowiec w latach 1939-1945
w ramach obchodów 70 rocznicy wybuchu II wojny światowej.

GALERIA EXTRAVAGANCE
4.9. piątek, godz. 18.00 **wernisaż**
Sztuka mediów
media sztuki
Judyta Bernaś
/grafika cyfrowa/,
Szymon Gdowicz
/film artystyczny/,
Paweł Szeibel
/instalacja wideo/

TYCHY

GALERIA OBOK
5.9. sobota, godz. 18.00 **wernisaż**
Remigiusz Dulko
artysta wykonuje pomniki, rzeźby monumentalne, płaskorzeźby, statuetki, medale, rzeźby użytkowe. Bliska jest mu tematyka erotyczna, ale i sakralna

MUZEUM

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
ZAMEK
Początki Będzina
wystawa historyczna

PAŁAC
4.9. piątek
Będzin 1939
czynna do 8 listopada

Będzin.
Gród nad Czarną Przemszą
fotografie
Krzysztofa Michalskiego

BIELSKO-BIAŁA

MUZEUM
Ryszard Kowalewski
– Moje góry

BYTOM

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
Krzysztof M. Bednarski.
Portret totalny
Karola Marksa 1977-2009
czynna do 31 października

FILIA MGB
Andrzej Szewczyk
prace z kolekcji
współczesnej sztuki polskiej
Muzeum Górnośląskiego

Obszar warowny „Śląsk"
1933-1939

Militaria w obrazach
międzynarodowa wystawa grafiki komputerowej
o tematyce militarnej

11.9. piątek, godz. 9.00
Reminiscencje
Września 1939
sesja historyczna
połączona z otwarciem okolicznościowej wystawy

12.9. – 13.9.
Europejskie
Dni dziedzictwa 2009
pod hasłem
Zabytkom na odsiecz,
szlakiem grodów, zamków
i twierdz
godz. 11.00 i 16.00
zwiedzanie z przewodnikiem wystawy
Obszar warowny „Śląsk"
1936-1939

CHORZÓW

MUZEUM W CHORZOWIE
Ludziom nauki i sztuki – pełną swobodę twórczych poszukiwań...
Sztuki plastyczne
w czasach PRL-u
sztuka z lat 1945-1989
czynna do końca września

GÓRNOŚLĄSKI PARK
ETNOGRAFICZNY
w chałupie ze Strzemieszyc Wielkich
Żuławy
wystawa fotografii studentów Uniwersytetu Śląskiego Wydziału Etnologii i Nauk o Edukacji
czynna do 30 października

spichlerz
z Wojkowic Kościelnych
6.9. niedziela
Rycerze i ich damy
wystawa ubioru i uzbrojenia
Anno Domini 1361
na podstawie bitwy pod Visby
czynna do 30 października

CHORZÓW

MIEJSKA
GALERIA SZTUKI „MM"
ul. H. Sienkiewicza 3
tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

MUZEUM
ul. Powstańców 25, tel. 241-31-04
www.muzeum.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI
ul. M. Konopnickiej 1
tel. 346-19-30
www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ SZARA
ul. Srebrna 1
tel. 602-64-54-89
www.galeriaszara.pl

MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
ul. Regera 6
tel. 033 851-29-32
www.muzeum-cieszyn.ox.pl

TEATR
IM. ADAMA MICKIEWICZA
plac Teatralny 1
tel. 033 858-16-52
www.teatr.cieszyn.art.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
aleja NMP 64
tel. 034 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE
aleja NMP 45 A
tel. 034 360-56-31
www.muzeumczestochowa.pl

TEATR
IM. A. MICKIEWICZA
ul. J. Kilińskiego 15
tel. 034 360-56-50
www.teatr-czestochowa.pl

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
ul. Wilsona 16
tel. 034 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE „SZTYGARKA"
ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95
www.muzeum-dabrowa.pl

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
Pl. Wolności 1, tel. 262-20-63
www.palac.art.pl

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH WILLA CARO
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY GALERIA
tel. 473-10-12
www.mokjastrzebie.pl

KATOWICE

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA
al. Korfantego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GALERIA RONDO SZTUKI
Rondo im. gen. J. Ziętka

GALERIA SZYB WILSON
ul. Oswobodzenia 1
tel. 730-32-20
www.szybwilson.org.pl

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM KULTURY
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06
www.gck.org.pl

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
Galeria Sztuki Współczesnej
FRA ANGELICO
ul. Wita Stwosza 16
tel. 519-546-023
www.kuria.katowice.pl

CIESZYN

MUZEUM ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
Jan Wałach
Echo mojej sztuki



czynna do końca września

CZĘSTOCHOWA

MUZEUM CZĘSTOCHOWSKIE
RATUSZ
Gabinet Wybitnych Częstochowian
Niezwykła zwykłość
wystawa poświęcona
Ludmile Marjańskiej

MUZEUM PIELGRZYMOWANIA
Ikona. Słowo. Droga. Modlitwa
wystawa ikon ze zbiorów Muzeum Ikon w Supraślu. Oddziału Muzeum Podlaskiego w Białymstoku

PAWILON ETNOGRAFICZNY
w Parku im. S. Staszica
Ludowe rzemiosło użytkowe i artystyczne
wystawa przygotowana w ramach obchodów Stulecia Wystawy Przemysłu i Rolnictwa

70. rocznica wydarzenia 4 września 1939 r. zwanego *Krwawym Poniedziałkiem*

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE „SZTYGARKA"
„...co jest duszą i istotą naszych siedlisk"
wystawa prac
Wacława Pileckiego
ze zbiorów rodziny artysty
czynna do 18 grudnia

Wystawa militariów
z prywatnych kolekcji
pod hasłem
Wrzesień 1939

Policja 1919-2009.
Polska i świat
czynna do końca roku

GLIWICE

MUZEUM WILLA CARO
VII Gliwickie Dni Dziedzictwa Kulturowego

O wolność i niepodległość SZP-ZWZ-AK 1939-1945
ekspozycja z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej
czynna do końca listopada

30.8. niedziela
WARning.
Plakat antywojenny
czynna do końca września

14.9. poniedziałek
Ogród Willi Caro
1939
wystawa przygotowana przez IPN

siedem bomb (wys. 2,5 m, waga bomby 60 kg + podstawa 60 kg). Korpus bomb stanowi powierzchnię wystawienniczą, na której umieszczono fotografie archiwalne z września 1939 r.
czynna do 18 października

Ruiny Teatru Miejskiego w Gliwicach
NIE!
wystawa autorstwa
Piotra Janika
czynna do końca września

KATOWICE

MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE
Smętki miejskie na wsi
Stanisław Duda
malarstwo i kreacje przestrzenne
czynna do 6 września

GALERIA FRA ANGELICO
Maria Hiszpańska-Neumann
/1917-1980/
Biblia
rysunki, grafika, malarstwo, projekty realizacji we wnętrzach sakralnych
czynna do 6 września

MUZEUM ŚLĄSKIE
9.9. środa
Śląska Rzecz
pokonkursowa wystawa współczesnego designu
ekspozycja prezentowana na terenie dawnej kopalni *Katowice*
czynna do 4 października

10.9. czwartek
Grafika
Mariana Jędrzejewskiego
najlepszy (obok Jana Nowaka) grafik nieprofesjonalny



ze zbiorów Muzeum Śląskiego

czynna do 25 października

Irracjonalnie
Rysunki Jacka Albrechta
czynna do końca września

Europejska grafika – mistrzowie warsztatu
projekt przygotowany w ramach
Międzynarodowego Triennale Grafiki – Kraków 2009
akcentując rangę warsztatu graficznego dawnych mistrzów rylca, dołączono do prezentacji kilkadziesiąt prac współczesnych grafików polskich ze zbiorów Muzeum Śląskiego



Rembrandt
ze zbiorów Muzeum Śląskiego

czynna do końca października

1.8. sobota
Maj – sierpień 1939.
Ostatnie miesiące pokoju na Górnym Śląsku
interdyscyplinarna ekspozycja historyczna przygotowana z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej.
Ukazuje życie codzienne Górnoślązaków zamieszkałych po obu stronach granicy polsko-niemieckiej w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny
czynna do 8 listopada

GALERIA W OKNIE
Jerzy Duda-Gracz

ze zbiorów Muzeum Śląskiego

Poetyka Wsi Załęcze
obraz 2046 z 1997 roku

MUZEUM HISTORII KATOWIC
4.9. piątek, godz. 14.00 **wernisaż**
poprzedzi wykład dr. G. Bębnika
Wrzesień 1939 roku w Katowicach
4 września 1939 roku w Katowicach
wystawa fotograficzna ze zbiorów Muzeum Historii Katowic nabytych w 2008 roku.
Pozyskane niedawno materiały, ukazujące przemarsz Wehrmachtu przez Katowice, należą do niezwykle rzadkich tego typu eksponatów

9.9. środa, godz. 9.30
Biblioteka Śląska
IX Katowicka Konferencja Naukowa
Tradycje i dziedzictwo Górnicze na obszarze Katowic z perspektywy XXI w.

PSZCZYNA

MUZEUM ZAMKOWE
Książę idzie na polowanie
wystawa poświęcona księciu pszczyńskiemu
Janowi Henrykowi XI von Hochberg
trofea myśliwskie, broń, pamiątki, eksponaty i materiały archiwalne

Pszczyńscy Hochbergowie 1847-2007
fotogramy książąt pszczyńskich z rodziny Hochbergów

RACIBÓRZ

MUZEUM
4.9. piątek, godz. 17.00
wernisaż
Malarstwo
Mariana Chmieleckiego
50. lecie twórczości

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
im. M. CHROBOKA
Konterfekty Życzliwe' czyli karykatury Rudzian
(i nie tylko) z teki
Marka Wacława Judyckiego

MUZEA

Baśnie J. Ch. Andersena
w ilustracjach
Joanny Goląb
czynna do 10 września

Impresje na jedwabiu
Heleny Dzionyk

RYBNIK

MUZEUM
1.9. wtorek
Jeszcze jeden dzień...
Życie codzienne w Rybniku
i powiecie rybnickim w okresie
II wojny światowej
wystawa przygotowana
we współpracy
z Archiwum Państwowym
w Katowicach
czynna do 25 listopada

SOSNOWIEC

MUZEUM
4.9. piątek, godz. 16.00
wernisaż
Triumfalny pochód
cesarza Maksymiliana
w grafikach
Albrechta Dürera
i jemu współczesnych
z Muzeum Wschodniosłowackiego
w Koszycach
ponad 60 dzieł
nie tylko Albrechta Dürera,
ale także współczesnych mu
grafików włoskich
i niemieckich, m.in.:
A. Altdorfera, H. Springinklee,
H. Burgkmaira, L. Becka,
H. Recka
czynna do października

5.9. sobota, godz. 16.00
wernisaż
Barwy starożytnego Egiptu
z Muzeum Narodowego
w Warszawie
ideą wystawy jest prezentacja barw
i materiałów, które Egipcjanie wykorzystywali tworząc wizerunki bóstw, figurki, amulety, przedmioty związane
z kultem grobowym a także rzeczy używane na co dzień
czynna do grudnia

3.9. – 6.9
Dni Muzeum w Sosnowcu
program na s. 89

TARNOWSKIE GÓRY

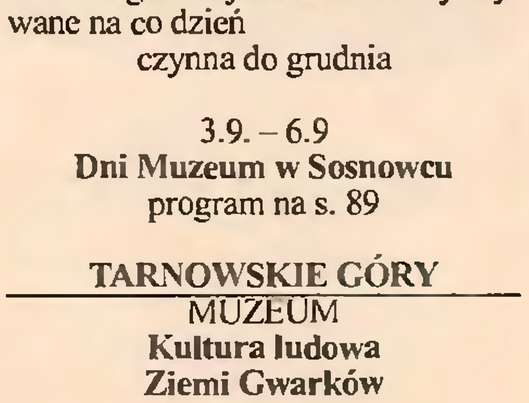
MUZEUM
Kultura ludowa
Ziemi Gwarków

Jan III Sobieski

Z dziejów
Tarnowskich Gór

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
Sceny z życia tyszan
w latach międzywojennych
w 75. rocznicę
nadania Tychom
praw gminy miejskiej



fot. Joanna Kucz-Pieczka

czynna do 12 września

5.9. sobota, godz. 15.00
Sobota z przewodnikiem
po wystawie
Sceny z życia tyszan
w latach międzywojennych
oprowadzą autorki
scenariusza wystawy
A. Ociepa i A. Szymula

14.9. poniedziałek, godz. 11.00
spotkanie
z **Kazimierzem Kutzem**

17.9. czwartek, godz. 17.00
Popołudnie Czwartkowe
Tychy podczas II wojny światowej
– kontrowersje
spotkanie z historykiem
M. Węckim
z Archiwum Państwowego
w Katowicach

28.9. poniedziałek, godz. 16.00
wernisaż
Św. Franciszek w sztuce.
W 800. rocznicę powstania
zakonu franciszkańskiego

ZABRZE

MUZEUM GÓRNICTWA
WĘGLOWEGO
11.9. piątek,
Born of Fire:
the Valley of Work
fowistyczne, ekspresyjne
i impresyjne wcielenia
przemysłowych pejzaży Pittsburgh'a
ze zbiorów
The Westmoreland Museum
of American Art z Greensburga
60 prac – obrazy olejne, grafiki,
ryciny, litografie
i zdjęcia ukazujące przemysłowe
widoki, pracę w hutach
oraz robotników
i życie w mieście



Hayley-Lever,-Allegheny-Riv

czynna do 4 grudnia

SKANSEN GÓRNICZY
KRÓLOWA LUIZA
Parowóz typ W6A (Tx)

MUZEUM MIEJSKIE
GALERIA CAFÉ SILESIA
Okręg górniczy.
Obrazy z Zagłębia Ruhry
i Górnego Śląska
autorzy zdjęć:
Piotr Muschalik, Martin Holtappels,
Thomas Stachelhaus
czynna do 27 września

Ekspozycja w kinie Roma
Z dziejów kin Zabrza
wystawa z okazji
100-lecia kina Roma
czynna do końca roku

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
AmerIndia 2009
rekonstrukcja kultur
prekolumbijskich
projekt realizowany
do końca roku

TEATRY

BĘDZIN

TEATR DZIECI
ZAGŁĘBIA
5.9. sobota, godz. 16.00
Kot w butach

6.9. niedziela, godz. 16.00
Dzikie łabędzie

BIELSKO-BIAŁA

TEATR LALEK BANIALUKA
13.9. niedziela, godz. 11.00
godz. 16.00 **premiera!**
20.9. niedziela, godz. 11.00
Przygody Sindbada Żeglarza
Bolesława Leśmiana
reżyseria:
Jacek Malinowski
scenografia:
Giedré Brazyté
muzyka:
Antanas Jasenka

27.9. niedziela, godz. 11.00
Tomcio Paluszek

TEATR POLSKI
Duża scena
16.9. środa, godz. 19.00
17.9. czwartek, godz. 19.00
Mayday 2

19.9. sobota, godz. 19.00
20.9. niedziela, godz. 19.00
Zemsta

24.9. czwartek, godz. 19.00
26.9. sobota, godz. 19.00
27.9. niedziela, godz. 19.00
Mayday

28.9. poniedziałek,
godz. 17.30 i 20.00
Słoneczni chłopcy
gościnnie
Teatr Powszechny
im. Z. Hübnera
/Warszawa/

29.9. wtorek, godz. 19.00
Bielska Scena Kabaretowa

Mała Scena
12.9. sobota, godz. 19.00
premiera!
13.9. niedziela, godz. 19.00
18.9. piątek, godz. 19.00
Królowa piękności
reżyseria: Grzegorz Chrapkiewicz

19.9. sobota, godz. 19.00
20.9. niedziela, godz. 19.00
Utarczki

23.9. środa, godz. 19.00
Fabryka sensacji
Proszyk i Spółka

25.9. piątek, godz. 19.00
Intercity

27.9. niedziela, godz. 19.00
Figliki

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
19.9. sobota, godz. 18.00
Inauguracja
65. sezonu artystycznego
Opery Śląskiej
Manru

22.9. wtorek, godz. 18.00
Gala Tenorów
z udziałem
Bogdana Paprockiego
z okazji 70. lecia
pracy artystycznej
i 90. urodzin Artysty

MUZEUM ŚLĄSKIE
al. Korfantego 3
tel. 258-56-61 do 63
www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM
HISTORII KATOWIC
ul. Ks. J. Szafranka 9
tel. 256-18-10
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI
Rynek 2, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ
GCK, plac Sejmu Śl. 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

ŚLĄSKI TEATR
LALKI I AKTORA
„ATENEUM"
ul. św. Jana 10
tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

IPiUM „SILESIA"
ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA
ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA
ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 032 251-93-38
www.estradaslaska.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
pl. Rady Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

CENTRUM
SZTUKI FILMOWEJ
ul. Sokolska 66
tel. 258-42-41
www.csf.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO
ul. św. Jana 24
tel. 251-04-31
www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK" im. S. HADYNY
ul. Zamkowa 3
tel. 034 310-64-15
www.zespolslask.pl

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
GALERIA MDK
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikolow.eu

MYSŁOWICE

MUZEUM MIASTA
MYSŁOWICE
ul. Stadionowa 7a
tel. 222-36-12 w. 51
www.muzeummyslowic.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA
ul. Wolności 26, tel. 248-44-57

RYBNIK

RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY
ul. Saint Vallier 1, tel. 42-22-132
www.kultura.rybnik.pl

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

SOSNOWIEC

SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI
ul. Zamkowa 2
tel. 266-38-42
www.zameksielecki.pl

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebia.pl

MIEJSKI KLUB
IM. JANA KIEPURY
ul. Będzińska 6, tel. 291-39-48
www.kiepura.pl

23.9. środa, godz. 18.00
Faust
z udziałem
Bogdana Paprockiego
z okazji 70. lecia
pracy artystycznej
i 90. urodzin Artysty

27.9. niedziela, godz. 11.00
sala koncertowa im. A. Didura
Salon Poezji i Muzyki
Anny Dymnej

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI
Mała scena
4.9. piątek, godz. 19.30
5.9. sobota, godz. 19.30
6.9. niedziela, godz. 19.30
Artur Gotz
Usposobienie przyjemne
wieczór piosenek aktorskich
i kabaretowych

10.9. czwartek, godz. 19.30
11.9. piątek, godz. 19.30
12.9. sobota, godz. 19.30
13.9. niedziela, godz. 19.30
Shirley Valentine

15.9. wtorek, godz. 19.30
16.9. środa, godz. 19.30
17.9. czwartek, godz. 19.30
26.9. sobota, godz. 19.30
27.9. niedziela, godz. 19.30
Pomału, a jeszcze raz!

18.9. piątek, godz. 19.30
19.9. sobota, godz. 19.30
20.9. niedziela, godz. 19.30
22.9. wtorek, godz. 19.30
23.9. środa, godz. 19.30
24.9. czwartek, godz. 19.30
Na końcu tęczy

21.9. poniedziałek, godz. 19.30
Górny Śląsk – świat najmniejszy
Noble dla Ślązaków
pisarz Gerhard Hauptmann,
katowiczanka
Maria Göppert-Mayer,
Otto Stern z Żor,
chorzowianin Kurt Alder...
to tylko niektóre nazwiska wybitnych Ślązaków uhonorowanych Nagrodami Nobla. Co wiemy o ich życiu i dorobku zawodowym? Gośćmi Krzysztofa Karwata będą: dr Piotr Greiner – dyrektor Archiwum Państwowego w Katowicach oraz prof. dr hab. Jerzy Warczewski – kierownik Zakładu Fizyki Kryształów Uniwersytetu Śląskiego

CIESZYN

TEATR
im. A. MICKIEWICZA
25.9. piątek, godz. 19.00
Magiczny „Hollywood"
widowisko
muzyczno-taneczno-filmowe
z udziałem
Grażyny Brodzińskiej
i jej gości

28.9. poniedziałek, godz. 20.00
David Auburn
Dowód
Teatr Polonia /Warszawa/

CZĘSTOCHOWA

TEATR im. A. MICKIEWICZA
TEATR REAKTYWACJA
2.9. środa, godz. 18.00
Scena na scenie
Patrz, słońce zachodzi

3.9. czwartek, godz. 19.00
Scena kameralna
Nocną porą

4.9. piątek, godz. 19.00
Stachura

5.9. sobota, godz. 19.00
Jeszcze jeden do puli?

6.9. niedziela, godz. 17.00
Koziołek Matołek

* * *

11.9. piątek, godz. 19.00 **premiera!**
13.9. niedziela, godz. 19.00
Miłość i polityka

12.9. sobota, godz. 19.00
Scena kameralna
Mayday

18.9. piątek, godz. 19.00
pokaz przedpremierowy
Scena kameralna
19.9. sobota, godz. 19.00 **premiera!**
20.9. niedziela, godz. 19.00
30.9. środa, godz. 18.00
Wilki
reżyseria
André Hübner-Ochodlo
muzyka
Zygmunt Konieczny

III Międzynarodowy
Przegląd Przedstawień
Istotnych
„Przez Dotyk"
Festiwalowa rozbiegówka
22.9. wtorek,
godz. 11.00 i 18.00
Scena na scenie
All my sons
Studencki Teatr East Baptist
University, USA
/spektakl w języku angielskim/

godz. 20.00
Scena kameralna
Alibi

III MPPI
23.9. środa, godz. 17.00
Scena kameralna
Przełamując fale
Teatr Petra Bezruci /Ostrava/

godz. 21.00
Duża scena
Utwór sentymentalny
dla czterech aktorów
Teatr Montana /Warszawa/

24.9. czwartek, godz. 18.00
Scena kameralna
Wilki

godz. 20.30
Duża scena
Kieszonkowy atlas kobiet
Teatr Powszechny
/Warszawa/

25.9. piątek, godz. 18.00
Żyd
Teatr Polski /Bielsko-Biała/

godz. 20.00
Duża scena
Lot nad kukułczym gniazdem
Teatr im. A. Węgierki
/Białystok/

26.9. sobota, godz. 18.00
Scena kameralna
Amok, moja dziecinada
Teatr Nowy
/Kraków/

godz. 20.00
Scena na scenie
Szary aniol
Teatr Atelier /Sopot/

27.9. niedziela, godz. 18.00
Scena na scenie
EU
Teatr Śląski /Katowice/

godz. 20.00
Duża scena
Wątpliwości
Teatr Polonia /Warszawa/

GLIWICE

GLIWICKI
TEATR MUZYCZNY
1.9. wtorek godz. 19.00
Ruiny Teatru Miejskiego
Kwartet Śląski
koncert kameralny z okazji
70. rocznicy wybuchu
II wojny światowej

6.9. niedziela godz. 15.00
patio/scena
przy Nowym Świecie
Piknik dla dzieci
w programie m.in.
Dworcowa przygoda
spektakl GTM Junior

11.9. piątek, godz. 18.30
Europa moich marzeń
z udziałem
Grażyny Brodzińskiej

12.9. sobota, godz. 18.30
13.9. niedziela, godz. 18.00
Orfeusz w piekle

13.9. niedziela, godz. 12.00
Ruiny Teatru Miejskiego
XLIII Krakowski Salon Poezji
Juliusz Słowacki

18.9. piątek, godz. 19.00
polska prapremiera!
19.9. sobota, godz. 19.00
premiera
20.9. niedziela, godz. 14.30 i 18.00
21.9. poniedziałek, godz. 19.00
22.9. wtorek, godz. 19.00
23.9. środa, godz. 19.00
24.9. czwartek, godz. 19.00
25.9. piątek, godz. 19.00
26.9. sobota, godz. 19.00
27.9. niedziela, godz. 14.30 i 18.00
High school musical
musical w 2 aktach
przekład libretta
i polskie teksty piosenek:
Jacek Mikołajczyk
reżyseria:
Tomasz Dutkiewicz
choreografia:
Sylwia Adamowicz
kier. muzyczne:
Ewa Zug
scenografia:
Wojciech Stefaniak
kostiumy:
Ewa Gdowiok

27.9. niedziela, godz. 15.00
Park Chopina, Rynek
Odjazdowa BAJKA
pełna AMOKU
Dni otwarte
„Sceny Bajka – Kina Amok"
happening

29.9. wtorek, godz. 18.30
Dajcie mi tenora!

KATOWICE

ŚLĄSKI TEATR LALKI
I AKTORA ATENEUM
Scena Ateneum
12.9. sobota, godz. 16.00
13.9. niedziela, godz. 16.00
27.9. niedziela, godz. 16.00
Tygrys Pietrek

TEATRY

19.9. sobota, godz. 16.00
Klonowi bracia

20.9. niedziela, godz. 16.00
Pchła Szachrajka

26.9. sobota, godz. 16.00
Jak pingwiny Arką popłynęły

28.9. wtorek, godz. 18.00
Muzyka w Teatrze
koncert

STOWARZYSZENIE TEATRALNE
A`PART
6.9. niedziela, godz. 22.00
boisko UŚ, ul. Moniuszki
Faust



TEATR ŚLĄSKI
Duża Scena
12.9. sobota, godz. 19.00
13.9. niedziela, godz. 19.00
Poskromienie złośnicy

18.9. piątek, godz. 19.00
Mayday 2

Weekend czeski
w Teatrze Śląskim
19.9. sobota, godz. 19.00
Viva Verdi



spektakl
Sceny Polskiej
Těšinske Divadlo
/Czeski Cieszyn/

20.9. niedziela, godz. 19.00
Sen nocy letniej
spektakl Teatru Aréna
/Ostrawa/

21.9. poniedziałek, godz. 18.00
Manru
gościnnie
Opera Śląska
/Bytom/

26.9. sobota, godz. 19.00
27.9. niedziela, godz. 19.00
Mayday

30.9. środa, godz. 13.00
Romeo i Julia

Scena kameralna
15.9. wtorek, godz. 12.45
16.9. środa, godz. 12.45
Oskar i pani Róża

24.9. czwartek, godz. 18.30
pokaz przedpremierowy
25.9. piątek, godz. 18.30
premiera!
Świat jest skandalem
reżyseria:
Tomasz Man
scenografia:
Anetta Piekarska-Man,
Igor Gawlikowski,
Marek Otwinowski

26.9. sobota, godz. 18.30
EU

TEATR KOREZ
20.9. niedziela, godz. 19.00
Kolega Mela Gibsona

23.9. środa, godz. 19.00
kabaret *Drzewo a Gada*
i Zespół 032
Mały drewniany chłopczyk
nie tylko dla siebie
cz.2
26.9. sobota, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów

28.9. poniedziałek, godz. 20.30
Nohavica w Korezie
koncert
Jaromira Nohavicy

29.9. wtorek, godz. 19.00
Nohavica w Korezie

RYBNIK

TEATR ZIEMI
RYBNICKIEJ
12.9. sobota, godz. 13.00
V Edycja
Międzynarodowego
Turnieju Tańca
Break Dance
BEZ SPINY

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA
6.9. niedziela, godz. 17.00
premiera!
Królewna Śnieżka
reżyseria:
Karol Suszka

11.9. piątek, godz. 19.00
20.9. niedziela, godz. 18.00
Stosunki na szczycie

12.9. sobota, godz. 18.00
13.9. niedziela, godz. 18.00
Wesołe kumoszki
z Windsoru

18.9. piątek, godz. 19.00
19.9. sobota, godz. 18.00
Czyż nie dobija się koni

25.9. piątek, godz. 19.00
Sztuka kochania
czyli
Sceny dla dorosłych

26.9. sobota, godz. 18.00
Niech żyje bal

TYCHY

TEATR MAŁY
12.9. sobota, godz. 16.00
O Janku Wędrowniczku
i Kominiarczyku
spektakl w wykonaniu
Piotra Rybaka

18.9. piątek, godz. 19.00
Kobieta i Mężczyzna
Kabaret HRABI
występują:
D. Kamys, J. Kołaczkowska,
T. Majer, Ł. Pietsch

19.9. sobota, godz. 18.00
Uroczysta inauguracja
sezonu kulturalnego
2009/2010
Poskromienie złośnicy
Teatr Śląski

MUZYKA

XXII MIĘDZYNARODOWY
STUDENCKI FESTIWAL
FOLKLORYSTYCZNY
1.9. wtorek, godz. 15.00
Chorzów, ul. Wolności
Korowód

3.9. czwartek, godz. 16.00
ul. Mariacka
Spotkanie z Folklorem
godz. 20.00
ul. Mariacka
Koncert Muzyki Świata

4.9. piątek, godz. 18.30
Chorzowskie Centrum Kultury
Koncert galowy

5.9. sobota, godz. 14.00
Sosnowiec, tereny rekreacyjne
przy Stadionie Ludowym
Pożegnanie Lata

godz. 16.00
Łaziska
Koncert plenerowy

6.9. niedziela, godz. 13.30
Sztygarka w Chorzowie
Koncert

godz. 16.00
Dożynki
Koncert

godz. 16.30
Bogucice, Muszla koncertowa
Koncert

BYTOM

Muzeum Górnośląskie
27.9. niedziela, godz. 12.00
z cyklu *Haydn 2.0*
Koncert muzyki kameralnej
w wykonaniu
Kwartetu *Akademos*

CZĘSTOCHOWA

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
11.9. piątek, godz. 19.00
Inauguracja
65. Jubileuszowego
Sezonu Artystycznego
2009/2010
J. Salwarowski – dyrygent
soliści – Mistrzowie Kursów:
Z. Bron /Rosja/ – skrzypce
A. Levitan /Izrael/ – altówka
M. Dmochowski – wiolonczela
T. Shebanova – fortepian
H. Salwarowski – fortepian
w programie:
W. A. Mozart, J. Brahms

18.9. piątek, godz. 19.00
Koncert przed
niemieckim tournée
J. Salwarowski – dyrygent
K. Jakowicz – skrzypce
w programie:
L.v. Beethoven, M. Bruch,
F. Mendelssohn-Bartholdy

20.9. niedziela, godz. 16.00
Koncert „Dar serca – Polscy
Artyści Kresom"
z okazji
VII Światowego Kongresu
Polonii Medycznej
J. Jurdziński – dyrygent
wystąpią m.in.:
soliści Teatru Wielkiego w Warszawie,
Chór Męski *Pochodnia*

KATOWICE

NOSPR
1.9. wtorek, godz. 19.00
Archikatedra Chrystusa Króla

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Rynek 1, tel. 285-26-07
www.muzeumtg.art.pl

TARNOGÓRSKIE
CENTRUM KULTURY
TEATR ZL
ul. Sobieskiego 7
tel. 285-27-34
www.tck.net.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Katowicka 9
tel. 327-18-20

TEATR MAŁY
GALERIA OBOK
ul. kard. A. Hlonda 1
tel. 227-20-67
www.teatrmaly.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY
pl. Teatralny 1
tel. 271-32-56
www.teatrnowywzabrzu.art.pl

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA
ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM
MUZYKI I TAŃCA
ul. Gen. de Gaulle'a 17
tel. 271-56-41 w. 47
www.dmit.com.pl

MUZEUM GÓRNICTWA
WĘGLOWEGO
ul. 3 Maja 19
tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE
ul. 3 Maja 91
tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

Koncert z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej
dyrygent – Michał Klauza
solistka – Zofia Kilanowicz
w programie:
Henryk Mikołaj Górecki
III Symfonia
Symfonia pieśni żałosnych

FILHARMONIA ŚLĄSKA
4.9. piątek, godz. 19.00
Galeria „Szyb Wilson"
W 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej
wystąpią:
Orkiestra Symfoniczna
i Chór Filharmonii Śląskiej
Orchestre de Picardie,
Knabenchor der Jenaer Philharmonie
M. J. Błaszczyk – dyrygent
E. Dřizgová – sopran
J. Klüser – tenor
Jean-Marc Salzmann – baryton
w programie:
B. Britten

9.9. środa, godz. 12.00
Giszowiec, Dom Kultury
Dom Kultury dla Szkoły Podstawowej im. F. Chopina w Giszowcu
Śląska Orkiestra Kameralna
M. Caldi – dyrygent
wystąpią:
J. Kociuban – fortepian
w programie:
F. Janiewicz, F. Chopin

11.9. piątek, godz. 19.00
Skarby ze Śląska
Orkiestra Symfoniczna
Filharmonii Śląskiej
J. W. Hawel – dyrygent
wystąpi:
B. Harasimowicz – sopran
w programie:
B. Szabelski, E. Knapik,
J. W. Hawel, H. M. Górecki

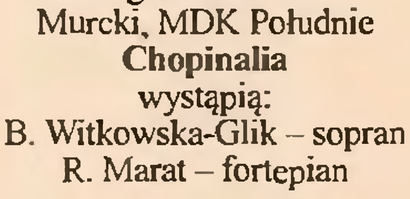
18.9. piątek, godz. 19.00
Inauguracja sezonu Śląskiej Orkiestry Kameralnej
M. Caldi – dyrygent
wystąpi:
B. Bilińska – fortepian
w programie: Ivan Fedele,
L.v. Beethoven, F. Schubert

25.9. piątek, godz. 19.00
Inauguracja sezonu Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Śląskiej
Orkiestra Symfoniczna
i Chór Filharmonii Śląskiej
M. J. Błaszczyk – dyrygent
wystąpią:
I. Hossa – sopran
J. Rappe – alt
w programie: Gustav Mahler

27.9. niedziela,
godz. 10.30 i 13.00
Filharmonia malucha

IPiUM SILESIA
1.9. wtorek, godz. 18.00
Muzeum Archidiecezjalne
Pamięci września
wystąpią:
B. Maliszewski – baryton
P. Banasik – fortepian
M. Stokowska,
B. Krawczyk – recytacje
w programie:
pieśni i utwory fortepianowe
/F. Chopin, I. J. Paderewski/
poezja /K. Lis, K.K. Baczyński,
A. Słonimski, W. Broniewski,
W. Szymborska/

7.9. poniedziałek, godz. 18.00
Studio Koncertowe PR
W kręgu europejskiej kameralistyki
wystąpią:
P. M. Cortez /Niemcy/ – fortepian
D. Eremie /Rosja/ – wiolonczela
w programie:
A. Borodin, B. Britten,
F. Mendelssohn-Bartholdy



20.9. niedziela, godz. 17.00
MDK Koszutka
Chopinalia
wystąpią:
E. Grodzka-Łopuszyńska – sopran
A. Mokrus – skrzypce
W. Waleczek – fortepian
w programie:
Chopin/Viardot
– transkrypcje Mazurków
Chopin/Liszt
– transkrypcje pieśni
transkrypcje skrzypcowe
utworów F. Chopina

godz. 17.15
Piotrowice, MDK Południe
godz.19.00
Murcki, MDK Południe
Chopinalia
wystąpią:
B. Witkowska-Glik – sopran
R. Marat – fortepian

* * *

27.9. niedziela, godz. 17.30
Panewniki, Bazylika
Muzyka w Bazylice
wystąpi:
Śląski Oktet Gitarowy
w programie:
P. Czajkowski. E. Grieg, J. Turina,
L. Brouwer, A. Chaczaturian

28.9. poniedziałek, godz. 18.00
Teatr Ateneum
Szkice do opery Giacomo Puccini – Siostra Angelika
wystąpią:
O. Ohl-Szulik – sopran
B. Witkowska-Glik – sopran
A. Borucka – mezzosopran
M. Spytek – mezzosopran
W. Stysz – fortepian, kier. muz.

29.9. wtorek, godz. 17.00
Biblioteka Śląska
Moniuszko z przymrużeniem oka
wystąpią:
E. Grodzka-Łopuszyńska – sopran
J. Bachowska – mezzosopran
A. Kobierska – alt
P. Rachocki – tenor
B. Maliszewski – baryton, słowo
W. Stysz – fortepian
w programie:
S. Moniuszko – pieśni i ballady

KOSZĘCIN
ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK"
1.9. wtorek, godz. 20.00
Lubliniec, Pl. K. Mańki
Koncert okolicznościowy
pieśni patriotyczne

26.9. sobota, godz. 19.00
Chorzowskie Centrum Kultury
A to Polska właśnie

RYBNIK
XXIV DNI MUZYKI
ORGANOWEJ I KAMERALNEJ
1.9. – 29.9.
1.9. wtorek, godz. 18.00
Kamień, kościół
pw. św. Brata Alberta
Recital organowy
wystąpi:
Arnfinn Tobiassen – organy
/Norwegia/

8.9. wtorek, godz. 19.00
kościół pw. św. Józefa Robotnika
Koncert improwizacji organowych
oraz
utworów na skrzypce solo
wystąpią:
T. Orlow – organy /Katowice/
A. Musialski – skrzypce /Katowice/

13.9. niedziela, godz.18.00
Niedobczyce, kościół
pw. Najświętszego
Serca Pana Jezusa
Koncert organowo-kameralny
wystąpią:
Gabriela Ciołek-Sitter – sopran
/Rybnik/
z Elżbietą Włosek-Żurawiecką
i jej uczniami klasy organów PSM
w Rybniku

15.9. wtorek, godz.19.00
kościół pw. św. Józefa Robotnika
Koncert organowo-kameralny
wystąpią:
Agnieszka Kaćma – flet
/Warszawa/
Jarosław Malanowicz – organy
/Warszawa/

22.9. wtorek, godz. 19.00
kościół pw. św. Józefa Robotnika
Koncert organowy
wystąpią:
Gerard Close – organy /Belgia/
z towarzyszeniem
Orkiestry Kameralnej
Państwowej Szkoły Muzycznej
w Rybniku
pod dyr. Romany Kuczery

29.9. wtorek, godz. 18.45
kościół pw. M.B. Bolesnej
Koncert kameralny
wystąpią:
„Cantus Floridus"
– zespół wokalny
pod dyr. Szymona Bywalca
/Katowice/,
Stanisław Pielczyk
– organy/pozytyw /Racibórz/

ZABRZE
FILHARMONIA ZABRZAŃSKA
1.9. wtorek, godz.19.00
kościół św. Anny
Inauguracja 60. sezonu artystycznego
S. Chrzanowski – dyrygent
wystąpi:
Aleksandra Szafir – sopran
w programie:
H. M. Górecki
– III Symfonia *Pieśni żałosnych*

DOM MUZYKI I TAŃCA
26.9. sobota, godz. 18.00
Dziwny ten świat Janusz Radek
i piosenki
Czesława Niemena

27.9. niedziela, godz. 17.00
Urodziny Miasta z Grzegorzem Turnauem
87. urodziny Zabrza

DĄBROWA GÓRNICZA
PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
19.9. sobota, godz. 19.00
Czesław śpiewa
koncert

27.9. niedziela, godz. 18.00
Debeściak zaprasza
Kabaret Świerszczychrząszcz i Kabaret Tenor

GLIWICE
MUZEUM VII GLIWICKIE DNI
DZIEDZICTWA KULTUROWEGO
Pamięć przywrócona ofiary wojen i terroru w Gliwicach w XX wieku
do 6 września
w programie m.in.:
wystawy:
O wolność i niepodległość SZP-ZWZ-AK 1939-1945

WARning
wystawa plakatu antywojennego

wystawa fotografii **Piotra Janika**
NIE!
w Ruinach Teatru Miejskiego

5.9.–6.9
Ścieżki pamięci VII GDDK:
Pomniki poległych
w I wojnie światowej.
Miejsca pamięci ofiar okresu
Powstań Śląskich i Plebiscytu
w Gliwicach,
Miejsca pamięci ofiar
Marszu Śmierci,
Miejsce pamięci
żołnierzy radzieckich,
filie niemieckiego nazistowskiego
obozu koncentracyjnego i zagłady
Auschwitz-Birkenau w Gliwicach



Ścieżka filii KL Auschwitz. Gliwice
fot ze zbiorów Muzeum w Gliwicach

WILLA CARO
5.9. sobota, godz. 11.00
Spotkanie z **Adamem Popielem**

6.9. niedziela, godz. 11.00
wykład
Wpływ wojen w XX w. na Gliwice
Sebastian Rosenbaum
z IPN w Katowicach

5.9. – 6.9
Kiermasz książek

hol główny
Posterunek polskiej policji sprzed 1939 r. /rekonstrukcja/

ZAMEK PIASTOWSKI
5.9. – 6.9
wystawy:
Gliwice – miasto wielu kultur.
Historia Gliwic i pradzieje Ziemi Gliwickiej
specjalna prezentacja:
ekspozycja **elementów stroju więźniów obozów koncentracyjnych**

Nieistniejące pomniki i tablice pamiątkowe

MUZEUM ODLEWNICTWA ARTYSTYCZNEGO
5.9. – 6.9
wystawy:
Od Huty Gliwickiej do Gliwickich Zakładów Urządzeń Technicznych

Biżuteria patriotyczna
ze zbiorów Muzeum w Gliwicach

MUZEUM HISTORII RADIA I SZTUKI MEDIÓW – RADIOSTACJA GLIWICE
5.9. – 6.9.
oprowadzanie w plenerze
Perypatetyckie gawędy Klucznika Radiostacji

Kolarski rajd pamięci Września 1939 i ofiar II wojny światowej

RUINY TEATRU MIEJSKIEGO
5.9. sobota, godz. 18.00
projekcja filmu fabularnego
Operacja Himmler
reż. Zbigniew Chmielewski

6.9. niedziela, godz. 18.00
projekcja filmu fabularnego
Tu radio Gliwice (Der Fall Gleiwitz)
reż. Gerhard Klein

JEDNOSTKA WOJSKOWA W GLIWICACH
5.9. sobota, godz. 10.00–14.00
Dzień otwarty
pokaz pojazdów specjalnych, broni i sprzętu spadochronowego

projekt towarzyszący VII GDDK
Pacyfikacja gliwicka
muzealna kampania happeningowo-teatralna
5.9. sobota, godz.16.30
spotkanie pod Fortem Czołg
godz. 17.15
przemarsz pod Fort Victoria
godz. 17.45
spotkanie pod Fortem Victoria
6.9. niedziela, godz. 17.00
Bitwa o Plac Krakowski
przygotowanie i realizacja
Teatr Nowej Sztuki

KATOWICE

4.9. – 6.9.
ulice Katowic i Śląski Ogród Zoologiczny w WPKiW
Festiwal Młodej Sztuki ARTERIE

CENTRUM SZTUKI FILMOWEJ
GALERIA PRZED SEANSEM
10.9. czwartek, godz. 19.00
wernisaż
100 lat filmu polskiego. 1908-2008
wystawa opowiada o najważniejszych dokonaniach kina polskiego za pomocą fotosów, fragmentów starych recenzji i pamiętnych dialogów filmowych
czynna do końca października

godz. 20.00
projekcja zabytków polskiego kina z towarzyszeniem muzyki tapera
Pruska kultura
/Polska 1908 r./
Antosia zgubił gorset
/Rosja 1916 r./
Mogiła nieznanego żołnierza
/Polska 1927 r./

11.9. piątek, godz. 19.00
premiera filmu
Avunculus
w reż. Alicji Żebrowskiej

18.9. – 23.9.
Wielcy Nieobecni
Bogumił Kobiela

18.9. piątek, godz. 18.00 **wernisaż**
ze słowem wstępnym brata artysty Marka Kobieli
wystawa poświęcona
Bogumiłowi Kobieli
godz. 19.00
Kobiela na plaży
reż. A. Kondratiuk, 1963 r.
Przekładaniec
reż. A. Wajda, 1968 r.

19.9. sobota, godz. 18.00
Bobek, czyli 11 wcieleń Bogumiła Kobieli
reż. G. Lasota, 1988 r.

20.9. niedziela, godz. 18.00
Bogumił Kobiela, czyli rodzinna podróż z Katowic do Tenczynka,
w której udział biorą bliscy Bobka
reż. W. Sarnowicz, 2005 r.

21.9. poniedziałek, godz. 18.00
Zezowate szczęście
reż. A. Munk, 1960 r.

22.9. wtorek, godz. 18.00
Kryptonim nektar
reż. L. Jeannot, 1963 r.

23.9. środa, godz. 18.00
Ręce do góry
reż. J. Skolimowski, 1967 r.

24.9. czwartek, godz. 18.00
premiera filmu
Klub Filmowy „Silesia"
Nie wszystko mi wojna zabrała
w reż. Józefa Kłyka
opowieść o tragicznych losach mieszkańców Śląska, wcielanych przymusowo do Wehrmachtu

26.9. sobota, godz. 18.00
Future Shorts Extra
3 Summer Driftin',
trzecia odsłona skupia się na zjawisku multikulturowości

ESTRADA ŚLĄSKA
6.9. niedziela, Kostuchna
Katowickie Dożynki
w programie m.in.:
godz. 13.30
Przemarsz korowodu dożynkowego
godz. 15.00
Symboliczne
przekazanie plonów
władzom miasta
godz. 15.30
Orkiestra Dęta KWK **Murcki** i Chór **Słowiczek**
godz. 16.30
prezentacja zespołów w ramach **Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Folklorystycznego**
godz. 18.00
Dobry wieczór
Krzysztof Piasecki z zespołem
godz. 19.30
Zespół 2 plus 1
godz. 21.00
Apel Jasnogórski
21.15
Pokaz ogni sztucznych

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
30.9. środa, godz. 17.00
Kawiarenka Kulturalno-Literacka
Zaczęło się we wrześniu 1939.
Wacław Stacherski i Konstanty Tadeusz Kempa, śląsko-zagłębiowscy Kolumbowie
sylwetkę żołnierzy-poetów, ich życie, działalność w śląsko-zagłębiowskim ruchu oporu, fragmenty wierszy przedstawi L. Smykowska-Karaś, gospodyni Kawiarenki.
Gościem specjalnym i konsultantem będzie prof. dr hab. Z. Woźniczka

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
4.9. piątek, godz. 12.00
Rynek
Łańcuch Czystych Serc
„... narkomani, alkoholizmowi, przemocy interpersonalnej, HIV/AIDS, nietolerancji, wszelkiemu złu – NIE"
w programie m.in.:
występy Kasi Pisarzowskiej i Artura Szczęsnego,
prezentacja *Ze Sznupkiem i Hektorem bezpieczniej*
oraz zespoły:
WDN, Prokuratura, Grind, Another Day, Bluestracja

25.9. piątek, godz. 19.00
sala widowiskowa
otwarcie sezonu działalności kulturalnej 2009/2010
Edyta Geppert
recital

27.9. niedziela, godz. 14.00–20.00
Rynek
Muzyczne Babie Lato
wystąpią m.in.:
Orkiestra Dęta KWK Bolesław Śmiały, Chór Chopin, Chór Harmonia, Chór Gloria, Zespół Regionalny Mikołowianki, Zespół Mokrzanki, Capella Nicopolensis, Mikołowska Grupa Taneczna

OGRODZIENIEC

przedzamcze
19.9. sobota
niePOSPOLITE RUSZENIE na ZAMEK
w programie m.in. pokazy rycerskie, jarmark rzemieślniczy, Randez Vous z Muzyką Niekomercyjną
wystąpią: Amadeus Trio, Limbo, Funk de Nite

SOSNOWIEC

MUZEUM
Dni Muzeum w Sosnowcu
w programie m.in.:
3.9. czwartek, godz. 10.00
Konferencja naukowa
Zagłębie Dąbrowskie w latach wojny i okupacji (1939-1945). W 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej
4.9. piątek, godz. 16.00
Muzyka Renesansu
koncert
oraz pokaz strojów z epoki
w wykonaniu
Zespołu Muzyki Dawnej i Tańca Historycznego
Capella Nicopolensis z Mikołowa

godz. 17.00
Pokaz czerpania papieru

godz. 18.00
Techniki graficzne Albrechta Dürera
wykład
Franciszka Kłaka, artysty-plastyka

Sobota z Egiptem
5.9. sobota, godz. 16.00
Bazar egipski
papirusy, amulety, stroje, kilimy itp.

godz. 17.00
pokaz tańca brzucha
raks szarki
w wykonaniu Thasis,
degustacja kuchni egipskiej

godz. 18.00
ABC hieroglifów
wykład
dr M. Dolińskiej, egiptologa
/Muzeum Narodowe w Warszawie/

godz. 19.00
Wierzenia starożytnych Egipcjan
wykład
B. Kostrzejowskiej, archeologa

Niedziela z miodobraniem
6.9. niedziela, godz. 12.00
Bazar egipski
I Zagłębiowskie Miodobranie

godz. 13.00
otwarcie wystawy
Marszałek Józef Piłsudski w pasiece

godz. 15.00
Pokaz miodobrania

godz. 16.00
Miód... a sprawa polska
gawęda literacka
red. W. Głowacza

SOSNOWIECKIE CENTRUM SZTUKI – ZAMEK SIELECKI
4.9. – 13.9.
realizacja projektu
Zderzenia Kultur Europejskich i Sztuk Performatywnych
Wieża Babel

5.9. sobota, godz. 21.00
uroczyste otwarcie
Wieży Babel

ZABRZE

DOM MUZYKI I TAŃCA
20.9. niedziela, godz. 15.00
Rewia... moja miłość
opowieść o blaskach i cieniach show-biznesu potraktowana w sposób zabawny, pięknie oprawiona scenicznie, z udziałem gwiazd oraz grupy baletowej Sabat

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK" – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami **(do 2 fotografii)** prosimy przesyłać do **15. każdego miesiąca** • Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel./fax 206-82-71 (wtorki, godz. 11.00-14.00) • **e-maill: slask@neostrada.pl, wikslask@poczta.onet.pl**

Letnie koncerty pod znakiem wielkich rocznic

Od dziewiętnastu już lat Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia" niestrudzenie organizuje letnie koncerty dla coraz większych, jak się okazuje, rzesz melomanów i to nie tylko z terenu województwa śląskiego. Miejscem muzycznych „pielgrzymek" stał się skansen w Wygiełzowie-Lipowcu, gdzie „Silesia" (wraz z gronem współorganizatorów, sponsorów i patronów medialnych) organizuje Międzynarodowy Festiwal Muzyki Kameralnej i Organowej. Dyrektorem festiwalu jest Jerzy Motyka, zaś nad jego poziomem artystycznym od lat czuwają dyrektor „Silesii" Ewa Kafel i Ewa Pawlik-Żmudzinska – osoba, dzięki której „Silesia" zaistniała na muzycznej mapie Śląska i po dziś realizuje wiele ambitnych projektów, a festiwal w Wygiełzowie należy do jednego z nich.

Muzyczne lato „Silesii" związane jest ze 190. rocznicą śmierci Stanisława Moniuszki. Otworzył je koncert arii i duetów operowych w wykonaniu Katarzyny Oleś-Blachy (sopran), Anny Boruckiej (mezzosopran), Stanisława Kuflika (baryton) i Grzegorza Biegasa (fortepian). Kolejne dni przyniosły wiele znakomitych wykonań: 23 sierpnia wystąpiła Orkiestra Kameralna Polskiego Radia Amadeus pod dyrekcją Agnieszki Duczmal z solistą Jarosławem Żołnierczykiem (skrzypce). W ich wykopnaniu melomani usłyszeli „Obrazki z wystawy" M. Musorgskiego i 'Cztery pory roku" A. Piazzolli. W tym samym czasie w kościołach Bobrka i Grojca zabrzmiało oratorium „Stworzenie świata" Josepha Haydna a także utwory G.G. Gorczyckiego, F. Mendelssohna-Bartholdy'ego, B. Pękiela, C. Monteverdiego i W. A. Mozarta.

Sierpień zakończył koncert solistów Opery Lwowskiej (Dwór w Wygiełzowie) i fragmenty opery jednoaktówki G. Pucciniego „Siostry Angeliki" (w krakowskim kościele ss. Norbertanek na Salwatorze). W tym niecodziennym wydarzeniu muzycznym (zaśpiewały Olivia Ohl-Szulik (sopran), Beata Witkowska-Glik (sopran), Anna Borucka (mezzosopran), Magdalena Spytek (mezzosopran).

Wrześniowe koncerty przyniosą koncerty z dwóch cykli „W kręgu europejskiej kameralistyki" i „Młodzi wirtuozi". 13 września, w 200. rocznicę śmierci Josepha Hydna będzie można wysłuchać tego kompozytora tria fortepianowe e-moll, G-dur i „Scena di Berenice" w wykonaniu Anny Nowoczyn (sopran), Łukasza Zimnika (flet), Martyny Pastuszki (skrzypce), Marka Caudle (W. Brytania, wiolonczela) pod kierunkiem Marka Toporowskiego (klawesyn). Z kolei w kościele p. w. Świętych Piotra i Pawła w Trzebini zabrzmią utwory Corelli'ego, Marcella, Janacka i Podprocky'ego w wykonaniu Orkiestry Kameralnej Filharmonii w Koszycach.

Tegoroczny Festiwal w Wygiełzowie-Lipowcu zakończy recital fortepianowy Lidii Grychtołówny, która wykona utwory Fryderyka Chopina.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Labirynt pamięci. Oblicza zła 1939

To tytuł wystawy w Rondzie Sztuki i Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, prezentującej prace najwybitniejszych twórców videoartu na świecie. Od 31 lipca w katowickim Rondzie Sztuki wystawiane są prace tak znanych twórców, jak Sophie Calle, Chris Doyle, Antonio Muntadas, Deimantas Narkevičius, Nam June Paik, Zbig Rybczyński, Bill Viola, czy Stephen Balist, współtwórca legendarnego nowojorskiego Squat Theatre. Polskich artystów reprezentować będą również Mirosław Bałka i Artur Żmijewski. Publiczność zobaczyła ponadto głośną „Europę 2" Franciszki i Stefana Themersonów. Filmowa podróż w czasie (od I wojny światowej po wydarzenia współczesne) i przestrzeni (Europa, Bliski Wschód, Chile, USA, Chiny, Korea, Wietnam) jest świadectwem, jak bardzo historia zmieniła losy jednostek i narodów.



W zakończeniu imprezy, 11 września, w rocznicę terrorystycznego ataku na wieże Word Trade Center w Nowym Yorku, udział zapowiedzieli artyści uczestniczący w wystawie.

Patronat nad ekspozycją objęli Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałek Województwa Śląskiego i Prezydent Miasta Katowic.

Organizatorem przedsięwzięcia jest Instytut Kultury Ars Cameralis wraz z galerią BWA i Rondem Sztuki.

Mistrzowie warsztatu

W ramach Międzynarodowego Triennale Grafiki – Kraków 2009 od 24 lipca – 31 października można oglądać wystawę grafiki ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach. W obliczu istniejących wielkich i cennych kolekcji grafiki europejskiej Muzeum Śląskie, restytuowane w 1984 roku, swoje zainteresowania skupiło na tworzeniu kolekcji współczesnej grafiki polskiej po 1945 roku i rejestracji najnowszych dokonań w tej dziedzinie. Wśród licznie zgromadzonych zbiorów grafiki współczesnej w Muzeum znajdują się także nieliczne, często pojedyncze ryciny grafików europejskich takiej miary, jak Albrecht Dürer, Rembrandt Haermensz van Rijn czy Giovanni Battista Piranesi. Zespół liczy 28 rycin 19. autorów, reprezentantów różnych szkół europejskich. Zawiera ryciny o dużej wartości artystycznej dotąd nigdy nieeksponowane.

Najstarsza rycina w zbiorze sięga początku XVI wieku, jest to sztych miedziorytniczy z 1505 roku autorstwa Albrechta Dürera, któremu Niemcy zawdzięczają największy rozkwit grafiki w tym okresie. Organizatorzy wystawy dołączyli do tej prezentacji kilkadziesiąt prac współczesnych grafików polskich z własnych zbiorów. Ich autorami są przedstawiciele różnych środowisk twórczych w kraju, m.in. Eugeniusz Get-Stankie-



Albrecht Dürrer, Wielki koń, 1505, miedzioryt, ze zbiorów Muzeum Śląskiego.

Jednym zdaniem

■ 11 edycja Letniego Ogrodu Teatralnego zorganizowana przez Teatr Korez odbywała się od 4 lipca do końca sierpnia.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym gościła wystawa wybitnej przedstawicielki polskiego drzeworytu – Marii Hiszpańskiej-Neumann (1917-1980) pt. Biblia, na która złożyły się rysunki, grafiki, malarstwo, projekty realizacji we wnętrzach sakralnych.

■ Na wystawę przygotowaną z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej, pt. „Maj-sierpień 1939. Ostatnie miesiące spokoju na Górnym Śląsku", podczas której będzie można zobaczyć nieznane filmy i dokumenty, a także zobaczyć film „Ptaki ptakom" w reżyserii Pawła Komorowskiego, według powieści Wilhelma Szewczyka, zaprasza Muzeum Śląskie.

■ Fotografie Timma Stűtza i Ryszarda Korżanowskiego można oglądać w galerii Katowice Okręgu Katowickiego ZPAF.

■ W cyklu „Znasz li ten kraj..." czyli Mała Akademia o Kulturze Ziem Górnego Śląska Muzeum Śląskie zapraszało na spotkanie z Beskidem Śląskim.

■ Muzeum w Sosnowcu zapraszało na wystawę z cyklu „Wielcy nieznani", podczas której prezentowano dorobek twórczy Bogny Krasnodębskiej-Gardowskiej – urodzonej w Sosnowcu (1900) jednej z czołowych drzeworytniczek działającej w przedwojennym Stowarzyszeniu Artystów Grafików „Ryt".

■ Wystawę fotografii historycznych kolonii i osiedli robotniczych pokazało muzeum w Sosnowcu.

■ „Sierpień talentów", podczas którego wystąpili z koncertami i recitalami obok uznanych artystów jak Ewa Jaślan (harfa), Anna Górecka (fortepian) czy Mariola Cieniawa (fortepian) młodzi artyści z Polski, Budapesztu, Lwowa, Wielkiej Brytanii i Japonii.

■ Rysunki Jacka Albrechta zatytułowane 'Irracjonalnie" pokazało Muzeum Śląskie.

■ W Muzeum Historii Katowic zostanie otwarta wystawa fotograficzna pt. „4 września 1939 ro-

wicz, Jacek Gaj, Witold Skórczewski, Zbylut Grzywacz, Aleksander Rak.

Dzieła dawne i współczesne prezentowane na wystawie są wykonane w technice miedziorytu – najstarszej technice, która niegdyś pełniła także funkcję ilustracji książkowej; akwaforcie, której szczyt rozwoju przypadał na XVI wiek, a w XX wieku nastąpił jej wielki renesans; akwatincie zwykle towarzyszącej akwaforcie; suchej igle, stosowanej od XVI wieku jako technika pomocnicza, w XIX wieku zdobywającej pełną samodzielność; mezzotincie – technice coraz rzadziej stosowanej, dającej miękkie, malarskie półtony.

Planety Janusza Musiała

W warszawskiej Galerii Obok ZPAF trwa pokaz prac Janusza Musiała. Autorski zestaw „Archeologia nowych mediów – Medialne planety" realizowany w latach 2006-2008 ilustruje wpływ działania czasu.



Foto. Janusz Musial

zmiennych warunków atmosferycznych, żywiołów (światła, wody i ziemi) na media optycznej rejestracji i archiwizacji multimedialnych danych. Wystawa przedstawia problematykę cyfrowej rewolucji współczesnych mediów. Stawia pytania o trwałość współczesnej nam kultury opartej na architekturze i estetyce niematerialności, efemerycznych pulsacjach światła na wszędobylskich ekranach, monitorach i wyświetlaczach. Janusz Musiał jest absolwentem Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach oraz Fotografii w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików [2005]. Jest autorem tekstów i recenzji poświęconych fotografii i nowym mediom, kuratorem wystaw tematycznych, koordynatorem projektu *Kopalnia Obrazu*. Realizuje cykl autorskich filmów dokumentalnych – wywiadów – czyli tzw. Leksykon Śląskiej Fotografii.

Janusz Musiał jest również nauczycielem akademicki w Wyższej Szkole Mechatroniki w Katowicach. Jest autorem ponad 70. wystaw i pokazów indywidualnych oraz zbiorowych w kraju i za granicą, m.in. w Czechach, na Słowacji, Litwie a także w Algierii i Maroku.

„Born of Fire: the Valley of Work"

Ogień, srebrny dym, senne osiedla, formy rodem z futurystycznego malarstwa włoskiego wzięte, niepowtarzalna ekspresja i burza kolorów to tylko wybrane przymiotniki oddające klimat międzynarodowej wystawy „Born of Fire: the Valley of Work". Fowistyczne, ekspresyjne i impresyjne wcielenia przemysłowych pejzaży Pittsburgh'a składają się na niezwykłą ekspozycję ze zbiorów The Westmoreland Museum of American Art z Greensburga, prezentowaną w Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Można ją będzie oglądać od 11 września do 4 grudnia br. Prezentowanych będzie 60 prac, w tym obrazy olejne, grafiki, ryciny, litografie i zdjęcia ukazujące nie tylko przemysłowe widoki i pracę w hutach, ale również robotników i życie w mieście. Wystawa poświęcona jest położonemu w południowo-zachodniej Pensylwanii miastu Pittsburgh, które w drugiej połowie XIX wieku stało się jednym z najważniejszych amerykańskich centrów przemysłu hutniczego. Można będzie znaleźć wiele analogii pomiędzy tym rejonem USA a Górnym Śląskiem.

Po ekspozycji w Zabrzu wystawa odwiedzi muzea hiszpańskie, brytyjskie i francuskie.



Fotoplastykon – 3D z XIX wieku

Dawne widoki w trójwymiarze są nową, stałą atrakcją Muzeum Śląskiego w Katowicach. Udostępnimy został jedyny na Śląsku fotoplastykon – urządzenie z końca XIX wieku, służące do projekcji trójwymiarowych zdjęć. Inauguracja Fotoplastykonu odbyła się 6 sierpnia. Na pierwszym seansie pokazano zdjęcia z końca XIX i początku XX wieku, przedstawiające widoki miast polskich, europejskich i zabytki Bilskiego Wschodu oraz cykl fotografii obyczajowych z Górnego Śląska.



Foto. Muzeum Śląskie

Fotoplastykon znów fascynuje.

Fotoplastykon – jeden z ciekawszych eksponatów Muzeum Śląskiego – po gruntownej renowacji został uruchomiony w Noc Muzeów, 16 maja 2009 roku i od razu zyskał ogromne uznanie wśród zwiedzających.



WI. Muzeum Śląskie

Stereopara, Nowy Dwór – kościół, około 1900 roku.

Historia fotoplastykonu łączy się nierozerwalnie z historią fotografii stereoskopowej, wynalezionej w latach 50. XIX wieku. Pierwszy oficjalny pokaz urządzenia odbył się 1870 roku w Berlinie, a projekcje od razu stały się ogromnie popularne. Fotoplastykon ze zbiorów Muzeum Śląskiego, jeden z nielicznych w Polsce, pochodzi z końca XIX wieku. Działał od 1949 roku do lat 80. XX wieku w Sosnowcu, na rogu ulicy Modrzejowskiej i Warszawskiej. Służy do projekcji fotografii stereoskopowych, czyli obrazów przestrzennych. Pozwala na równoczesne oglądanie przezroczy na 24 stanowiskach oraz na podświetlanie każdego z osobna odrębnym źródłem światła. Oglądanie fotografii trójwymiarowej daje iluzję obcowania z rzeczywistością prezentowaną na seansach, a widz przenosi się w zatrzymany na jedną sekundę magiczny świat.

---

ku w Katowicach", który poprzedzi wykład dra Grzegorza Bębnika.

■ W Gliwickim Teatrze Muzycznym rozpoczęła się prezentacja efektów kolejnej edycji polsko-niemieckich warsztatów artystycznych dla młodzieży, podczas których uczniowie szkół średnich z województwa śląskiego i Nadrenii poznawali tajniki fotografii i brali udział w próbach „Iwony, księżniczki Burgunda" Gombrowicza.

■ Również w Gliwickim Teatrze Muzycznym ruszyły próby do polskiej prapremiery „High School Musical" w reżyserii Tomasza Dutkiewicza, z udziałem grupy kilkudziesięciu młodych osób niemal z całej Polski, wyłonionej podczas ubiegłorocznego castingu.

■ W ramach Festiwalu Tauron Nowa Muzyka w Galerii+ Ronda Sztuki w Katowicach odbyły się wykłady na temat fotografii, połączone z warsztatami, a zajęcia były zwieńczeniem odbywającej się od 9 do 31 sierpnia wystawy prac Jacka Poremby, Pawła Fabjańskiego oraz Jacka Kołodziejskiego.

■ Dom Bezpieczny (SAFE HOUSE) autorstwa Roberta Koniecznego – KWK Promes znalazł się (jako jedyny z Polski) na finałowej szortliście najlepszych realizacji świata World Architecture Festival 2009 w Barcelonie.

■ Panel dyskusyjny na zakończenie 2. Biennale Sektor Sztuki pt. „Niewygodny przedmiot pożądania" odbył się w Górnośląskim Centrum Kultury z udziałem m.in. panelistów: Sebastiana Cichockiego z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Jarosława Lubiaka z Muzeum Sztuki w Łodzi, Stanisława Rukszy z Centrum Sztuki Współczesnej Kronika w Bytomiu, Agaty Smalcerz z Biura Wystaw Artystycznych w Bielsku-Białej oraz gości, wśród których byli obecni m.in.: Lucja Ginko dyrektor Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego, prof. Adam Romaniuk z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, prof. Tadeusz Sławek z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Andrzej Urbanowicz z Towarzystwa Bellmer w Katowicach, artysta malarz Henryk Waniek i Marek Zieliński – dyrektor Ars Cameralis Silesiae Superioris w Katowicach.

■ Wspólny projekt studiów: – inżynieria wiedzy (kierunek informatyczny, studia I i II stopnia), zarządzanie w kulturze, sztuce i turystyce kulturowej (kierunek: zarządzanie, studia II stopnia i studia podyplomowe), – e-administracja (studia podyplomowe) oraz – e-zdrowie (studia podyplomowe) realizują od nowego roku dwie katowickie uczelnie: Akademia Sztuk Pięknych w Katowcach i Akademia Ekonomiczna.

■ W lipcu odbywała się wystawa „Dyplomy 2009" studentów katowickiej Akademii Sztuk Pięknych.

■ Tegoroczne nagrody za Najlepszy Dyplom 2009 ufundowane przez firmę BPSC otrzymali: malarstwo: Sylwia Woźniczka za cykl obrazów i grafik „Retrospekcje", grafika: Jan Dybala za „Przestrzeń audiowizualną", projektowanie graficzne: Agata Korzeńska za „RE-book. Recycling w sztuce użytkowej", wzornictwo: Marcin Krater za „Projekt zestawu naczyń na potrawy regionalne".

■ Magdalena Piekorz, znana reżyserka i scenarzystka filmowa wygrała konkurs na stanowisko zastępcy dyrektora Instytucji Filmowej Silesia-Film w Katowicach; będzie kształtować sztukę i kulturę filmową w województwie śląskim.

Obrona charakteru

Kiedy w styczniu buldożery zburzyły słynną willę Hauptiga w Cygańskim Lesie, tamtejsi mieszkańcy stworzyli Komitet Ochrony Olszówki. Organizacja ma na celu zachowanie tradycji i wartości kulturowych tej przepięknej willowej dzielnicy Bielska-Białej. Obrońcy Olszówki i Cygańskiego Lasu mają nadzieję, że wyjątkowy klimat podgórskiej dzielnicy Bielska-Białej zostanie zachowany. Gwarantował to nawet prezydent Jacek Krywult, który już niebawem będzie miał okazję dotrzymać słowa.

Oto bowiem właściciel terenu, który zrównał z powierzchnią ziemi dziewiętnastowieczną willę Hauptiga, pragnie wybudować na jej miejscu bloki mieszkalne. Nie licują one charakterem z tradycyjną zabudową ul. Olszówki i – szerzej – Mikuszowic Śląskich. Pierwsi zaprotestowali animatorzy kultury z Komitetu Ochrony Olszówki na czele z przewodniczącym tej organizacji Mirosławem Gębalą. List do prezydenta Krywulta z prośbą o pomoc wysłał również prezes Stowarzyszenia „Olszówka" Jacek Zachara. Działacze społeczni z Bielska-Białej są zbulwersowani nie tylko tym, że nie udało się zapobiec wyburzeniu willi Hauptiga i wycince znacznej ilości drzew wokół niej. Protestują także przeciw kolejnej próbie całkowitej zmiany charakteru zabudowy i dalszej dewastacji „krajobrazu kulturowego" dzielnicy.

We wnioskach do miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego mieszkańcy Mikuszowic Śląskich zawarli wiele postulatów. Najważniejszy z nich to całkowity zakaz zabudowy wielorodzinnej, wielokondygnacyjnej, szeregowej oraz infrastruktury przemysłowej. Dlatego obywatele urokliwej bielskiej dzielnicy proszą prezydenta o uwzględnienie woli mieszkańców w podejmowaniu decyzji o warunkach zabudowy, o które wystąpił inwestor. Jak powiada Jacek Zachara, najlepszym rozwiązaniem byłoby odtworzenie willi Hauptiga, co spotkałoby się z uznaniem ze strony mieszkańców Olszówki.

Los dzielnicy spoczywa zatem w rękach prezydenta Bielska-Białej. Jacek Krywult ma dwa rozwiązania. Poprzeć tych, którym obce są tradycyjne wartości i którzy „historii nie znają, ni architektury", lub stanąć w obronie piękna kulturowego, a zarazem ludzkiego wymiaru dzielnicy. Dotychczasowe problemy tego typu władze beskidzkich miejscowości rozwiązywały na korzyść pseudonowoczesnych inwestorów – niszczycieli tradycji. W Bielsku-Białej już w latach siedemdziesiątych minionego wieku zburzono XIX-wieczne centrum miasta, które było zbyt ciasne dla samochodów zmierzających ze Śląska do Szczyrku. W kolejnej dekadzie wyburzono fragment pierwszego rynku w Białej, wraz z okolicznymi ulicami, ażeby wystawić jeden z największych ówcześnie polskich hipermarketów. W następnym dziesięcioleciu zniszczono oryginalną kilkusetmetrową mozaikę Ignacego Bieńka, żeby przygotować grunt pod kolejny ogromny hipermarket. Minęło kolejnych dziesięć lat i buldożery zniszczyły niemal w jednym czasie bielską willę z XIX w. i nieco starszy cieszyński dworek przy ul. Bielskiej, żeby w miejscu zabytków można było postawić komercyjne obiekty.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Grand Prix dla Ekwadoru

Jak zwykle kolorowy, roztańczony i rozśpiewany był kolejny Tydzień Kultury Beskidzkiej. 46 już edycja imprezy odbywała się od 1 do 9 sierpnia na scenach Wisły, Żywca, Szczyrku, Makowa Podhalańskiego, Jabłonkowa, Istebnej i Ujsół. W jej ramach zorganizowano II Festiwal Folkloru Górali Polskich oraz XX Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne w Żywcu. Sporym zainteresowaniem cieszył się FFGP. Złote Żywieckie Serce i 10 tys. zł odebrali artyści Regionalnego Zespołu Istebna. Srebrne Żywieckie Serca i 8 tys. zł przypadły Nawojowiakom, a Brązowe Żywieckie Serca i 6 tys. zł – Mszalniczanom. Nagrody za poszczególne elementy programu przyznano Oldrzychowicom, Grojcowianom z Wieprza, Dolanom z Gilowic i Magurzanom z Łodygowic.

W kategorii kapel Złote Żywieckie Serce otrzymała Fickowo Pokusa z Jeleśni, w kategorii grup śpiewaczych żeńska grupa śpiewacza im. L. Łojasa z Łopusznej, a w kategorii solistów instrumentalistów – Kamil Wojtyła z Żabnicy. W gronie solistów multiinstrumentalistów dwa równorzędne pierwsze miejsca przyznano Antoniemu i Rafałowi Gluzom ze Szczyrku. Spośród solistów śpiewaków Złote Żywieckie Serce otrzymała Julianna Adamek z Pewli Wielkiej. W kategorii pn. „mistrz i uczeń – instrumentaliści" Złote Żywieckie Serce zdobył Czesław Pawlus z Żabnicy. Grand Prix XX Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych przyznano ekwadorskiemu zespołowi Ballet Folklórico Ecuatoriano Quitus z Quito.

Cieszyński Wałach

„Echo mojej sztuki" to tytuł sierpniowej i wrześniowej ekspozycji prac Jana Wałacha (1884-1979) w Galerii Wystaw Czasowych Muzeum Śląska Cieszyńskiego. Artysta z Andziołówki k. Istebnej ukończył m. in. Polskie Gimnazjum Macierzy Szkolnej w Cieszynie, ASP w Krakowie w pracowni J. Mehoffera (1908) i Ecole des Beaux-Arts w pracowni F. Cormona w 1911 r. Po włosko-niemiecko-czeskich podróżach artystycznych wziął udział w I wojnie światowej.



Jedna z prac J. Wałacha.

Po wojennej tragedii powrócił w rodzinne strony. Gustował w drzeworytnictwie i rysunku węglem. Stworzył także wiele obrazów – portretów sąsiadów – górali, scen rodzajowych przedstawiających wypas owiec, prace rolne i leśne itp. Wykonał również sporo martwych natur. Innym rodzajem jego twórczości było malarstwo witrażowe oraz projekty polichromii. Z tych ostatnich zachowała się jedynie polichromia kościoła w Istebnej.

Pejzaże Koima

Do 6 września będzie prezentowana wystawa fotografii Mariana Koima w kęckim Domu Kultury. Ekspozycja nosi tytuł „Osieckie krajobrazy" i przedstawia architekturę drewnianą, sztukę ludową oraz impresyjne wiejskie pejzaże, w których bielski artysta od lat znajduje upodobanie. Istotną rolę w jego odbiorze rzeczywistości odgrywa czas, dlatego porom roku poświęca wiele swych dzieł. Przemijanie obecne jest również na zdjęciach przedstawiających architekturę i sztukę ludową – domy, kapliczki, świątki i inne rzeźby.

Koim jest absolwentem pierwszego rocznika bielskiego Liceum Technik Plastycznych oraz Studium Filmu i Fotografii w Warszawie. Współtworzył m.in. amatorski ruch filmowy w Bielsku-Białej i Oświęcimiu. Przez wiele lat pracował w placówkach kultury w Katowicach, a następnie w Wojewódzkim Domu Kultury i Regionalnym Ośrodku Kultury w Bielsku-Białej. Wychował zastępy fotografików i filmowców śląskich i beskidzkich.

Jednym zdaniem

■ Teatr Polski z Bielska-Białej zdobył za „Szwejka" w reż. Roberta Talarczyka jedną z czterech równorzędnych pierwszych nagród – Perłę 2009 – na Festiwalu Teatrów Europy Środkowej „Sąsiedzi", który odbył się pod koniec czerwca w Lublinie.

■ Wystawę retrospektywną twórczości Krzysztofa Zarębskiego „Zmysłowość jest jego kwiatem" można było oglądać w sierpniu w Galerii Bielskiej BWA.

■ Tomasz Drabek został zwycięzcą plebiscytu na najpopularniejszego aktora Teatru Polskiego w minionym sezonie artystycznym.

■ Od 18 czerwca do 9 września potrwa wystawa fotografii Heikki Mahlmaki „Cztery pory roku w Teuvie" w Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie.

■ 16 sierpnia w Ustroniu odbył się koncert zespołów folkowych i folklorystycznych pn. „Gdzie biją źródła".

■ Elżbieta Dzikowska wystawiała swoje fotografie podczas sierpniowej ekspozycji „Ziemia z bliska" w Galerii Bielskiej BWA.

■ Strachy polne – obrazy Floriana Kohuta z Rudzicy można było oglądać w sierpniu w Książnicy Beskidzkiej.

Historia i altanka

Już od początków maja rozpoczęło się w Częstochowie świętowanie 100. rocznicy Wystawy Przemysłu i Rolnictwa, którą później zaczęto nazywać Wielką. I z pewnością na takie właśnie miano zasłużyła. Trwająca blisko miesiąc (od 5 sierpnia do 3 października 1909 roku) ekspozycja do dnia dzisiejszego pozostaje największym i najbardziej prestiżowym wydarzeniem gospodarczym, jakie odbyło się w Częstochowie. Jak podkreślają historycy, wystawa w pełni ukazała potencjał gospodarczy i ekonomiczny Królestwa Polskiego, stając się także manifestacją dumy narodowej żyjących pod zaborami Polaków. Warto przypomnieć, iż Częstochowa była wówczas jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się miast Królestwa Polskiego i liderem w przetwórstwie celuloidu, juty i w produkcji galanterii.

Przygotowania rozpoczęły się z początkiem 1907 roku; powołano wówczas Komitet Wystawy, któremu przewodniczył książę Stefan Lubomirski. W Komitecie pracowało również wiele wybitnych osobowości, m.in. wielce zasłużony dla rozwoju Częstochowy dr Władysław Biegański, hrabia Karol Raczyński, ówczesny przeor Jasnej Góry Euzebiusz Rejman i proboszcz parafii św. Zygmunta – ksiądz Marian Leon Fulman. Ekspozycja zajmowała kilkanaście hektarów – błonia nieopodal Jasnej Góry – na których 660 wystawców prezentowało swoje osiągnięcia. Budynki wystawiennicze zaprojektowali ówcześni najwybitniejsi architekci polscy, m.in. Józef Gałęzowski, Konstanty Jakimowicz, Józef Kon, Czesław Przybylski, Alfons Bogusławski.

Do dnia dzisiejszego przetrwał jeden pawilon wystawienniczy oraz Zagroda Włościańska (obecnie własność Muzeum Częstochowskiego), a także niezwykle urokliwa altanka, która w trakcie wystawy z 1909 roku była częścią teatru. I chyba nie jest zbytnią przesadą stwierdzenie, że właśnie owa altanka stała się obiektem najbliższym sercu mieszkańców Częstochowy, przypominając przez lata o wielkim wydarzeniu. Szczególnie w okresie „szarego i betonowego" PRL-u pełniła w mieście rolę jednego z nielicznych ciekawych miejsc, które chętnie odwiedzali mieszkańcy miasta. W wielu rodzinnych albumach odnajdziemy stare fotografie robione na tle altanki. Przez lata nieco zapomniana i zaniedbana, stanowiła miejsce schronienia dla częstochowskich Romów, stale obecnych w parku Staszica. Przed kilkunastoma laty została wyremontowana – podobnie jak dwa pozostałe budynki z czasów Wystawy – i na nowo stała się miejscem rodzinnych spacerów, zaczęła „pozować" do zdjęć.

Dobrym pomysłem okazało się organizowanie przez Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater" w stuletniej altance w każdą wakacyjną niedzielę koncertów. Dominuje repertuar familijny i rozrywkowy, choć nierzadko rozbrzmiewa także muzyka poważna. Program tegorocznych koncertów jest różnorodny, promujący wykonawców związanych z regionem częstochowskim. Sezon w altance rozpoczął częstochowski kwartet smyczkowy „Quatro Stagioni", w kolejne niedziele zabrzmi jazz, szanty, zaprezentują się kapele podwórkowe i orkiestry dęte. A o Wystawie Przemysłu i Rolnictwa z 1909 roku w Częstochowie zapewne jeszcze będzie głośno, kulminacyjny moment obchodów 100-lecia wystawy dopiero przed nami.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Jej mały świat

W Miejskiej Galerii Sztuki zaprezentowano malarstwo Beaty Zuby-Palichleb. Artystka w roku bieżącym ukończyła Wydział Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i dopiero rozpoczyna swoją zawodową karierę. Beata Zuba-Palichleb posiada już mocno sprecyzowany i ukształtowany język wypowiedzi artystycznej.

O swoich pracach stwierdziła: „W seriach tworzonych przeze mnie obrazów odbija się jak w lustrze świat całkowicie własny, przetworzony przez pryzmat indywidualnej percepcji, mocno wzbogacony o moje odczucia". W Częstochowie zaprezentowała martwe natury, na których dominują przedmioty zwyczajne, codziennego użytku. Artystka posługuje się stosunkowo skromną paletą barw – dominują szarości – i mocną zaakcentowaną kreską. Jej twórczość bliska jest tradycji francuskich postimpresjonistów. Z pewnością warta zauważenia jest emocjonalnie wyciszona twórczość Beaty Zuby-Palichleb, która – co rzadkie u rozpoczynających karierę młodych twórców – nie podąża za modnymi trendami w sztuce współczesnej.

Festiwal ogródkowy

Teatry ogródkowe – forma letniej sceny – sięgają swymi korzeniami XIX wieku. Na ziemiach polskich najprędzej pojawiły się w Warszawie i były budowane przy piwiarniach. Zdobyły szybko uznanie widowni, a wiele polskich sztuk miało swą premierę właśnie na takiej scenie. Jednym z największych zwolenników teatrów ogródkowych był Bolesław Prus. Wielu wybitnych aktorów rozpoczynało artystyczną karierę, występując w teatrach ogródkowych, m.in. Ludwik Solski, Bolesław Leszczyński i Mieczysław Frenkiel. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku powróciła moda na letnie sceny, tym bardziej iż teatry tradycyjne w wakacje praktycznie nie działają. Pojawiły się także przeglądy i festiwale teatrów ogródkowych – w roku 1992 w Warszawie, potem w Toruniu i kolejnych miastach.

W 2006 roku w Częstochowie Teatr From Poland zorganizował I Ogólnopolski Festiwal Teatrów Ogródkowych, któremu towarzyszyło wiele interesujących imprez, wystawy, koncerty. Tegoroczna, czwarta edycja, także prezentuje interesujący program. Warto przypomnieć, iż od pierwszej edycji Festiwalu o jego kształcie decydują przede wszystkim Andrzej Gęsiarz, który pełni funkcję dyrektora Festiwalu oraz Jarosław Filipski, dyrektor Teatru From Poland. Do Częstochowy zaproszono najlepsze sceny letnie i interesujące spektakle. Zaprezentują się m.in.: Teatr Autorski Blee (Częstochowa), Teatr Znak (Gdańsk), Teatr Fieter (Ozimek), Teatr Ecco Homo (Kielce), Teatr Pierwszego Kontaktu (Lublin).

Z daleka i bliska

Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne odbyły się w lipcu w Częstochowie już po raz dwunasty. Głównym organizatorem imprezy niezmiennie – od jej pierwszej edycji – pozostaje Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie, który w przygotowaniu Spotkań współpracuje z podobnymi instytucjami kulturalnymi regionu, m.in. w Kłomnicach, Kamienicy Polskiej, Przyrowie, Lublińcu.

W tym roku gościły w naszym regionie zespoły artystyczne pielęgnujące kulturę ludową, m.in. z Czarnogóry, Macedonii, Ukrainy i Turcji. Oprócz uczestników zagranicznych w imprezie biorą udział zespoły folklorystyczne działające w regionie częstochowskim. Koncerty odbywają się we wszystkich miejscowościach, z których pochodzą polskie zespoły. To dlatego Spotkania Folklorystyczne w szczególny sposób nie tylko promują rodzimą sztukę ludową, ale także dają możliwość poznania tradycji i zwyczajów innych narodów. Koncert finałowy z udziałem wszystkich uczestników Spotkań odbył się na scenie Filharmonii Częstochowskiej.

Jednym zdaniem

■ W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się wystawa fotografii z podróży Grzegorza Kołodki.

■ W galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater" odbyła się wystawa podyplomowa studentów Wydziału Artystycznego Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie.

■ W Olsztynie (k. Częstochowy) odbył się Pierwszy Piknik Geologiczny, promujący skarby natury i uroki Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

■ W Klubie „Roxy" odbył się recital Agnieszki Łopackiej.

■ Prace powstałe podczas V Pleneru ISD Huta Częstochowa można było oglądać w Muzeum Częstochowskim (Ratusz).

■ W Konduktorowni – siedzibie częstochowskiej Zachęty – swoje najnowsze prace malarskie zaprezentowała Karolina Kosińska.

■ W Złotym Potoku (k. Częstochowy) odbyło się XI Jurajskie Lato Filmowe.

Biografia Śmiełowskiego

Pedagog, krytyk i pisarz muzyczny Zbigniew Kościów ocalił od zapomnienia dokonania Stanisława Śmiełowskiego (1930-2008), publikując pierwszą książkę biograficzną poświęconą postaci kompozytora, folklorysty, dziennikarza, który odgrywał pierwszoplanową rolę w powojennym życiu muzycznym Śląska Opolskiego. Warto podkreślić, że ukazała się ona w serii wydawniczej, gdzie wcześniej autor przedstawił polskim czytelnikom biografie Brucknera, Chaczaturiana, Haby, Honeggera, Wolfa, Meyerbeera i Bizeta. Biografia Śmiełowskiego ukazała się jak poprzednie nakładem Wydawnictwa Polskiego (Wołomin 2009, współwydawca WBP w Opolu). Założyciel tej oficyny Wacław Panek już w latach 70. zwrócił uwagę na Śmiełowskiego, poświęcając obszerny tekst jego dokonaniom, temat ten kontynuowała w swojej pracy magisterskiej Ilona Mąka. Po latach okazało się, że wspomniane opracowania mają szczególne znaczenie dla udokumentowania utworów kompozytora, które zaginęły bądź uległy zniszczeniu podczas powodzi w 1997 roku. Stanisław Śmiełowski, który – jak przypomina autor biografii – „uważał się za Ślązaka polskiej orientacji", był artystą niezwykle wrażliwym na przenikanie kultur, nie rezonował o wielokulturowości, ale głęboko zgłębiał dziedzictwo wielu narodów. Zafascynowany śląskim folklorem i historią regionu skomponował m.in. „Uwerturę śląską" na orkiestrę symfoniczną, „Damrotiana" – pieśni do słów Konstantego Damrota, „Mons Chełm" na orkiestrę symfoniczną, „Kantyk do św. Anny". Zaciekawiony kulturą Serbołużyczan opracowuje ich melodie i pieśni ludowe, po czym podejmuje kolejne wyzwanie, jakim była praca nad utworem „Mistrz Krabat" (muzyka baletowa), gdzie podjął się oryginalnej interpretacji klasycznego tematu, czyli dziejów czarnoksiężnika Krabata, zwanego też łużyckim Faustem. Kompozytor wielokrotnie powracał do pierwotnego zapisu utworu wciąż poszukując doskonalszego kształtu dzieła.

Kolejną przygodą twórczą Śmiełowskiego było spotkanie z kulturą Ormian, ze szczególnym uwzględnieniem kultury Ormian polskich, których potomkowie przybyli także na Śląsk z dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Artysta wstąpił do nowej przestrzeni duchowej, doznając obecności tajemnicy, której przystoi jedynie pieśń – najwyższa forma modlitwy. Tę muzyczną wędrówkę od profanum do sacrum można zobrazować uczuciem olśnienia, jakiego doznają ci, którzy po raz pierwszy przekraczają drzwi Katedry Ormiańskiej we Lwowie, obcując z trzema tysiącami lat historii najstarszego narodu chrześcijańskiego, spoglądając w zadumie na fresk Jana Henryka Rosena „Pogrzeb św. Odyliona", symbolizujący przejście w zaświaty, znane z opisów Homera, Wergiliusza, Dantego. Zainspirowany kulturą ormiańską Śmiełowski opracował „Liturgię polskich Ormian na Wielkanoc" (2007) i „Liturgię żałobną polskich Ormian" (2008) na głos solowy i chór mieszany a capella. Ten drugi utwór ukończył na dwa tygodnie przed śmiercią. Dzieła te zostały wykonane przez Chór „Gaudium" Uniwersytetu Wrocławskiego pod dyrekcją Alana Urbanka. Jak napisał autor biografii, „dorobek kompozytorski Śmiełowskiego czeka na wykonawców zdolnych do zmierzenia się z muzyką godną artystycznego trudu".

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Opolskie na „Gorolu"

Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego we współpracy z kołem Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Jabłonkowie zorganizował stoisko promocyjne Śląska Opolskiego podczas 62. Gorolskiego Święta. W stylowym drewnianym domku twórcy ludowi z Opolszczyzny – Stefania Topola, Edeltrauda Krupop, Kazimierz Paluch prezentowali swoje umiejętności oraz gotowe prace: kroszonki, malowaną porcelanę i rzeźby. Profesor Teresa Smolińska z Katedry Folkiorystyki UO prezentowała książkę „Folklor słowny dzieci na pograniczu etnicznym. Przykład Śląska Cieszyńskiego", będącej publikacją pracy jej doktorantki Katarzyny Marcol.

Współpraca twórców, animatorów kultury, zespołów artystycznych z Opolszczyzny i Zaolzia trwa już niemal od półwiecza. Wielokrotnie w Kawiarence „Pod Pegazem" gościli opolscy literaci, a na festiwalowych scenach „Gorola" występowały opolskie zespoły ludowe i orkiestry dęte. Sporym zainteresowaniem cieszyła się również bogata oferta folderów i materiałów promocyjnych w wersji językowej polsko-czeskiej, ukazujących atrakcje kulturowe i turystyczne Opolszczyzny.

Międzynarodowy Kurs Muzyczny

W Głuchołazach zakończyła się XX edycja Międzynarodowych Kursów Muzycznych dla utalentowanych uczniów szkół muzycznych z kraju i zagranicy. Lekcje mistrzowskie prowadzili wybitni pedagodzy i artyści, w klasie fortepianu – Celina Hellerowa, Alicja Paleta-Bugaj, Alexander Malter, Katarzyna Ewa Sokołowska, w klasie skrzypiec, altówki – Tomasz Tomaszewski, Włodzimierz Romiński, wiolonczeli – Claude Lelong, Roman Jabłoński, kontrabasu – Michael Wolf.

Oprócz pracy warsztatowej mistrzowie i uczniowie dali wiele koncertów. W Auli LO w Głuchołazach wystąpili: European Fine Arts Trio, Berolina Trio, Rawel Piano Duo. Szczególnie uroczysty charakter miał koncert zespołu Festiwal Strings Orchestra z udziałem Jadwigi Rappe (alt) w kościele parafialnym, który poświęcony był księdzu Ludwikowi Skowronkowi (1859-1934), filantropowi i autorowi modlitewnika „Droga do nieba" w 150. rocznicę urodzin wybitnego kapłana, fundatora klasztoru Urszulanek i szkoły dla dziewcząt w zdrojowej części Głuchołaz (obecnie Ośrodek Caritas Diecezji Opolskiej). Natomiast młodzież koncertowała w Głuchołazach, Mosznej, Jeseniku i Głogówku.

Święto Pieśni Opolskiej

Przemarsz Orkiestry Dętej Górażdże Cement S.A. prowadzącej przez Gogolin korowód zespołów – folklorystycznych, wokalno-muzycznych, chórów, kapel podwórkowych wraz z gośćmi honorowymi rozpoczął finałowy dzień XVI Opolskiego Święta Pieśni Ludowej, na które przybyli uczestnicy z Opolszczyzny a także z Czech, Ukrainy, Węgier i Słowacji. Pod pomnikiem Karolinki burmistrz miasta Joachim Wojtala złożył kosz kwiatów, odśpiewano pieśń „Poszła Karolinka do Gogolina", po czym pochód dotarł na stadion miejski, gdzie kontynuowano przesłuchania konkursowe z udziałem ponad dwudziestu zespołów.

Jury (m.in. T. Smolińska, E. Trylnik, T. Soroczyński, Cz. Sokalski, M. Maciałek) przyznało pierwsze miejsca zespołowi „Cantabiles" z Kątów Opolskich w kategorii chórów, „Ligockim Wrzosom" z Ligoty Prószkowskiej w kategorii zespołów śpiewaczych oraz „Silesii" z Łubnian wśród zespołów wokalno-instrumentalnych. Podczas imprezy zorganizowano również Święto Kołocza Śląskiego, publiczność zjadła pół tony tego smakowitego ciasta z lokalnych wypieków.

Jednym zdaniem

■ **W dniu Święta Wojska Polskiego na polskim cmentarzu wojskowym pod Monte Cassino chór głuchołaskich licealistów „Capricolium" pod dyrekcją Jana Dolnego zaśpiewał polskie pieśni patriotyczne, rozpoczynając koncert od „Czerwonych Maków".**

■ **Głuchołazy podczas IV edycji Zlotu „Drum Djemboree" gościły bębniarzy z Polski, Czech i Senegalu, po otwartych warsztatach i lekcjach gry na bębnach australijskich didgeridoo i afrykańskim djembe, muzycy koncertowali w Muszli Koncertowej w Parku Zdrojowym.**

■ **Uczestnicy międzynarodowego obozu młodzieżowego w Łambinowicach, zorganizowanego przez Opolskie Kuratorium Oświaty i niemiecki Związek Opieki nad Grobami Wojennymi, sprzątali cmentarze jenieckie, które są pozostałością obozów z czasów I i II wojny światowej.**

■ **Wystawa prac uczestników Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego „Śladami ks. Jana Dzierżona" w kluczborskim Muzeum zakończyła udaną imprezę, którą w przyszłym roku komisarz pleneru Ewa Gutkowska z Kluczborskiego Domu Kultury zamierza zorganizować z udziałem twórców z regionów partnerskich Opolszczyzny.**

■ **Podczas Dni Twierdzy Nysa po raz kolejny doszło do kilkudniowego oblężenia miasta przez wojska napoleońskie, oglądanego przez kilkunastotysięczną publiczność.**

■ **Na teren Dinoparku w Krasiejowie rozpoczęły się prace związane z pierwszym etapem utworzenia „Juraparku", inwestor firma „Delta" zamierza w ciągu roku stworzyć trasy turystyczne, wzdłuż których będzie można oglądać kopie dinozaurów, ekspozycje skał i minerałów, oczka wodne, rok później planowana jest rozbudowa muzeum paleontologicznego.**

■ **Muzeum Wsi Opolskiej zorganizowało IV Festiwal Folklorystyczny, podczas którego w skansenie wystąpiły polskie i czeskie zespoły folklorystyczne – Studzienniczanie, Prosna, Przysieczanki, Istebna oraz Hana i Kanafaska.**

Na „Gorolu" bawiło się 15 tys. ludzi

– Jeżeli ktoś chce zobaczyć, jak wygląda prawdziwa Europa, musi przyjechać do Jabłonkowa na „Gorola". Dlatego pozdrawiam was po europejsku: „Pieknie was witóm" – tymi słowami witał w niedzielę 9 sierpnia w jabłonkowskim Lasku Miejskim uczestników 62. Gorolskigo Święta eurodeputowany Jan Olbrycht, a z nim organizatorzy i inni liczni goście. A było kogo witać. Tylko w niedzielę przewinęło się przez Lasek Miejski w Jabłonkowie około 6 tys. miłośników folkloru.

Do Jabłonkowa zjeżdżali się na trzydniowe święto zaolziańskiej góralszczyzny nie tylko mieszkańcy Zaolzia, zarówno Polacy, jak i Czesi. Gorolski Święto przyciągnęło do Lasku Miejskiego także gości z Polski, Moraw, Słowacji. Zespoły zaś przyjechały nawet z dalekiej Turcji i zza oceanu, z południowoamerykańskiego Ekwadoru. – W piątek bawiło się u nas około 2 tys. osób, bardziej młodzieżowa sobota zwabiła około 7 tys. ludzi, a w niedzielę sprzedaliśmy około 6 tys. biletów – powiedział Jan Rylko, szef jabłonkowskich pezetkaowców. To na barkach gospodarzy z Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Jabłonkowie spoczywa trud przygotowania „Gorola".

Ludzi było sporo, bo i pogoda przez wszystkie trzy dni dopisała. – Górale, widać, mają dobre układy w niebie, bo pogoda, rzeczywiście, palce lizać – śmiał się w niedzielę prezes Kongresu Polaków, Józef Szymeczek. Z tą pogodą miał rację. Także ks. senior Bogusław Kokotek ze Śląskiego Kościoła ewangelickiego A. W. podczas nabożeństwa ekumenicznego, które w jabłonkowskim kościele parafialnym otworzyło w niedzielę główny dzień „Gorola", wspominał: – Kiedy byłem pastorem w Nawsiu, podeszła do mnie sędziwa góralka spod Kozubowej, z osady Liści i powiedziała: Panie pastorze, my, gorole, my są pobożni. Bo żyjymy w gróniach, w kopcach, kaj je blisko do nieba, do Boga.

– Wydaje mi się jednak, że w niedzielę było ludzi mniej niż w poprzednich latach – ocenił szef stoiska pezetkaowców z Piosku, prezes Alojzy Wocławek. – Może kryzys nas już dopadł. Ale i tak przez dwa dni upiekliśmy placki z 350 kilogramów ziemniaków. Za rok na pewno będzie lepiej.

Wszystkie stoiska były przez cały czas w stanie oblężenia. Goście Gorolskigo Święta raczyli się wspaniałymi plackami i strykami, jelitami z kapustą, kapuśnicą i rojberką, skupywali kołacze na metry kwadratowe. Strumieniem płynęła też miodula, warzónka i inne trunki. Przede wszystkim jednak przez trzy dni miłośnicy folkloru okupywali ławy przed sceną. Bo było co oglądać. Na scenie Lasku Miejskiego zaprezentowały się prawie wszystkie góralskie zespoły z Zaolzia, byli goście z Polski, Słowacji, Moraw, Węgier, a także folklor bardziej egzotyczny – z Turcji i Ekwadoru.

Chór „Gorol" zaś wspominał tych, bez których Gorolskigo Święta by nie było, a którzy już odeszli: Karola Piegzę – twórcę nazwy imprezy, niezapomnianego wesołka Macieja – Ludwika Cienciałę, i hetmana góralskiego – Jurę spod Grónia, czyli Władysława Niedobę. Zabrzmiała też ze sceny „Oda do Gorola", którą do słów nieżyjącego już poety Jana Pyszki napisał Andrzej Mozgała...

– Tu, na Gorolskim Święcie prezentowany jest folklor naprawdę autentyczny: autentyczna gwara, stroje dopracowane do ostatniego szczegółu. Tu powinni przyjeżdżać obowiązkowo wszyscy ludzie z Polski, którzy prowadzą zespoły i organizują imprezy folklorystyczne. U was powinni się uczyć – powiedziała senator Maria Pańczyk-Pozdziej. – Ja przyjeżdżam tu od wielu lat. I zawsze będą przyjeżdżać.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Państwo dofinansuje edukacyjne projekty

Kongres Polaków może liczyć na zastrzyk finansowy od państwa czeskiego. Resort szkolnictwa, młodzieży i kultury fizycznej w drugiej rundzie konkursu projektów edukacyjnych przyznał Kongresowi dotację na dwa projekty. W sumie chodzi o ponad 700 tys. koron.

Jak poinformował były szef Kancelarii KP, Roman Kaszper, który przygotowywał oba projekty, pierwszy z nich dotyczy pobytu zaolziańskich dzieci w Zielonej Szkole nad Bałtykiem. – Dzieci wyjadą do Polski w dwóch turnusach, w dniach 3-17 i 15-29 września – stwierdził Kaszper. – Spodziewaliśmy się, że otrzymamy na to przedsięwzięcie z ministerstwa dotację w wysokości 500-600 tys. koron. Otrzymamy 380 tys. To dużo mniej, ale jest to pomoc. Dotacja pokryje około 30 proc. kosztów Zielonej Szkoły.

Drugi projekt edukacyjny Kongresu nosi nazwę „Wy pytacie, my odpowiadamy", który realizowany jest już drugi rok i jego celem jest upowszechnianie wśród większościowego, czeskiego społeczeństwa, wiedzy o Polakach na Zaolziu. – Oprócz wykładów w szkołach, w ramach projektu Kongres zamierza zorganizować też seminarium dla czeskich nauczycieli, a także wydać publikację pn. „Polacy na Zaolziu". Na drugie przedsięwzięcie otrzymamy 350 tys. koron – powiedział Kaszper.

Dodał, że dotację przyznano też Polskiemu Związkowi Kulturalno-Oświatowemu na projekt „Zaolzie 2009" oraz Stowarzyszeniu Przyjaciół Polskiej Książki („Z książką na walizkach").

Kolejny sukces Farnej

Ewa Farna odniosła kolejny sukces na polskiej scenie – 7 sieprnia zwyciężyła w konkursie „Polski Hit Lata 2009", zorganizowanym w ramach Sopot Hit Festiwalu. Jej przebój „Cicho" zdobył najwięcej głosów publiczności spośród 15 nominowanych piosenek.

Prócz statuetki, Ewa otrzymała 40 tys. zł. W ścisłym finale, prócz Ewy, znaleźli się Pectus i Chłopacy. – Już to, że zmieściłam się w „top trójce", było dla mnie prawdziwym szokiem – powiedziała Farna zaolziańskiemu „Głosowi Ludu". – Ewa ma obecnie dobrą passę, jest na fali i to widać – dodał jej ojciec, Tadeusz Farny. – Nie tylko najwięcej osób zagłosowało na nią, ale też publiczność w Sopocie przyjęła ją bardzo ciepło.

Zwycięstwo w konkursie „Polski Hit Lata 2009" to już trzeci tegoroczny sukces Ewy na polskiej scenie muzycznej. Pod koniec czerwca wędrynianka zdobyła nagrodę internautów na festiwalu TOPtrendy w Sopocie. Dwa tygodnie wcześniej została laureatką plebiscytu „Superjedynki" w kategorii „Album roku" na 46. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu.

Będzie książka o Kozubowej

Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe „Beskid Śląski" przypomni sobie w tym roku 80. rocznicę założenia schroniska na Kozubowej, które przed wojną było własnością tej organizacji. Uroczystości z tej okazji odbędą się 26 września, a „Beskid" z tej okazji – wspólnie z zaolziańskim wydawnictwem „Beskidy" – przygotowuje książkę pt. „Kozubowa".

Jak poinformował nas szef wydawnictwa, Bronisław Ondraszek, autorem książki jest Tadeusz Schulhauser. – Jest on nie tylko wytrawnym turystą i długoletnim członkiem „Beskidu Śląskiego", ale też znawcą beskidzkich schronisk. Nic dziwnego, dzieciństwo spędził przecież w schronisku na Girowej, którego właścicielem był jego ojciec – powiedział Ondraszek. – Książka będzie jednak nie tylko o dawnym schronisku, które spłonęło w latach 70. ubiegłego wieku, i jego historii, ale także o tym nowym oraz o samej górze. Na pewno będzie ciekawa.

Warto dodać, że podczas wrześniowej uroczystości na Kozubowej dojdzie do ponownego odsłonięcia tablicy upamiętniającej założyciela schroniska i długoletniego prezesa „Beskidu Śląskiego", Władysława Wójcika. Wykonana z granitu tablica została odsłonięta po II wojnie światowej, a zniknęła po pożarze budynku. Na szczęście, udało nam się ją odnaleźć i odnowiona trafi ponownie na mury schroniska.

Jednym zdaniem

■ W Żywocicach odbyły się 8 sierpnia uroczystości upamiętniające 65. rocznicę Tragedii Żywocickiej. 6 sierpnia 1944 naziści zastrzelili we wsi 36 mężczyzn, w większości Polaków.

■ Kongres Polaków ma nowego kanclerza. Dotychczasowego szefa Kancelarii KP, Romana Kaszpera, zastąpil na tym stanowisku Bogdan Jakubek.

■ W Cierlicku-Kościelcu odbyl się 9 sierpnia tradycyjny odpust św. Wawrzyńca, patrona miejscowego kościola katolickiego.

■ Polski Związek Kulturalno-Oświatowy wydal publikację pt. „Kluby Kobiet w życiu Związku".

■ Polski zespól Coma byl gwiazdą tegorocznego Zlotu, najważniejszej zaolziańskiej wakacyjnej imprezy rockowej, odbywającej się w sierpniu w Wędryni. Zagral też krakowski Blue Machine.

■ Pod haslem „Uzdrowienie chorych, módl się za nami", wyruszyla na Jasną Górę XIX Zaolziańska Pielgrzymka. Pieszej pielgrzymce towarzyszyły tradycyjnie także rowerowa i autokarowa.

■ Pochodzący ze Śląska Hulczyńskiego czeski poeta Petr Motýl zwyciężyl w konkursie na najlepszy przeklad na język czeski tekstów Jacka Kaczmarskiego. Specjalnym wyróżnieniem nagrodzono tlumaczenia pochodzącej z Zaolzia Krystyny Kubisz-Skalickiej.

■ Także zaolziańska ekipa wzięla udział w konkursie kulinarnym towarzyszącym I Międzynarodowemu Festiwalowi Kuchni Zbójnickiej, który odbyl się w dniach 25 i 26 sierpnia w Skoczowie.

■ Archeologom prowadzącym wykopaliska w dawnym grodzisku slowiańskim Kocobędzu-Podoborze udało się odkryć unikatowe znalezisko – szczątki zwierząt domowych, które spalily się podczas pożaru grodziska na przelomie IX i X wieku.

■ W Domu Trzech Narodów na dawnym przejściu granicznym Bukowiec-Jasnowice odbyl się 8 sierpnia koncert Józefa Skrzeka i kapeli Walasi.

Umierają stojąc...

Kiedyś o drzewach powiadano, że umierają stojąc... Martwe drzewo mogło „rosnąć" w lesie przez następne 40 lat, a gdy powaliła je wichura, przez trzysta kolejnych lat leżąc utrzymywało równowagę w otaczającym je ekosystemie. Kominy hut i kopalń, cechownie i hale fabryczne, walcownie i wieże wyciągowe pozostałe po umierającym na Górnym Śląsku przemyśle ciężkim na trzysta lat z pewnością liczyć nie mogą! Umierały stojąc, lecz gdy po upływie kilku lat runęły zmieniając się w gruzowisko, ich ceglane i żelbetowe szczątki szybko padały pastwą spychaczy i buldożerów...

Gdzie się podziały tamte „małachowki"?

Kiedy Krzysztof Roman oprowadza miłośników architektury przemysłowej po pieczołowicie pielęgnowanym przez obecnych zarządców założeniu dawnej elekrociepłowni Szombierki, nie bez dumy porównuje ów obiekt do zamków średniowiecznych, dowcipkując, że ilością użytych do budowy cegieł bytomska elektrownia przewyższyła nawet krzyżacką twierdzę w Malborku. Malowniczy dziedziniec tego zakładu, zaprojektowanego w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia przez znanych z Giszowca i Nikiszowca architektów Emila i Georga Zillmannów, w istocie urzeka średniowieczną atmosferą, chociaż surowość i monumentalizm ceglanych kolosów, w których jeszcze do niedawna dudniły prądnice i transformatory, nosi już pewne znamiona progresywnego modernizmu.

Można by sobie zadać pytanie, dlaczego budowniczowie dawnych zakładów przemysłowych preferowali nawiązywanie do stylów historycznych sugerujących obronność? Pewnie trudno nam będzie dzisiaj znaleźć nań jednoznaczną odpowiedź. Z jednej strony wytłumaczeniem tego zjawiska jest powszechna w architekturze historyzmu moda na „styl burgowy". Nie bez znaczenia może być też fakt, że budowle o charakterze industrialnym miały pewne cechy warowni. Elektrownię Szombierki założono na przykład na zbliżonym do trójkąta obszarze, zamkniętym z każdej strony torami kolejowymi. W razie ataków lądowych ten strategiczny dla działań wojennych punkt chroniony był przy pomocy pancerników transportowanych koleją. Militarne techniki budowlane sprawdzały się też szczególnie dobrze w przypadku konstrukcji przeznaczonych do dźwigania wprawianych w ruch i ważących wiele ton maszyn i urządzeń przemysłowych. Kiedy w XIX wieku zaczęto wznosić wieże szybów z wyciągami linowymi, skorzystano z doświadczeń militarnych, nadając im kształty warowni o grubości murów dochodzącej nawet do 3 metrów. Szybko skojarzono tę formę ze zdobywanym podczas wojny krymskiej fortem Małachow koła Sewastopola i wieże wyciągowe zaczęto nazywać małachowkami. Na Górnym Śląsku zapewne nie brakowało niegdyś takich warownych szybów wyciągowych, dziś jednak coraz rzadziej zobaczyć można nawet ich młodsze krewniaczki: zwieńczone górą charakterystycznym kołem zamachowym, wysokie szyby ze stali. Z lokalnego krajobrazu bezpowrotnie zniknęły wieże typu Małachow, a po typowych niegdyś dla krajobrazu górnośląskiego szybach ze stali pozostały gdzieniegdzie jedynie nieruchome atrapy z reklamującym nowoczesne centrum handlowe, złowieszczym „S" jak Silesia.

Czasu jest coraz mniej!

Damian Cyfka zainteresował się architekturą industrialną Górnego Śląska odbywając staż studencki w urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Zatrudnieni tam specjaliści ze znawstwem przekazywali niedoświadczonemu studentowi podstawy wiedzy o cennych przemysłowych zabytkach. Obowiązek praktykanta wkrótce zmienił się w jego pasję. Od dwóch lat przemierza on aglomerację śląską z aparatem w ręku, próbując uchwycić obiektywem ginące w zawrotnym tempie obiekty. Już dzisiaj wie, że nie będzie mógł zinwentaryzować zrujnowanych i zniszczonych zabudowań dawnej huty Uthemann w Szopienicach. Z żalem konstatuje rozbiórkę wzniesionych u schyłku XVIII wieku wielkich pieców Huty Królewskiej. W ciągu roku, „na jego oczach", przy cichym przyzwoleniu władz wojewódzkich i gminnych, runęły w gruzy zabudowania kilkunastu kopalń i hut, w tym także budynki oficjalnie wpisane przez konserwatora do rejestru zabytków. Pytanie, kto ponosi odpowiedzialność za tę powszechną dewastację dóbr kultury, ma zasadniczo jedną tylko odpowiedź: my wszyscy! Jak dotąd nie potrafiliśmy znaleźć złotego środka, który w morzu pilnych potrzeb społecznych pozwoliłby wygospodarować konieczną ilość pieniędzy na ratowanie postindustrialnych reliktów. Większość zaadaptowanych do współczesnych celów obiektów ocalała dzięki inicjatywom prywatnych przedsiębiorców. Najczęściej są to osoby o śląskich korzeniach, świadome znaczenia ginącej obecnie spuścizny kulturowej dla historii tego przemysłowego regionu.

Elektrociepłownia Szombierki znajduje się obecnie w fazie restrukturyzacji. Wspomniany już tutaj Krzysztof Roman, podobnie jak jego zwierzchnicy i koledzy, z czystej pasji zawodowej zajęli się promocją tego postindustrialnego giganta. Urządzając w halach elektrociepłowni spektakle teatralne, wystawy sztuki wysokiej, koncerty i inne jeszcze imprezy artystyczne starają się oni pozyskać sojuszników w walce z czasem. Wiedzą dobrze, że oddanie tego zabytkowego obiektu w niepowołane ręce może oznaczać jego całkowitą destrukcję. Robią więc wszystko, by niepowtarzalne piękno szombierskich maszynowni i hal nie podzieliło smutnego losu na zawsze zaprzepaszczonych pereł górnośląskiej architektury przemysłowej.

Ocalić od zapomnienia

Budujące wydaje się dostrzegalne od kilku lat zainteresowanie, jakim obiekty poprzemysłowej architektury darzą ludzie młodzi. Wśród nich prym wiodą pasjonaci skupieni w działającym w Rudzie Śląskiej stowarzyszeniu Genius Loci oraz współpracujący z nimi studenci, należący do jednej z sekcji Koła Naukowego Historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Aktywnie działający w tej grupie Przemysław Noparlik nie bez powodu chwali się osiągnięciami wykonywanych przez ten zespół amatorskich inwentaryzacji. Bez jakichkolwiek dotacji finansowych studenci zdołali wykonać 15 000 fotografii, utrwalając w nich wygląd bez mała 30 likwidowanych zakładów przemysłowych, usytuowanych na terenie Śląska i Zagłębia. Efekt ich pracy zarazem zachwyca i przeraża. Pokazywane w Internecie i na wystawach (między innymi w Chorzowie) zdjęcia zachwycają jakością i charakterem. Ich tematyka budzi grozę – jest to bowiem rzeczowy zapis procesu dewastacji historycznych budowli, które jeszcze do niedawna tętniły życiem. Czy musimy bezsilnie przyglądać się ich umieraniu? Jak czytelnicy „Śląska" odniosą się do tego dziedzictwa kulturowego, kiedy umożliwi im się cykliczny kontakt z rezultatem owych szczególnych fotograficznych plenerów, które przynoszą pomysłodawcom projektu „Ocalić od zapomnienia" coraz większą rzeszę zwolenników? O tym przekonamy się już wkrótce, gdy fotoreportaże studentów staną się cyklicznym elementem comiesięcznych wydań tego pisma.

IRMA KOZINA

Biblioteka Śląska



Elewacja południowa



Ładownia

ELEKTROCIEPŁOWNIA
„SZOMBIERKI”



Kadzie na żużel



Dziedziniec



Hala ciepłowni



Hala maszyn



Klatka schodowa

351706 III
2009/9



"BUDUS" S.A.

Katowickie Przedsiębiorstwo
Budownictwa Przemysłowego

„BUDUS" S.A.

40-053 Katowice, ul. Barbary 21
tel.: (032) 35 99 300 fax: (032) 251 55 81







Oferujemy usługi w zakresie:

- kompleksowej realizacji obiektów przemysłowych i budownictwa ogólnego wraz z infrastrukturą;
- budowy obiektów w lekkich konstrukcjach stalowych oraz lekkiej obudowie;
- kompleksowej restrukturyzacji istniejących obiektów (prowadzimy skomplikowane technicznie prace w czynnych zakładach produkcyjnych);
- budowy oczyszczalni ścieków;
- budowy zbiorników okrągłych o różnych średnicach;
- kanalizacji ogólnospławnej i kolektorów sanitarnych;
- magistrali cieplnych;
- systemów instalacji sanitarnych, gazowych, centralnego ogrzewania z miedzi i tworzyw sztucznych;
- prac ziemnych, makroniwelacji i wykopów, wzmacniania gruntu metodą wibroflotacji – kolumn kamiennych;
- utwardzania nawierzchni placów, chodników i ulic (nowoczesną kolorową kostką brukową lub nawierzchniami tradycyjnymi);
- kompleksowego wykonawstwa posadzek przemysłowych;
- działalności deweloperskiej.

www.budus.com.pl

"BUDUS" S.A.